

NAJNOWSZY SUPERBESTSELLER

CLIVE CUSSLER



PAUL KEMPRECOS



**BŁEKITNE
&
ZŁOTO**

**CLIVE CUSSLER
PAUL KEMPRECOS**

BŁĘKITNE ZŁOTO

CYKL: NUMA TOM 2

(PRZEŁOŻYŁ: ANDRZEJ GRABOWSKI)

**AMBER
2001**

Prolog

Lotnisko w Sao Paulo, Brazylia, rok 1991

Napędzany dwoma silnikami turbinowymi elegancki prywatny odrzutowiec oderwał się od pasa startowego i wystrzelił w nieboskłon nad Sao Paulo. Wspinając się szybko nad największym miastem Ameryki Południowej, wkrótce osiągnął wysokość podrózną dwunastu tysięcy metrów i z prędkością ośmiuset kilometrów na godzinę pomknął na północny zachód. Siedząca w wygodnym fotelu z tyłu kabiny, plecami do kierunku lotu, profesor Francesca Cabral przyglądała się w zadumie kłębiastym chmurom za oknem, tęskniąc już za kipiącym energią rodzinnym miastem i jego spowitymi smogiem ulicami. Z zamyślenia wyrwało ją ciche chrapanie. Spojrzała na ubranego w pomięty garnitur mężczyznę w średnim wieku, śpiącego po drugiej stronie przejścia, i pokręciła głową. Czym się kierował ojciec, przydzielając jej do ochrony Philippa Rodriquesa?

Wyjęła z aktówki dokumenty i zaczęła nanosić uwagi na marginesach referatu, który przygotowała na międzynarodową konferencję zoologów w Kairze. Mimo że czytała go już wiele razy, ciągle znajdowała coś do poprawienia. Francesca była wprawdzie doskonałym inżynierem i poważanym profesorem, lecz w środowisku zdominowanym przez mężczyzn od kobiety naukowca oczekiwano czegoś więcej niż doskonałości.

Słowa tekstu zaczęły jej się zlewać przed oczami. Zeszłego wieczoru do późna pakowała się i porządkowała dokumentację. Była zbyt podniecona, żeby spać. Zerknęła na śpiącego ochroniarza i postanowiła również się zdrzemnąć. Odłożyła referat, ustawiła oparcie miękkiego fotela w pozycji półleżącej i zamknęła oczy. Ukołysana monotonnym mruczeniem turbin, zasnęła.

Wkrótce zaczęło jej się coś śnić. Płynęła po morzu, łagodnie unosząc się i opadając jak meduza na miękkich falach. Było to bardzo miłe uczucie, lecz wtem została porwana wysoko w górę przez wielką falę, a potem opadła tak nagle jak urwana winda. Trzepocząc powiekami, Francesca otworzyła oczy i rozejrzała się po kabinie. Czowała się tak dziwnie, jakby ktoś ścisnął jej serce. Ale wszystko wyglądało normalnie. Przez głośniki sączyły się ciche dźwięki natrętnej *Samby na jednej nucie* Antonia Carlosa Jobima. Philippo jeszcze się nie zbudził. Nie mogła jednak pozbyć się wrażenia, że coś jest nie tak. Wychyliła się z fotela i delikatnie potrząsnęła za ramię śpiącego mężczyznę.

- Philippo, niech się pan obudzi - powiedziała.

Ochroniarz sięgnął do kabury pod marynarką i natychmiast oprzytomniał. Na widok Franceski uspokoił się.

- Przepraszam, *senhora* - rzekł, ziewając. - Zasnąłem.

- Ja też. - Urwała, nasłuchując. - Coś jest nie tak.

- To znaczy?

Zaśmiała się nerwowo.

- Nie wiem.

Philippo uśmiechnął się ze zrozumieniem, jak mąż, którego żona usłyszała w nocy włamywaczy, i

poklepał Franceskę po ręce.

- Pójdę sprawdzić - powiedział.

Wstał, przeciągnął się, podszedł do kabiny pilotów, zapukał, a kiedy otworzyły się drzwi, wetknął przez nie głowę. Do Franceski dotarły ściszone odgłosy rozmowy i śmiech.

- Piloci twierdzą, że wszystko w porządku, *senhora* - oznajmił po powrocie promiennie uśmiechnięty Rodriques.

Francesca podziękowała ochroniarzowi, usadowiła się w fotelu i odetchnęła głęboko. Jej obawy były niemądre. Widać denerwowała się na samą myśl o tym, że po dwóch latach wyczerpującej harówki może wreszcie wyrwać się z tego kierunku. Projekt, nad którym pracowała, pochłonął ją całkowicie, kradnąc godziny snu i rujnując życie towarzyskie. Spojrzała na kanapę z tyłu kabiny i z trudem oparła się pokusie sprawdzenia, czy jej metalowa walizeczka wciąż bezpiecznie tkwi za poduszkami. Lubiła myśleć o niej jako o przeciwieństwie puszki Pandory. O tym, że po otwarciu wylecą z niej nie złe, lecz same dobre rzeczy. A także o swoim odkryciu, które przyniesie milionom ludzi zdrowie i dobrobyt, odmieni świat.

Philippo przyniósł butelkę zimnego soku pomarańczowego. Dziękując mu, pomyślała, że szybko polubiła tego ochroniarza. Szpakowaty, łysiejący, z cienkim wąsikiem, w okrągłych okularach i wymiętym brązowym garniturze wyglądał jak roztargniony naukowiec. Nie wiedziała, że rolę nieśmiałego safandudy doskonalił przez lata. Troskliwie pielęgnowana przez niego umiejętność wtapienia się w tło niczym spłowieła tapeta stawiała go w rzędzie najlepszych agentów brazylijskich tajnych służb.

Rodriquesa wybrał do tego zadania ojciec Franceski. Z początku nie chciała się zgodzić, by towarzyszył jej ochroniarz. Nie potrzebowała niańki, ale widząc, że ojciec nalega na to ze szczerą troską o nią, w końcu uległa. Podejrzewała jednak, że bardziej niż o jej bezpieczeństwo ojciec obawia się przystojnych łowców posagów.

Nawet i bez rodowej fortuny Francesca przyciągała uwagę mężczyzn. W kraju śniadoskórych brunetek była rzadkim zjawiskiem. Ciemnoniebieskie oczy w kształcie migdałów, długie rzęsy i piękne usta odziedziczyła po japońskim dziadku, a po niemieckiej babce płowe włosy, wysoki wzrost i germańską stanowczość widoczną na twarzy. Dawno temu doszła do wniosku, że kształtną figurę zawdzięcza temu, iż żyje w Brazylii. Ciała Brazylijek zdawały się wprost stworzone do samby, narodowego tańca tego kraju. Do udoskonalenia sylwetki Franceski przyczyniły się godziny ćwiczeń w sali gimnastycznej, do której chodziła, by pozbyć się stresów związanych z pracą.

Po tym, jak dwa atomowe grzyby położyły kres japońskiemu imperium, jej dziadek, dyplomata niskiej rangi, pozostał w Brazylii, poślubił córkę równie bezrobotnego jak on ambasadora Trzeciej Rzeszy i oddał się swojej pierwszej namiętności w życiu - ogrodnictwu. Potem przeniósł się wraz z rodziną do Sao Paulo, gdzie jego firma, zajmująca się architekturą kraj obrazu, świadczyła usługi bogatym ludziom. Za ich pośrednictwem nawiązał bliskie stosunki z wpływowymi osobami ze sfer wojskowych i rządowych. Dzięki tym koneksjom jego syn, ojciec Franceski, bez trudu zdobył wysokie stanowisko w ministerstwie handlu. Jej matka, wybitnie zdolna studentka, zrezygnowała z kariery naukowej, wybierając macierzyństwo i rolę żony. Nigdy nie żałowała tej decyzji, a w każdym razie nie czyniła tego otwarcie, była jednak uszczęśliwiona, kiedy córka wybrała karierę naukową.

Ojciec zaproponował, żeby przed podróżą rejsowym samolotem do Kairu poleciała jego prywatnym odrzutowcem do Nowego Jorku i spotkała się z urzędnikami Organizacji Narodów Zjednoczonych. Francesca ucieszyła się, że znów odwiedzi Stany. Z lat studiów na Uniwersytecie

Stanforda w Kalifornii wyniosła bardzo miłe wspomnienia. Wyjrzała przez okno i stwierdziła, że nie ma zielonego pojęcia, gdzie są w tej chwili. Od startu w Sao Paulo piloci nie informowali jej o przebiegu lotu. Przeprosiła Philippa, podeszła do ich kabiny i wsadziła głowę do środka.

- *Bom dia, senhores* - powiedziała. - Ciekawa jestem, gdzie się znajdujemy i jak długo jeszcze będziemy w powietrzu.

Samolot pilotował kapitan Riordan, ostrzyżony najeża, blondyn, kościsty Amerykanin, mówiący z teksaskim akcentem. Nie знаła go, ale nic dziwnego. Choć odrzutowiec był prywatny, obsługiwała go lokalna linia lotnicza, która dostarczała pilotów.

- *Bounis dijas* - odparł z krzywym uśmiechem kulawą portugalszczyzną. - Przepraszam, że nie informowałem pani. Spała pani, więc nie chciałem przeszkadzać.

Mrugnął do drugiego pilota, krępego Brazylijczyka, który najwyraźniej dużo czasu spędzał w siłowni. Brazylijczyk przyjrzał się jej z bezczelnym uśmiechem. Poczła się tak, jakby przyłapała dwóch urwisów na chwilę przed splątaniem jakiejś psoty.

- Jak wygląda plan lotu? - spytała rzeczowo.

- Przelatujemy nad Wenezuelą. Za jakieś trzy godziny powinniśmy być w Miami. Zatankujemy tam paliwo, na chwilę rozprostujemy nogi, a po następnych trzech godzinach wylądujemy w Nowym Jorku.

Okiem naukowca spojrzała na tablicę przyrządów. Widząc jej zainteresowanie, drugi pilot nie oparł się pokusie, by wyrzucić wrażenie na pięknej kobiecie.

- Ten samolot jest taki mądry, że leci sam, a my oglądamy w tym czasie w telewizji mecze piłki nożnej - pochwalił się, odsłaniając duże zęby.

- Carlos opowiada pani głodne kawałki - rzekł pilot. - To EFIS, elektroniczny system kontroli lotu. A te ekrany zastępują dawne przyrządy pomiarowe.

- Dziękuję - odparła uprzejmie Francesca i wskazała na inny przyrząd. - To kompas?

- *Sim, sim* - potwierdził drugi pilot, dumny, że tak dobrze wywiązał się z roli belfra.

- To dlaczego pokazuje, że lecimy niemal wprost na północ? - spytała, marszcząc czoło. - Czy Miami nie leży bardziej na zachód?

Piloci wymienili spojrzenia.

- Bardzo pani spostrzegawcza, *senhora* - odparł Teksaszczyk. - Faktycznie. Ale nie zawsze leci się najszybciej po linii prostej. Ma to związek z krzywizną Ziemi. Na przykład najkrótsza trasa ze Stanów do Europy wiedzie w górę, a później opada wielkim łukiem. Musimy się też liczyć z kubańską przestrzenią powietrzną. Po co wnerwiać starego Fidela?

Jeszcze raz puścił oko i bezczelnie się uśmiechnął.

Francesca skinęła głową.

- Bardzo dużo dowiedziałam się od panów - odparła. - Dziękuję.

- Nie ma za co, szanowna pani. Zawsze do usług.

Siadając w fotelu, gotowała się ze złości. Bęcwały! Mają ją za idiotkę? Krzywizna Ziemi, akurat!

- Wszystko w porządku? - zapytał Philippo, podnosząc wzrok znad czytanego czasopisma.

- Nie, wprost przeciwnie. Myślę, że samolot zboczył z kursu. - Nachyliła się w jego stronę i cichym głosem poinformowała go, co zobaczyła na kompasie. - We śnie poczułam coś dziwnego. Prawdopodobnie właśnie wtedy zmienili kierunek lotu.

- Może się pani myli.

- Może. Ale wątpię.

- Poprosiła pani pilotów o wyjaśnienie?

- Tak. Pczęstowali mnie idiotyczną historyjką, że z powodu krzywizny Ziemi najkrótszą odległością pomiędzy dwoma punktami nie jest linia prosta.

Najwyraźniej zaskoczony tym wyjaśnieniem, lecz wciąż nie przekonany ochroniarz uniósł brwi.

- Bo ja wiem...

- A przypomina pan sobie, co powiedzieli po wejściu do samolotu? - spytała.

- Oczywiście. Powiedzieli, że tamtym pilotom zlecono inne zadanie i mają tu ich zastąpić.

- Dziwne. - Francesca pokręciła głową. - Po co w ogóle o tym wspomnieli? Jakby chcieli uniknąć jakichkolwiek pytań z mojej strony. Dlaczego?

- Znam się trochę na nawigacji. Sprawdzę to - odrzekł zamyślony Filippo i po raz drugi poszedł do kabiny pilotów.

Francesca słyszała, jak rozmawiają tam ze sobą, głośno się śmiejąc. Kiedy po kilku minutach ochroniarz wrócił, twarz miał bardzo poważną.

- Jest tam przyrząd, pokazujący pierwotny plan lotu - oznajmił. - Nie lecimy wzdłuż niebieskiej linii, którą tam zaznaczono. Z kompasem też miała pani rację. Zboczyliśmy z kursu.

- Boże, o co tutaj chodzi?!

Philippo spochmurniał.

- Jest coś, o czym ojciec nie powiedział pani - odparł.

- Nie rozumiem.

Philippo zerknął w stronę zamkniętej kabiny.

- Docierały do niego różne pogłoski. Nic takiego, co przekonałoby go, że grozi pani niebezpieczeństwo, ale wolał mieć pewność, że będę pod ręką, gdyby jednak potrzebowała pani pomocy.

- Widzę, że pomoc przydałaby się nam obojgu.

- *Sim, senhora*. Niestety musimy liczyć tylko na siebie.

- Ma pan broń? - spytała wprost.

- Oczywiście - odparł, lekko rozbawiony tak rzeczowym pytaniem w ustach pięknej, kulturalnej kobiety. - Mam ich zabić?

- Nie chciałam... skądże - odparła przygnębiona. - Ma pan jakieś pomysły?

- Z broni nie tylko się strzela. Można nią zastraszyć, sterroryzować ludzi, zmusić ich do robienia tego, czego nie chcą.

- Na przykład, żeby skierowali samolot we właściwą stronę?

- Mam nadzieję, *senhora*. Pójdę do nich i grzecznie poproszę, żeby na pani prośbę wylądowali na najbliższym lotnisku. W razie odmowy pokażę im pistolet i zaznaczę, że nie chciałbym go użyć.

- Pan nie może go użyć! - przestraszyła się. - Przedziurawienie samolotu na tej wysokości oznacza dekompresję kabiny i śmierć nas wszystkich w kilka sekund.

- Doskonały argument. Jeszcze bardziej się przestraszą. - Filippo uściśnął jej rękę. - Przynależę pani ojcu, że będę pani strzegł, *senhora*.

- A jeżeli się mylę? - spytała. - Jeżeli są to Bogu ducha winni piloci, którzy robią, co do nich należy?

- Skontaktujemy się przez radio z najbliższym lotniskiem, wylądujemy, wezwiemy policję, wszystko wyjaśnimy i polecimy dalej.

Przerwali rozmowę, bo z kabiny pilotów wyszedł kapitan i spokojnym krokiem ruszył w ich

stronę.

- Przed chwilą opowiedział nam pan dowcip. Zna pan jeszcze jakiś? - spytał z krzywym uśmiechem.

- Niestety nie, *senhor* - odparł Philippo.

- No to ja mam coś dla pana.

Z opadającymi, ciężkimi powiekami Riordan miał senny wygląd, ale w ruchu, jakim sięgnął za plecy po pistolet, nie było nic ospałego.

- Oddaj broń - rozkazał Philippowi. - Tylko wolno.

Ostrożnie odsunawszy połą marynarki, Philippo koniuszkami palców wy dobył z kabury pistolet. Riordan zatknął jego broń za pas.

- *Gracias, amigo* - powiedział. - Grunt to mieć do czynienia z zawodowcem. - Usiadł na poręczy fotela i wolną ręką zapalił cygaro. - Pogadałem z kolegą i wykombinowaliśmy, że chcesz nas załatwić. Kiedy przyszedłeś drugi raz, pomyśleliśmy, że nas sprawdzasz, dlatego dla uniknięcia nieporozumień postanowiliśmy pozbyć się kłopotu.

- O co chodzi, kapitanie? - spytała Francesca. - Dokąd nas wieziecie?

- Ostrzegali mnie, że jest pani sprytna. - Riordan zaśmiał się. - Kolega niepotrzebnie przechwalał się przed panią samolotem. - Wypuścił nosem dwie smugi dymu. - Ma pani rację. Nie lecimy do Miami, tylko na Trynidad.

- Trynidad?!

- To podobno bardzo przyjemna wyspa.

- Nie rozumiem.

- Na lotnisku będą na panią czekać ludzie. Proszę nie pytać, kim są, bo nie wiem. Wiem tylko tyle, że wynajęto nas, żebyśmy tam panią dostarczyli. Miało pójść jak po maśle. Usłyszałaby pani od nas, że są kłopoty techniczne i musimy lądować.

- A co się stało z pilotami? - spytał Philippo.

- Mieli wypadek. - Riordan wzruszył ramionami i zdeptał na podłodze niedopałek. - Sytuacja wygląda tak: zostanie pani tutaj i wszystko będzie dobrze. Wybacz mi, *cavaleiro*, że przeze mnie podpadniesz szefom. Mógłbym was związać, ale chyba nie umiecie latać tą maszyną, więc nie wpadnie wam do głowy nic głupiego. I jeszcze jedno, kolego. Wstań i odwróć się.

Sądząc, że pilot chce go obszukać, Philippo bez sprzeciwu wykonał polecenie. Ostrzeżenie Franceski przyszło za późno. Lufa pistoletu opadła srebrzystą smugą w dół i uderzyła Rodriquesa ponad prawym uchem. Ochroniarz z bolesnym krzykiem zgął się wpół i runął na podłogę.

- Dlaczego pan to zrobił?! - krzyknęła Francesca, zrywając się z fotela. - Ma pan jego pistolet. Jak mógł panu zagrozić?

- Wolę zadbać o swoje bezpieczeństwo - Riordan przestąpił przez powalonego Philippa, jakby to był wór kartofli. - Nic tak nie powstrzymuje człowieka przed robieniem głupstw jak rozwalona głowa. Na ścianie wisi apteczka. Opieka nad nim zajmie pani czas aż do lądowania.

Przytknął dłoń do czapki, wrócił do kabiny pilotów i zamknął drzwi.

Francesca uklękła przy rannym ochroniarzu. Nasączyła płócienne serwetki wodą mineralną, przemyła ranę i, stosując ucisk, zatamowała krwawienie. Posmarowała rozcięcie i zsiniałą skórę wokół niego środkiem odkażającym, a potem żeby zapobiec spuchnięciu, przyłożyła do głowy Philippa serwetkę z lodem.

Usiadła przy nim i zaczęła dopasowywać do siebie elementy zagadki. Wykluczyła porwanie dla

pieniędzy. Porywacze mogli zadać sobie tyle trudu tylko z jednego powodu - żeby poznać to, co odkryła. Ktokolwiek stał za tą szaloną intrygą, zależało mu nie tylko na zdobyciu miniaturowego modelu odsalarni i referatu, objaśniającego jej metodę. Mogli się przecież włamać do laboratorium lub wyrwać jej bagaż na lotnisku. Była im jednak sama potrzebna do objaśnienia dokonanych odkryć. Wymyśliła bowiem coś, na co nikt przed nią nie wpadł, tylko ona знаła tajemnicę procesu wykraczającego poza aktualne naukowe osiągnięcia w tej dziedzinie.

Niemniej jej porwanie nie miało sensu. Za dzień, dwa zamierzała przecież podarować swoje odkrycie wszystkim krajom świata. Bez patentów. Bez praw i tantiem autorskich. Całkiem darmo. Tymczasem jacyś bezwzględni łajdacy próbowali jej w tym przeszkodzić.

Philippo jęknął. Odzyskiwał świadomość. Zamrugał oczami i po chwili spojrzał przytomnie.

- Jak się pan czuje? - spytała.

- Na pewno żyję, bo boli jak diabli. Niech mi pani pomoże usiąść.

Francesca objęła go ramieniem, podźwignęła i posadziła tak, że oparł się plecami o fotel, a potem przystawiła mu do ust butelkę rumu, którą wyjęła z barku. Filippo pociągnął kilka łyków. Siedział chwilę, czekając, czy go nie zemdli. Kiedy nic się nie stało, uśmiechnął się.

- Nic mi nie będzie - zapewnił. - Dziękuję.

Podawała mu okulary.

- Niestety stłukły się, kiedy pana uderzył - powiedziała.

Odrzucił je na bok.

- Są ze zwykłego szkła. Dobrze widzę bez nich - wyjaśnił, wpatrując się w nią oczami, w których nie było strachu. Spojrzał na zamknięte drzwi kabiny pilotów. - Jak długo byłem nieprzytomny? - spytał

- Chyba dwadzieścia minut.

- To dobrze, jeszcze nie jest za późno.

- Za późno na co?

Philippo sięgnął ręką do kostki i wyłuskał rewolwer z krótką lufą.

- Gdyby naszemu znajomemu nie zależało aż tak bardzo, żeby rozbolała mnie głowa, to by go znalazł - rzekł z cierpkim uśmiechem.

Nie przypominał już rozmemłanego, roztargnionego naukowca.

- I co pan robi? - spytała Francesca. - Tamci mają co najmniej dwa pistolety, a my nie umiemy pilotować samolotu.

- Wybacz pani, *senhora* Cabral. Znów nie byłem z panią szczery. Zapomniałem wspomnieć, że przed wstąpieniem do tajnych służb służyłem w brazylijskim lotnictwie. Proszę mi pomóc.

Francesca zaniemówiła. Jakże jeszcze króliki ukrywał w kapeluszu ten mężczyzna? Pomogła mu wstać na niepewne, uginające się nogi. Szybko odzyskał siły i determinację.

- Zaczeka pani tutaj, dopóki nie powiem, co robić dalej - oświadczył jak ktoś przyzwyczajony do tego, że słuchają jego poleceń.

Przeszedł przez kabinę i otworzył drzwi.

- Patrzcie no, kto powrócił z zaświatów - przywitał go pilot, zerkając przez ramię. - Widać za słabo cię walnąłem.

- Nie będziesz miał drugiej okazji - zapewnił Filippo i wbił lufę rewolweru pod ucho Teksańczyka tak mocno, że aż jęknął on z bólu. - Teraz zabiję jednego z was, a drugi poprowadzi samolot.

- Cholera! - zaklął Carlos. - Powiedziałeś, że zabrałeś mi pistolet!

- A kto będzie pilotował samolot, jeśli zastrzelisz nas obu? - spytał spokojnie Riordan.

- Ja, *cavaleiro*. Niestety nie zabrałem licencji pilota. Musisz mi więc uwierzyć na słowo.

Pilot zerknął za siebie i zobaczył na twarzy ochroniarza zimny uśmiech.

- Cofam to, że dobrze jest mieć do czynienia z zawodowcem - powiedział. - I co dalej, kolego?

- Oddasz mi pistolety. Po jednym, kolejno.

Riordan oddał Rodriquesowi najpierw swój pistolet, a potem ten, który mu zabrał. Filippo zaś przekazał oba Francesce, która zdążyła podejść i stała za nim.

- Wstań z fotela - polecił pilotowi, wycofując się do kabiny pasażerskiej. - Powoli.

Riordan pochwycił spojrzenie drugiego pilota. Wstając z fotela ruchem dłoni dał mu znak niewidoczny dla ochroniarza. Carlos ledwie dostrzegalnie skinął głową.

Riordan podążył za cofającym się Philippem.

- Połóż się na kanapie, twarzą w dół - polecił Rodriques, mierząc z pistoletu w jego pierś.

- To miło z twojej strony - zakpił Riordan. - Marzyłem o małej drzemce.

Francesca wycofała się z przejścia między fotelami, by ich przepuścić. Filippo poprosił ją, by spod przedniego fotela wyjęła plastikowe torby na śmieci. Chciał skrępować nimi Riordana, by mieć już potem do czynienia tylko z drugim pilotem.

W ciasnej kabinie musiał usunąć się w bok, żeby przepuścić Riordana. Ponownie ostrzegł go, by nie próbował żadnych sztuczek, bo z bliska trudno chybić. Riordan skinął głową. W chwili gdy dzieliły ich centymetry, drugi pilot przechylił samolot na lewą burtę.

Riordan spodziewał się tego manewru, lecz nie wiedział, kiedy nastąpi i że będzie aż tak gwałtowny. Stracił równowagę, wyrzwał głową we wręgę i wpadł na fotel. Philippa zbiło z nóg, przeleciał przez kabinę i wylądował na Amerykaninie.

Pilot oswobodził prawą rękę i wielką pięścią rąbnął go w szczękę. Filippo zobaczył wszystkie gwiazdy, ale z kurczowo zaciśniętej dłoni nie wypuścił pistoletu. Gdy Riordan cofnął rękę, by zadać następny cios, zasłonił się łokciem.

Obaj byli zaprawieni w ulicznych bójkach. Filippo sięgnął palcami do oczu Amerykanina, a ten wgryzł się zębami w jego dłoń. Wówczas Filippo wbił mu kolano w krocze, uderzył głową i złamał mu nos. Wziąłby nad nim górę, gdyby nie to, że w tej samej chwili drugi pilot gwałtownie skręcił samolotem w prawo.

Walczący przelecieli przez przejście, padając na fotel po przeciwnej stronie. Tym razem na wierzchu znalazł się Riordan. Rodriques próbował zdzielić go lufą pistoletu, ale Amerykanin schwycił go oburącz za przegub, wykręcił mu dłoń i przydusił. Filippo był wprawdzie silny, lecz nie na tyle, by podolać napastnikom. Lufa przesunęła się w stronę jego brzucha.

Próbujący odzyskać kontrolę nad bronią Filippo pewnie by ją utrzymał, gdyby nie to, że kolba śliska była od krwi z rozbitego nosa Amerykanina. Riordan gwałtownym szarpnięciem wyrwał mu pistolet z dłoni, namacał spust i nacisnął. Rozległ się stłumiony huk. Kula wbiła się w pierś Philippa, a jego ciało podskoczyło i zwiotczało.

Drugi pilot wyrównał lot samolotu. Riordan wstał i chwiejnie ruszył do kabiny pilotów, ale po chwili zatrzymał się i odwrócił, tknięty poczuciem, że coś jest nie w porządku.

Nad piersią leżącego ochroniarza zobaczył wzniesiony pistolet, który tam zostawił. Amerykanin zaatakował jak ranny nosorożec. Huknął strzał. Pierwsza kula trafiła go w ramię. Mózg Philippa już umarł, ale palec na spuście drgnął jeszcze dwukrotnie. Druga kula trafiła Teksańczyka w serce i

zabiła. Trzecia chybiła. Riordan zwałił się na podłogę w tej samej chwili, gdy z dłoni Rodriquesa wypadł pistolet.

Walka w kabinie trwała tylko kilka sekund. Wciśnięta między fotele Francesca, która siedziała jak trusia, gdy zakrwawiony Riordan wracał do kabiny pilotów, na odgłos strzałów znów przywarła do podłogi.

Po chwili ostrożnie wysunęła głowę zza fotela i zobaczyła nieruchome ciało pilota. Podczołgała się do Philippa, wyłuskała pistolet spod jego zakrwawionej dłoni i podeszła do drzwi kabiny pilotów, zbyt wściekła, by się bać. Ale jej gniew szybko zmienił się w konsternację.

Drugi pilot siedział bezwładnie w fotelu, pochylony do przodu, a w pozycji tej utrzymywały go jedynie pasy. W ścianie oddzielającejabinę pilotów od pasażerskiej i w oparciu fotela widać było dziury po kuli Philippa, która nie trafiła do celu.

Francesca posadziła Carlosa prosto. Jęknął, a więc żył.

- Może pan mówić? - spytała.

Carlos otworzył oczy.

- Tak - wychrypiał.

- To dobrze. Postrzelono pana, ale rana nie jest poważna - skłamała. - Zatamuję krwawienie.

Odnalazła apteczkę. O mało nie zemdląła, widząc na podłodze kałużę krwi, która wypłynęła z rany w jego plecach. Tampon, który założyła, natychmiast zrobił się czerwony. Nie miała wątpliwości, że ten człowiek umrze.

Z łękiem spojrzała na rozjarzoną tablicę przyrządów. Od tego umierającego pilota zależało jej ocalenie. Musiała utrzymać go przy życiu.

Odnalazła butelkę rumu i przytknęła mu do ust. Przełknął trochę i zakaszlał się. Poprosił o więcej. Mocny alkohol zaróżowił jego blade policzki i na powrót zapalił iskrę życia w przygasłych oczach.

Przysunęła usta do jego ucha.

- Musisz lecieć - powiedziała spokojnym głosem. - To nasza jedyna szansa.

Bliskość pięknej kobiety zdawała się go pokrzepiać. Spojrzenie miał wprawdzie szkliste, ale czujne. Skinął głową i drżącą ręką sięgnął do radia, łączącego go z kontrolą lotów w Rio. Francesca usiadła w fotelu pierwszego pilota, włożyła na głowę słuchawki i usłyszała w nich głos kontrolera lotów. Carlos oczami poprosił ją o pomoc. Zaczęła mówić, wyjaśniając ich trudną sytuację.

- Co pan nam radzi? - zapytała.

- Natychmiast lećcie do Caracas - usłyszała w słuchawkach po trudnej do zniesienia pauzie.

- Caracas jest za daleko - wycharczał Carlos, wyęzając wszystkie siły.

Znów minęło kilka długich sekund.

- Trzysta kilometrów od was, w San Pedro - odezwał się ponownie kontroler - jest małe lotnisko.

Podejście do lądowania bez przyrządów, ale pogoda wyśmienita. Dacie radę?

- Tak - odparła Francesca.

Gmerając niezdarnie przy klawiaturze komputera pokładowego, drugi pilot resztkami sił wywołał międzynarodowy identyfikator lotniska w San Pedro i wprowadził go do komputera.

Prowadzony przez komputer samolot zaczął zawracać.

Na twarzy Carlosa pojawił się słaby uśmiech.

- A nie mówiłem, że ten samolot leci sam, *senhora!* - spytał urywanym głosem.

Najwyraźniej słabł z utraty krwi. To, że straci przytomność, było tylko kwestią czasu.

- Nie obchodzi mnie, kto go prowadzi - odparła ostrym tonem. - Tylko nim wyląduj.

Carlos skinął głową i ustawił w komputerze pokładowym automatyczny program zmniejszenia wysokości do pułapu sześciuset metrów. Odrzutowiec zaczął opadać wśród chmur, przez które prześwitywały długie pasy zieleni. Widok ziemi pokrzepił, a jednocześnie przestraszył Franceskę. Ale jeszcze bardziej przeraziła się, kiedy Carlos zadygotał, jakby przeszył go prąd elektryczny. Konwulsyjnie chwycił ją za rękę.

- Nie dolecę do San Pedro - wyrzęził.

- Musisz! - powiedziała Francesca.

- Nie mogę.

- A niech cię diabli, Carlos, to ty wpędziłeś nas w te tarapaty, więc musisz nas z nich wydobyć!

Uśmiechnął się apatycznie.

- Co pani robi, *senhora*, zastrzeli mnie pani? - spytał.

- Jeżeli nie wylądujesz, pożałujesz, że tego nie zrobiłam - odparła z płonąącym wzrokiem.

Potrząsnął głową.

- Naszą jedyną szansą jest lądowanie awaryjne. Niech pani znajdzie odpowiednie miejsce.

Z okna w kabinie pilotów rozciągał się widok na gęstą dżunglę. Francesca miała wrażenie, że przelatuje nad ogromnym polem brokułów. Jeszcze raz przesunęła wzrokiem po morzu zieleni. Beznadziejna sprawa. Ale zaraz! W dole coś zaśniło.

- Co to jest? - spytała, wskazując ręką.

Carlos wyłączył autopilota i automatyczną przepustnicę. Ująwszy ster, skierował samolot w stronę ogromnego wodospadu. Wzdłuż rzeki ciągnęła się nieregularna polana, porośnięta żółtą i brązową roślinnością.

Carlos przeleciał nad otwartym terenem i pochylił samolot w ostrym wirażu, skręcając w prawo. Wysunął klapy szykując się do lądowania. Znajdowali się na wysokości pięciuset metrów, schodząc w dół łagodnym ślizgiem.

- Za nisko! - mruknął.

Wierzchołki drzew pędziły na nich. Z nadludzką siłą Carlos sięgnął do przepustnicy i dodał gazu. Maszyna zaczęła się wznosić.

Zamglonym wzrokiem spojrział tam, gdzie zamierzał lądować, i przeraził się. Była to mała, nierówna polanka, a oni lecieli z szybkością dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Za szybko!

Głowa opadła mu bezwładnie na ramię. Z ust trysnęła krew. Palce zacisnęły się na sterownicy w śmiertelnym skurczu. Dzięki swoim umiejętnościom w ostatniej chwili idealnie ustawił maszynę. Samolot uderzył w ziemię i kilka razy podskoczył w górę jak kamień odbity od powierzchni wody.

Przy zetknięciu się kadłuba z gruntem przeraźliwie zazgrzytał metal. Tarcie zwolniło pęd odrzutowca, ale i tak sunął z prędkością ponad stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, orząc ziemię jak pług. Stracił skrzydła i pędząc ku rzece przez następne trzysta metrów włókł za sobą dwa czarno-pomarańczowe wachlarze ognia, bo wybuchły zbiorniki paliwa.

Rozpadłyby się na kawałki, gdyby nie to, że trawiasty grunt ustąpił miejsca miękkiemu, błotnistemu, nadrzecznemu mokradłu. Pozbawiony skrzydeł, opryskany błotem niebiesko-biały odrzutowiec przypominał wielkiego gada, próbującego zagrzebać się w mule. Przejechał jeszcze kawałek po błocie i wreszcie znieruchomiał. Francesca, siłą uderzenia rzucona na tablicę przyrządów, straciła przytomność.

Zapadła cisza, w której słychać było tylko trzask płonącej trawy, szmer rzeki i syk pary tam, gdzie gorący metal stykał się z wodą.

Niebawem z tropikalnego lasu wyłoniły się długie, widmowe cienie i cicho jak dym zbliżyły się do szczątków rozbitego samolotu.

San Diego, Kalifornia, rok 2001

Na zachód od miasta Encinitas na wybrzeżu Pacyfiku kołysał się na kotwicy elegancki jacht motorowy "Nepenthe", najwspanialsza jednostka z zebranych tam licznie motorowców i żaglowców. Dzięki opływowej sylwetce, sterzącemu niczym włócznia bukszprytowi i rozszerzającemu się ku górze kadłubowi sześćdziesięciometrowy motorowiec wyglądał jak cacko z delikatnej białej porcelany na morzu niebieskim niczym fajans z Delft. Lśnił farbą odblaskową, jego metalowe i polakierowane drewniane części błyszcząły w kalifornijskim słońcu, a od dziobu aż po rufę łopotały zawieszane na olinowaniu flagi. Co jakiś czas w bezchmurne niebo wlatywały rozhuśtane balony, które zerwały się z uwięzi.

W przestronnym salonie w stylu Imperium Brytyjskiego kwartet smyczkowy grał Vivaldiego, a kłębiąca się wokół mahoniowego stołu z grubymi nogami zgraja hollywoodzkich typów w czerni, zażywnych polityków i zadbanych prezenterów telewizyjnych, z łapczywością pochłaniała pasztety, kawior z białugi i krewetki.

Na zewnątrz, na rozslonecznionych pokładach, tłum dzieciaków chodzących o kulach i siedzących w inwalidzkich wózkach zajadał hot dogi i hamburgery. Nad dziećmi niczym kwoka czuwała Gloria Ekhart, ładna kobieta po pięćdziesiątce, której pełne usta i chabrowe oczy znane były milionom widzów, oglądających popularne seriale telewizyjne. Wszyscy wielbiciele wiedzieli o córce aktorki, Elsie, ładnej, piegowatej dziewczynce, krążącej po pokładzie w wózku inwalidzkim. U szczytu kariery Gloria postanowiła poświęcić czas i pieniądze służbie takim dzieciom jak jej córeczka. Zamierzała teraz zaapelować do wpływowych i bogatych gości w salonie, pijących dom perignon, by dokonywali wpłat na rzecz Fundacji Ekhart.

Gloria wynajęła "Nepenthe" na to przyjęcie, bo umiała zadbać o reklamę. Kiedy w 1930 roku statek opuścił pochylnię stoczni G.L. Watsona w Glasgow, zaliczono go do najpiękniejszych jachtów motorowych świata. Pierwszy jego właściciel, angielski lord, stracił go, grając całą noc w pokera z hollywoodzkim potentatem, miłośnikiem kart, maratońskich bankietów i nieletnich aktoreczek. Po przejściu przez ręce wielu ludzi obojętnych na jego los, "Nepenthe" trafił do takiego człowieka, który chciał z niego zrobić statek rybacki. Porzucony w zapadłym kącie przystani, cuchnący rybami i przynętami murszejący jacht uratował magnat z Doliny Krzemowej, który miliony włożone w jego remont starał się później odzyskać, wypożyczając go na imprezy takie jak kwesta Glorii Ekhart.

Mężczyzna w granatowej marynarce z emblematem wyścigów motorowodnych na kieszonce, lustrujący przez lornetkę zieloną płaską połać Pacyfiku, przetaił oczy i mrużąc je ponownie zajął się obserwacją. W oddali, tam gdzie niebo stykało się z wodą, rysowały się białe grzywy fal. Opuścił lornetkę, wziął zaopatrzonego w plastikową trąbkę pojemnik z gazem i trzy razy nacisnął przycisk.

Donośny dźwięk klaksonu poszybował nad wodą jak godowy zew olbrzymiego gąsiora. Kiedy sygnał ten dotarł do flotyli, powietrze wypełniła kocia muzyka dzwonek, gwizdek i trąbek, w której utonęły krzyki głodnych mew. Setki widzów w podnieceniu chwyciły za lornetki i kamery i

przeniosły się na jedną burtę, powodując niebezpieczny przechył jachtów. Goście na "Nepenthe", którzy zjedli już wszystko, popijając szampanem, gromadnie opuścili salon i osłaniając oczy przed słońcem spojrzeli w dal, w stronę grzywiastych fal. Wiatr niósł ze sobą dźwięk podobny do brzęczenia roju rozdrażnionych pszczoł.

W helikopterze krążącym trzysta metrów nad "Nepenthe" krzepki włoski fotograf Carlo Pozzi klepnął pilota w ramię i wskazał na północny zachód. Wodę przecinały równoległe sunące białe bruzdy, jakby morze kroili wielkie, niewidzialne lemiesze. Pozzi sprawdził zabezpieczającą uprząż, stanął jedną nogą na płozie i dźwignął ważącą ponad dwadzieścia kilo kamerę telewizyjną. Ustawivszy się w pochylonej pozycji pod smagający wiatr, skierował potężny obiektyw na ruchome smugi, potem zaś przejechał nim z lewa w prawo, ukazując widzom na całym świecie panoramę kilkunastu łodzi wyścigowych, wycinających pręgi w morzu, a potem zaczął filmować dwie motorówki, wyprzedzające całą grupę o czterysta metrów.

Pędzące łodzie ślizgały się po grzbietach fal, a ich dwunastometrowe kadłuby szybowały ze wzniesionymi dziobami, jakby nic sobie nie robiąc z ciężenia. Motorówka na czele biła w oczy jaskrawą, strażacką czerwienią, a podążająca niespełna sto metrów za nią druga błyszczała jak złoty samorodek. Bardziej przypominały gwiazdnych wojowników niż jednostki pływające. Pod płaskimi pokładami miały dwa żyletkowate pływaki - jak w katamaranach - i aerodynamiczne skrzydła nad komorami silników. Bliżej ostro zakończonych dziobów umieszczono dwie osłony kabinowe, takie jak w myśliwcu F-16.

Kurt Austin zaciskał zęby, gdy ośmiotonowa czerwona motorówka uderzała raz po raz w twardą jak beton wodę. W przeciwieństwie do pojazdów lądowych nie miała resorów łagodzących wstrząsy węglowo-kewlarowego kadłuba. Pomimo szerokich ramion, potężnych bicepsów i najnowszej pięciopunktowej uprząży, utrzymującej w miejscu jego dziewięćdziesiąt kilo żywej wagi, Austin czuł się jakby był piłką kozłowaną przez Michaela Jordana. Całą siłę muskularnego ciała, mierzącego metr osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, wykorzystywał do kontroli trymu, a lewą stopą regulował ciąg w dwóch potężnych turbinach, z hukiem unoszących katamaran nad wodą.

Przy sterze pod osłoną z lewej strony siedział zgarbiony Jose „Joe” Zavala. Aż dziw, że tak małym kołem sterowym, na którym zaciskał dłonie w rękawiczkach, mógł utrzymać łódź na właściwym kursie. Mocno zaciskał usta, wypatrując przez przydymioną pleksiglasową osłonę kasku wszelkich zmian wiatru i wysokości fali. Podczas gdy Austin oceniał reakcję łodzi całym swoim ciałem, Jose wyczuwał grzbiety i doliny fal poprzez koło sterowe.

- Jaka prędkość? - spytał Austin przez łączący kabiny interkom.

Zavala zerknął na cyfrowy prędkościomierz.

- Sto dziewięćdziesiąt pięć - odparł, przenosząc wzrok na satelitarny odczyt ich pozycji i kompas. - Kurs właściwy.

Austin sprawdził godzinę i spojrzął na mapę przytwierdzoną do prawego uda. Licząca dwieście sześćdziesiąt kilometrów trasa wyścigu rozpoczętego w San Diego dwukrotnie okrążyła wyspę Santa Catalina i wracała do punktu startu, dzięki czemu tysiące widzów na plażach mogło obejrzieć emocjonujący finisz. Za chwilę kończyli pierwsze okrążenie. Spoglądając zmrużonymi oczami przez zalewaną rozbryzgami osłonę kabiny, Austin dojrzał na prawo jedną, a potem drugą pionową linię. Maszty żaglowca! Trzymająca się z boku flotylla widzów zajmowała spory kawałek akwenu. Po przemknięciu obok niej zawodnicy mieli się skierować na zacumowany przy boi nawrotowej kuter straży przybrzeżnej i rozpocząć drugie, ostatnie koło. Zerknął szybko przez prawie ramię i dojrzał

złoty refleks słońca.

- Podkręcam do dwustu dziesięciu - powiedział.

Przekazywane przez koło sterowe silne wstrząsy świadczyły, że fale są coraz większe. Białe smugi na wodzie i coraz bardziej marmurkowy kolor morza uświadomiły Zavalę, że wiatr się wzmaga.

- Nie wiem, czy możemy gnać tak szybko! - zawołał, przekrzykując hałas silników. - Robi się niebezpieczna fala. Gdzie Ali Baba?

- Siedzi nam na ogonie!

- Tylko wariat próbowałby nas teraz wyprzedzić. Powinien trzymać się z tyłu i wyskoczyć przed samą metą.

- Ali nie lubi przegrywać.

Zawała chrząknął.

- Dobra - powiedział. - Dopakuj do dwustu. Może odpadnie.

Austin końcami palców pchnął przepustnicę i poczuł, jak wzrasta moc i prędkość.

- Dwieście trzy - zameldował po chwili Zawała. - Dobra nasza.

Złota łódź została w tyle, lecz po chwili przyspieszyła, by dotrzymać im tempa. Austin dojrzał na jej burcie czarny napis "Latający dywan". Sternika motorówki skrywało dymne szkło, ale Austin był pewien, że młody brodaty sobowtór Omara Sharifa uśmiecha się w tej chwili od ucha do ucha. Syn magnata hotelowego z Dubaju, Ali Bin Said, należał do najbardziej nieustępliwych rywali w jednym z najniebezpieczniejszych sportów na świecie, klasie pierwszej przybrzeżnych wyścigów łodzi motorowych.

Przed rokiem o mały włos nie pokonał Austina w regatach o Grand Prix Strefy Bezczłowej w Dubaju. Przegrana na własnym podwórku przed rodzimą publicznością była szczególnie dotkliwa. Teraz Ali zwiększył w "Dywanie" moc silników Lamborghini. W ocenie Austina motorówka Araba była równorzędną rywalką jego "Czerwonego atramentu", w którym poprawił napęd i o kilkanaście kilometrów zwiększył prędkość.

Na konferencji prasowej przed zawodami Ali powiedział żartem, że Austin poprosił NUMA - Narodową Agencję Badań Morskich i Podwodnych - o uspokojenie morza na trasie jego łodzi. Jako dowódca jej ekipy do zadań specjalnych Austin istotnie dysponował szerokimi wpływami, ale do głowy by mu nie przyszło zgrywać się na Kanuta Wielkiego. Ali przegra nie z powodu mocy silnika, lecz dlatego, że Austin i jego partner z NUMA tworzyli tak zgrany zespół.

Zawała, śniady brunet z prostymi, zawsze zaczesanymi do tyłu włosami, wyglądał jak kierownik eleganckiego nadmorskiego hotelu w Acapulco. Jednak nie schodzący mu z ust lekki uśmiech maskował stalową wolę, wykutą w studenckich czasach, gdy boksował w wadze średniej, i zahartowaną podczas trudnych zadań wykonywanych dla NUMA. Ten towarzyski inżynier morski o łagodnym głosie, który wylatał tysiące godzin na helikopterach, małych odrzutowcach i samolotach z silnikami turbośmigłowymi, z łatwością przesiadał się do łodzi wyścigowych. Współdziałając z Austinem, jakby byli częściami precyzyjnego mechanizmu, objął prowadzenie w wyścigu w chwili, gdy sędzia uniósł zieloną chorągiewkę startową.

Wyszli z wody pod niemal idealnym kątem i przez linię startową przemknęli z szybkością dwustu dziesięciu kilometrów na godzinę. Wszystkie łodzie minęły ją na pełnym gazie. Na pierwszym okrążeniu dwóch zaciekle rywali zatarło silniki, inny wywrócił się na zapewne najniebezpieczniejszym w każdych regatach pierwszym zakręcie, a dwaj prowadzący po prostu

zdeklasowali resztę konkurentów. "Czerwony atrament" minął inne łodzie niczym rakietą. Tylko "Latający dywan" dotrzymał mu tempa. Przy pierwszym nawrocie za wyspą Zavala trzymał się tak blisko boi, że zmusił Alego do zatoczenia wielkiego łuku. Od tej chwili "Latający dywan" starał się ich doścignąć.

Właśnie przyśpieszył i zaczął się z nimi zrównywać. Austin wiedział, że rywal w ostatniej chwili wymienił śrubę na mniejszą, przydatniejszą na spienionym morzu. Żałował, że również sam tego nie uczynił. Ali był na tyle mądry, by polegać na własnym wyczuciu, a nie na prognozie pogody.

- Podkreścam o oczko! - krzyknął do Joego.

- Mamy na liczniku dwieście dwadzieścia pięć kilometrów na godzinę! - odkrzyknął Zavala. - Wiatr coraz silniejszy. Pofruniemy, jeśli nie zwolnimy.

Austin znał ryzyko nawrotu przy tak dużej szybkości. Dwa pływaki katamarana ślizgały się po powierzchni, niemal nie napotykając na opór wody. Konstrukcja, pozwalająca im sunąć z ogromną prędkością po grzbietach fal, groziła też tym, że wpadający pod kadłub wiatr uniesie łódź jak latawiec lub, co gorsza, obróci ją dnem do góry.

"Latający dywan" był coraz bliżej. Austin przebierał nerwowo palcami po dźwigniach przepustnic. Nienawidził przegrywać. Wojowniczość - wraz z posturą futbolisty i oczami koloru rafy koralowej - odziedziczył po ojcu. Ta cecha charakteru mogła go kiedyś zabić. Ale nie dziś. Zmniejszył szybkość, co być może ocaliło im życie.

Od dziobu z lewej strony pędziła na nich spieniona, ponad metrowa fala. Widząc, że zmienia kierunek, Zavala modlił się, by zdołali ją przeskoczyć, lecz szybko zorientował się, że nie zdążą. Fala zahaczyła jeden z pływaków i "Czerwony atrament" frunął w powietrze. Reagując natychmiast, jak kierowca, który wpadł w poślizg, Joe skręcił ster. Łódź zderzyła się bokiem z falą, zakołysała się tak, że osłony kabin zalała woda.

Ali zwolnił, ale gdy tylko zobaczył, że nic się im nie stało, lekceważąc niebezpieczeństwo dodał gazu. Chciał wygrać z jak największą przewagą nad Austinem. Nic sobie nie robiąc z przestróg swojego doświadczonego mechanika Hanka Smitha, rozpędził łódź do maksimum. Olbrzymi koguci ogon ciągnął się za nią trzydziestometrowym łukiem, a dwie śruby wyorywały dwakroć odeń dłuższe podwójne, szerokie skiby wody.

- Przepraszam! - zawołał Zavala. - Złapałem falę!

- Świetnie się wybroniłeś. Pędźmy po drugie miejsce.

Austin pchnął przepustnicę i z rykiem silników puścili się w pogoń.

Wisząc wysoko nad trasą regat, włoski operator natychmiast dostrzegł zmianę na czele wyścigu. Helikopter zatoczył szeroki hak i powrócił nad flotyllę statków. Pozzi chciał mieć widok na samotną łódź, która, mijając widzów, pędziła do boi nawrotowej ostatniego odcinka trasy do San Diego. Kiedy spojrzał na morze w dole, zauważył drobne falki okalające duży połyskliwy, szarawy przedmiot, wystający z wody. Gra światła? Nie, tam na pewno coś było. Szturchnął pilota i wskazał w dół.

- Co za czort? - spytał pilot.

Pozzi skierował kamerę na przedmiot w wodzie i zrobił najazd obiektywem.

- To *balena* - oznajmił, gdy zobaczył go wyraźnie.

- Mów zrozumiale.

- Wieloryb.

- A, tak - odparł pilot. - Czasem pojawiają się tutaj. Bez obawy, da nura, jak tylko usłyszysz łodzie.

- Nie da. - Carlo pokręcił głową. - Myślę, że nie żyje. Nie rusza się.

Pilot lekko nachylił helikopter, by się lepiej przyjrzeć.

- O cholera, masz rację. Tam jest jeszcze jeden. Naliczyłem trzy... nie, cztery! Psiakrew! Są wszędzie. Przełączył się na kanał alarmowy.

- Straż Przybrzeżna San Diego, zgłoś się. Tu helikopter telewizyjny nad trasą regat. Nagły wypadek!

- Posterunek Straży Przybrzeżnej w Cabrillo Point. Mów.

- Na trasie regat widzę wieloryby.

- Wieloryby?!

- Tak, chyba z tuzin. Wygląda na to, że nie żyją.

- Przyjąłem. Zawiadomię nasz kuter, żeby sprawdzili.

- Za późno. Musicie przerwać wyścig.

Nastąpiła pełna napięcia cisza.

- Zrozumiałem - odezwał się głos. - Spróbujemy.

Chwilę później w odpowiedzi na wezwanie posterunku kuter Straży Przybrzeżnej opuścił pozycję przy boi nawrotowej. Na niebieskim niebie rozkwitły paki pomarańczowych rakiet sygnałowych.

W tym samym czasie Ali zauważył unoszące się na wodzie wielkie, szare cielsko. Mocno szarpnął koło sterowe, omijając przeszkodę o centymetry, ominął też drugie zwierzę, ale nie mógł uniknąć zderzenia z trzecim. Zmieniając kierunek, krzyknął do Hanka, żeby zgasił silniki. Smith pociągnął dźwignię gazu i szybujący kadłub zanurzył się w wodzie. Mimo to "Latający dywan" uderzył w zwłoki wieloryba z prędkością osiemdziesięciu kilku kilometrów na godzinę. Śmierzące padło podskoczyło w górę jak wielki napompowany balon. Katamaran przechylił się, zrobił salto i cudem wylądował na pływakach.

Alego i mechanika przed strzaskaniem czaszek uchroniły kaski. Z czarną mgłą przed oczami Ali sięgnął do koła sterowego, chcąc je obrócić, a gdy ster nie zareagował, zwrócił się do Smitha. Mechanik leżał bezwładnie na dźwigniach przepustnic.

Kapitan "Nepenthe" zszedł z mostka na pokład i właśnie rozmawiał z Glorią Ekhart, gdy nagle wychyliła się ona przez reling i wskazując ręką spytała:

- Kapitanie, co robi ta złota łódź?

"Latający dywan" zataczał się jak zamroczony bokser, szukający neutralnego narożnika, a potem, nabierając szybkości, ruszył prosto na ich jacht. Kapitan spodziewał się, że motorówka zaraz skreśli, ale ona pędziła dalej. Zaniepokojony odszedł na bok i sięgnął po krótkofalówkę, którą nosił przy pasie. W myślach obliczał, za ile czasu złoty ślizgacz uderzy w nich.

- Mówi kapitan! - powiedział do mikrofonu. - Uruchomić statek!

- Teraz, panie kapitanie? W czasie wyścigu?

- Głuchy jesteś?! Kotwica w górę i ruszaj! Natychmiast!

- Ruszać? Ale gdzie?

Nie dość, że mieli zerowe szansę na uratowanie jachtu, to jeszcze jego sternik okazał się idiotą.

- Naprzód!!! - wrzasnął. - Płyn!!!

Ale wykrzykując rozkaz wiedział, że jest za późno. Katamaran zdążył już przebyć połowę dzielącego ich dystansu. Kapitan zaczął więc kierować dzieci na drugą burtę. Garstce z nich mogło to ocalić życie, w co jednak wątpił, świadom, że drewniany kadłub rozleci się w drzazgi, od rozlanego paliwa wybuchnie pożar i statek w kilka minut pójdzie na dno. Chwyciwszy za wózek, w którym

siedziała kaleka dziewczynka, pchnął go na drugą stronę pokładu i wezwał innych, by poszli w jego ślady. Gloria Ekhart, zmartwiała ze strachu, na widok pędzącej w ich stronę złotej torpedy zdobyła się tylko na to, co kazał jej instynkt - opiekuńczo otoczyła ręką wątłe ramiona córki i mocno ją przytuliła.

Austin wcale się nie zdziwił, że Ali stracił kontrolę nad łodzią. Sam się prosił, by go zarzuciło lub wywinął orła. Intrygujący był tylko charakter wypadku. “Latający dywan” zakręcił ostro w spienionym, rozpryskującym wodę ślizgu i z jednym uniesionym pływakiem wystrzelił w górę niczym samochód kaskadera, który ma wylądować na dwóch kołach po skoku z niskiej rampy. Katamaran przeleciał w powietrzu kilkanaście metrów i z potężnym rozbryzgiem wylądował w wodzie, na moment w niej znikając.

Austinowi i Zavali do utrzymania przewagi nad resztą stawki wystarczała prędkość poniżej stu siedemdziesięciu kilometrów, na tyle mała, by mogli się uporać z coraz trudniejszymi warunkami żeglugi. Morze pokrywały niezbyt wielkie fale, które trudno było uznać za sztormowe, ale nie należało ich lekceważyć. Dlatego obaj pilnie śledzili morze.

Zatoczywszy “Czerwonym atramentem” ostry łuk, Zavala skierował katamaran na “Latający dywan”, żeby sprawdzić, czy Ali nie potrzebuje pomocy. Kiedy wspiał się na falę i zjechał z niej w dół, musiał ostro skręcić, by nie wpaść na szary obiekt, dwakroć dłuższy od jego łodzi, a potem slalomem wyminąć trzy podobne przeszkody.

- Wieloryby! - wykrzyknął. - Pełno ich tutaj.

Austin o połowę zmniejszył prędkość. Minęli następne martwe zwierzę i kolejne, mniejsze, najprawdopodobniej młode.

- Wale - zdumiał się. - Całe stado.

- Kiepsko z nimi - stwierdził Zavala.

- Z nami też. - Austin cofnął dźwignie gazu. - Tu jest jak na polu minowym.

Łódź Alego stała niemal w miejscu, śrubami mieląc powietrze. Wtem jej rufa zanurzyła, skrzydła śrub łakomie wgrzyły się w wodę i “Latający dywan” zerwał się raptownie jak zając spłoszony przez psa myśliwskiego. Gwałtownie przyśpieszając, szybko wszedł w poślizg i skierował się w stronę flotylli widzów.

- *Macho hombre!* - zawołał z podziwem Zavala. - Wpada na wieloryba, a potem pędzi przywitać się z kibicami.

Także Austin pomyślał, że Ali płynie zebrać oklaski. Jego łódź pędziła niczym złota strzała wystrzelona do tarczy. Kierowała się wprost na duży biały statek, zakotwiczony bokiem do trasy regat. Jego wdzięczna sylwetka świadczyła o tym, że to stary luksusowy jacht, w którym konstruktorzy piękno kadłuba połączyli z funkcjonalnością. Znów spojrział na łódź Alego. Przyśpieszała nadal, pędząc prosto na biały jacht.

Dlaczego nie zatrzymali się ani nie skręcili?

Może mają unieruchomiony ster. Ale w takim razie wystarczyło zgasić silniki. Jeśli nie mógł ich wyłączyć mechanik, bez trudu zdołałby to uczynić sam sternik za pomocą linki. “Latający dywan” wpadł na wala z wielkim impetem, a potem z jeszcze większą siłą uderzył w wodę. To było tak, jakby rąbnął w beton. Ali i jego mechanik, choć w hełmach i zabezpieczeni uprzężą, z pewnością doznali wstrząsu, a może nawet utracili zdolność kierowania łodzią. Austin przeniósł wzrok na jacht i na jego pokładach ujrział rzędy młodych twarzy. O Boże! Dzieci! Na tym statku jest pełno dzieci!

Na pokładach panował szalony ruch. Dostrzeżono pędzącą łódź. Właśnie wyciągano kotwicę, ale

jeśli jacht chciał uniknąć kolizji, powinny mu wyrosnąć skrzydła.

- Zderzą się! - krzyknął Zavala, bardziej ze zdziwieniem niż z przestraczeniem.

Austin mechanicznie pchnął końcami palców dźwignie gazu. Silniki zaryczały i "Czerwony atrament" ruszył z kopyta niczym koń wyścigowy ucięty przez gza. Zaskoczony nagłym przyspieszeniem Zavala natychmiast mocniej ścisnął kierownicę i skierował łódź na znarowiony "Latający dywan". Wykonując zadania dla NUMA, już nieraz ocalili własną skórę dzięki intuicji, pozwalającej im odgadywać nawzajem swoje myśli. Austin pchnął mocno przepustnice. Katamaran wszedł w ślizg i pomknął po otwartej wodzie. Pędzili dwakroć szybciej od łodzi Alego, zbliżając się do niej pod kątem. Od "Latającego dywanu" dzieliły ich sekundy.

- Podpłyn do nich i ustaw się burta w burtę - polecił Austin. - Kiedy krzyknę, pchnij ich w prawo.

"Czerwony atrament" wspiął się na grzbiet fali, frunął w powietrze i opadł z hukiem, rozpryskując wodę. Biały jacht wolno ruszył z miejsca, co stwarzało niewielkie szanse na uniknięcie kolizji.

Dwie łodzie płynęły w tej chwili prawie burta w burtę. Pomimo coraz większej fali kilwateru Zavala, będąc doskonałym sternikiem, zdołał zbliżyć się do "Latającego dywanu". Dopędzili katamaran Alego, minęli go, a potem zrównali się z nim prędkością. Dzieliły ich tylko metry.

W ogłuszającym grzmocie czterech potężnych silników trudno było o jakieś racjonalne myślenie. Austin stopił się w jedno z "Czerwonym atramentem", stając się nieodłączną częścią jego mechanizmu. Austin dostosował prędkość do tempa "Latającego dywanu" tak, że płynęli obok jak para delfinów.

W górę.

W dół.

W górę.

- Teraz! - krzyknął.

Odległość pomiędzy łodziami zmalała do centymetrów. Zavala skręcił w prawo. Zrobił to łagodnie, gdyż ostry manewr groził tym, że szczepią się kadłubami i przekoziółkują w powietrzu. Z głuchym zgrzytem katamarany zderzyły się ze sobą i odskoczyły. Zavala utrzymał łódź na kursie, choć koło sterowe wrywało się mu z dłoni.

Austin dodał gazu. Łodzie znów się zderzyły. Jakby próbowali okiełznać ogromnego, potężnego młodego wołu. Wreszcie "Latający dywan" zaczął zwalniać i skręcać w lewo. Zachęcony tym Zavala jeszcze raz uderzył burtą w łódź Araba.

- Odbij!

"Latający dywan" ominął rufę jachtu i pomknął w stronę flotylli. Statki rozpięzchły się przed nim niczym suche liście na wietrze. Austin dobrze wiedział, że uderzając bokiem w łódź Alego "Czerwony atrament" odbije się od niej jak kula bilardowa, nie przewidział jednak, że zajmie im to tyle czasu. Teraz pędzili prosto na ruszający jacht, od zderzenia z którym dzieliły ich tylko sekundy. Widzieli przerażone miny ludzi na pokładzie. Katamaran płynął z prędkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę, co oznaczało, że nawet gdyby wyłączył silniki, będą ich zeskrobywać z drewnianych burt statku.

- Co teraz?! - krzyknął Zavala.

- Trzymaj kurs! - odkrzyknął Austin.

Zavala zaklął pod nosem. W pełni ufał swemu partnerowi, ale czasem jego zachowanie kłóciło się z logiką. Na przykład ten rozkaz równał się samobójstwu. Instynkt podpowiadał mu, by natychmiast obrócić ster, ratować życie, lecz wytrwale utrzymywał szaleńczy kurs, jak gdyby sześćdziesięciometrowy jacht, który niczym wielka biała ściana wyrósł mu przed oczyma, był jedynie

zwidem. Zacisnął zęby i, szykując się do zderzenia, napiął wszystkie mięśnie.

- Skul się! - polecił Austin. - Głowa nisko. Przebijam się!

Schylił się, i dając gaz do dechy, ustawił trymery i lotki. Przebijania się należało w miarę możliwości unikać, a zdarzało się ono wówczas, gdy łódź, schodząc z jednej fali, zarywała się w drugą. Wtedy motorówka zamieniała się w łódź podwodną. Teraz Austin wręcz dążył do osiągnięcia tego efektu. Wstrzymał oddech. Zanurzywszy dzioby w wodzie, katamaran zanurkował pod ostrym kątem i, cały czas prac naprzód, zakopał się w morzu. Napędzany pełną mocą silników, "Czerwony atrament" z łodzi nawodnej przedzierzgnął się w podwodną.

Przeplłynął pod znajdującym się w ruchu jachtem zanurzony tak płytko, że urwało mu osłony kabin. Wirujące śruby jachtu o centymetry minęły głowy Zawali i Austina i chwilę potem katamaran wynurzył się po drugiej stronie. Wyskoczywszy z morza niczym ogromna, czerwona, latająca ryba, znieruchomiał w chmurze granatowego dymu unoszącego się z kaszlających, dławiących się silników.

Wbudowana w "Czerwony atrament" wewnętrzna klatka wytrzymałaby ciężar stada słoń. Ale mniej od niej odporne pleksiglasowe osłony dwóch kabin zostały zmiecione i kokpity kołyszącej się na falach łodzi zaczęły nabierać wody.

Zawała wykaszła z ust morską wodę. Na śniadej, przystojnej twarzy widać było oszołomienie.

- Nic ci nie jest? - spytał.

Austin zdjął z głowy kask, odsłaniając jasne, niemal białe włosy. Zbadał uszkodzenia, jakich dokonała śruba, która przeszła tuż obok nich.

- Żyję - odrzekł - ale "Czerwony atrament" nie nadaje się na kabriolet.

- Czas opuścić statek - zdecydował Zawała, czując, że woda doszła mu do pasa.

- Traktuj to jak rozkaz - odparł Austin, rozpinając uprząż.

Wyskoczyli do wody. Od motorowodniaków wymagano zdania egzaminu z umiejętności opuszczania tonącej łodzi. Na kilka minut przed pójściem "Czerwonego atramentu" na dno do rozbitków podpłynęła kabinowa łódź motorowa i wyłowiła ich z morza.

- Co się stało ze złotym katamaranem? - spytał Austin właściciela łodzi, mężczyznę w średnim wieku, palącego fajkę, który przyплыł z San Diego obejrzyć regaty, a spotkały go dodatkowe atrakcje.

- Jest tam - odparł, cybuchem wskazując w dal. - Nie mam pojęcia, jak mu się udało ominąć tę całą flotyllę.

- Możemy tam popłynąć?

- Nie ma sprawy - odparł uprzejmie właściciel łodzi, obracając koło sterowe.

Wkrótce znaleźli się przy burcie "Latającego dywanu". Gdy zsunęto osłony kabin Austin z ulgą stwierdził, że jego rywale żyją, choć z rozbitej głowy Alego spływała krew, a Hank miał taką minę, jakby zmagał się z potwornym kacem.

- Jesteś ranny? - zapytał Austin.

- Nie - odparł Ali z niezbyt pewną miną. - Co się stało?!

- Wpadliście na wieloryba.

- Na co?! - zdziwił się. - A więc nie wygraliśmy - dodał przygnębiony.

- Nie martw się. W końcu to nie twoja łódź leży na dnie morza.

- Przykro mi - odrzekł Ali ze smutkiem, lecz po chwili rozpromienił się. - A więc ty też nie wygrałeś!

- Wprost przeciwnie - zaprzeczył Austin. - Wszyscy czterej zdobyliśmy nagrodę dla największych szczęściarzy na ziemi.

- Chwała Allachowi! - powiedział Ali i chwilę później zemdlął.

Dżungla w Wenezueli

Baldachim zwisających gałęzi zasłaniał promienie słońca, przez co czarna woda w rzecznej zatoczce wydawała się głębsza. Żałując, że przeczytała o tym, jak to rząd Wenezueli postanowił zadbać o przywrócenie naturze krokodyli ludojadów z Orinoko, Gamay Morgan-Trout rzuciła się do wody i silnymi ruchami smukłych nóg zagłębiła się w styksowy mrok. Przyszło jej na myśl, że tak samo musiało się czuć prehistoryczne zwierzę, kiedy tonęło w mazi smolnych jeziorok Rancho La Brea w Kalifornii. Włączyła dwa halogenowe reflektorki przy kamerze wideo i zanurkowała na dno. Gdy przepływała nad falującymi lekko zaroślami, coś szturchnęło ją w pośladki.

Bardziej zaskoczona niż przestraszona natychmiast się odwróciła i z pochwy przy pasie wyciągnęła nóż. O centymetry od maski ujrzała długi, wąski pysk z czarnymi oczkami. Gamay odepchnęła go w bok.

- Nie pozwalaj sobie za dużo! - mruknęła, wypuszczając przez fajkę strumień bulgoczących baniek.

Cienki dziób rozwarł się w przyjacielskim uśmiechu. A potem rzeczny delfin odsunął się i spojrział na nią z góry.

Gamay zaśmiała się, bulgocząc niczym gejzer Old Faithful tuż przed wybuchem. Naciśnięciem kciuka dopompowała kamizelkę wypornościową i po kilku sekundach jej głowa przebiła spokojną powierzchnię zatoczki. Gamay wyciągnęła spomiędzy zębów ustnik i uśmiechnęła się.

Paul Trout siedział kilka metrów dalej w trzymetrowym pontonie. Jako pomocnik nurka, śledził spienione bańki powietrza, znaczące podwodną drogę żony. Zaskoczyło go nagłe wynurzenie się Gamay z czarnej wody, a jej wesołość zbiła go z tropu. Zaintrygowany, w charakterystyczny sposób pochylił głowę, jakby spoglądając znad niewidocznych okularów.

- Nic ci nie jest? - spytał, mrużąc oczy.

- Nic - odparła, choć widać było, że coś się stało.

Niedowierzająca mina męża znów pobudziła ją do śmiechu. Zakrztusiła się wodą. Myśl o utonięciu ze śmiechu rozśmieszyła ją jeszcze bardziej. Na powrót wepchnęła ustnik do ust. Paul podpłynął pontonem, wychylił się z niego i podał jej rękę.

- Na pewno nic ci nie jest? - spytał.

- Na pewno. - Wypluła ustnik. - Ale lepiej wejść do łódki.

Przytrzymując się burty, podała sprzęt do nurkowania, a potem Paul z łatwością wciągnął do pontonu ważącą sześćdziesiąt kilogramów żonę. W jasnobrażowych szortach, w takiej samej koszuli w wojskowym stylu, z naramiennikami, i w miękkim popelinowym kapeluszu wyglądał jak podróżnik z czasów wiktoriańskich. Oczywiście miał na szyi zawiązaną muszkę w kształcie tropikalnego motyla. Paul Trout nie widział powodu, by rezygnować z nienagannego ubioru nawet w głuszy wenezuelskiej dżungli, gdzie opaskę na biodra uważano za strój wizytowy. Przy tym wszystkim był bardzo silnym człowiekiem i czas jakiś pracował jako rybak na Cape Cod. Wprawdzie z jego dłoni

zniknęły odciski, ale pod eleganckim ubraniem przeżyły się mięśnie, które wyrobił przy dźwiganiu skrzyń z rybami. Umiał też wykorzystać swój ponaddwumetrowy wzrost.

- Sonda pokazuje, że tu jest tylko dziewięć metrów głębokości, więc wesołość nie wynika z odurzenia nadtlenkiem azotu - ocenił rzeczowo.

Gamay rozwiązała tasiemkę przytrzymującą ciemnorude, sięgające ramion włosy, których kolor podsunął jej ojcu, koneserowi win, myśl, aby nadać córce imię jak nazwa gatunku winogron z Beaujolais.

- Słuszna uwaga, kochanie - odparła, wyzymając z włosów wodę. - Śmiałam się, bo myślałam, że ja tu innych podglądam, a okazało się, że sama jestem podglądana. Znalazł mnie delfin Cyrano i szturchnął nosem w pupę.

- Wcale mu się nie dziwię.

Paul pożądliwie otaksował wzrokiem smukłe ciało żony, poruszając brwiami jak Groucho Marx.

- Mama ostrzegła mnie przed mężczyznami noszącymi muszki, z przedziałką pośrodku głowy.

- Czy mówiłem już kiedyś, że jest pani podobna do Lauren Hutton? - spytał, wydmuchując dym z wyimaginowanego cygara. - I że pociągają mnie kobiety z seksowną przerwą pomiędzy przednimi zębami?

- Głowę dam, że mówi to pan wszystkim dziewczynom - odparła zachrypniętym głosem Mae West. - Dzięki zalotom delfina wzbogaciłam swoją wiedzę naukową.

- Nie on pierwszy szturchnął cię nosem?

Surowo uniosła brwi.

- Wyobraź sobie, że nie - odparła. - Dowiedziałam się, że delfiny rzeczne są być może bardziej prymitywne od swoich morskich kuzynów, ale są inteligentne, wesołe i mają poczucie humoru.

- Też byś go potrzebowała, gdybyś była różowoszara, miała płetwy z widocznymi palcami, płetwę grzbietową i głowę jak zdeformowany melon.

- Niezły opis jak na geologa morskich głębin.

- Cieszę się, że się przydałem.

Pocałowała go w usta.

- Jak dobrze, że jesteś ze mną - powiedziała. - I że opracowałeś komputerowy obraz biegu rzeki. To była miła odmiana. Aż żał wracać do domu.

Paul rozejrzał się po tchnącym spokojem otoczeniu.

- Bardzo mi się tu podoba - odparł. - Ten las przypomina średniowieczną katedrę. No i te zabawne zwierzaki, choć nie jestem zadowolony, że dobierają się do mojej żony.

- Mój związek z Cyranem jest czysto platoniczny - obruszyła się Gamay, dumnie unosząc podbródek. - Próbował zwrócić moją uwagę, więc go zadowolę.

- Zadowolisz?

- Dam mu rybę.

Kilka razy uderzyła wiosłem w burtę pontonu. W miejscu, gdzie zatoczka łączyła się z rzeką, plusnęło i w ich stronę, prując wodę popłynęło stworzenie z różowoszarym garbem. Przy akompaniamencie kichnięć delfin okrążył łódź. Gamay zaczęła mu rzucać kawałki ryby.

- To potwierdza nieprawdopodobne opowieści o delfinach, które przyływały na wezwanie. Widać naprawdę pomagają tubylcom łowić ryby.

- Udowodniłaś ponadto, że Cyrano doskonale wytresował cię w podawaniu przekąsek.

Przez kilka minut z przyjemnością obserwowali krążącego delfina, a potem, widząc, że się

ściemnia, postanowili wrócić do wioski.

Gdy Gamay porządkowała sprzęt, Paul uruchomił silnik i wypłynął z zatoczki na spokojny nurt rzeki. Atramentowa woda zmieniła kolor na groszkowy. Delfin trzymał się ich jakiś czas, lecz gdy zrozumiał, że nie dostanie nic więcej, odpadł od nich jak samolot myśliwski. Niebawem ciągnąca się wzdłuż rzeki gęsta dżungla ustąpiła i pojawiła się polana, na której w otoczeniu kilku krytych strzechą chat stał otynkowany, kryty czerwoną dachówką biały dom z arkadami w hiszpańskim stylu kolonialnym.

Przycumowali w małej przystani, wyciągnęli z pontonu sprzęt i w asyście grupki na wpół nagich, szczebioczących indiańskich dzieci ruszyli do białego domu. Dzieciaki odpędziła groźna, potężna Metyska z miotłą, którą trzymała jak topór bojowy. Paul i Gamay weszli do środka. Zza zawalonego papierami biurka w chłodnym gabinecie wstał, ubrany w białą koszulę z haftowanym gorsem, bawełniane spodnie i ręcznie szyte sandały, siwy mężczyzna po sześćdziesiątce. Z nieskrywaną radością wyszedł im na spotkanie.

- *Senor i senora* Trout - powitał ich. - Miło państwa widzieć. Mam nadzieję, że wyprawa była owocna.

- Tak, doktorze Ramirez, bardzo - odparła Gamay. - Udało mi się zebrać więcej informacji o zachowaniu delfinów, a Paul uzupełnił komputerowy obraz biegu rzeki.

- Nie dokonałem nic wielkiego - rzekł Paul. - Wystarczyło poprosić badaczy dorzecza Amazonki, z którymi współpracuje Gamay, żeby skierowali kamery LandSatu w ten rejon. Pracę nad tym obrazem dokończę po powrocie do kraju, a Gamay wykorzysta go w swojej analizie siedliska wodnego.

- Szkoda, że państwo wyjeżdżają. Bardzo miło ze strony NUMA, że użyczyła swoich ekspertów do naszego skromnego programu badawczego.

- Bez tutejszych rzek, miejscowej flory i fauny nie byłoby życia w oceanie - odparła Gamay.
- Dziękuję, senora. W ten ostatni wieczór przed waszym wyjazdem zapraszam na uroczystą kolację.

- Miło nam - rzekł Paul. - Spakujemy się zawczasu, żeby statek zaopatrzeniowy nie czekał na nas.

- Tym bym się nie przejmował. Zawsze się spóźnia - poinformował Ramirez.

- Nic nie szkodzi. Będziemy mieli czas porozmawiać o pańskiej pracy.

- Czuję się jak troglodyta - odparł ze śmiechem gospodarz. - Botanikę uprawiam nadal po staremu, zbierając, konserwując, porównując rośliny i pisząc sprawozdania, których nikt nie czyta. Nasza fauna rzeczna nie miała lepszych przyjaciół od was.

- Może uda nam się wykazać, gdzie środowisko delfinów jest zagrożone. A wtedy coś zwojujemy - powiedziała Gamay.

- W Ameryce Łacińskiej rządy nie są chętne do współpracy, chyba że ktoś dostanie łapówkę - rzekł Ramirez, ze smutkiem kręcąc głową. - Grzęzną wszystkie wartościowe projekty.

- Dobrze to znamy. Nasze bagno bez dna nazywa się Waszyngton.

Kiedy śmieli się ze wspólnego żartu, gospodyni wprowadziła tubylca: niskiego, muskularnego, z przepaską na biodrach i miedzianymi kółkami w uszach. Kruczoczarne włosy miał równo przycięte wokół głowy, a brwi zgolone. Do doktora zwracał się z szacunkiem, ale podniecony ton jego głosu i rozbiegane oczy zdradzały, że jest zdenerwowany. Pokazywał na rzekę. Doktor Ramirez chwycił z wieszaka szerokoskrzydłą panamę.

- W łodzi leży trup - wyjaśnił. - Przepraszam, ale jako jedyny przedstawiciel wenezuelskiego

rzędu w promieniu stu kilkudziesięciu kilometrów muszę zbadać, co się stało.

- Możemy się przyłączyć? - spytała Gamay.

- Oczywiście. Nie jestem Sherlockiem Holmesem, więc przyda się każde doświadczone, bystre oko. Może to państwa zainteresować. Ten jegomość twierdzi, że zmarły to człowiek-duch... Wyjaśnię wszystko później - przyrzekł Ramirez, widząc zaciekawienie gości.

Szybko wyszli z domu i, mijając po drodze chaty, udali się nad brzeg rzeki. Nad wodą zastali gromadę milczących Indian i próbujące zerkać im zza nóg dzieci. Kobiety trzymały się z daleka. Kiedy nadszedł doktor Ramirez, mężczyźni rozstąpili się. Przy pomocy zacumowano ozdobioną rzeźbami pirogę, pomalowaną na biało, z niebieskim pasem, który biegł od rufy po sam dziób.

W pirodze leżał na wznak martwy młody Indianin. Podobnie jak ci z wioski, włosy miał równo przycięte, a na biodrach opaskę. Ale na tym podobieństwa się kończyły. Tubylcy tatuowali ciała i malowali kości policzkowe szkarłatną farbą, by uchronić się przed złymi duchami. Tymczasem nos, podbródek i ręce tego w łodzi pomalowane były na niebiesko, a reszta ciała na biało. Kiedy doktor Ramirez pochylił się nad pirogą, jego cień spłoszył zielone muchy, których buczący rój zerwał się z piersi trupa, odsłaniając okrągłą, ziejącą dziurę.

Paul wstrzymał oddech.

- To wygląda na ranę od kuli - ocenił.

- Istotnie - zgodził się Ramirez. - Nie przypomina rany od dzidy czy strzały.

Po kilkuminutowej rozmowie z mieszkańcami wioski przetłumaczył ich słowa Troutom.

- Kiedy rzeka przyniosła tę pirogę, łowili ryby. Rozpoznali w niej łódź ludzi-duchów i wystraszyli się. Podpłynęli do niej, bo wydawała się pusta. Gdy w środku zobaczyli trupa, chcieli ją puścić z prądem. Ale się rozmyślili, bo się zlekli, że jego duch powróci i będzie ich prześladował za to, że nie wyprawili mu porządnego pogrzebu. Więc przywieźli go tutaj i zwalili kłopot na moją głowę.

- Dlaczego mieliby się bać tych... ludzi-duchów? - spytała Gamay.

Doktor skubnął koniec gęstego siwego wąsa.

- Chulo, jak nazywają tu plemię, do którego należy zabity, żyją podobno za Wielkim Wodospadem. Tubylcy uważają ich za duchy zrodzone z mgły. Nikt nie wrócił żywy z ich terytorium. - Ramirez wskazał na pirogę. - Jak widzicie, jest to człowiek z krwi i kości, tak jak my.

Sięgnął do pirogi po leżącą przy zabitym skórzaną torbę. Mieszkańcy wioski cofnęli się, jakby były w niej zarazki dżumy. Ramirez porozmawiał po hiszpańsku z jednym Indianinem, a potem tubylcy rozeszli się.

- Boją się zmarłego - wyjaśnił. - Czy pomoże mi pan wciągnąć tę łódź na brzeg? Przekonałem ich, żeby wykopali dół. Nie na ich cmentarzu. Na drugim brzegu rzeki, gdzie i tak nikt nie chodzi. Szaman postawi na grobie nieboszczyka dość totemów, aby powstrzymać go od wycieczek. - Uśmiechnął się. - Bliskość trupa wzmocni jego pozycję. Gdyby nie spełniło się któreś z jego zaklęć, zawsze może powiedzieć, że to wina ducha zmarłego. Łódź puścimy samopas z prądem rzeki, żeby duch podążył za nią.

Paul przyjrzał się fachowo wykonanej pirodze.

- Szkoda zmarnować tak piękny egzemplarz sztuki szkutniczej. Ale spokój jest najważniejszy - powiedział i chwycił za jeden koniec łodzi.

Ciągnąc i pchając, we trójkę niebawem wyciągnęli ją z rzeki na brzeg. Ramirez przykrył zwłoki indiańskim kocem z pirogi i wziął worek zawiązany rzemieniem.

- Może on powie nam coś więcej o tym duchu - rzekł, ruszając w stronę domu. W gabinecie położył worek na długim bibliotecznym stole, rozwiązał rzemienie, ostrożnie go otworzył i zajrzał do środka. - Trzeba uważać - usprawiedliwił się. - Część plemion używa zatrutych strzał i strzałek wystrzeliwanych z dmuchaw. - Z uniesionego worka wysypały się na blat woreczki. Ramirez otworzył jeden, wyłuskał lśniący metalowy krążek i podał go Gamay. - O ile wiem, nim została pani biologiem, studiowała pani archeologię. Co to jest?

Gamay ze zmarszczonymi brwiami obejrzała uważnie płaski, okrągły przedmiot.

- Lustro? - zdziwiła się. - Widocznie próżność nie jest monopolem kobiet.

Paul wziął od niej lustro, odwrócił je, przyjrzał się widniejącym tam znakom i uśmiechnął się.

- Miałem takie, kiedy byłem dzieckiem - powiedział. - To lusterko sygnalizacyjne. Spójrzcie na te kropki i kreski. Przypominają alfabet Morse'a. Widzicie te małe prymitywne postacie? Kod podstawowy. Ten ludzik biegnący w jedną stronę znaczy pewnie "przyjdź", ten biegnący w drugą "odejdź", a ten leżący...

- "Stój" - podsunęła Gamay.

- Właśnie. Ci dwaj z dzidami mogą znaczyć "przyłącz się do walki", a ten mały ze zwierzakiem to "polowanie". - Paul roześmiał się. - Coś w rodzaju telefonu komórkowego.

- Lepsze - wtrąciła Gamay. - Nie wymaga baterii i nie płaci się za każdą minutę rozmowy.

Paul poprosił Ramireza o otworenie następnego woreczka.

- Sprzęt wędkarski. Metalowe haczyki, linka z łyka. A to co? - Paul przyjrzał się prymitywnym, metalowym kleszczom. - Pewnie szczypce do wyciągania haczyków.

- Mam coś lepszego - oznajmiła Gamay, opróżniając kolejny woreczek i wyjmując z niego połączone drewniane kółka z otworami wypełnionymi ciemnymi przezroczystymi płytkami. - Okulary przeciwsłoneczne - wyjaśniła, mocując znalezisko na uszach za pomocą pierścieni z łyka.

Ramirez, który, nie chcąc być gorszy od nich, też zaczął myszковать w woreczkach, wydobył piętnastocentymetrowe naczynie z wysuszonej tykwy, wyciągnął szpunt i powąchał.

- Chyba jakieś lekarstwo - orzekł. - Pachnie jak alkohol.

Do naczynia umocowana była miniaturowa czarka i urządzenie z drewnianą korbką z płaskim kamieniem i nieregularnym kółkiem na ruchomej osi. Paul napełnił naczynie płynem, zbliżył do niego ten dziwny przyrząd i zakręcił kółkiem. Posypały się iskry i płyn zapalił się z cichym pyknięciem.

- Voila - powiedział z wyraźnym zadowoleniem. - To prototyp zapalniczki. Przydatny do rozpalania ogniska.

Dokonali następnych ciekawych odkryć. W ziołach z jednego woreczka Ramirez rozpoznał rośliny lecznicze. Kilka z nich widział po raz pierwszy. W innym był wąski, płaski kawałek metalu, który po włożeniu do szklanki z wodą jednym końcem wskazał północ. Znaleźli też bambusowy cylinder, w którym osadzono szklane soczewki, dające ośmiokrotne powiększenie, oraz składany nóż, chowany w wąskim drewnianym futerale. Na koniec odkryli krótki łuk, wykonany z kawałków metalu, połączonych ze sobą na wzór resoru samochodowego, wygiętych tak, by zapewnić najsilniejszy naciąg. Za cięciwę służył cienki metalowy kabel. Nie była więc to bynajmniej prymitywna broń, jakiej można by się spodziewać w dżungli. Ramirez przesunął dłonią po wypolerowanym metalu.

- Niebywałe - powiedział. - Pierwszy raz widzę coś takiego. Łuki Indian z tej wioski to zwykłe kije z prymitywnymi cięciwami.

- Jak się nauczył wytwarzać takie rzeczy! - spytał Paul, drapiąc się w głowę.

- Zdumiewające są nie tylko te przedmioty, ale i materiały, z których je zrobiono - wtrąciła Gamay. - Skąd się tutaj wzięły?

Stali w milczeniu wokół stołu.

- Istnieje ważniejsze pytanie - rzekł trzeźwo Ramirez. - Kto go zabił?

- Oczywiście - przyznała Gamay. - Zapomnieliśmy, że przedmioty te należą do zabitego człowieka.

- Podejrzuwa pan, kto go mógł zabić? - spytał Paul.

- Kłusownicy. Może drwale i wypalacze dżungli. A ostatnio pojawili się zbieracze cennych roślin leczniczych. Ci zabijają każdego, kto im wejdzie w drogę.

- Komu mógł zagrażać samotny Indianin? - spytała Gamay.

Ramirez wzruszył ramionami.

- Śledztwo w sprawie morderstwa należy zacząć od oględzin zwłok - dodała.

- Gdzie to słyszałaś? - spytał Paul.

- Pewnie przeczytałam w jakimś kryminale.

- No to przyjrzyjmy się mu.

Wrócili nad rzekę i odsłonili zwłoki. Paul przekręcił zabitego na brzuch. Mniejsza rana wlotowa wskazywała, że strzelono mu w plecy. Trout ostrożnie zdjął z szyi Indianina rzeźbiony wisior. Przedstawiał skrzydlatą kobietę z rękami wyciągniętymi przed siebie tak, jakby łała z nich wodę. Podał go Gamay. Skrzydłata postać skojarzyła się jej z egipskimi płaskorzeźbami przedstawiającymi zmartwychwstanie Ozyrysa.

Paul przyjrzał się dokładniej czerwonym pręgom na ramionach zabitego.

- Zdaje się, że go wychłostano - powiedział i przekręcił ciało z powrotem na plecy. - Spójrzcie na tę dziwną szramę. - Wskazał bladą cienką kreskę na podbrzuszu Indianina. - Nie do wiary, ale wygląda to na bliznę po wyciętym wyrostku.

Z drugiego brzegu rzeki nadpłynęły dwie pirogi. Szaman, z głową przystrójona wspaniałym pióropuszem, oznajmił, że grób jest gotowy. Trout przykrył zwłoki kocem i wraz z Gamay sterującą pontonem przeholował biało-niebieską pirogę na drugi brzeg. Trout z Ramirezem przenieśli zwłoki sto metrów dalej i pogrzebali je w płytkiej mogile w dżungli. Szaman otoczył grób czymś, co wyglądało jak kości drobiu, i ostrzegł zgromadzonych, że miejsce to jest odtąd tabu. Na koniec puścili pustą pirogę z prądem rzeki.

- Daleko dopłynie? - zapytał Paul patrząc, jak błękitno-biała łódź rusza wolno w swą ostatnią podróż.

- Kawalek stąd są bystrzyny. Jeżeli nie rozbije się na skałach lub nie utkwi w zielsku, to dopłynie do morza.

- *Ave atque vale!* - rzekł Paul Trout, przytaczając starą rzymską sentencję, wypowiedaną na pożegnanie ze zmarłym. - Witaj i żegnaj.

Wrócili na brzeg rzeki. Gramoląc się z pontonu, Ramirez pośliznął się na mokrej ziemi.

- Nic się panu nie stało? - spytała Gamay.

- No proszę, złe duchy już wzięły się do dzieła - odparł Hiszpan, krzywiąc się z bólu. - Pewnie zwichnąłem nogę. Przyłożę zimny kompres, ale proszę pomóc mi dojść do domu.

Z pomocą Troutów dokuśtykał do domu i przyrzekł, że zawiadomi lokalne władze o morderstwie. Nie spodziewał się jednak z ich strony żadnej reakcji. W tym kraju nadal wielu uważało, że dobry Indianin to martwy Indianin.

- No cóż - powiedział, ożywiając się. - Co się stało, to się nie odstanie. Zajmę się naszą dzisiejszą kolacją.

Troutowie powrócili do swojego pokoju i umyli się do kolacji. Deszczówka, którą Ramirez gromadził w cysternie na dachu, służyła do kąpieli pod prysznicem. Gamay najwyraźniej nie mogła uwolnić się od myśli o zabitym Indianinie, bo gdy tylko wytarła się ręcznikiem, spytała:

- Pamiętasz tego zamrożonego człowieka, którego znaleziono w Alpach?

- Oczywiście - odparł Paul, leżąc na łóżku w płaszczu kąpielowym. - Pochodził z epoki kamiennej i zamarł na kość w lodowcu.

- Na podstawie narzędzi i rzeczy, które miał przy sobie, można było wyobrazić sobie, jak się wówczas żyło. Tutejsi tubylcy znajdują się właśnie na etapie epoki kamiennej. Ale naszego Indianina z niebieską twarzą ulepiono z innej gliny. Jak się nauczył wytwarzać podobne rzeczy? Gdyby na takie narzędzia natrafiono przy człowieku z lodowca, wiadomość o tym znalazłaby się na pierwszych stronach gazet. Już widzę nagłówki na pierwszych stronach gazet: "Prapraszczur z zapalniczką!"

- Może prenumeruje "Młodego technika"?

- A do tego "Małego majsterkowicza". Gdyby nawet dostawał co miesiąc wskazówki, jak zrobić różne pomysłowe narzędzia, to skąd wytrzasnąłby takie materiały?

- Może oświeci nas w tej mierze przy kolacji doktor Ramirez. Mam nadzieję, że apetyt ci dopisuje - odparł Paul, patrząc przez okno.

- Umieram z głodu. A bo co?

Bo przed chwilą widziałem dwóch tubylców, nieśli tapira do ogniska.

Kiedy Austin wszedł do wielkiego magazynu stacji morskiej w San Diego, w nos uderzyła go potworna woń bijąca od trzech wielorybów, których oświetlone zwłoki leżały na lorach. Stojący przy drzwiach młody marynarz ocenił, że imponujący, barczysty mężczyzna z dziwnymi białymi włosami to na pewno oficer w cywilu. Dlatego też, kiedy przybysz podał mu swoje nazwisko, wyprężył się na baczność.

- Marynarz Cummings - przedstawił się. - Pewnie zechce pan z tego skorzystać. - Podał Austinowi maskę chirurgiczną, taką samą jak ta, którą miał na twarzy. - Gdy rozpruli brzuch, smród stał się nie do wytrzymania.

Austin podziękował marynarzowi, zastanawiając się, komu chłopak naraził się, że trafił na tak cuchnącą wachtę. Nałożył maskę. Wprawdzie środek dezynfekujący, którym spryskano gazę, nie zabijał całkiem ostrego smrodu, ale dało się już wytrzymać.

- Co tu mamy? - spytał.

- Mamę, tatę i dziecko - odparł marynarz. - Kurczę, ale natyraliśmy się, żeby je tu przywieźć.

Chłopak nie przesadzał. Wielorybów było w sumie czternaście. Pozbycie się ich ciał stanowiło niebywale trudne zadanie, do którego doszły jeszcze spory kompetencyjne. Mając na względzie bezpieczeństwo żeglugi, Straż Przybrzeżna, pierwsza agencja rządowa, która zajęła się sprawą, planowała odholować martwe wieloryby w morze i zatopić je ogniem dział. Ale świat obieży już dramatyczne reportaże telewizyjne, aktywizując obrońców praw zwierząt, których mniej by obeszła zagłada Los Angeles wraz z wszystkimi mieszkańcami niż śmierć wielorybów. Żądali natychmiast wyjaśnień. Agencja Ochrony Środowiska też chciała pilnie poznać odpowiedź na pytanie, co uśmierciło będące pod jej opieką ssaki.

Miasto San Diego było przerażone perspektywą, że cuchnące wielorybie padło podstępnie do miejscowych plaż, przystani, nadmorskich hoteli i posiadłości. Burmistrz skontaktował się z okręgowym kongresmenem, członkiem morskiej komisji budżetowej, i zadziwiająco prędko osiągnięto kompromis. Postanowiono, że trzy wale zostaną przewiezione na brzeg w celu dokonania autopsji, a reszta, odholowana w morze, posłuży za cele ćwiczebne. Greenpeace zaprotestował, lecz nim zdążył zmobilizować swoją flotę, artylerzyści z marynarki wojennej roznieśli wieloryby na strzępy.

Tymczasem holownik zaciągnął pozostałe wale do bazy. Morskie dźwigi wyciągnęły ich potężne ciała z wody i przewieziono je do pustego magazynu. Zaraz potem zajęli się nimi specjaliści od sekcji zwłok ssaków, pochodzący z różnych uczelni kalifornijskich. Urządzono prowizoryczne laboratorium. Przy zwłokach zaroilo się od przypominających wielkie żółte owady laborantów w sztormowych ubraniach, rękawicach i gumowych butach.

Głowy wszystkich trzech zwierząt oddzielono od ciał, a usuniętą z nich tkankę mózgową przeniesiono do zbadania na stoły sekcyjne. Rolę nierdzewnych stalowych tac, stosowanych przy autopsji ludzi, pełniły taczki.

- Trudno nazwać to chirurgią mózgu, prawda? - zagadnął Austin, przysłuchując się wizgowi pił, który echem odbijał się od metalowych ścian magazynu.

- Tak jest - odparł marynarz. - Żeby już prędzej skończyli.

- Miejmy nadzieję, że nie potrwa to długo.

Austin ciągle zadawał sobie pytanie, dlaczego bierze udział w tym upiornym spektaklu. Gdyby nie przerwano wyścigu, to niezależnie od tego, czy by go wygrał, czy nie, wraz z innymi zawodnikami oblewałby w tej chwili jego zakończenie szampanem w gronie pięknych kobiet, towarzyszących regatom jak rój kolorowych motyli. Wystrzelono dziś sporo korków z butelek, lecz Kurt, Ali i ich załoganci nie byli w nastroju do zabawy.

Ali zjawił się w towarzystwie włoskiej modelki i młodej Francuzeczki, ale nie tryskał humorem. Uśmiechnął się, gdy Austin powiedział, że chętnie się z nim wkrótce jeszcze raz zmierzy. Zawała, znany donżuan, podrywał urodziwą kasztanowowłosą fankę, opowiadając jej o finale wyścigu. Obiecał jej, że podczas kolacji we dwoje zdradzi szczegóły tego, jak w cudowny sposób uszli z życiem.

Austin pozostał na przyjęciu tylko tak długo, jak wymagała tego grzeczność, i wyszedł zadzwonić do właściciela "Czerwonego atramentu". Ojciec Kurta spodziewał się jego telefonu. Oglądał finał regat w telewizji, wiedział więc, że synowi nic się nie stało i że łódź spoczywa na dnie oceanu.

Austin senior był zamożnym właścicielem firmy ratownictwa morskiego z siedzibą w Seattle.

- Nie martw się - pocieszył go. - Zbudujemy nową łódź, jeszcze lepszą. Może tym razem z peryskopem.

Śmiejąc się, przypominał mu, niepotrzebnie wdając się w szczegóły, ten wieczór, gdy kilkunastoletni Kurt wrócił do domu jego kabrioletem mustangiem z pogiętym zderzakiem.

Większość wyścigów grand prix rozgrywano w Europie, ale ojciec Kurta chciał, aby łódź skonstruowana w Ameryce wygrywała na krajowych wodach. Zapłacił za zaprojektowanie i budowę nowej szybkiej motorówki, którą ze względu na poniesione koszty nazwał "Czerwonym atramentem" (co w języku finansistów oznaczało "debet", "stratę"), a potem skompletował najlepszą załogę.

- Pora skroić im dupę - oświadczył z właściwą sobie szczerością. - Zbudujemy łódź, która im pokaże, że możemy wygrywać na amerykańskim sprzęcie, dzięki amerykańskiej technice i amerykańskiemu sternikowi. A tym sternikiem będziesz ty!

Potem postarał się o sponsorów i sprawił, że dzięki ich pieniądзом i wpływowi w Stanach zaczęto urządzać liczące się regaty. A ponieważ promotorzy wyścigów chętnie skorzystali z okazji zdobycia licznej i bogatej widowni amerykańskiej, wkrótce odbyły się zawody o Grand Prix Południowej Kalifornii.

Na wieść o tym, że Austin chce startować w wyścigach kwalifikacyjnych, dyrektor NUMA admirał James Sandecker, wyraził obawę, że może się to dla niego źle skończyć. Austin odpowiedział mu na to, że aczkolwiek zawody motorowodne są bardzo ryzykowne, znacznie większe niebezpieczeństwo grozi mu przy wykonywaniu zadań specjalnych NUMA. Wreszcie admirał dał mu swoje błogosławieństwo i oświadczył, że czas, aby Stany Zjednoczone pokazały reszcie świata, iż mogą konkurować z najlepszymi.

Po rozmowie z ojcem Austin powrócił na przyjęcie, ale szybko znudził się panującą tam atmosferą sztucznej wesołości. Chętnie skorzystał z zaproszenia Glorii Ekhart, chcącej podziękować mu na pokładzie "Nepenthe" za uratowanie życia. Oczarowała go swoim ciepłem i urodą. Nie miałby nic przeciwko romansowi z tą kobietą, którą podziwiał na ekranie. Po przywitaniu się z nim wkrótce odeszła, by zająć się swymi małymi podopiecznymi.

Uznawszy, że nie jest to dla niego najlepszy dzień, Austin powrócił do hotelu. Odebrał kilka telefonów od kolegów i przyjaciół z NUMA, a potem, oglądając w telewizji powtórki z regat, zjadł ze smakiem zamówione befsztyczki z polędwicy. Stacje wielokrotnie odtwarzały wyścig w zwolnionym tempie. Bardziej jednak interesował go los martwych wielorybów. Jeden z reporterów

wspomniał, że trzy z nich przewieziono do siedziby Straży Przybrzeżnej. Nie wiadomo było dlaczego zginęły. Niewiedza bardziej mu doskwierała niż utrata ojcowskiej łodzi. Widząc, że sekcja zwłok zmierza ku końcowi, Austin poprosił marynarza, aby zaniósł jego służbową wizytówkę komuś z kierownictwa. Chłopak powrócił z jasnowłosym mężczyzną po czterdzieście, który zdjął skrwawione ubranie sztormowe i rękawice, lecz pozostał w masce chirurgicznej.

- Jason Witherell z Agencji Ochrony Środowiska - przedstawił się, wyciągając rękę. - Miło mi pana poznać, panie Austin. Cieszę się, że NUMA zainteresowała się tą sprawą. Kto wie, czy nie skorzystamy z waszych usług.

- AOS zawsze może liczyć na naszą pomoc - odparł Austin. - Ale interesuję się nią raczej prywatnie niż z urzędu. Kiedy pojawiły się te wale, uczestniczyłem w wyścigu.

- Oglądałem wiadomości. - Witherell zaśmiał się. - Co za fantastyczny manewr! Żał tylko pańskiej łodzi.

- Dziękuję. Wykryliście, co je zabiło?

- Owszem. Cholera.

- Słucham?

Witherell wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Cholera wie - wyjaśnił.

Austin uśmiechnął się pobłaźliwie. Wiedział, że takie głupie żarty pomagają patologom zachować zdrowy rozsądek.

- Domyślcie się czegoś? - spytał.

- W tej chwili możemy powiedzieć tylko tyle, że nic nie wskazuje na uraz czy zatrucie, przebadaliśmy też tkankę pod względem wirusologicznym. Bez rezultatu. Jeden z wali zaplątał się w sieć rybacką, ale nie zrobił sobie wielkiej krzywdy.

- Tak więc nie macie pojęcia, w jaki sposób zginęły?

- To akurat wiemy. Udusiły się. Z powodu zapalenia płuc w wyniku ich ciężkiego uszkodzenia. A płuca uszkodziła wysoka temperatura.

- Temperatura? Nie bardzo rozumiem.

- Płuca tych wali wyglądają tak, jakby się ugotowały, a na ciele mają bąble.

- Co mogło to spowodować?

- Cholera - odparł Witherell, wzruszając ramionami.

- A kiedy się to stało?

- Trudno powiedzieć. Oparzenie nie musiało spowodować natychmiastowej śmierci. Te ssaki mogły zachorować kilka dni przed śmiercią, ale płynęły dalej wzdłuż wybrzeża. Małe cierpiały najbardziej, więc dorosłe pewnie na nie czekały. Trzeba też uwzględnić czas rozkładu ciał i rozděcia ich przez gazy gnilne tak, że wypłynęły na powierzchnię akurat w trakcie wyścigu.

- Gdybyście więc odtworzyli ich trasę, dałoby się określić, w jakim miejscu zdechły. Należałoby wziąć pod uwagę czas płynięcia, postoje, prądy. - Austin pokręcił głową. - Wielka szkoda, że te wale nie mogą nam powiedzieć, gdzie były.

Witherell zaśmiał się.

- Dlaczego nie mogą? Pan pozwoli, coś panu pokażę - powiedział.

Poprowadził Austina obok lor, omijając kałuże krwawej wody, zmywanej węzami do studzienek. W takiej bliskości martwych wielorybów smród wprost powalał, ale patolog z AOS nic sobie z niego nie robił.

- To samiec - objaśnił, zatrzymując się przy pierwszym cielsku. - Przekona się pan, czemu nazywają je walami szarymi. Ich skóra jest oczywiście czarna, ale pokryta bliznami po wąsonogach i

wielorybich wszach. Trochę go porąbaliśmy. Ale pierwotnie mierzył dwanaście i pół metra.

Podeszli do drugiej platformy, na której leżało mniejsze stworzenie.

- To młody samiec, urodzony kilka miesięcy temu. W stadzie było więcej młodych, więc nie wiemy, czy był dzieckiem tej właśnie samicy.

Zatrzymali się przed ostatnią platformą.

- Samica jest większa od samca - ciągnął patolog. - Tak jak tamte nie ma żadnych zewnętrznych śladów stłuczeń czy skaleczeń, które mogłyby być śmiertelne. Chyba to pana zainteresuje.

Witherell pożyczył od kolegi nóż, wspiął się na platformę i pochylił nad płetwą. Po chwili zeskoczył i wręczył Austinowi płaski kwadrat z metalu i plastiku.

- Transponder? - spytał Austin.

- Każdy ruch tej biedaczki był śledzony przez satelitę. - Witherell wskazał na samicę. - Niech pan znajdzie tego, kto miał na nią oko, a dowie się pan, gdzie była i kiedy.

- Jest pan geniuszem, panie Witherell.

- Tylko skromnym pracownikiem budżetówki, który robi, co do niego należy. - Patolog wziął transponder. - Muszę go zachować, ale z tyłu zapisany jest numer kontaktowy.

Austin zapisał numer w notesie i podziękował patologowi za pomoc.

- Dlaczego wybraliście do sekcji akurat te wale? - spytał go w drodze do drzwi.

- Właściwie przypadkowo. Poprosiłem marynarkę wojenną, żeby wzięła ze stada trzy typowe okazy.

- Czy sekcja innych wielorybów pomogłaby panu ustalić przyczynę ich śmierci?

- Wątpię - odparł stanowczo Witherell. - To, co je zabiło, zabiło też te przyholowane. Zresztą teraz nie ma już o czym mówić. O ile mi wiadomo, marynarka nie pozostawiła z tych zwierząt ani kawałka, który nadawałby się na porcję sushi.

Wrzuciwszy maskę chirurgiczną do beczki, Austin po raz ostatni spojrział na pokrojone smutne szczątki wspaniałych morskich zwierząt. A potem podziękował Witherellowi i marynarzowi Cummingsowi, wyszedł z magazynu i zaczerpnął kilka potężnych łyków świeżego powietrza, jakby chcąc usunąć wstrętny smród nie tylko z płuc, lecz i z pamięci. Po drugiej stronie zatoki błyszczały niczym miejskie latarnie światelka samolotu transportowego. Austin powrócił do hotelu i szybko przeszedł przez hol. Przebywający tam ludzie poczuli jednak trupi odór i skrzywili się z obrzydzeniem.

W swoim pokoju Austin wrzucił drelichowe ubranie i koszulę do torby na brudną bieliznę, wziął gorący prysznic, dwa razy umył głowę, przebrał się w spodnie i golf, a potem usiadł w wygodnym fotelu, wziął telefon i wystukał numer wybity na transponderze. Tak jak się spodziewał, połączył się z pocztą głosową. Rząd nie zamierzał płacić nikomu za siedzenie pod telefonem w oczekiwaniu na wieści o wędrujących wielorybach. Odpowiedź na zgłoszenie mogła nadejść dopiero za kilka dni. Austin nie nagrał więc wiadomości, a zamiast tego zadzwonił do czynnej całą dobę centrali NUMA pod Waszyngtonem i przedstawił swoją prośbę. Pół godziny później zadzwonił telefon.

- Pan Austin? Mówi Wanda Perelli z wydziału wewnętrznego. Zadzwoniono do mnie z NUMA i przekazano, że pan mnie szuka. Powiedzieli, że to ważna sprawa.

- Tak, dzięki za telefon. Przepraszam, że zawracam pani głowę o tej godzinie. Czy słyszała pani o tych szarych walach z Kalifornii?

- Tak. Skąd pan ma mój numer?

- Z transpondera wszczepionego w płetwę samicy.

- O Boże, nazywała się Daisy. To było jej stado. Śledziłam jej ruchy przez trzy lata. Bardzo się z nią zżyłam.

- Przykro mi. Wali było w sumie czternaście. Do sekcji wybrano ją przypadkowo.

Wanda Perelli głośno westchnęła.

- To straszna wiadomość. Tak bardzo staraliśmy się ochronić wale szare i ich liczba znów zaczęła rosnać. Czekamy na raporty patologów o przyczynie ich śmierci.

- Dopiero co wróciłem z sekcji zwłok. Nic nie wskazuje na wirusy ani na zanieczyszczenie środowiska. Te wieloryby zginęły z powodu wysokiej temperatury, która uszkodziła im płuca. Słyszała pani o podobnym przypadku?

- Nie. Nigdy. Czy wiadomo coś o źródle tej temperatury?

- Jeszcze nie. Ale nieco światła na ten wypadek mogłoby rzucić sprawdzenie, gdzie te wieloryby ostatnio przebywały.

- Dobrze znam ruchy stada Daisy. Trasa wędrówek tych wali jest zdumiewająca. Przepływają kilkanaście tysięcy kilometrów. Całe lato żerują na morzach Arktyki, a potem płyną wzdłuż wybrzeża Pacyfiku, by w lagunach Baja California w Meksyku wydać młode. W drogę wyruszają na przełomie listopada i grudnia, a na miejsce docierają na początku roku. Na czele płyną ciężarne samice, za nimi pojedynczo i parami dorosłe osobniki i młodzież. Trzymają się blisko brzegu. Na północ wracają w marcu. Samice z młodymi czekają do kwietnia. I znów ruszają z powrotem, trzymając się blisko brzegu. Płyną bardzo wolno, przeciętnie około piętnastu kilometrów na godzinę.

- Przed zawodami mieliśmy odprawę. Powiedziano nam, żebyśmy uważali na wieloryby, ale wyścig zaplanowano po przepłynięciu ostatniego stada. Wszyscy byli pewni, że w tej okolicy już ich nie ma.

- Coś musiało je opóźnić. Może zachorowało któreś małe i czekały, aż wyzdrowieje.

- To samo sądzi patolog. Śledziła pani trasę tego stada?

- Tak. Ma pan pod ręką jakiś laptop?

- Nigdzie się bez niego nie ruszam.

- Dobrze. Jaki jest pański adres e-mailowy? Wejdę do bazy danych i prześlę panu tę informację z szybkością światła.

- Dziękuję. To się nazywa obsługa.

- Jeśli zwrócimy się do NUMA o pomoc, będzie pan miał okazję do rewanżu.

- Niech pani dzwoni bezpośrednio do mnie, a zrobimy, co w naszej mocy.

- Dziękuję. Boże, wciąż nie mogę uwierzyć w tę historię o Daisy.

Austin rozłączył się, otworzył laptop IBM i połączył go z telefonem. W kwadrans potem otworzył przesłany e-mailem plik. Na ekranie pojawiła się mapa zachodnich Stanów, Kanady i Alaski. Od Morza Czukockiego przez Morze Beringa biegła w dół, wzdłuż wybrzeża Ameryki Północnej, do koniuszka przypominającego palec półwyspu Baja California kropkowana linia.

Do mapy załączono szczegółową informację o wielorybich stadach. Przesuwając listę z ich nazwami, Austin znalazł plik zatytułowany "Daisy". Zawierał on mapę, ukazującą dokładną trasę jej stada. Stado Daisy wędrowało nieprzerwanie aż do brzegów Baja California, gdzie na południe od Tijuany zrobiło sobie postój. Po przerwie znów ruszyło na północ, płynąc wolniej. W pewnym miejscu wale zatoczyły koło, jakby coś je zdezorientowało. Austin prześledził kręty szlak ich wędrówki aż do końca w pobliżu San Diego.

Zamknął plik i połączył się z kilkoma adresami w sieci. A potem usiadł w fotelu i zamyślił się. Do pewnego momentu wale płynęły normalnie. A potem coś się zdarzyło. Zastanawiał się, co powinien zrobić, gdy zza drzwi usłyszał głos Zavalii.

- Tak wcześnie wróciłeś z randki? - spytał.

- Powiedziałem jej, że muszę wrócić i sprawdzić, jak się czuje mój chory kolega.

- Czy aby nie za mocno uderzyłeś się dzisiaj w głowę? - spytał z zaniepokojoną miną Austin.

- Nurkowanie pod jachtem to faktycznie niepowtarzalne przeżycie. W całkiem nowym świetle ukazały mi się zasady żeglugi morskiej.

- Przyjmij do wiadomości, że czuję się doskonale, a więc możesz wrócić i dokończyć dzieło. Zavala klapnął na kanapę.

- Wiesz, Kurt, są chwile w życiu człowieka, kiedy należy wykazać umiar.

Austin zastanawiał się, czy to Zavala, czyjego klon, pozbawiony popędu seksualnego?

- W pełni się z tobą zgadzam - odparł na wszelki wypadek. - A jaki jest prawdziwy powód?

- Nie zadaję się z mężatkami.

- Skąd wiesz, że jest mężatką?

- Od jej męża.

- Aha. Duży był?

- Trochę mniejszy od gruchy z cementem.

- W takim razie umiar to ze wszech miar mądry wybór.

Joe skinął głową bez przekonania.

- Taka ślicznotka, mój Boże! - Westchnął. - A ty co porabiałeś?

- Pojechałem na sekcję zwłok wielorybów.

- Przecież w San Diego na pewno nie brak lepszych rozrywek.

- Oczywiście, ale byłem ciekaw, co zabiło te wieloryby.

- Znaleźli przyczynę?

- Wysoka temperatura uszkodziła im płuca i udusiły się.

- Dziwne.

- Też tak uważam. Spójrz na mapę w moim komputerze. Zawdzięczam ją satelicie pogodowemu Narodowego Urzędu Oceanograficznego i Atmosferycznego. Pokazuje temperaturę wody w oceanie. Widzisz tę czerwoną plamkę na wodach przy Baja California? Oznacza nagły wzrost temperatury.

- Twierdzisz, że nasze wieloryby zachorowały wkrótce po przepłynięciu przez ten rejon?

- Być może. Ale jestem ciekaw, co spowodowało ten wzrost temperatury.

- Czuję, że chcesz mi zaproponować wycieczkę za południową granicę.

- Mogę skorzystać z tłumacza. Paul i Gamay wrócą do Arlington dopiero za kilka dni.

- *No problemo*. Grunt to nie tracić kontaktu ze swoimi meksykańskimi korzeniami.

Zavala wstał i ruszył do drzwi.

- A ty dokąd? - spytał Austin.

- Jest jeszcze wcześniej. - Zavala spojrzał na zegarek. - Czy tacy przystojni kawalerowie do wzięcia mają tracić czas na rozmowę o martwych wielorybach i gorącej wodzie? To niezdrowe, *amigo*. W holu ujrzałem w przelocie ślicznotkę, której chyba brakuje towarzystwa.

- Myślałem, że masz dość kobiet.

- Chwilowe złudzenie, wynikające z odniesionych obrażeń. Zdaje się, że była z koleżanką, a w restauracji przygrywa dobry zespół jazzowy.

Austin uwielbiał cool jazz, prawie tak samo jak piękne kobiety i szybkie łodzie. Tequila z sokiem z limony świetnie by mu zrobiła przed snem. Nie mówiąc już o towarzystwie kobiet. Uśmiechnął się i zatrzasnął laptopa.

5

- Jak państwu smakowało? - spytał doktor Ramirez.

Paul i Gamay wymienili spojrzenia.

- Pyszne - pochwaliła Gamay.

O tej egzotycznej kolacji koniecznie musiała opowiedzieć historykowi maryniście i smakoszowi Julienowi Perlmutterowi. Cienkie, delikatne płaty białego mięsa, doprawionego miejscowymi ziołami, podano ze świeżymi batatami w zawiesistym, ciemnym sosie. A do tego niezłe chilijskie białe wino. Boże, tak długo przebywała w dżungli, że nawet smakował jej pieczony tapir!

- Tak jest - poświadczył Paul. - Wyborne. Nie spodziewaliśmy się, że to dziwnie wyglądające zwierzę, które Indianie wynieśli z lasu, będzie takie smaczne.

- Zwierzę? - Zaintrygowany Ramirez odłożył widelec. - Z lasu? Nie rozumiem.

- Nieśli tapira - odparła z wahaniem Gamay, spoglądając na swój talerz.

Ramirez oniemiał, poruszył wąsem i zaniósł się serdecznym śmiechem.

- Myśleliście... - Ponownie parsknął śmiechem. - Przepraszam. Co ze mnie za gospodarz. Bawię się kosztem gości. Ale zapewniam was, że nie jecie zwierzaka, którego przydźwigali z polowania. Świnie na dzisiejszą ucztę kupiłem w sąsiedniej wiosce. - Skrzywił się. - Tapir? Nie umiem powiedzieć, jak smakuje. Może jest całkiem niezły.

Dolał wina.

- Będzie mi was brakować, przyjaciele - powiedział, wznosząc toast. - Waszego przemiłego towarzystwa i wielu niezapomnianych rozmów przy tym stole.

- Dziękuję - odparła Gamay. - To było dla nas fantastyczne przeżycie. Ale najbardziej ekscytujący chyba dzisiejszy dzień.

- A tak, ten biedny Indianin...

- Nie mogę się nadziwić, że miał przy sobie tak zaawansowane technicznie przedmioty - rzekł Paul, kręcąc głową.

- Ludzie Mgieł to tajemnicze plemię - powiedział Ramirez.

- Co pan o nich wie? - spytała Gamay, bo rozbudził jej naukową ciekawość.

Nim zrobiła doktorat z biologii morza w Instytucie Oceanografii Scrippsa w La Jolla, studiowała na uniwersytecie stanowym Północnej Karoliny, gdzie uzyskała dyplom z archeologii morskiej.

Gospodarz łyknął wina i wpatrzył się w przestrzeń. Przez osłonięte okna dobiegało granie i brzęczenie milionów tropikalnych owadów, których koncert stanowił odpowiednie tło do opowieści o tropikalnej dżungli.

- Siedząc na tej zaopatrzonej w kuchnię gazową i prądnicę wysepce cywilizacji - zaczął po namyśle - trzeba mieć świadomość, że jeszcze przed kilku laty zapuszczenie się w tę część dżungli groziłoby nam śmiercią w ciągu paru minut. Teren ten zamieszkiwali dzicy Indianie, a polowania na ludzkie głowy i kanibalizm były na porządku dziennym. Każdego, czy to misjonarza niosącego słowo Boże, czy myśliwego polującego dla zdobycia zwierzęcych skór, uważano za intruza, którego należy zabić. Tych ludzi oswojono dopiero niedawno.

- Z wyjątkiem plemienia Chulo - wtrąciła Gamay.

- Właśnie. Chcąc uniknąć spacyfikowania, zaszyli się głębiej w las. Muszę przyznać, że dziś

dowiedziałem się o nich więcej niż przez trzy spędzone tu lata. Prawdę mówiąc, wątpię w ich istnienie. W przypadku tego plemienia trzeba oddzielić fakty od legendy. Pozostali Indianie unikają dżungli za Wielkim Wodospadem. Twierdzą, że kto wejdzie na tereny Chulo, nie wraca. Jak mogliście się dziś przekonać, naprawdę się boją. Tak przedstawiają się skąpe fakty.

- A legenda? - spytała Gamay.

- Potrafią być niewidzialni - odparł z uśmiechem Ramirez. - Potrafią latać. Przenikać przez przeszkody i ściany. Są bardziej duchami i zjawami niż ludźmi. Nie można ich zabić zwykłą bronią.

- Dziura po kuli, którą widzieliśmy, przeczy temu mitowi - wtrącił Paul.

- Chyba tak - przyznał Ramirez. - Ale jest jeszcze jedna historia, tym bardziej intrygująca. W tym plemieniu panuje matriarchat. Przewodzi im kobieta. A właściwie bogini.

- Amazonka? - podsunęła Gamay.

W odpowiedzi Ramirez wyjął z kieszeni wisior zdjęty z szyi zabitego Indianina.

- Może to jest ta nasza skrzydlata bogini - rzekł. - Powiadają, że chroni swoje plemię i jest strasznie mściwa.

- Ta, której trzeba słuchać! - oznajmiła teatralnie Gamay. - To cytat z powieści przygodowej, którą czytałam w młodości. O żyjącej tysiąc lat i nie starzejącej się bogini dżungli.

Paul wziął wisior i przyjrzał się mu.

- Nawet taka bogini nie potrafiła ochronić tego tubylca - zauważył.

- Owszem - powiedział Ramirez - ale...

- Co takiego? - spytała Gamay.

- Coś mnie martwi. Jeden z mieszkańców wioski przyszedł do mnie i powiedział, że w dżungli dzieje się coś niedobrego.

- Co? - spytał Paul.

- Wiedział tylko tyle, że ma to związek z tym zabitym Indianinem.

- W jaki sposób? - spytała Gamay.

- Nie jestem pewien. - Ramirez zamilkł. - W dżungli ciągle giną różne stworzenia. Owady, zwierzęta i ptaki toczą z sobą nieustanną, bezwzględną walką o byt. Niemniej w tym krwawym chaosie panuje równowaga. - Jego głęboko osadzone oczy spochmurniały jeszcze bardziej. - Obawiam się, że zabójstwo tego Indianina zakłóciło ją.

- Może ta amazońska bogini szykuje się do zemsty - rzekł Paul, zwracając medalion.

- Jako naukowiec, muszę trzymać się faktów - odparł Ramirez. - Faktem zaś jest to, że ktoś w tej dżungli ma karabin i gotów jest użyć go bez wahania. Albo więc ten Indianin wyszedł poza swoje terytorium, albo ktoś wtargnął na nie z bronią.

- Domyśla się pan, kto? - spytała Gamay.

- Chyba tak. Czy wiecie państwo coś o przemyśle gumowym?

Troutowie przecząco pokręcili głowami.

- Przed stu laty kauczukowce rosły wyłącznie w dżungli amazońskiej. Potem pewien brytyjski naukowiec wywiózł stąd trochę nasion i założono ogromne plantacje kauczuku na Wschodzie. To samo dzieje się obecnie. Towarzyszący nam dziś przy pogrzebie szaman dobrze zna leczniczą moc setek roślin z lasu tropikalnego. Przyjeżdżają tu różni piraci, którzy twierdzą, że są naukowcami, a w rzeczywistości poszukują ziół o leczniczych właściwościach. Patenty sprzedają międzynarodowym firmom farmaceutycznym. Bywa, że pracują bezpośrednio dla nich. W każdym razie firmy te zbijają fortuny, podczas gdy tubylcy, którzy przechowali zielarską wiedzę, nie dostają nic. Co gorsza, przybywają tu czasem tacy, którzy zabierają wyhodowane przez nich rośliny.

- Myśli pan, że tego Indianina torturował i zastrzelił jeden z tych poszukiwaczy? - spytał Paul.

- Możliwe. Cóż znaczy życie biednego czerwonoskórego, gdy w grę wchodzi miliony. Nie wiem, dlaczego go zabili. Być może zobaczył coś, czego nie powinien widzieć. Mieszkańcy dżungli od pokoleń znali tajemnice tutejszych roślin.

- Czy ktoś próbuje powstrzymać tych piratów? - spytała Gamay.

- W tym właśnie problem. Bywa, że urzędnicy państwowi są w zмовie z firmami farmaceutycznymi. W grę wchodzi wielkie pieniądze. Rządy mało interesują się losem miejscowych plemion. Najważniejsze dla nich to, jak sprzedać dziedziczną wiedzę tubylców o roślinach temu, kto da najwięcej.

- A więc z tym piractwem nikt nie walczy?

- Do tropienia piratów uniwersytety przysyłają ekipy prawdziwych naukowców. Badają oni rośliny, a jednocześnie rozmawiają z Indianami, wpytując ich o obcych. Chcąc powstrzymać grabież zasobów genetycznych, nasi sąsiedzi w Brazylii zaczęli wytaczać procesy sądowe. Zarzucając jednemu z naukowców katalogowanie nasion i kory drzew używanych przez Indian do leczenia, oskarżyli go o ograbienie tubylców z wiedzy.

- Zarzut trudny do udowodnienia - orzekł Paul.

- Owszem, ale robimy pewne postępy w tej sprawie. Mamy przeciwko sobie firmy farmaceutyczne dysponujące miliardami dolarów. Nie jesteśmy więc dla nich równorzędnym przeciwnikiem.

- Czy pański uniwersytet był w to zaangażowany? - spytała Gamay, bo coś przyszło jej nagle na myśl.

- Tak - odparł Ramirez. - Przesyłano tu co jakiś czas ekipy. Ale na prawdziwe ściganie przestępców brak pieniędzy.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwała, lecz dała za wygraną.

- Chciałabym, żebyśmy mogli zrobić coś więcej - powiedziała.

- Możecie - rzekł z uśmiechem Ramirez. - Zamierzam państwa prosić o przysługę. Tylko nie czujcie się do niej zobowiązani.

- O co chodzi? - zachęcił go Paul.

- Kilka godzin stąd, nad rzeką, jest następna osada. Holender, który tam mieszka, nie ma radia. Może tubylcy wiedzą już o zabiciu Chulo. Tak czy inaczej trzeba ostrzec ich przed ewentualnymi następstwami tej śmierci. - Ramirez wyciągnął nogę, grubo zabandażowaną w kostce. - Ledwo chodzę, chociaż nie jest złamana, a tylko zwichnięta. Czy nie moglibyście państwo pojechać tam za mnie? Nie zajmie to wam dużo czasu.

- A co ze statkiem zaopatrzeniowym? - spytała Gamay.

- Dotrze tu zgodnie z planem jutro przed wieczorem. Załoga przenocuje. Wróćcie, zanim odpłyną.

- Nie widzę przeszkód - odparła Gamay, milknąc na widok pytającego wzroku męża. - Jeśli zgodzi się Paul.

- Ja...

- Ach, przepraszam. Niech chcę, żeby doprowadziło to do konfliktu małżeńskiego.

- Ależ skąd - zapewnił go Paul. - Oczywiście, że chętnie panu pomożemy.

- Cudownie. Każę ludziom dostarczyć państwu prowiant i paliwo do łodzi. Dopłyniecie nią szybciej niż swoim pontonem. Powinniście tego samego dnia być z powrotem.

- Myślałam, że w tej wiosce są tylko pirogi - zdziwiła się Gamay.

Ramirez uśmiechnął się.

- Niekiedy potrzebny jest szybszy środek transportu.

- Niech pan nam powie coś więcej o tym Holendrze - poprosiła Gamay.

- Tak naprawdę to Dieter jest Niemcem. Handlarzem, ożenionym z miejscową kobietą. Czasem tu przy pływa, ale zazwyczaj raz w miesiącu przysyła ludzi z listą zakupów, a my przekazujemy ją załodze statku zaopatrzeniowego. Niezbyt przyjemny typ, jednak należy go ostrzec o zagrożeniu. - Ramirez urwał. - Nie musicie państwo jechać - zapewnił. - To doprawdy nie wasza sprawa, a poza tym jesteście naukowcami, a nie poszukiwaczami przygód. Zwłaszcza piękna *senora* Trout.

- Damy sobie radę - odparła Gamay, z rozbawieniem patrząc na męża.

Miała doświadczenie, zdobyte podczas licznych niebezpiecznych zadań, wykonywanych wraz z mężem dla NUMA. A poza tym, wbrew pozorom, nie była delikatnym kwiatuszkiem. W Racine, w stanie Wisconsin, gdzie przysłała na świat, bawiła się z bandą chłopców, a i później czuła się najlepiej w męskim towarzystwie.

- No, to ustalone. Po deserze napijemy się brandy i pójdziemy spać, żeby obudzić się skoro świt - powiedziała.

Gdy wrócili do swego pokoju spytała Paula:

- Dlaczego się zawahałeś, czy pomóc doktorowi?

- Z dwóch powodów. Przede wszystkim dlatego, że ta dodatkowa podróż nie ma nic wspólnego z naszym zadaniem dla NUMA.

- A odkąd to przestrzegasz regulaminu naszej agencji?

- Robię to, tak jak ty, kiedy mi wygodnie. Naginam go, ale nigdy nie łamię.

- No, to nagnij go odrobinę i powiedz sobie, że ta rzeka jest integralną częścią oceanu, dlatego ekipa do zadań specjalnych NUMA powinna się zająć przypadkiem każdego znalezionego na niej trupa. Czy mam ci przypomnieć, że ekipę tę zorganizowano właśnie do badania spraw, którymi nikt inny nie chce zawracać sobie głowy?

- Nie polegaj za bardzo na swojej sile przekonywania. Sam bym zaproponował bliższe zbadanie sprawy, gdybyś tego nie zrobiła. Nie można dopuścić, żeby to morderstwo uszło komuś płazem.

- Też tak uważam. Masz jakiś pomysł, od czego zacząć?

- Mam. Wracając do twojego pierwszego pytania: zawahałem się, bo Ramirez mnie zaskoczył. Nie wspomniał wcześniej o tej łodzi. Kazał nam wierzyć, że korzysta z piróg. Czy pamiętasz te jego zachwyty, jak wspaniały jest nasz pontonik z motorkiem? Powęszyłem tu któregoś dnia i w szpiecie odkryłem ślizgacz.

Gamay podparła się na łokciu.

- Ślizgacz?! Dlaczego nic nie powiedział?

- To chyba oczywiste. Nie chciał, byśmy o nim wiedzieli. Myślę, że nasz doktor Ramirez nie jest aż tak prostolinijny, jak się wydaje.

- Też tak uważam. Myślę, że nie był szczery, powierzając nam, fajłapowatym naukowcom, tak niebezpieczne zadanie. Widać usłyszał od nas wystarczająco dużo o ekipie do zadań specjalnych, by się zorientować, co robimy, kiedy nie liczymy delfinów rzecznych. Pewnie chce wciągnąć w tę sprawę NUMA.

- Zrobiliśmy dokładnie to, czego chciał, choć nie bardzo rozumiem, po co mu te makiawelskie chwytły.

- A ja się domyślam - odparła Gamay. - Wspomniał o naukowcach z uniwersytetu, występujących w roli policji biologicznej. A ponieważ jest uniwersyteckim naukowcem, dał nam do zrozumienia, że też do niej należy.

- Zauważyłem. - Paul wyciągnął się na łóżku i zamknął oczy. - A zatem podejrzewasz, że jest z policji biologicznej i udaje botanika?

- To by się trzymało kupy. - Gamay urwała, zamyślona. - Przyznaję, że do zbadania tej sprawy zachęca mnie zawartość woreczków, które znaleźliśmy przy tym Chulo. Intryguje mnie, w jaki sposób zacofany Indianin wszedł w posiadanie tak nowoczesnych zabawek.

Usłyszała obok siebie cichy, równy oddech. Paul znów zrobił użytek ze swojego słynnego daru zasypiania na komendę. Gamay pokręciła głową, podciągnęła wyżej koc i również zasnęła. Mieli wstać równo ze słońcem, a wszystko wskazywało, że czeka ich długi dzień.

6

Meksykański celnik wychylił się i przyjrzał dwóm mężczyznom w podniszczonych szortach, koszulkach, okularach przeciwsłonecznych i baseballówkach ze znakiem firmowym sklepu z przynętami, siedzącym w białym fordzie pikapie.

- Powód wizyty? - zwrócił się do krzepkiego kierowcy.

Mężczyzna wskazał kciukiem za siebie na wędki i skrzynki ze sprzętem wędkarskim.

- Jedziemy na ryby - odparł.

- Z chęcią pojechałbym z wami - rzekł z uśmiechem celnik i gestem zaprosił ich, by wjechali do Tijuany.

- Nie mogliśmy pokazać naszych legitymacji NUMA? - spytał z siedzenia dla pasażera Zavalą, gdy ruszyli.

Austin uśmiechnął się.

- Tak jest zabawniej - odparł.

- Na szczęście wyglądamy zbyt porządnie, by wzięto nas za terrorystów czy handlarzy narkotyków.

- Wolę myśleć, że jesteśmy mistrzami kamuflażu. - Austin spojrział na kolegę i pokręcił głową. - Mam nadzieję, że zabrałeś amerykański paszport. Nie chciałbym, żebyś utknął w Meksyku.

- Dla Zawalów przekradanie się przez granicę to nie pierwszozna.

W latach sześćdziesiątych rodzice Zawali opuścili rodzinne miasto Morales w Meksyku, gdzie się wychowali, i przeprawili się przez Rio Grande. Matka Joego była wtedy w siódmym miesiącu ciąży i chciała rozpocząć nowe życie. Jose urodził się w Santa Fe, w Nowym Meksyku, bo tam dotarli Zawalowie. Dzięki swoim stolarsko-drzeworytniczym talentom jego ojciec zdobył bogatą klientelę, budującą tam sobie eleganckie domy. Ci sami wpływowi ludzie dopomogli Zawali seniorowi w otrzymaniu zielonej karty, a później amerykańskiego obywatelstwa.

Ponieważ samochodów z wypożyczalni nie wolno było zabierać do Meksyku, Kurt i Joe pożyczili swojego forda od ekipy technicznej "Czerwonego atramentu". Z hotelu w San Diego wyruszyli na południe, przejeżdżając przez stanowiące mieszanekę dwóch kultur, ni to amerykańskie, ni to meksykańskie, graniczne miasto Chula Vista, a po wjeździe do Meksyku skrajem chaotycznie rozrzuconych slumsów Tijuany dotarli do MEX 1, ciągnącej się przez cały półwysep Baja California autostrady Carretera Transpeninsula. Za pełnym sklepów z pamiątkami, moteli i budek z *tacos* El Rosarito jarmarczno-tandetna zabudowa zaczęła rzednąć i niebawem po obu stronach drogi pojawiły się pola uprawne, w oddali po lewej nagie wzgórza, a za zakrętem szmaragdowa Zatoka Wszystkich Świętych - Todos Los Santos. Godzinę po opuszczeniu Tijuany zrobili sobie postój w Ensenadzie.

Austin znał to żyjące z turystyki i rybołówstwa miasto z czasów, gdy uczestniczył w regatach Newport-Ensenada. Nieformalnie zakończyły się one w tawernie Hussonga, podłej starej spelunce z podłogą posypaną trocinami. Zanim nowa autostrada sprowadziła tu turystów z dolarami, stan Baja California Norte był najprawdziwszym pograniczem. W swoich najlepszych latach tawerna ściągała barwne miejscowe postacie i typy - marynarzy, rybaków i kierowców rajdowych. W owym czasie Ensenada była ostatnim przyczółkiem cywilizacji przed La Paz. Tawerna Hussonga należała do tych legendarnych knajp, takich jak Foxy na Wyspach Dziewiczych czy Kapitan Tony w Key West, które

odwiedzali wszyscy. Kiedy do niej weszli, Austin ujrzał kilku zdziadziałych ochlapusów, być może pamiętających stare dobre dni, gdy tequila płynęła rzeką, a policja jeździła tam i z powrotem między tawerną a miejscowym kryminałem.

Usiedli przy stole i zamówili *huevos rancheros*.

- Nie ma to jak proste chłopskie żarcie! - rzekł Zavala, delektując się jajecznicą z ostrym sosem salsa.

Austin przyglądał się smutnemu pyskowi łosia, którego łeb wisiał nad barem od niepamiętnych czasów. Wciąż zadając sobie pytanie, jakim cudem łosć trafił do Meksyku, powrócił do mapy półwyspu, rozłożonej na stole obok satelitarnego zdjęcia, pokazującego temperaturę wody.

- Tam jedziemy - powiedział, wskazując mapę. - Nienormalna temperatura pojawiła się w pobliżu tej zatoczki.

Jego partner z błogim uśmiechem przełknął jajecznicę i otworzył przewodnik po Meksyku.

- Piszą tu, że *ballena gris*, wale szare, przebywają od grudnia do marca, przy Baja California odbywając gody i rodząc potomstwo. Waga tych wielorybów dochodzi do dwudziestu pięciu ton, a mierzą od trzech do piętnastu metrów. Podczas godów jeden samiec utrzymuje samicę w stosownej pozycji, podczas gdy drugi... - Zavala mrugnął. - Opuszczę ten fragment. Wielorybnicy omal ich nie wytępilli, ale w 1947 roku wale szare uznano za gatunek zagrożony. - Przerwał czytanie. - O coś cię zapytam. Wiem, że szanujesz wszystko, co pływa w morzu, ale nigdy bym nie przypuszczał, że jesteś miłośnikiem wielorybów. Skąd u ciebie to zainteresowanie? Czemu nie zostawisz tej sprawy Agencji Ochrony Środowiska lub Służbie Ochrony Dzikich Zwierząt?

- Bo chcę wiedzieć, co zapoczątkowało łańcuch wypadków, które doprowadziły do zatopienia łodzi mojego taty. Jest też inny powód, którego nie potrafię sprecyzować. - W spojrzeniu Austina pojawiła się zaduma. - To tak jak podczas nurkowania. Płyniesz, niby wszystko w porządku, aż tu nagle jeżą ci się włosy na głowie, masz bardzo niemiłe uczucie, że nie jesteś sam, że ktoś cię obserwuje.

- Znam to - rzekł w zamyśleniu Zavala. - Na tym jednak zwykle się nie kończy. Wyobrażam sobie, że za plecami mam największego, najbardziej wygłodniałego rekina w oceanie, który się zastanawia, od jak dawna nie miał w pysku prawdziwie meksykańskiej przekąski. - Przełknął następną porcję jajecznicy. - Ale kiedy się rozglądam, nie widzę nic oprócz łypiącego na mnie spode łba byczka rozmiarów palca.

- Morze spowija tajemnica - rzekł Austin, patrząc nieobecny wzrokiem.

- Co to za zagadkowe słowa?

- Cytat z Conrada: "Morze pozostaje niezmiennie, a jego poczynania, cokolwiek o nim mówią, spowija tajemnica". - Austin postukał palcem w mapę. - Wieloryby giną codziennie. Część z przyczyn naturalnych. Inne zaplątują się w sieci i zdychają z głodu, padają pastwą statków albo zanieczyszczeń, bo niektórzy traktują morze jak wysypisko trujących odpadów. - Urwał. - Ale tej sprawy nie da się zaliczyć do tych kategorii. W przyrodzie nawet bez ingerencji ludzi nigdy nie ma ładu, ale też nigdy nie ma całkowitego chaosu. To taka improwizacja, jak w dobrym zespole jazzowym.

- Znam twoje zamiłowanie do jazzu, Kurt. A więc tym razem uchwyciłeś jakąś fałszywą nutę.

- Raczej ogólny dysonans. - Austin zastanawiał się chwilę. - Ale wolę twoje porównanie. Mam wrażenie, że tuż obok czai się wielki, piekielnie głodny rekin.

- Jak to u nas mówią, ryby najlepiej biorą, gdy są głodne - odparł Zavala, odsuwając od siebie pusty talerz.

- Wiem przypadkiem, że wyrosłeś na pustyni, *amigo*. - Austin wstał. - Ale zgadzam się z tobą.

Czas na połów.

Po opuszczeniu Ensenady ruszyli na południe. Podobnie jak w Tijuanie, rzadziejące przydrożne zabudowania handlowe w końcu znikły, a autostrada zwężyła się do dwóch pasm. Za Maneadero skręcili w boczną drogę i jadąc wśród pól, rozrzuconych zabudowań wiejskich i budynków, dawnych misji katolickich dotarli wreszcie do wyludnionej, dzikiej krainy z opadającymi ku morzu, spowitymi mgłą wzgórzami. Pełniący rolę pilota Zavała sprawdził mapę.

- Dojeżdżamy - oznajmił. - To tuż za zakrętem.

Austin nie wiedział, czego się spodziewać. Gdy minęli zakręt, zaskoczył go widok tablicy z napisem po hiszpańsku i angielsku, informującym, że jest to siedziba Baja Tortilla Company. Zjechał na pobocze. Tablicę umieszczono na początku długiego podjazdu, wysadzanego z obu stron drzewami. Na jego końcu stał duży budynek.

Austin oparł się o kierownicę i podniósł na czoło okulary przeciwsłoneczne.

- To na pewno tutaj? - spytał.

- To tu - zapewnił Zavała, podając mu do sprawdzenia mapę.

- Zdaje się, że przejechaliśmy kawał drogi na darmo.

- Niezupełnie. *Huevos rancheros* były wyśmienite, a poza tym wzbogaciłem się o nową podkoszulkę, reklamującą tawernę Hussonga.

Austin zmrużył oczy.

- Na tej tablicy napisano: "Goście mile widziani". Skoro więc już tu jesteśmy, odwiedźmy ich.

Kawałek dalej znalazł porządną żwirowy parking z zaznaczonymi miejscami dla gości. Przed budynkiem z cegły, krytym dachówką, w stylu hiszpańskim, stało kilka aut z kalifornijską rejestracją i dwa autokary turystyczne. Poczuli zapach prażonej kukurydzy.

- Diabło sprytny kamuflaż - skomentował Zavała.

- Nie oczekiwałem, że zobaczę tu neon "Zabójcy wielorybów witają".

- Jaka szkoda, że nie mamy broni - zażartował Zavała. - Człowiek nigdy nie wie, czy nie rzuci się na niego jakaś dzika tortilla.

- Zostaw tę opowieść na drogę powrotną.

Austin wysiadł z samochodu i ruszył w stronę bogato rzeźbionych drzwi wejściowych z ciemnego drewna. W pobielonej recepcji zastali uśmiechniętą młodą Meksykankę.

- *Buenos dias* - powitała ich zza biurka. - Macie szczęście. Zwiedzanie właśnie się zaczyna.

Panowie nie są ze statku wycieczkowego?

- Jesteśmy indywidualnie - odparł Austin, tłumiąc uśmiech. - Przejeżdżaliśmy tędy i zobaczyliśmy tablicę.

Meksykanka znów się uśmiechnęła i poprosiła, aby przyłączyli się do grupy starszych turystów, sądząc z ich wymowy, w większości Amerykanów ze Środkowego Zachodu, a potem, łącząc obowiązki recepcjonistki i przewodniczki, wprowadziła wycieczkę do piekarni.

- Kukurydza oznaczała w Meksyku życie, a tortille od wieków były głównym pożywieniem zarówno Indian, jak hiszpańskich osadników - zaczęła wyjaśniać gościom, prowadząc ich przez dział, w którym kukurydza z worków trafiała do młynów. - Przez wiele lat ludzie piekli tortille w domach. Kukurydzę mielono na mąkę, a zrobione z niej w połączeniu z wodą ciasto ręcznie zwijano, wałkowano, ugniatano i pieczono. Wraz ze wzrostem popytu na tortille w Meksyku, a zwłaszcza w Stanach, ich produkcję scentralizowano. Pozwoliło to nam zmodernizować urządzenia, a więc produkować wydajniej i w lepszych warunkach sanitarnych.

- Skoro największy zbyt na meksykańskie placki jest w Stanach, to dlaczego tej wytwórni nie wybudowano bliżej granicy? - spytał przyciszonym głosem Austin, gdy podążali za innymi. - Czemu

wypiekają je tutaj i dowożą autostradą?

- Dobrze pytanie - przyznał Zavala. - W Meksyku monopol na wytwarzanie tortilli mają ludzie blisko związani z rządem. Ten interes daje miliardy. Ale nawet gdybyś miał powód, żeby wybudować wytwórnię tak daleko na południu, to dlaczego z widokiem na ocean? To miejsce nie na fabrykę, lecz na luksusowy hotel.

Wycieczka przeszła obok mieszarek, podających ciasto do maszyn, które wytwarzały setki tortilli na minutę - cienkich placków spadających na pasy transmisyjne, doglądane przez pracowników w śnieżnobiałych fartuchach i w plastikowych czepkach na głowach. Kiedy przewodniczka wprowadzała turystów do pakowni i działu ekspedycji, Austin wypatrzył drzwi z napisem w języku hiszpańskim.

- Tylko dla personelu? - spytał Zavale.

Joe skinął głową.

- Chyba już dowiedziałem się wszystkiego o tortillach. - Austin odłączył się od grupy i nacisnął klamkę. Drzwi nie były zamknięte. - Rozejrzą się.

- Doceniam wprawdzie twój szpiegowski talent, ale różnisz się nieco od miejscowych pracowników - rzekł Zavala, przyglądając się jego imponującej posturze i rażąco jasnym włosom. - Ja nie będę się tak rzucał w oczy, jak grasujący po korytarzach wielki gringo.

- No dobrze, to pospiesz się - przystał Austin, przekonany tym argumentem. - Ale bądź ostrożny. Spotkamy się po wycieczce. Gdyby spytała o ciebie przewodniczka, powiem, że musiałeś pójść do toalety.

Zavala mrugnął do niego i prześliznął się przez drzwi. Był pewien, że dzięki urokowi osobistemu wybrnie z każdej sytuacji, i przygotował sobie wykręt, że zabłądził, szukając *baño*. Znalazł się w długim korytarzu bez okien, który kończył się stalowymi drzwiami. Doszedł do nich i przyłożył ucho. Nic nie usłyszawszy, przekręcił gałkę. Były zamknięte na klucz.

Sięgnął do kieszeni i wyjął przerobiony szwajcarski scyzoryk wojskowy, za posiadanie którego trafiłby do aresztu. Zwykle akcesoria, takie jak nożyczki, pilnik do paznokci i otwieracz do puszek, wymieniono w nim na wytrychy do otwierania najbardziej popularnych zamków. Przy czwartej próbie zamek ustąpił z trzaskiem. Za drzwiami pojawił się następny korytarz. W przeciwieństwie do pierwszego, było w nim kilkoro drzwi. Wszystkie zamknięte, oprócz wiodących do szatni.

Gdyby Zavala miał czas, mógłby otworzyć znajdujące się w niej szafki. Zerknął na zegarek. Wycieczka dobiegała końca. Na półkach stojących przy ścianie naprzeciwko szafek piętrzyły się porządnie złożone białe fartuchy. Znalazł odpowiedni do swego wzrostu i włożył go. Wziął z półki notatnik. Wyszedł na korytarz i podszedł do trzecich drzwi. Te również były zamknięte na klucz, ale po kilku próbach zdołał je otworzyć.

Wychodziły na podest dużej hali. Dostrzegł szereg pomostów i całą sieć poziomych i pionowych rur. Słysząc było niskie buczenie maszyn, którego źródła nie potrafił zlokalizować. Zszedł po schodkach. Wychodzące z podłogi rury zginały się pod kątem prostym i ginęły w ścianie. Domyślił się, że to instalacja kanalizacyjna wytwórni tortilli. Na końcu pomieszczenia były kolejne drzwi - niezamknięte. Kiedy ostrożnie je otworzył, poczuł na twarzy chłodną oceaniczną bryzę.

Zaskoczony, wstrzymał oddech. Stał na małej platformie, zawieszanej wysoko na skalnym zboczu, a w dole, jakieś sześćdziesiąt metrów pod nim, rozciągała się laguna. Ten piękny widok znowu nasunął pytanie, dlaczego zamiast fabryki nie zbudowano tu hotelu. Stąd nie widział fabryki, zasłoniętej krawędzią urwiska. Znowu spojrzał w dół. Spieniona woda omywała wyszczerbione przybrzeżne skały. Z boku platformy znajdowała się furtka prowadząca donikąd, bez schodów w górę czy w dół. Dziwne. Metr od niej po skalnej ścianie zbiegała w dół metalowa szyna, znikająca w

wodzie.

Woda wydała mu się tutaj ciemniejsza niż gdzie indziej. Może rosły tam morskizyny albo inne wodorosty? Wtem u podstawy szyny zabulgotały bańki powietrza, a potem z morza wyłonił się duży, lśniący, jajowaty przedmiot, który zaczął się wspinać po zboczu. Oczywiście! To szyna windy! Jajo sunęło po niej równym tempem w górę. Za chwilę znajdzie się przy platformie. Zawała wskoczył do hali z rurami, zostawiając uchylone drzwi.

Wykonane z przyciemnionego szkła lub plastiku jajo, zlewające się z powierzchnią skały, zatrzymało się przy platformie. Z jego wnętrza wyszli dwaj mężczyźni w białych kitlach. Zawała rzucił się do schodków. W ciągu paru sekund znalazł się w szatni, zerwał z siebie fartuch, złożył go, jak umiał, i korytarzami szybko powrócił do piekarni. Nikt go nie zauważył, kiedy wchodził do pomieszczeń pokazywanych gościom. Podążył śladem Austina i grupy turystów. Na jego widok przewodniczka posłała mu pytające, nie całkiem przychyłne spojrzenie.

- Szukałem *bano* - wyjaśnił.

Jej twarz pokryła się rumieńcem.

- Ach tak. Pokażę panu - powiedziała, i żeby zwrócić na siebie uwagę, klasnęła w dłonie. - Na tym kończymy zwiedzanie.

Wręczyła wszystkim uczestnikom wycieczki po paczce tortilli i odprowadziła ich do recepcji. Kiedy samochody i autokary odjechały, Austin i Zawała porównali swoje spostrzeżenia. - Z twojej miny odgaduję, że udał ci się rekonesans - powiedział Austin.

- Coś odkryłem - odparł Zawała i zrelacjonował to, co widział.

- Ukryli coś pod wodą. Nie chcą, żeby wyszło na jaw, co tam robią - rzekł Austin.

Obeszli bokiem fabrykę, ale kawałek dalej, kilkadziesiąt metrów od urwiska, natknęli się na wysokie ogrodzenie z siatki, zwieńczone ostrym jak brzytwa drutem tnącym.

- No, to nie popatrzymy sobie na ocean - powiedział Zawała.

- Spróbujmy z drugiej strony zatoki.

Powrócili do pikapa i wyjechali na drogę. Do morza wiodło kilka szlaków, ale wszystkie zagradzała stalowa siatka. Już mieli zrezygnować, kiedy ścieżką od strony wody nadszedł mężczyznę z wędką i koszem pełnym ryb. Zawała spytał, jak mogą stąd zejść do zatoki. Rybak z początku potraktował ich nieufnie, sądząc widocznie, że są z fabryki placków. Ale gdy Zawała wyjął z portfela dwudziestodolarówkę, rozpromienił się na ten widok i odparł, że w jednym miejscu można się przeczołgać pod ogrodzeniem.

Poprowadził ich wąską ścieżką, biegnącą przez sięgające ramion krzaki, wskazał im odcinek ogrodzenia i oddalił się z nieoczekiwanym zarobkiem w garści. We wskazanym przez niego miejscu siatka była odgięta w górę, a pod nią widniała dziura w ziemi. Zawała z łatwością prześliznął się na drugą stronę i przytrzymał siatkę Austinowi. Zarośniętą ścieżką dotarli na skraj urwiska. Znajdowali się nieopodal najbardziej na południe wysuniętego koniuszka cypla, opasującego lagunę.

Szlak wydeptany nogami rybaków prowadził nad wodę, ale pracowników NUMA bardziej interesował widok na przeciwległy brzeg zatoki. Z miejsca, w którym stali, ciemna budowla wyglądała jak złowroga forteca z filmu o Conanie barbarzyńcy. Austin przesunął lornetką po budynku i skierował ją na skalne zbocze. Tam, gdzie według Zawali znajdowała się metalowa szyna windy, rozbłysło odbite słońce. Austin przeniósł wzrok na szerokie wejście do laguny, gdzie o skały rozbijały się fale przyboju, i ponownie spojrzął na wytwórnię placków.

- Pomysłowe - przyznał. - Jeśli zbuduje się fabrykę na takim zadupiu, wszyscy zaczną o tym plotkować. Ale jeżeli codziennie będą ją zwiedzali ludzie, uzyska się idealną przykrywkę dla zakamuflowanych działań.

Zavala wziął od niego lornetkę i przyjrzał się klifowi po drugiej stronie zatoczki.

- Po co im wodoszczelna winda? - spytał.

- Tego nie wiem. - Austin pokręcił głową. - Ale zobaczyliśmy wszystko, co się dało.

Myśleli, że dostrzegą jakiś ruch w pobliżu fabryki lub na urwisku, ale latały tam tylko morskie ptaki. Odeszli od laguny i po kilku minutach przeczołgali się pod siatką. Zavala chętnie spytałby poznanego rybaka, czy wie o windzie, czy zauważył coś niezwykłego w zatoczce, ale tamten wziął pieniądze i zdążył już zniknąć. Wrócili do pikapa i pojechali na północ.

Austin prowadził w milczeniu. Zavala wiedział z doświadczenia, że partner układa w myślach jakiś plan.

- Czy NUMA nadal prowadzi badania koło San Diego? - spytał Austin, gdy minęli już Ensenadę.

- O ile wiem, to tak. Po regatach zamierzałem sprawdzić, co tam słychać.

Austin skinął głową. Podczas powrotnej jazdy rozmawiali o błahostkach, o męskich przygodach i młodzieńczych wygłupach w Meksyku. Długi wąż samochodów na granicy posuwał się w żółtym tempie. Dla zaoszczędzenia czasu okazali swoje legitymacje NUMA i przemknęli przez kontrolę celną. W San Diego skierowali się w stronę zatoki i wielkiej miejskiej przystani jachtowej. Tam zaparkowali i weszli na molo, obstawione żaglówkami i motorówkami. Na końcu basenu, zarezerwowanego dla większych jednostek, odnaleźli krótki, dwudziestosześcioletni statek z szerokim pokładem. Na jego zielonkawoniebieskim kadłubie widniał wymalowany białą farbą napis: NUMA. Weszli na pokład i spytali jednego z kręcących się tam członków załogi, czy zastali kapitana. Zaprowadził ich na mostek, gdzie szczipły, śniady mężczyzna studiował mapy. Jim Contos uchodził za jednego z najlepszych kapitanów we flocie NUMA. Ten syn poławiacza gąbek z Tarpon Springs pływał już na statkach, zanim nauczył się chodzić.

- Kurt! Joe! - przywitał ich z szerokim uśmiechem. - Co za miła niespodzianka! Słyszałem, że przebywacie w okolicy, ale nie spodziewałem się, że zaszczylicie wizytą "Żaborybę". Co kombinujecie? - Spojrzał na Zavalę. - Co ty kombinujesz, nie muszę pytać, bo zawsze jest to jedno i to samo.

Zavala uśmiechnął się lekko.

- Wczoraj ścigaliśmy się z Kurtem w przybrzeżnych regatach - odparł.

- A tak, słyszałem o wypadku waszej łodzi - powiedział Contos, chmurząc czoło. - Bardzo współczuję.

- Dziękuję - rzekł Austin. - A więc wiesz o zdechłych walach.

- Tak... bardzo dziwna historia. Wiadomo, co je zabiło?

- Z twoją pomocą może się tego dowiemy.

- Oczywiście jestem do dyspozycji.

- Chcielibyśmy pożyczyć "Żaborybę" i trochę ponurkować na południe od granicy.

Contos roześmiał się.

- A więc z tą pomocą to nie żart - powiedział i po chwili zastanowienia wzruszył ramionami. - Czemu nie. Właśnie kończymy próby. Jeśli dostaniecie zgodę na pracę na wodach meksykańskich, to chętnie wam służę.

Austin skinął głową i bezzwłocznie zadzwonił do NUMA. Po kilkuminutowej rozmowie przekazał telefon komórkowy Contosowi. Contos wysłuchał, skinął głową, zadał kilka pytań i rozłączył się.

- No to płyniemy na południe. Gunn się zgadza - oznajmił, mając na myśli Rudiego Gunna, dyrektora operacyjnego NUMA w Waszyngtonie. - Ale najwyżej na dwa dni. Chce mieć ciebie i Joego z powrotem, żebyście wzięli się do pracy. Jest jednak pewien szkopuł. Gunn twierdzi, że w tak

krótkim czasie nie zdąży uzyskać od meksykańskiego rządu pozwolenia na tę akcję.

- Jakby ktoś nas spytał, to powiemy, że zabłądziliśmy - odparł z głupia frant Austin.

- Przy takiej elektronice trudno będzie wcisnąć ten kit - przestrzegł Contos, wskazując na szeregi jaśniejących światełek i tarcz na pulpicie sterowniczym statku. - "Żaboryba" nie grzeszy wprawdzie urodą, ale swoje potrafi na pewno. Jeżeli nas przyłapią, sprawą zajmie się Departament Stanu. Kiedy chcecie wypłynąć?

- Zabierzemy sprzęt i wrócimy jak najszybciej. Reszta zależy od ciebie.

- Wypłyniemy jutro o siódmej rano - zdecydował Contos i odszedł wydać nowe rozkazy załodze.

W drodze do samochodu Austin zagadnął partnera, co Contos miał na myśli mówiąc, że zawsze wie, co Joe kombinuje.

- Mieliśmy kilka randek z tą samą kobietą - wyznał Zavala, wzruszając ramionami.

- Czy w Dystrykcie Kolumbia jest choć jedna kobieta, z którą nie miałeś randki?

- Żona prezydenta - odparł Zavala po namyśle. - Jak wiesz, nie zadaję się z mężatkami.

- Co za ulga - rzekł Austin, sadowiąc się za kierownicą.

- No, ale jeśli się rozwiedzie, to...

Lecący pod bezchmurnym niebem zielonkawoniebieski helikopter mcdonnell-douglas oderwał się od urwistych szczytów Squaw Mountain, opadł nad wody wysokogórskiego jeziora Tahoe i niczym spłoszona ważka pomknął ku jego brzegowi po kalifornijskiej stronie. Na moment zawisł w powietrzu, a potem opuścił się między strzeliste sosny żółte i usiadł na betonowym lądowisku. Tuż po zatrzymaniu się łopat wirnika do śmigłowca podjechał chevrolet suburban. Wysiadł z niego mężczyzna w mundurze Jakiego samego koloru jak helikopter i wóz terenowy, którym kierował.

- Proszę za mną, kongresmanie Kinkaid - powitał szczupłego pasażera śmigłowca, biorąc z jego rąk neseser.

Wsiedli do wozu i asfaltową drogą pojechali przez gęsty las. Kilka minut potem zatrzymali się przed kompleksem budynków, wyglądających jak legendarny zamek Hearsta w San Simeon. Przedwieczne słońce podkreślało fantastyczne kontury wieżyczek, ścian i baszt. Żeby je zbudować, wycięto z pewnością cały las gigantycznych drzew. Rozłożysta budowla była ogromną kwadratową, dwupiętrową chatą z bali, obrośniętą licznymi skrzydłami i przybudówkami.

- Większa od świątyni mormonów - mruknął Kinkaid.

- Witamy w Walhalli - odparł wymijająco kierowca.

Zatrzymał wóz przed wejściem, wziął neseser gościa, po szerokich schodach wprowadził go na taras długości toru do kręgli, a potem do wielkiego westybulu, z belkami u sufitu i ścianami z ciemnego, niemal czarnego drewna. Labiryntem korytarzy wyłożonych tą samą ciemną boazerią doszli do wysokich metalowych drzwi z odlaną płaskorzeźbą i zwieńczonych gotyckim łukiem.

- Zaniosę pańską torbę do pokoju - powiedział kierowca. - Inni już czekają. Pańskie miejsce oznaczone jest tabliczką z nazwiskiem.

Nacisnął guzik i drzwi otwały się bezgłośnie. Kinkaid wszedł do środka. Drzwi zamknęły się za nim tak samo cicho. Znalazł się w ogromnej, wysokiej komnacie. Oświetlał ją ogień z dużego paleniska i pochodnie na ścianach, zawieszonych bogato zdobionymi tarczami, proporcami, włóczniami, toporami bojowymi, mieczami i innymi narzędziami mordy z czasów, gdy na wojnach wyrzynano się, walcząc wręcz.

Ale te stworzone do zabijania wytwory ludzkich rąk bladły w porównaniu z przedmiotem zajmującym środek sali - dwudziestokilometrowym okrętem wikingów z wygiętymi w górę dziobem i rufą z dębowych desek. Pojedynczy kwadratowy skórzany żagiel ustawiono tak, jakby czekał na wiatr. Na pokład wchodziło się pomostem ustawionym przy rufie.

Ten wystrój komnaty nie zdziwił Kinkaida, który, służąc w piechocie morskiej w Wietnamie, widział niejedno. Przeszedł przez salę i wspiał się na pokład okrętu. Siedziało tam przy stole dwudziestu kilku mężczyzn, którzy przerwali rozmowę, przyglądając mu się z zaciekawieniem. Zajął ostatnie wolne krzesło i bez słowa przyjrzał się zebranym. Właśnie zamierzał nawiązać rozmowę z sąsiadem, kiedy skrzydła drzwi na końcu sali rozwarły się na oścież i weszła przez nie kobieta.

W migotliwym świetle pochodni szybko kroczyła przez komnatę ku łodzi, a dopasowany zielony kombinezon uwydatniał kształty jej silnego ciała. Największe wrażenie robił jej wzrost - dwa metry dziesięć.

Figurę i rysy miała doskonale, ale było to piękno góry lodowej. Jasne, ściągnięte do tyłu włosy

zaczesała w kok, co podkreślało alabastrową cerę i duże, lodowato zimne błękitne oczy. Weszła na okręt i okrążyła stół. Zaskakująco miękkim głosem przywitała się po kolei ze wszystkimi gośćmi wymieniając ich nazwiska i dziękując za przybycie. Gdy dotarła do kongresmena Kinkaida, zatrzymała się, świdrując niezwykle oczami jego wyrazistą męską twarz i z siłą imadła ścisnęła mu dłoń. Potem usiadła z przodu statku na krześle z wysokim oparciem i posłała zebrany chłodny, a zarazem uwodzicielski uśmiech.

- Dzień dobry, panowie - powiedziała głębokim głosem. - Nazywam się Brunhilda Sigurd. Z pewnością zadajecie sobie pytanie, co to za miejsce. Walhalla jest nie tylko moim domem i siedzibą firmy, lecz także hołdem złożonym moim skandynawskim przodkom. Budynek główny to rozbudowana wersja wspólnotowego domu wikingów. Jego skrzydła pełnią inne funkcje - mieszczą się w nich biura, pokoje gościnne, sala gimnastyczna i muzeum z kolekcją pierwotnej sztuki staroskandynawskiej. Mam nadzieję, że nikt z panów nie cierpi na chorobę morską. - Odczekała, aż skończą się śmiać. - Ten statek jest repliką okrętu wikingów z Gokstad. Czymś więcej niż teatralnym rekwizytem. Symbolizuje moją wiarę, że da się osiągnąć to, co niemożliwe. Wybudowałam go, podziwiając jego funkcjonalną urodę, a także dlatego, aby mi nieustannie przypominał, że gdyby wikingowie nie byli tak żądni przygód i odważni, nie przepłynęliby oceanu. Może ich duch zaważy na podjętych tu decyzjach. - Na moment zawiesiła głos. - Sądzę, że zastanawiacie się, po co was zaprosiłam.

- Pewnie ma to związek z tym, że zgodziła się pani wpłacić pięćdziesiąt tysięcy dolarów na wskazany przez nas cel charytatywny - przerwał jej ostrym głosem kongresmen Kinkaid. - Ja przeznaczyłem taką sumę na fundację naukową, badającą wady wrodzone.

- Znając pańską szlachetność, nie spodziewałam się tego.

Kinkaid chrząknął i poprawił się na krześle.

- Przepraszam, że przerwałem - powiedział. - Proszę kontynuować.

- Dziękuję - odparła Brunhilda. - Pochodzicie panowie ze wszystkich stron kraju i reprezentujecie różne dziedziny. Są wśród was politycy, pracownicy rządowi, uczeni, lobbyści i inżynierowie. Ale nas wszystkich łączy jedno: woda! Towar, którego w dzisiejszych czasach zaczyna brakować. Wszyscy mamy świadomość, że stoimy w obliczu najdłuższej suszy w historii kraju. Czy tak, profesorze Dearborn? Może zechce pan, jako klimatolog, przedstawić nam swoją ocenę sytuacji.

- Chętnie - odparł, wyraźnie zaskoczony jej apelem, mężczyzna w średnim wieku i przeczesał dłonią przeredzone rudawe włosy. - Środkowe rejony i południowy pas naszego kraju, od Arizony po Florydę, czyli blisko jedną czwartą powierzchni czterdziestu ośmiu połączonych stanów - nawiedzają susze, od umiarkowanych do katastrofalnych. Sytuacja ta prawdopodobnie się pogorszy. W dodatku poziom wody w Wielkich Jeziorach nigdy jeszcze nie był tak niski jak obecnie. Całkiem możliwa jest też długotrwała susza w stanach południowo-środkowych. W grę wchodzi nawet megasusza, trwająca dziesięciolecia.

Zebrani wokół stołu zaszemrali.

Brunhilda otworzyła stojące przed nią drewniane pudełko, zanurzyła w nim dłoń, wyjęła garść piasku i przepuściła go między palcami.

- Zaczynają się kłopoty, panowie - powiedziała. - Przed nami smutna, sucha przyszłość.

- Z całym szacunkiem, ale nie mówi pani nic nowego - wtrącił śpiewnie gość z Nevady. -

Trudności czekają Las Vegas. Nie lepiej jest z Los Angeles i Phoenix.

Brunhilda lekko klasnęła w dłonie.

- Owszem - przyznała. - A jak pan zareaguje na wiadomość, że jest sposób na ocalenie naszych miast?

- Z chęcią posłucham, co ma pani do powiedzenia na ten temat.

Z trzaskiem zamknęła pudełko.

- Pierwszy krok został zrobiony - oznajmiła. - Jak panom wiadomo, Kongres zatwierdził przekazanie w ręce prywatnej dystrybucji wody z rzeki Kolorado.

- Stałem na czele przeciwników tej ustawy - powiedział Kinkaid, pochylając się nad stołem.

- Na szczęście przegraliście. Gdyby ją odrzucono, zachodnie stany czekałaby zagłada. Zapasów wody w zbiornikach jest tylko na dwa lata. W przypadku jej wyczerpania musielibyśmy ewakuować większość mieszkańców Kalifornii, Arizony i znaczną część ludności stanu Kolorado, Nowego Meksyku, Utah i Wyoming.

- Odpowiem pani to samo, co tym durniom w Waszyngtonie. Oddanie tamy Hoovera w ręce prywatne nie zwiększy zasobów wody!

- Nie w tym rzecz. To nie zasoby wodne są problemem, lecz ich dystrybucja. Większość wody jest zużywana niewłaściwie. Likwidacja subsydiów rządowych i przekazanie wody w ręce sektora prywatnego oznacza, że nie będzie się jej marnować z najprostszego powodu - bo marnotrawstwo się nie opłaca.

- A ja obstanę przy swoim - odparł Kinkaid. - Czymś tak ważnym jak woda nie mogą zawiadywać prywatne firmy, które nie tłumaczą się społeczeństwu ze swoich poczynań.

- Społeczeństwo miało szansę, ale jej nie wykorzystało. Teraz cenę wody będą regulować podaż i popyt. Zacznie rządzić rynek. Wodę dostaną tylko ci, których na nią stać.

- To właśnie stwierdziłem podczas debaty w Kongresie. Bogate miasta rozkwitną, a biedne umrą z pragnienia.

- I co z tego? - odparła nieustępliwie. - Pomyślcie tylko, do czego dojdzie w razie utrzymania starego, publicznego systemu dystrybucji wody, jeśli wyschną rzeki. Amerykański Zachód stanie się pustynią, a Los Angeles, Phoenix i Denver, tak jak powiedział przedstawiciel Nevady, zamienią się w wymarłe miasta. Wyobraźcie sobie kłęby zielska, turlające się po opustoszałych kasynach Las Vegas. Nastąpi krach gospodarczy. Zamrze rynek obligacji. Odwróci się od nas Wall Street. A utrata potęgi finansowej oznacza utratę wpływów w stolicy. Pieniądze na inwestycje publiczne odpłyną do innych części kraju.

Odczekała, aż przetrawia tę litanię nieszczęść, i mówiła dalej:

- Mieszkańcy Zachodu staną się nowymi "Oklahami", żywcem wyjętymi z *Gron gniewu*. Tylko że tym razem zamiast wyruszyć na zachód, do Ziemi Obiecanej, załadują rodziny do swoich lexusów i terenowych mercedesów i pojedą na wschód. Zadajcie sobie pytanie - w dźwięcznym głosie Brunhildy zabrzmiała ironia - jak zatłoczone wschodnie wybrzeże zareaguje na napływ tysięcy, milionów bezrobotnych krajanów z zachodu. - Dla większego efektu dramatycznie zawiesiła głos. - A gdyby tak mieszkańcy Oklahomy odmówili przyjęcia nas pod swe skrzydła?

- Ja bym ich za to nie potępił - odparł inwestor budowlany z południowej Kalifornii. - Przyjęliby nas w taki sam sposób, jak Kalifornijczycy moich dziadków - groziliby bronią, kierowaliby przeciw nam bandy oprychów, blokowałiby drogi.

- Gdybyście wy, Kalifornijczycy, nie byli tacy chciwi, to wody starczyłoby dla wszystkich - stwierdził ze smutnym uśmiechem ranczer z Arizony.

Teraz wszyscy zaczęli mówić naraz. Sprzeczali się do chwili, gdy Brunhilda zastukała w stół.

- Ta bezpłodna dyskusja jest przykładem trwających od dziesiątków lat kłótni o wodę - oświadczyła. - W dawnych czasach ranczerzy kulami rozstrzygali, kto ma do niej prawo. Dziś waszą bronią są procesy sądowe. Prywatyzacja położy kres tym swarom. Musimy skończyć z walką w naszym gronie.

W sali rozległy się oklaski.

- Brawo - powiedział Kinkaid. - Podziwiam pani elokwencję, ale marnuje pani czas. Zamierzam złożyć w Kongresie wniosek o ponowne rozpatrzenie tej sprawy.

- Popęlni pan błąd.

- Wątpię - odparł zbyt wzburzony, by dostrzec zawołaną groźbę. - Mam wystarczająco dużo dowodów na to, że firmy, które przejęły rzekę Kolorado, wydały setki tysięcy dolarów na przeforsowanie tej strasznej ustawy.

- Pana informacje są nieścisłe. Kosztowało nas to miliony.

- Miliony?! Pania?!

- Nie mnie. Moją korporację, stanowiącą parasol dla firm, o których pan wspomniał.

- Niestychane! A więc rzeka Kolorado jest pod pani kontrolą?

- Ściślej mówiąc, pod kontrolą podmiotu utworzonego w tym właśnie celu.

- To skandal! Nie wierzę własnym uszom.

- Wszystko odbyło się legalnie.

- To samo mówiono w Los Angeles, kiedy miejski zarząd wodociągów i kanalizacji ukradł rzekę Owens.

- Los Angeles stało się największym, najbogatszym i najpotężniejszym pustynnym miastem świata, bo dzięki armii poszukiwaczy wody, prawników i spekulantów ziemią przejęło kontrolę nad zasobami wodnymi swoich sąsiadów.

- Proszę wybaczyć, ale pan kongresmen ma, niestety, rację - wtrącił profesor Dearborn. - Los Angeles to klasyczny przykład imperializmu wodnego. Jeżeli to, co pani mówi, jest prawdą, to kładziecie podwaliny pod monopol wodny.

- W takim razie pozwoli pan, że przedstawię pewien scenariusz - odparła Brunhilda. - Susza się przedłuża. Rzeką Kolorado nie jest w stanie sprostać potrzebom. Miasta umierają z pragnienia. O przydziale wody nie rozstrzygają już prawnicy, ale, tak jak za dawnych czasów, uzbrojeni ludzie przy wodopojach. Proszę tylko pomyśleć. Oszalała z pragnienia tłuszcza na ulicach atakuje wszelkie władze. Całkowicie załamuje się porządek publiczny. W porównaniu z tym rozruchy na tle rasowym w Watts to zaledwie bójka na szkolnym boisku.

Dearborne machinalnie skinął głową.

- Ma pani słuszość - przyznał, wyraźnie speszony. - Ale, za pozwoleniem... nie wydaje się to w porządku.

- To walka o byt, profesorze - przerwała mu. - Od nas samych zależy, czy zginiemy, czy przeżyjemy.

Dearborn bez słowa pokręcił głową.

- Niech pan nie da sobie wmówić takiego scenariusza, profesorze - przyszedł mu w sukurs Kinkaid.

- Widzę, że nie zdołałam zmienić pańskiej opinii - powiedziała Brunhilda.

Kinkaid wstał.

- Osiągnęła pani skutek odwrotny do zamierzonego - powiedział. - Dostarczyła mi pani dobrych argumentów do ponownego przedstawienia sprawy komisji kongresowej. Podjęcie przez nią kroków antymonopolowych wcale mnie nie zdziwi. Moi koledzy, którzy zatwierdzili ustawę w sprawie rzeki Kolorado, z pewnością głosowaliby inaczej, wiedząc, że ten system wodny znajdzie się w rękach jednej korporacji.

- Bardzo mi przykro.

- Będzie pani o wiele bardziej przykro, kiedy się z panią rozprawię. Natychmiast chcę opuścić

pani prywatny park rozrywki.

Spojrzała na niego ze smutkiem. Podziwiała silnych ludzi, jeśli nawet występowali przeciwko niej.

- Proszę bardzo. - Wydała kilka poleceń przez radio, które nosiła przy pasku. - Pański bagaż i helikopter będą gotowe za kilka minut.

Drzwi do sali otworzyły się i mężczyzna, który przedtem towarzyszył Kinkaidowi, wyprowadził go z komnaty.

- Choć dla niektórych susza jest katastrofą, stwarza ona wyjątkową szansę - powiedziała Brunhilda po ich wyjściu z sali. - Rzeka Kolorado jest tylko częścią naszego planu. Dążymy do przejęcia kontroli nad systemami wodnymi w całym kraju. Każdy z was może nam pomóc w osiągnięciu celu, działając w swoim środowisku. A nagroda, która czeka wszystkich obecnych w tej sali, będzie wielka, ponad wasze wyobrażenia. Zarazem będziecie działać dla wspólnego dobra. - Przesunęła wzrokiem po mężczyznach siedzących z obu stron stołu. - Kto chce wyjść, może to zrobić teraz. Żądam jedynie, aby dał mi słowo, że nie powie nikomu o tym spotkaniu.

Goście wymienili spojrzenia, niektórzy nerwowo poruszali się na krzesłach, ale nikt nie skorzystał z jej propozycji. Nawet Dearborn.

Zaraz potem wyrosli jak spod ziemi kelnerzy. Ustawili na stole karafki z wodą i szklanki dla wszystkich gości.

Brunhilda przyjrzała się zgromadzonym.

- Wodę do Los Angeles sprowadzono głównie dzięki Williamowi Mulhollandowi - przemówiła. - To on wskazał na Owens Valley i powiedział: "Jest tutaj. Bierzcie ją".

Jak na dany sygnał, kelnerzy napełnili szklanki wodą i wycofali się.

- Jest tutaj. Bierzcie ją - powtórzyła, wysoko unosząc swoją szklanę, a potem przyłożyła ją do ust.

Pozostali, niczym w dziwnym rytuale plemiennym, poszli w jej ślady.

- Doskonale. A teraz krok następny - powiedziała. - Pojedźcie do domów i zczekajcie na sygnał. Poleceniom podporządkujecie się bezwarunkowo. Nie wolno wyjawiać niczego, co się tu zdarzyło. Nawet tego, że tu byliście.

Powiodła wzrokiem po twarzach zebranych.

- Jeśli nie macie, panowie, więcej pytań, bawcie się dobrze - oświadczyła, tonem głosu dając jasno do zrozumienia, że zebranie dobiegło końca. - Za dziesięć minut w jadalni podadzą wam kolację. Sprowadziłam tu szefa kuchni pierwszorzędnej restauracji, więc nie powinniście narzekać. Po kolacji rozrywka prosto z Las Vegas, a potem zaprowadzą was do pokoi. Odjedźcie jutro po śniadaniu, w takiej samej kolejności, jak przyjechaliście. Do zobaczenia na następnym spotkaniu, dokładnie za miesiąc.

To powiedziawszy, wstała od stołu, przemaszerowała przez komnatę i drzwi, przez które do niej wkroczyła, a potem korytarzem dotarła do przedpokoju. Dwaj stojący tam w rozkroku, z rękami założonymi do tyłu, mężczyźni w identycznych czarnych skórzanych marynarkach wpatrywali się w zajmujące całą ścianę migocące ekrany. Byli krępyimi bliźniakami, z wydatnymi kośćmi policzkowymi i ciemnymi, krzaczastymi brwiami.

- No i co myślicie o naszych gościach? - zapytała drwiąco. - Czy te robaki spełnią swoje zadanie i spulchnią grunt?

Bracia wiedzieli, czego się od nich oczekuje.

- Kogo mamy... - odezwał się jeden.

- ... załatwić? - dokończył drugi.

Brunhilda uśmiechnęła się z zadowoleniem. Ich pytanie utwierdziło ją w przekonaniu, że słusznie odbiła Mela i Radka Kradzików z rąk wojsk NATO, zamierzających postawić ich przed międzynarodowym sądem w Hadze pod zarzutem popełnienia zbrodni przeciwko ludzkości. Ci wzorcowi wręcz socjopaci zyskaliby złą sławę, nawet gdyby nie było wojny w Bośni. Paramilitarny charakter ich działań w pewnym stopniu legitymizował gwałty, tortury i mordy, jakich dokonywali w imię narodowej sprawy. Trudno było uwierzyć, że potwory te nosiła w łonie jakaś matka. Kradzikowie potrafili czytać nawzajem swoje myśli. Stanowili jedność, w dwóch ciałach. Dzięki owej więzi byli w dwójnasób niebezpieczni, gdyż działali porozumiewając się bez słów. Brunhilda nawet nie starała się odróżnić ich od siebie.

- A jak myślicie? - spytała.

Jeden z nich dłonią, której zakrzywione niczym szpony palce wydawały się stworzone do zadawania bólu, sięgnął do magnetowidu i cofnął taśmę. Drugi wskazał na mężczyznę w granatowym garniturze.

- Jego - powiedzieli jednocześnie.

- Kongresmena Kinkaida?

- Tak, nie zrobił...

- ... co pani kazała.

- A inni?

Bliźniacy ponownie cofnęli taśmę i wskazali palcami.

- Profesora Dearborna? Chyba macie rację. Nie może dla nas pracować nikt, kto ma jakiegokolwiek skrupuły. Doskonale, jego też usuńcie. Ale jak najdyskretniej. Wkrótce zwołam naradę zarządu w sprawie naszych długofalowych planów. Dlatego przedtem chcę tu mieć porządek. Nie dopuszczę do takich błędów, jakie popełnili ci durnie w Brazylii dziesięć lat temu.

Wyszła, pozostawiając bliźniaków, którzy błyszczącymi oczami śledzili ekrany, z wygłodniałymi minami kotów, wybierających dla siebie na obiad najtłustsze złote rybki z akwarium.

Od chwili kiedy pożegnali się z doktorem Ramirezem rzeczny krajobraz nieco się odmienił. Ślizgacz pochłaniał kolejne kilometry nieprzerwanej, wijącej się wstęgi ciemnozielonej wody. Od wiecznego mroku tropikalnego lasu odgradzały ją z obu stron nieustępliwe ściany drzew. Raz musieli się zatrzymać, bo nurt tarasowały połamane drzewa. Wreszcie mogli odpocząć od monotonnego, otepiającego warkotu silnika lotniczego. Związali linami splątane kłody i gałęzie i odblokowali wąskie gardło w rzece. Było to czasochłonne zajęcie i dopiero późnym popołudniem w prześwitach między drzewami zobaczyli pola uprawne. A potem dzungla rozstała się, odsłaniając grupę chat.

Paul zwolnił, skierował tępy dziób łodzi między kilka piróg wyciągniętych na błotnisty brzeg, a potem zgasił silnik. Zdjął z głowy założoną daszką do tyłu firmową baseballówkę NUMA i zaczął się nią wachlować.

- Gdzie oni są? - spytał.

W przeciwieństwie do osady doktora Ramireza, w której tubylcy krzatali się od rana do wieczora, panowała tu grobowa cisza. Wieś sprawiała wrażenie wymarłej. Tylko unoszące się z palenisk smugi szarego dymu świadczyły, że ktoś tu jednak mieszka.

- Bardzo dziwne - powiedziała Gamay. - Wygląda tu jak po zarazie.

Paul otworzył schowek i wyjął plecak. Ramirez nalegał na nich, by wzięli od niego colta z długą lufą. Paul położył plecak między sobą i żoną, sięgnął do środka, rozpiął kaburę i poczuł krzepiącą twardość kolby.

- Zaraza nie jest tu najgroźniejsza - rzekł, spoglądając na ciche chaty. - Niepokoi mnie ten martwy Indianin z pirogi.

Widząc, że sięga do plecaka, Gamay również się zaniepokoiła.

- Jeżeli wysiadziemy z łodzi, możemy mieć kłopoty z powrotem. Zaczekajmy i zobaczmy, co się stanie - zaproponowała.

Paul skinął głową.

- Może mają sjęstę. Obudźmy ich. - Przyłożył dłonie do ust i głośno zawołał: - Halo!!!

Odpowiedziało mu tylko echo. Ponowił próbę. Żadnego ruchu.

- Mocno śpią, jeśli nie słyszą takiego ryku - powiedziała ze śmiechem Gamay.

- Niesamowite. - Paul potrząsnął głową. - Tu jest za gorąco. Pójdę się rozejrzeć. Osłonisz mnie?

- Jedną rękę będę trzymać na armacie doktora Ramireza, a drugą na rozruszniku. Tylko nie strugaj bohatera.

- Przecież mnie znasz. Jakby co, biorę nogi za pas.

Trout stanął na pokładzie. Polegał całkowicie na żonie. Odkąd w dzieciństwie w Racine ojciec nauczył ją strzelać do rzutków, posługiwała się wybornie każdą bronią. Jego zdaniem, trafiłaby w oko skaczącą tropikalną pchłę. Przyjrzał się wiosce, zszedł na brzeg i nagle zatrzymał się w pół kroku. W ciemnym wejściu do największej chaty coś się poruszyło. Wyjrzała z niej jakaś twarz i zniknęła. Pojawiła się jeszcze raz, cofnęła i po kilku sekundach ukazał się mężczyzna. Skinął ręką, wykrzyknął jakieś pozdrowienie i ruszył ku nim w dół po stoku.

Kiedy dotarł nad brzeg, otarł spoconą twarz jedwabną chustką. Był potężny, a słomkowy kapelusz z szerokim rondem i płaskim denkiem jeszcze dodawał mu wzrostu. Workowate białe bawełniane

spodnie przytrzymała na wydatnym brzuchu nylonowa linka, a białą koszulę z długimi rękawami miał zapiętą pod samą grdykę. W monoklu, który nosił w lewym oku, odbiło się słońce.

- Szanowanie - powiedział po angielsku z lekkim obcym akcentem. - Witam w Paryżu lasu tropikalnego.

- A gdzie wieża Eiffela? - spytał od niechcienia Paul, spoglądając ponad jego ramieniem na żalosne skupisko chat.

- Ha! ha! Wieża Eiffla. Paradne! To pan nie wie? Niedaleko Łuku Triumfalnego. Po długiej żegludze w takim upale Trout nie miał ochoty na żarty.

- Szukamy pewnego Holendra - powiedział.

Mężczyzna zdjął kapelusz, odsłaniając łysinę okoloną strzechą siwych włosów.

- Do usług - rzekł. - Ale nie jestem Holendrem. - Zaśmiał się. - Kiedy przed siedmioma laty przybyłem w to zakazane miejsce, przedstawiłem się jako góral - *Hochldnder*. Jestem Niemcem. Nazywam się Dieter von Hoffman.

- Paul Trout, a to moja żona, Gamay.

Hoffman skierował na nią monokl.

- Piękne imię dla ślicznej kobiety - powiedział szarmancko. - Niewiele tu mamy białych niewiast, a zwłaszcza urodziwych.

Na pytanie Gamay, dlaczego w wiosce jest tak cicho, Dieter odpowiedział:

- Zaleciłem mieszkańcom, żeby się schowali. Ostrożność wobec obcych nigdy nie zawadzi.

Wyjdą, kiedy zobaczą, że nie macie złych zamiarów. Co was sprowadza do naszej biednej wioski?

- Przyłynęliśmy na prośbę doktora Ramireza. Jesteśmy z NUMA, Narodowej Agencji Badań morskich i Podwodnych, badamy zwyczajnie delfinów rzecznych - odparła Gamay. - Zatrzymaliśmy się u niego. Poprosił, byśmy go wyręczyli.

- Za pośrednictwem dżunglowego telegrafu doszła mnie wieść, że w pobliżu przebywa para naukowców ze Stanów. Ale nawet nie śniłem o tym, że zaszczyca mnie państwo wizytą. A jak się ma szanowny doktor Ramirez?

- Chciał przyjechać, ale nie mógł, bo zwichnął nogę w kostce.

- Szkoda. Chętnie bym go zobaczył. Wprawdzie od dawna nie miałem gości, ale gościnność zobowiązuje. Proszę na brzeg. Na pewno jesteście państwo bardzo zgrzani i spragnieni.

Wymieniwszy spojrzenia, mówiące, że trzeba zachować czujność, Troutowie wysiedli z łodzi. Gamay przewiesiła plecak z rewolwerem przez ramię i ruszyli ku stojącym półkolem chat na szczycie pagórka. Na okrzyk Dietera w nieznanym języku ze wszystkich stron pojawili się Indianie, Indianki i indiańskie dzieci i stanęli w karnym milczeniu. Dieter wydał następny rozkaz i zabrali się do zajęć. Paul i Gamay ponownie wymienili spojrzenia, widząc, jak Niemiec komenderuje tubylcami.

Z największej chaty wyszła Indianka ze spuszczoną głową. W przeciwieństwie do reszty kobiet, osłoniętych jedynie przepaskami, kształtne ciało miała owinięte czerwonym, maszynowo tkanym sarongiem. Dieter mruknął coś i zniknął w chacie.

Przed chatą stał daszek ocieniający prymitywny stół i stołki zrobione z pniaków. Dieter wskazał je gościom, usiadł na jednym z nich i zdjął słomkowy kapelusz. Otarł spoconą głowę chustką i rzucił w otwarte drzwi chaty rozkaz.

Wyszła z niej Indianka, niosąc na tacy trzy kubki zrobione z kawałków wydrążonych konarów drzew. Postawiła je i, nie podnosząc głowy, z szacunkiem stanęła kilka kroków dalej.

- Za nową znajomość - powiedział gospodarz, energicznie wznosząc kubek, w którymś coś wyraźnie zastukało. - Tak jest - potwierdził. - Ten przemiły stukot wydają kostki lodu. Dzięki cudom współczesnej nauki mam tu przenośny zamrażalnik na benzynę i nie muszę żyć tak, jak ci

brązowoskórzy potomkowie Adama i Ewy.

Jednym haustem opróżnił kubek do połowy.

Troutowie łyknęli ostrożnie i stwierdzili, że trunek jest chłodny, ożywczy i mocny.

- Doktor Ramirez powiedział nam, że jest pan kupcem. Czym pan handluje? - spytała Gamay.

- Wiem, że dla postronnych ta wieś wygląda biednie, ale ci prości ludzie wytwarzają przedmioty o dużej wartości artystycznej. Pośredniczę w sprzedaży ich wyrobów do sklepów z pamiątkami.

Bijąca w oczy nędza panująca w wiosce świadczyła, że pośrednik przejmuje lwią część pieniędzy. Gamay rozejrzała się ostentacyjnie.

- Podobno jest pan żonaty - powiedziała. - Pańska żona gdzieś wyjechała?

Paul uśmiechnął się pod osłoną kubka. Gamay doskonale wiedziała, że żoną Dietera jest stojąca obok Indianka, ale nie podobało jej się to, w jaki sposób ją traktuje.

- To jest Tessa - mruknął Niemiec, przywołując kobietę.

Gamay wstała i wyciągnęła do niej rękę. Zaskoczona Indianka po chwili wahania uściśniła jej dłoń.

- Miło mi cię poznać, Tesso. Mam na imię Gamay, a to jest mój mąż, Paul.

Po smagłej twarzy Indianki przemknął cień uśmiechu. Wyczuwając, że jeżeli przeciągnie strunę, Dieter odpłaci się za to Tessie, Gamay skinęła jej głową i usiadła. Tessa wycofała się na poprzednie miejsce.

- A teraz, skoro zaspokoilem ciekawość państwa... - rzekł Dieter, szerokim uśmiechem pokrywając irytację - czy wolno spytać o cel waszej forsownej wycieczki?

Paul pochylił się nad stołem i spojrzał na niego jak spoza okularów.

- Jesteśmy tu w związku z martwym Indianinem, którego piroga przybiła do brzegu w górze rzeki.

Dieter rozłożył ręce.

- Dżungla jest niebezpieczna, a jej mieszkańcy jeszcze niedawno byli całkiem dzicy. To przykre, ale martwy Indianin nikogo tu nie dziwi.

- Ten tak - odparł Paul. - Ktoś go zastrzelił.

- Zastrzelił?!

- Co więcej, należał do plemienia Chulo.

- W takim razie sprawa jest poważna. - Dieter wstrząsnął się. - Wszystko, co ma związek z ludźmi-duchami, wróży kłopoty.

- Doktor Ramirez wspomniał, że na czele tego plemienia stoi kobieta - powiedziała Gamay.

- O, a więc słyszeliście państwo te legendy. Bardzo barwne, nieprawdaż? Oczywiście, że słyszałem o tej mitycznej bogini-przywódczyni, ale nie miałem przyjemności jej poznać.

- Zetknął się pan może z członkami tego plemienia? - spytała.

- Nie, ale krążą opowieści...

- Jakie, panie von Hoffman?

- Że Chulo żyją poza Ręką Boga. Tak tubylcy nazywają Wielki Wodospad, który znajduje się niedaleko stąd. Według nich, przypomina on pięć palców. Ci, którzy za bardzo się do nich zbliżyli, przepadli jak kamień w wodzie.

- Powiedział pan, że dżungla jest niebezpieczna.

- Owszem, mogły ich rozszarpać zwierzęta lub pokąsać jadowite węże. Albo też po prostu zabłądzili.

- A co z ludźmi którzy nie są tubylcami?

- Czasem pojawiają się tutaj. Ugaszczam ich w miarę skromnych możliwości, dzielę się wiedzą o tych terenach, no i, co najważniejsze, ostrzegam przed zapuszczeniem się na tereny Chulo. - Zrobił

gest, jakby umywał ręce. - Trzy ekspedycje nie posłuchały moich rad i słuch po nich zaginął. Oczywiście powiadomiłem władze, ale one dobrze wiedzą, że jak kogoś wchłonęła dżungla już się go nie znajdzie.

- Czy któraś z tych grup poszukiwała roślin, które można zastosować w leczeniu? - spytał Paul.

- O ile wiem, przyjeżdżali tu w poszukiwaniu leków, kauczuku, drewna, skarbów i zaginionych miast. Niewielu z tych wędrowców zdradza swoje sekrety. A ja o nic nie pytam.

W tym momencie Tessa bez słowa uniosła rękę i wskazała niebo. Kiedy Dieter dostrzegł ów dziwny gest i pytające miny Troutów, twarz mu skamieniała, lecz po chwili pojawił się na niej obłudny uśmiech.

- Na Tessie, jak państwo widzą, największe wrażenie zrobiła grupa poszukiwaczy nowych gatunków, która niedawno tędy wędrowała. Do przelotu nad zwartą dżunglą używali małego sterowca. Na tubylcach, a także, muszę przyznać, na mnie maszyna ta zrobiła wielkie wrażenie.

- Co to za ludzie? - spytała Gamay.

- Wiem tylko tyle, że reprezentowali jakąś firmę francuską. Wiecie przecież, jak skryci są Francuzi.

- I co się z nimi stało?

- Nie mam zielonego pojęcia. Może schwytali ich i zjedli Chulo? - Dieter zaśmiał się głośno na tę myśl. - Przypomina mi to o celu waszej wizyty. Jestem państwu bardzo wdzięczny za ostrzeżenie. Poznaliście niebezpieczeństwa, które tu czyhają. Wracajcie jak najprędzej do doktora Ramireza i podziękujecie mu za troskę o mnie.

Gamay spojrzała na niskie już słońce. Wiedziała, tak jak i Paul, że w tropikach opada ono za horyzont z prędkością gilotyny.

- Chyba już za późno, by płynąć dziś z powrotem. Jak myślisz, Paul? - zagadnęła męża.

- Nocna żegluga po tej rzece byłaby ryzykowna - odparł.

Dieter von Hoffman zmarszczył brwi, lecz widząc, że nic nie wskóra, rzekł z uśmiechem:

- W takim razie was ugoszczę. A jutro z samego rana, po dobrze przespanej nocy, wyruszyście w drogę.

Gamay słuchała go jednym uchem. Wpatrująca się w nią szeroko rozwartymi oczami Tessa ledwie dostrzegalnie kręciła głową. Paul też to zauważył.

Podziękowawszy Dieterowi za orzeźwiający napój i propozycję noclegu, oznajmili, że chcą zabrać z łodzi sprzęt. Kiedy szli w stronę rzeki, tubylcy pierzchali w popłochu jakby czując oddziaływanie jakiejś, niewidzialnej siły.

Gamay udała, że sprawdza olej w silniku.

- Zauważyłeś gesty Tessy? - spytała męża. - Ostrzegają nas.

- W jej oczach był nieklamany strach - odparł Paul.

- Co powinniśmy zrobić?

- Nie mamy wielkiego wyboru. Nie palę się do spędzenia nocy w tej kolonii karnej, ale żegluga tą rzeką po ciemku byłaby szaleństwem. Masz jakieś propozycje?

- Mam - odparła Gamay, obserwując w zapadającym zmierzchu przelatującego nad rzeką nietoperza wielkości orła. - Proponuję, żebyśmy kolejno czuwali.

Płynący przez turkusowe wody zatoki z tyłu miniłodzi podwodnej Austin zastanawiał się, jak filmujący wędrówkę wielorybów operator “National Geographic” zareagowałby, gdyby w kadrze pojawił mu się nagle taki obiekt. Usadowiony na zewnątrz wehikułu niczym na dodatkowym tylnym siedzeniu starego wozu sportowego widział podświetlony na niebiesko przez ekran komputera zarys głowy i ramion Joego.

- Jaka tam pogoda, kapitanie? - zatrzeszczał mu w słuchawkach telefonu podwodnego metaliczny głos Zavali.

Austin zapukał w kopułę i wskazał gestem, że wszystko w porządku.

- Stokroć lepiej jechać tu, na cycku, niż zapychać w pław - odparł.

Zavala zaśmiał się.

- Contos ucieszy się.

Kapitan “Żaboryby” promieniał z dumy, pokazując Austinowi spoczywającą na kołysce nową łódź. Eksperymentalna łódka podwodna była zdumiewająco małym i sprawnym pojazdem. Sternik siedział w suchej miniaturowej kabinie ciśnieniowej niczym kierowca wyścigowy, z nogami wsuniętymi w długi, dwu i półmetrowy kadłub. Po jej bokach znajdowały się pływaki, a z tyłu zbiorniki z powietrzem i cztery pędniki.

- A niech mnie! - Austin przeciągnął palcami po przezroczystej bańce kabiny. - Ta łódka przypomina wyglądem wielki but.

- Próbowałem wam załatwić “Czerwony Październik”, ale pływa nim Sean Connery - odparł Contos.

Austin nic na to nie odpowiedział. Nie chciał peszyć Contosa wyjaśnianiem, że wie o testach miniłodzi w Kalifornii, gdzie zmontowano jej najważniejsze elementy. I że zbudowano ją na jego zlecenie dla ekipy do zadań specjalnych, a autorem projektu był Zavala. NUMA dysponowała szybszymi jednostkami, które zanurzały się głębiej, on jednak pragnął mieć pojazd przenośny, który łatwo przewieźć helikopterem i statkiem. Zaznaczył też, że musi być skromny, by nie rzucał się w oczy. Zatwierdził jego plany, ale w gotowej postaci widział go po raz pierwszy.

Zavala, świetny inżynier morski, kierował budową wielu morskich pojazdów załogowych i bezzałogowych. Wzorował się na “DeepWorkerze”, komercyjnej miniłodzi podwodnej, projektu Phila Nuytena z Wypraw Głębokowodnych Zegrahma, firmy organizującej wycieczki podmorskie. Joe zwiększył zasięg i moc łodzi i wyposażył ją w skomplikowane funkcje badawcze. Twierdził, że za pomocą jej przyrządów można określić, z jakiej rzeki lub lodowca pochodzi dana kropla wody w oceanie.

Na cześć swojej poprzedniczki i z racji przeznaczenia łódkę nazwano “DeepSee”. Ponieważ jednak admirałowi Sandeckerowi przypominała robocze buty z cholewką, w których chodził za młodu, przyłgnęła do niej nowa nazwa - “Bucior”.

Statek NUMA odpłynął z San Diego na południe, ku wodom meksykańskim, trzymając się z dala od lądu. Nieopodal Ensenady “Żaboryba” podpłynęła bliżej brzegu i niebawem, mijając po drodze kilka statków rybackich i dwa wycieczkowe, znalazła się niespełna kilometr od wejścia do zatoczki, którą Austin i Zavala obejrzeliby wcześniej dokładnie z lądu. Austin przeszukał silną lornetką dzikie

urwiska i przyjrzał się zapleczu wytwórni tortilli. Wszystko wyglądało jak najnormalniej. Duże tablice z obu stron laguny ostrzegały przed niebezpiecznymi podwodnymi skałami, a wejście do niej zastawione było bojami.

“Żaboryba” minęła lagunę i wpłynęła do wąskiej zatoczki. Gdy rzucono kotwicę, Zavała wsunął się do miniłodzi i po raz ostatni wszystko sprawdził. Po zamknięciu kopuły wodoszczelną kabinę napowietrzył jej własny system. Zavała ubrał się wygodnie w szorty i nową, fioletową koszulkę z tawerny Hussonga.

Austin, którego czekało zanurzenie się w wodzie, miał na sobie skafander płetwonurka i dodatkową butlę z tlenem. Wdrapawszy się na tył “Buciora”, postawił nogi w płetwach na pływakach i przypiął się pasami bezpieczeństwa. Kopułę szczelnie zamknęto. Na jego znak dźwigi uniosł łódź w górę i opuścił do morza. Austin odpiął przytrzymujące liny i zasygnalizował Zawali, że może się zanurzyć. Kilka sekund potem w ławicy bąbelków zagłębili się w morzu.

Napędzane bateriami silniki ożyły z ostrym szumem i Zavała skierował swój pojazd na otwarte morze. Opłynąwszy cypel najeżony mokrymi skałami, skręcili ku wlotowi laguny. Trzymali się głębokości dziesięciu metrów i płynęli z bezpieczną szybkością pięć węzłów, korzystając z obserwacji Austina i wskazań przyrządów pokładowych. Austin trzymał głowę nisko, aby zmniejszyć opór wody. Cieszył się z tej wyprawy, zwłaszcza podobały mu się ławice barwnych ryb, pierzchających przed nimi jak konfetti gnane wiatrem.

Ich obecność świadczyła, że woda w lagunie nie zagraża żywym stworzeniom. Dobrze pamiętał, że jakieś nieznanne siły uśmierciły całe stado wielkich zwierząt, wytrzymalszych i lepiej dostosowanych do morskiego środowiska niż słabowity człowiek. Wprawdzie czujniki w poszyciu łodzi automatycznie analizowały wodę wokół niej, ale zanim by się dowiedział, że warunki zagrażają życiu, mogłoby być za późno.

- Zbliżamy się do wlotu laguny. Przepłyniemy przez sam środek - poinformował Zavała. - Dużo miejsca po obu stronach. Z prawej burty lina cumownicza boi ostrzegawczej.

Austin obrócił się w prawo i dostrzegł cienką czarną linię biegnącą od powierzchni na dno.

- Widzę. Zauważyłeś coś dziwnego?

- Owszem - odparł Zavała, kiedy mijali boję. - Pod tą boją nie ma skał.

- Założę się o butelkę cuervo, że wszystkie inne ostrzeżenia też są lipne.

- Nie przyjmuję takiego zakładu. Ktoś chce odstraszyć stąd ludzi. To oczywiste. Jak ci się prowadzi tę bryczkę?

- Przeszkadza fala powrotna z laguny, ale to i tak łatwiejsze niż jazda po obwodnicy - odparł Zavała, mając na myśli autostradę, w sensie geograficznym i politycznym oddzielającą Waszyngton od reszty kraju. - Prowadzi się ją... oho!

- Co się stało?

- Sonar wykrył liczne obiekty. Całe mnóstwo. Pięćdziesiąt metrów w linii prostej.

Uśpiony dotychczasowym niezmaconym spokojem tej wyprawy, Austin wyobraził sobie czyhający na nich w zasadzce kordon podwodnych strażników.

- Nurkowie? - spytał.

- Sygnały są za słabe. Prawie żadnego ruchu.

Austin wyteżył wzrok, próbując dostrzec coś poprzez niebieską wodę.

- Jaką maksymalną prędkość rozwinie “Bucior”, gdybyśmy musieli stąd wiać? - spytał przewidująco.

- Siedem węzłów. Przeznaczono go raczej do poruszania się w pionie niż w poziomie, a poza tym wiezie dodatkowo dziewięćdziesiąt parę kilo żywej wagi.

- Po powrocie zaczę się odchudzać - odparł Austin. - Płyn bardzo wolno, ale bądź gotów ruszyć z kopyta.

Niebawem w wodzie ukazało się wiele ciemnych przedmiotów, wypełniających przestrzeń pomiędzy dnem a powierzchnią laguny, tworzących jakby wielki mur.

Siatka!

- Wygląda na sieć - poinformował Austin. - Zatrzymaj się, zanim utkniemy.

“Bucior” zwolnił, zatrzymał się i zawisł w wodzie.

Austin odruchowo wtulił głowę w ramiona, bo w górze za jego plecami prześlizgnęła się opływowa sylwetka. Rekin zabawił tam tylko chwilę, ale wystarczająco długo, by Austin dostrzegł jego okrągłe białe oko i ocenił, że głodny drapieżnik ma ze dwa metry. Rekin otworzył zębatą paszczę, chwycił rzucającą się rybę i zniknął mu z oczu.

Zawała też to widział.

- W porządku, Kurt?! - zawołał.

Austin zaśmiał się.

- Tak. Spokojna głowa - odparł. - Ten bydlak nie miał ochoty na łykowatego faceta, mając pod nosem bufet z daniami rybnymi.

- Dobrze, że to mówisz, bo zaprosił na obiad kilku znajomków.

Pojawiły się następne rekiny, które po pochwyceniu zdobyczy, nie zbliżając się do łodzi podwodnej, szybko odpłynęły. Przypominało to biesiadę wyrafinowanych smakoszy, wybierających najsmaczniejsze dania a la carte. W gęstą sieć wpadły setki ryb, najprzeróżniejszych gatunków, rozmiarów i kształtów. Część z nich żyła, daremnie próbując się uwolnić i ściągając tym na siebie uwagę rekinów. Z innych pozostały tylko łby, lub szkielety.

- O tę sieć nikt nie dba - stwierdził Austin.

- Może postawiono ją dla ochrony przed takimi wścibskimi typami jak my.

- Wątpię - odparł po zastanowieniu Austin. - Sieć jest ze sztucznego włókna. Można przeciąć ją cążkami do paznokci. Brak przewodu elektrycznego, więc chyba nie ma instalacji alarmowej.

- Nie rozumiem tego.

- Zastanówmy się. Coś z tej laguny zabiło stado wielorybów. Gdyby miejscowi zobaczyli setki martwych ryb, zaczęliby zadawać pytania. Ci od tortilli nie lubią zwracać na siebie uwagi. Tak więc, żeby zapobiec wypływowi stąd martwych ryb, założyli sieć.

- To ma sens - przyznał Zawała. - Co robimy?

- Płyniemy dalej.

Palce Zawali zatańczyły po ekranie komputera kontrolującego funkcje łodzi. Z “Buciora” wysunęły się dwa teleskopowe mechaniczne ramiona, zatrzymały się o centymetry od sieci, po czym uchwyciły ją szczypcami i rozdarły takim ruchem, jakim aktor rozsuwa kurtynę. W tej samej chwili we wszystkie strony popłynęły szczątki ryb w różnym stopniu rozkładu.

Wykonawszy zadanie, Zawała cofnął metalowe ramiona na miejsce, dodał gazu i wraz z siedzącym nadal z tyłu łodzi Austinem przez dziurę w sieci wpłynął do laguny. Dotychczasowa dziesięciometrowa widzialność zmniejszyło o połowę tysiące drobin wodorostów, posiekanych po wpadnięciu do zatoki przez ostre jak brzytwa skały. Łódź zwolniła tempo do spacerowego, a Zawała poruszał się po omacku, jak niewidomy z białą laską. Wielką konstrukcję, nad którą się znaleźli, zobaczyli w ostatniej chwili. “Bucior” ponownie się zatrzymał.

- Co to jest? - spytał Zawała.

Przesączone przez powierzchnię wody przyćmione światło oświetlało ogromną budowlę. Austin oceniał, że ma ona ze sto metrów szerokości i około dziesięciu wysokości. Jej zwężone końce

przypominały duże metalowe soczewki, a wspierała się na czterech grubych metalowych nogach, umocowanych w kesonach, zagłębionych w morskim dnie.

- Wygląda jak zatopione UFO - rzekł zdziwiony Austin. - Tak czy owak przyjrzyjmy się temu bliżej.

Instruowany przez niego Zavala skierował łódź wzdłuż krawędzi budowli, najdalej, jak się dało, po czym cofnął się i opłynął ją z drugiej strony. Stanowiła idealne koło.

- Coś takiego! - zawołał. - Termometry wskazują podwyższoną temperaturę wody!

- Czuję to przez kombinezon. Ktoś podkręcił termę.

- Według przyrządów, ciepło idzie od tych słupów. A więc służą nie tylko za wsporniki, są również przewodami. Na razie nie ma niebezpieczeństwa!

- Zatrzymaj swój wehikuł, a ja zbadam to z bliska.

Miniłódź opadła lekko na dno i spoczęła na pływakach. Austin rozpiął uprząż i rozstając się z Zavalą polecił mu, by za kwadrans włączył stroboskopowe światło pozycyjne.

Podpłynął do dysku, a po chwili znalazł się nad nim. Z wyjątkiem okrągłego świetlika resztę dziwnej konstrukcji wykonano z metalu pomalowanego na zgaszony, zielony kolor, trudno dostrzegalny z powierzchni morza. Austin przez świetlik ostrożnie zajrzał do środka.

W dole dostrzegł sieć rur i maszyn. W wielkim dobrze oświetlonym pomieszczeniu kręciło się wielu ludzi w białych fartuchach. Nie znajdował odpowiedzi na pytanie, do czego służy ta aparatura i dlaczego spuszcza się z niej gorącą wodę. Odpiął od pasa wodoszczelną kamerę wideo i sfilmował scenę w dole. Zadowolony z siebie, postanowił nakręcić plan ogólny. Wzniósł się ponad dysk i wtedy kątem oka dostrzegł ruch.

Od lśniącej powierzchni wody zaczęła zjeżdżać w dół jajowata winda, którą opisał mu Zavala. Zsunęła się po szynie i zniknęła w okrągłym luku w dachu podwodnej konstrukcji tuż przy skalnej ścianie. Austin powrócił do filmowania, lecz zaraz przerwał mu to Joe.

- Szybko wracaj! Temperatura wody gwałtownie rośnie! - ostrzegł go wyraźnie nagłym tonem. - Ruszaj!

Austin zaczął młócić nogami wodę, starając się płynąć jak najszybciej. Robiło się gorąco. Pocać się w kombinezonie, Austin poprzysiągł sobie, że już nigdy w życiu nie ugotuje langusty.

- Prędkiej! - ponaglił go Zavala.

W wodnym mroku rozbłysła srebrna latarnia "Bucior". Austin sięgnął do stroboskopowej latarki przy kamizelce wypornościowej i włączył ją. "Bucior" ruszył mu na spotkanie. Zrobiło się jeszcze goręcej. Austin chwycił się płynącej łodzi, wgramolił na jej tył i zapiął sprzączkę uprząży. "Bucior" natychmiast zawrócił i przy akompaniamencie jazgoczących, pracujących na najwyższych obrotach silników skierował się do wylotu laguny.

- Coś jest nie tak, Kurt! - ostrzegł Zavala. - Tam w środku włączył się alarm.

Chwilę potem Austin usłyszał głośny, huk. Obejrzał się i zobaczył, że podwodna budowla wybuchła, zamieniając się w kulę ognia. W tym piekle w jednej chwili spłonęły wszystkie żywe istoty, które były w środku. Rurami w górę wystrzelił przegrzany gaz i wpadł do wytwórni tortilli, na szczęście pustej, bo była niedziela. "Bucior" miał mniej szczęścia. Pochwycony przez falę uderzeniową, wywinął kozła.

Wczepiony w niego kurczowo Austin miał wrażenie, że kopnął go olbrzymi niewidzialny muł. Paski uprząży puściły i poleciał do przodu, rozpaczliwie młóćąc rękami i nogami w gmatwaniu przewodów powietrza. Gdyby nie rozciągnięta w poprzek ujścia laguny siatka, to koziołkując w nieskończoność doleciałby pewnie na środek Pacyfiku. Uderzył w nią, na szczęście stopami, bo gdyby rąbnął głową, złamałby kark. Sieć ugięła się, zadziałała niczym sprężyna, i wystrzelił jak

kamień z procy.

Prosto pod nadpływającą miniłódź.

Jej kopała była rozwalona, a kabina pusta. Widząc, że pędzi na niego “Bucior”, Austin przyciągnął kolana do piersi i mocno ścisnął je rękami. Już myślał, że skończy jak owad rozgnieciony na przedniej szybie samochodu, gdy wtem łódź lekko podskoczyła i przeszła tuż nad nim. Pływak boleśnie otarł mu się o ramię, a potem uderzyły w niego wtórne fale wywołane szeregiem mniejszych eksplozji, które skierowały go w ślad za łodzią. Tym razem nic go nie mogło zatrzymać, bo “Bucior” przebił się przez sieć.

Austin instynktownie pochwycił przewód, zacisnął zęby na ustniku i wciągnął potężny łyk powietrza. Aparat tlenowy działał. Szkło maski było popękane, bo przewody tlenowe uderzyły w nią z wielką siłą. Dobrze, że nie bezpośrednio w twarz. Zdarł z głowy bezużyteczną maskę.

Należało jak najszybciej wypłynąć na powierzchnię, ale nie mógł zostawić Zawali. Obrócił się wokół własnej osi. Bez maski widział niewyraźnie, lecz po chwili dojrzał majaczącą fioletową plamę i popłynął ku niej. Zawała unosił się metr od dna. Z jego ust wydobywały się bąbelki.

Austin przysunął do twarzy Joego przewód z tlenem. Nie mając pewności, czy wetknął mu go w usta, bo gonił resztkami sił, a mózg zalewała mu czarna fala, sięgnął w dół, odpiął pas obciążający i szarpnął zawór kamizelki wypornościowej. Miał wrażenie, że znów coś wybuchło. A potem stracił przytomność.

Paul Trout stał nieruchomo w drzwiach chaty, obserwując i nasłuchując. Od wielu godzin pełnił wartę, wpatrując się w ciemność, wyostrozonymi zmysłami łowiąc wszelkie zmiany w rytmach nocy. Patrzył, jak kończy się dzień, a cienie mieszają się z półmrokiem wokół tłących się ognisk. Ostatni tubylcy poznikali w chatach jak milczące ponure duchy i w wiosce zapadła cisza, przzerwana na krótko stłumionym płaczem dziecka. Nie było to w żadnym razie miłe i bezpieczne miejsce. Paul miał wrażenie, że trafili do szpitala dla ofiar zarazy.

Dieter wyrzucił z sąsiedniej chaty zamieszkującą tam indiańską rodzinę i szerokim gestem, niczym portier w Ritzu, zaprosił Paula i Gamay do środka.

Przez ściany z trawy do ciemnego wnętrza przesączały się pasemka światła. W ciasnym pomieszczeniu bez podłogi było bardzo duszno. Na wspierających konstrukcję palach wisiały dwa hamaki, a umeblowanie składało się z dwóch prymitywnych zydl i wspartej na pieńkach deski do krojenia. Ale to nie duchota i prymitywne warunki przeszkadzały Paulowi. Dręczyło go poczucie, że znaleźli się w pułapce.

Zwyczajem przejętym od swojego ojca, rybaka z Cape Cod, pociągnął nosem. Wyobraził sobie, jak w ciemnościach przed świtem ojciec idzie na koniec mola, wietrząc nosem niczym stary pies myśliwski. "Idealnie, kapitanie - mówił zwykle. - Płynmy na łów". Ale były też dni, kiedy marszczył nos i bez słowa szedł do baru. W niezwykły nos starszego Trouta przestano wątpić, kiedy pewnego pięknego ranka został w porcie, a sześciu rybaków straciło życie w niezapowiedzianym sztormie. Po tym fakcie ojciec wyjaśnił, że tego dnia źle mu pachniało.

Paul, choć daleko od morza, w sercu wenezuelskiej tropikalnej dżungli odczuwał to samo. Było tu za spokojnie. Żadnych głosów, pokasywania, nic, co wskazywałoby, że żyją tu ludzie. Wcześniej, korzystając z resztek światła, utrwalił w swej niemal fotograficznej pamięci wszystkie szczegóły wioski. Miał wrażenie, że jej mieszkańcy zniknęli bezgłośnie w nocy. Cofnął się od wejścia i pochylił się nad nieruchomą postacią w hamaku. Gamay uniosła rękę i leciutko dotknęła palcami jego twarzy.

- Nie śpię - powiedziała. - Myślę.

- O czym?

Usiadła i spuściła nogi na ziemię.

- Nie ufam naszemu Latającemu Holendrowi.

- Ja też. Myślę, że ktoś nas obserwuje. - Paul zerknął w stronę wejścia. - Ta chata przypomina mi pułapkę na langusty. Z wejściem, lecz bez wyjścia, chyba że do garnka. Proponuję, żebyśmy zanocowali na łodzi.

- Niechętnie rozstanę się z tymi luksusami, ale trudno, jestem gotowa. Jedno pytanie. Którędy się przekradniemy, skoro nas obserwują?

- Kuchennymi drzwiami.

- Jakoś ich tu nie zauważyłam.

- Widać nie słyszałaś o jankeskiej pomysłowości - odparł z zadowoloną miną Paul. - Stań na czatach, a ja wszystko zorganizuję.

Z pochwy przy pasie wyjął nóż myśliwski, poszedł na tył chaty, klęknął, wsunął

dwudziestocentymetrowe ostrze w ścianę i zabrał się do cięcia. Ledwie słyhać było jakiś odgłos, ale dla bezpieczeństwa skoordynował je z krzykami nieznanego leśnego zwierzęcia, hałasującego tak głośno, jakby piłowano metal. Po kilku minutach wyciął w tylnej ścianie prostokątny otwór o powierzchni ponad pół metra kwadratowego. Wrócił po Gamay i zaprowadził ją tam. Wystawiła głowę przez otwór, a kiedy upewniła się, że nic jej nie grozi, wyszła na zewnątrz. Sekundę potem przez otwór przecisnęła się zbudowany jak koszykarz Paul.

Stali obok siebie za chatą, wsłuchując się w symfonię bzyczeń i nawoływań owadów i ptaków. Wcześniej Gamay wypatrzyła ścieżkę prowadzącą od chat nad rzekę. Ruszyła pierwsza słabo widocznym, mocno ubitym szlakiem i niebawem zostawili za sobą wieś. Poczuli woń butwiejącej rzecznej roślinności. Ścieżka wiodła do ogrodów, które widzieli z rzeki za dnia. Poszli wzdłuż błotnistego brzegu i po kilku minutach dojrzelizarys łodzi. Zatrzymali się na wypadek, gdyby Dieter nakazał komuś obserwować rzekę. Paul wrzucił do wody kamień ale plusk nikogo nie wywabił z ukrycia.

Wsiedli do ślizgacza i przygotowali go do odpłynięcia o pierwszym brzasku. Paul położył sobie pod głowę kamizelkę ratunkową i rozciągnął się na pokładzie, a Gamay usadowiła się na fotelu, obejmując wartość. Paul wkrótce zapadł w drzemkę. Na początku z powodu upału i brzęczących owadów spał niespokojnie, ale w końcu zmęczenie wzięło górę i zasnął głęboko. W pewnej chwili usłyszał przez sen głos żony, która wołała go po imieniu skądś z daleka, i przez powieki poczuł światło. Zamrugał oczyma i zobaczył Gamay - siedziała w tym samym miejscu, a jej twarz zniekształcał żółty, pełgający blask.

Przy burcie ślizgacza stały trzy łodzie. Pirogi z groźnie wyglądającymi Indianami, uzbrojonymi w ostre jak brzytwa oszczepy i maczety. Płomienie pochodni, które trzymali w wolnych rękach, oświetlały ich przyozdobione jaskrawą czerwienią brązowe ciała i twarze. Czarne włosy sięgały im do linii wyskubanych brwi. Mieli przepaski na biodra, ale jeden nosił na głowie baseballówkę New York Yankees. Przyjrzawszy się strzelbie w jego w rękach, Paul pomyślał, że to jeszcze jeden powód, by nie lubić tej drużyny.

- Cześć - powiedział z uśmiechem.

Indianie nawet nie drgnęli. Ten ze strzelbą dał jemu i Gamay znak, by wysiedli. Na brzegu natychmiast obstąpili ich Indianie. Kibic Yankees wskazał strzelbą w kierunku wsi i otaczający Troutów orszak z pochodniami zaczął się wspinać po stoku.

- Przepraszam, Paul - szepnęła Gamay. - Ale wyrosli jak spod ziemi.

- Nie twoja wina. Zagrozenia spodziewalem się wyłącznie z lądu.

- Ja też. Ale po co się do nich uśmiechnałeś?

- Nic innego nie przyszło mi do głowy.

- Dieter jest chyba sprytniejszy niż myśleliśmy - powiedziała z żalem.

- Wątpię. Spójrz!

Na polanie przed chatami w świetle pochodni zobaczyli Dietera, bardzo bladego i wystraszonego. Nie bez powodu. Otaczający go Indianie, trzymali groty oszczepów o centymetry od jego wydatnego brzucha. Po twarzy Niemca spływał pot, którego nie mógł otrzeć, bo trzymał ręce podniesione do góry. A na domiar nieszczęścia w serce mierzyło mu z pistoletów dwóch białych. Ubrani jednakowo - w bawełniane spodnie, koszulki z długimi rękawami i skórzane buty - mieli szerokie, skórzane, podobne do monterskich pasy z metalowymi klamrami. Jeden był wielkim, niechlujnym, nieogolonym drabem, drugi zaś, niższy i chudszy, miał ciemne, płaskie oczy kobry. Herszt Indian podał mu colta Troutów. Niższy zimnymi oczami przyjrzał się Paulowi i Gamay i po chwili przeniósł wzrok na Niemca.

- Oto twoi kurierzy, Dieter - powiedział z francuskim akcentem. - Wciąż zaprzeczasz, że chciałeś mnie oszwabić?

Dieter jeszcze bardziej się spocił.

- Do wczoraj ich nie znałem, Victorze, jak Boga kocham! - przysiągł. - Zjawili się tu, twierdząc, że przysłał ich Ramirez. Mieli mnie ostrzec przed kłopotami w związku z rym zabitym Indianinem. - Łypnął chytrze żółtawymi oczami. - Nie uwierzyłem im. I umieściłem w chacie, żeby mieć na nich oko.

- Tak, widziałem twoje nadzwyczajne środki bezpieczeństwa - rzekł z jawnym lekceważeniem Victor. - A wy kto? - spytał Troutów.

- Ja nazywam się Paul Trout. A to moja żona Gamay. Jesteśmy naukowcami, wspólnie z doktorem Ramirezem badamy delfiny rzeczne.

- A co was sprowadza tutaj? Na tym odcinku rzeki nie ma delfinów.

- To prawda - przyznał Paul. - Ale znaleźliśmy ciało Indianina w pirodze. Ponieważ doktor Ramirez uznał, że mogą z tego wynikać kłopoty, wysłał nas, żebyśmy ostrzegli wioskę.

- Dlaczego sam nie przyjechał?

- Skręcił nogę i nie może chodzić. A poza tym chcieliśmy lepiej poznać dżunglę.

- Sprytnie. - Francuz podniósł colta. - A to wasz sprzęt naukowy?

- Nie. To własność doktora Ramirezza. Nalegał, żebyśmy go wzięli na wypadek kłopotów. I, jak się zdaje, miał rację.

Victor zaśmiał się.

- Ta opowieść jest taka głupia, że może być prawdziwa. - Przyjrzał się Gamay tak, jak tylko Francuz może taksować kobietę wzrokiem. - Gamay to niezwykle imię, francuskiego pochodzenia.

Choć w tym, co uważał za szarmanckie, dostrzegła lubieźność, nie zawahała się użyć swych kobiecych wdzięków.

- Wszyscy znani mi Francuzi już dawno by się przedstawili - zwróciła mu uwagę.

- Och, przepraszam za moje maniery. To wynik zadawania się z typami takimi jak ten *cochon*.

Dieter cofnął się, bo Victor machnął mu lufą przed nosem.

- Jestem Victor Arnaud. A to mój asystent Carlo. - Francuz wskazał na swojego kompana. - Pracujemy dla europejskiego kartelu, który zabiega o zdobycie w dżungli rzadkich substancji organicznych.

- A więc jesteście botanikami, tak jak doktor Ramirez?

- Nie - odparł Arnaud, kręcąc głową. - Dla botaników ta robota jest za trudna. Dysponujemy praktyczną znajomością biologii, ale stanowimy jedynie forpocztę, ekipę zbieraczy, która dostarczy naukowcom do analizy interesujące okazy. Botanicy wkroczą po nas, kiedy przetrzemy drogę.

- Czyli poszukujecie leków? - spytał Paul.

- Raczej przy okazji. Nie jest tajemnicą, że w tym cudownym biologicznym sezamie być może znajduje się lekarstwo na raka. Ale zasadniczo szukamy tu zapachów do perfum i olejków oraz smaków dla przemysłu spożywczego. Jeśli natrafimy na ekstrakty lecznicze, tym lepiej. Mamy pozwolenie rządu wenezuelskiego, a nasza działalność jest w pełni legalna.

Paul spojrział na wymalowanych dzikusów, na wymierzone pistolety i na twarz autentycznie przerażonego Dietera. Nawet przez chwilę nie wierzył, że ci leśni zbóje zajmują się czymś legalnym. Nie chciał zbytnią dociekliwością rozgniewać Arnauda, ale brak ciekawości z jego strony też byłby podejrzany.

- Pozwolę sobie zauważyć, że jak na ekipę naukową, jesteście bardzo dobrze uzbrojeni - powiedział.

- Oczywiście - odparł Arnaud. - Obawy Ramireza są uzasadnione. Ta dżungla jest niebezpieczna. Na własne oczy widzieliście trupa. - Uśmiechnęli się ironicznie. - Na pewno zadajecie sobie pytanie, co nas łączy z tą nędzną kreaturą - rzekł, wskazując na Dietera. - Użyczył nam Indian z tej wioski do pomocy w poszukiwaniu okazów flory. Znają ten las jak nikt. Dodam, że hojnie mu płacimy.

- Widzę jednak, że chcecie zwolnić pana von Hoffmana z pracy - powiedział z uśmiechem Paul.

- Mamy powód. Nawet jeśli rzeczywiście, tak jak twierdzicie, nie jesteście kurierami, nie zmienia to faktu, że Dieter chciał nas okraść. Szukaliśmy ogromnie cennej rośliny, która dla przemysłu farmaceutycznego, spożywczego i perfumeryjnego może być warta miliony albo nawet miliardy. Jest cudowna. Próbki zawieziemy do Europy do analizy. Tubylcy używają jej od dziesiątków lat, choć, niestety, nie do perfumowania się.

- No to, już po waszych kłopotach - wtrąciła Gamay. - Macie i Dietera, i okazy.

- Chciałbym, żeby to było takie proste - odparł z irytacją Arnaud. - Owszem, mamy tę świnię, ale nasze cenne roślinne próbki gdzieś zniknęły.

- Nie rozumiem.

- O tej zadziwiającej roślinie dowiedzieliśmy się od tubylców, ale żaden nie potrafił jej znaleźć. Rozszerzyliśmy więc znacznie pierwotny teren poszukiwań o nieoznaczone na mapie części dżungli. I tam właśnie napotkaliśmy Indianina, którego później znaleźliście martwego. Miał przy sobie próbki tej rośliny. Chcieliśmy mu zapłacić za pokazanie nam, skąd je wziął, ale odmówił. Ugościliśmy go więc, licząc, że zmieni zdanie.

Paul przypomniał sobie pręgi na ciele zabitego.

- A kiedy nie powiedział, zabiliście go? - spytał.

- O nie, to nieprawda. Za goszczenie go i pilnowanie okazów odpowiadał Dieter. Ale któreś nocy zalał się i tamten Indianin uciekł. Doszliśmy do wniosku, że odpłynął z okazami. A jeżeli tak, to musiał je mieć przy sobie, gdy go znaleźliście.

- Jak wyglądały?

- Nie rzucały się w oczy. Małe listki z czerwonymi żyłkami, którym zawdzięczają miejscową nazwę "krwawe liście".

- Przejrzeliśmy zawartość torby tego Indianina - powiedział Paul. - Miał woreczek z leczniczymi ziołami, nie było tam takich liści.

- Otóż to. - Arnaud spojrzał z pogardą na Dietera. - Powiedziałeś, że Indianin uciekł z tą rośliną. Więc kto kłamie?

- Nie wiem, o czym oni mówią - odparł Dieter. - Indianin zabrał torbę z całą zawartością.

- Wątpię - powiedział cicho Arnaud. - Gdyby mieli te liście, to nie wróciliby tutaj i nie zachowywaliby się tak głupio. To ty je masz. - Odbezpieczył colta. - I jeżeli nie powiesz mi, gdzie są, to cię zabiję.

- Wtedy nigdy się nie dowiesz - odparł Dieter, zdobywając się na resztki oporu. Ale źle wybrał moment. Arnaud nie był bowiem w nastroju do żartów.

- Moi wymalowani znajomkowie, bez skrupułów obedną cię ze skóry jak małpę.

- Nie twierdziłem, że ci nie powiem! - przeraził się Dieter, a jego rumiana twarz zbladła. - Zależało mi tylko na tym, żeby przedtem omówić warunki.

- No to żałuj, bo okazja na ich omówienie przepadła. Mam dość tej sprawy. Mam dość ciebie. - Arnaud przystawił pistolet do jego ust. - Mam dość twojej kłamliwej gęby.

Rozległ się ogłuszający huk i dolna część twarzy Niemca zniknęła w czerwonym rozbłysku po strzale z bliskiej odległości. Monokl wypadł mu ze zdumionego oka i Dieter runął do tyłu jak drzewo ścięte piłą.

- A co do was - rzekł Arnaud, kierując dymiącą broń w Paula - nie wiem, czy mówicie prawdę. Wyczuwam, że tak. Macie jednak pecha, że akurat odwiedziliście tę świnię. Nic do was osobiście nie mam, ale nie mogę pozwolić, żeby dowiedziano się o tym, co tu zaszło. - Ze smutkiem pokręcił głową. - Przrzekam jednak, że z pańską piękną żoną załatwię to krótko.

Paul wstrząśnięty egzekucją von Hoffmana, w lot zrozumiał, co oznacza to dla niego i Gamay. Żadnych świadków! Był chudy i flegmatyczny, co uspiło czujność przeciwników, ale w razie potrzeby potrafił działać błyskawicznie. Naprężył ramiona, gotów złapać Arnauda za przegub i powalić na ziemię.

Wiedział, że w najlepszym razie oberwie kulą, lecz Gamay być może zdoła uciec w zamieszaniu. W najgorszym razie zginą oboje.

W chwili gdy Arnaud miał nacisnąć spust, a Paul Trout szykował się do ostatecznego kroku, Indianin w baseballówce wydał z siebie dźwięk, przypominający kasznięcie. Strzelba wypadła mu z rąk i z przerażeniem wpatrywał się w sterczącą mu z piersi długą strzałę. Zrobił ruch, żeby ją wyrwać, ale z rany trysła krew i zwałił się, skurczony, obok Dietera.

- Chulo! - wrzasnął inny Indianin i w tej samej chwili powaliła go wielka strzała.

- Chulo! Chulo! - podchwycili w przerażeniu jego towarzysze.

Skądś dobiegło dziwne zawodzące wycie i w krzakach pokazało się upiorne niebiesko-białe oblicze. Potem następne i niebawem zaroiło się od przypominających maski twarzy. Zaświstały strzały, powalające kolejnych Indian. Pogasty rzucone na ziemię pochodnie.

W ciemnościach i zamieszaniu Paul chwycił Gamay za rękę. Nisko pochyleni, pobiegli ku rzece chcąc jak najszybciej wsiąść do łodzi. W szaleńczym pośpiechu o mało nie przewrócili szczupłej postaci, która wyszła z cienia, zagradzając im drogę.

- Stójcie! - powiedziała stanowczo.

Była to Tessa, żona Dietera.

- Biegniemy do łodzi - odparła Gamay. - Chodź z nami.

- Nie! - Indianka wskazała na rzekę. - Patrzcie!

Na brzeg z dużych piróg wysypały się gromady Indian z niebiesko-białymi twarzami, przyświecające sobie pochodniami.

- Tędy bezpieczniej - zapewniła, pociągając Gamay za rękę.

Zaprowadziła Troutów w ciemny las. Po nogach i twarzach cięły ich krzaki i kolce. Wycie ścichło. Było tu tak gorąco i ciemno jak we wnętrzu ziemi.

- Dokąd nas prowadzisz? - spytała Gamay, zatrzymując się, żeby złapać oddech.

- Nie stawaj. Zaraz przyjdą Chulo.

I rzeczywiście, wojenne wycie znów zabrzmiało głośniejsze. Ruszyli dalej. Po kilku minutach żona Dietera przystanęła. Znajdowali się wśród zdeformowanych, grubych pni, wysokich na trzydzieści metrów drzew. Jednak ledwie widoczna w świetle księżyca z trudem przedzierającym się przez liściaste sklepienie, uniosła rękę. Troutowie zadarli głowy, ale zobaczyli jedynie ciemność, przetykaną gdzieniegdzie łatami srebrzystoszarego nocnego nieba.

Wówczas Tessa, niczym nauczycielka pracująca z ociemniałymi dziećmi, wcisnęła im do rąk coś, co przypominało w dotyku martwe węże. Grube nylonowe liny. Paul przypomniał sobie pasy Arauda i jego kompana oraz wzmiankę Dietera o sterowcu. Rozejrzał się. Tessa zniknęła.

- Wspinaj się po tej linie - zachęcił żonę. - Będę tuż za tobą.

Chwilę później znajdował się już kilka metrów nad ziemią. Głośny oddech Gamay świadczył, że jest tuż nad nim.

Raptem z dołu dobiegło ich dziwne śpiewne wycie i pojawiły się pochodnie Chulo. Wyrzucane

przez Indian w górę, zataczały łuki i opadały jak gasnące komety. Choć Paul i Gamay spodziewali się w każdej chwili, że przeszyją ich wielkie strzały, wspinali się dalej.

Wreszcie uznali, że znaleźli się poza ich zasięgiem, spojrzeli w dół i zobaczyli dwóch wspinających się po linach Indian. Oczywiście skoro były tam dwie liny, to musiało ich być więcej.

- Jestem na wierzchołku! - zawołała znad jego głowy Gamay.

Wspinając się, poczuł jej rękę, którą wyciągnęła, by pomóc mu wdrapać się na gruby konar. Stękając z wysiłku, podciągnął się w górę i natrafił dłonią na gładką, gumowatą powierzchnię. W słabym świetle księżyca, rozproszonym przez mgłę wiszącą nad drzewami, ponad liściastym baldachimem dostrzegł wielką, niczym pajęczna sieć platformę z siatki i rur. Pomyślał z podziwem, że jest to bardzo pomysłowy pomost. Nie mógł dłużej go podziwiać, bo z dołu słyszał już głośnie sapanie. Sięgnął do noża myśliwskiego, ale przypomniał sobie, że Indianie zabrali mu go wraz z coltem.

W tym momencie usłyszał wołanie Gamay, wskazującej na pękatą sylwetkę małego sterowca w górze nad nimi. Z dołu dobiegł go trzask gałęzi. Indian Chulo dzieliły od nich sekundy. Paul puścił linę, po której się wspinał, i po miękkiej siatce z pewnym trudem dotarł do liny przytrzymującej sterowiec. Chwycił ją i tak naprężył, by Gamay mogła wdrapać się do gondoli pod balonem. Po chwili dołączył do żony.

- Wiesz, jak się tym lata? - spytała.

- Nie powinniśmy mieć trudności. Wyobraź sobie, że to łódź. Po pierwsze, trzeba zwolnić cumę.

Jako dziewczyna, Gamay przepłynęła łódką Wielkie Jeziora, dlatego, choć porównanie Paula nie przekonało jej, nabrała otuchy. Szybko odwiązali resztę lin przytrzymujących sterowiec. Statek zawahał się chwilę, jakby się zastanawiał, co ma robić po czym uniósł się wolno ponad drzewa. W dole dostrzegli podskakujące cienie, które próbowały złapać zwisające liny, ale sterowiec był poza ich zasięgiem.

Pofrunęli niczym puszek mleczka, zadając sobie pytanie, czy nie wpadli z deszczu pod rynnę.

- *Senor? Senor!*

O Austin zamrugał powiekami, otworzył oczy i ujrzał siwą szczecinę i wyszczerbione zęby na uśmiechniętej twarzy meksykańskiego rybaka, którego on i Joe poznali wczoraj na skałach. Austin leżał na plecach w drewnianej łodzi, mając pod głową zwój liny. Był nadal w stroju nurka, ale sprzęt do nurkowania przepadł. Podźwignął się na rękach, co przyszło mu z dużym trudem, ponieważ bolały go stawy, a poza tym leżał na stosie śliskich ryb.

Na rufie łodzi siedział drugi rybak, bardzo podobny do pierwszego, również z brakami w uzębieniu, który doglądał Zavali. Zwykle porządnie uczesane włosy Joego rozsypały się na wszystkie strony, a z jego szortów i koszulki ściekała woda. Był oszołomiony, ale przytomny.

- Żyjesz?! - zawołał Austin.

Na podbrzusze Zavali skoczyła ryba. Ostrożnie wziął ją za ogon i dorzucił do reszty.

- Kości mam całe - odparł. - Już wiem, co czuje człowiek wystrzelony z armaty. A co z tobą?

- Boli mnie tu i tam. - Austin rozmasował pulsujące mięśnie ramienia, a potem zabrał się za nogi.

- Mam wrażenie, jakbym przeszedł przez myjnię samochodów, a w uszach ciągle dzwonił mi telefon.

- Twój głos nadal słyszę jak spod wody. Czy wiesz, co się stało? Płynąłem po ciebie "Buciolem", kiedy nagle rozpętało się piekło.

- Nastąpił wybuch - odparł Austin, patrząc na gładkie jak lustro morze.

Łódź stała zakotwiczona przy wlocie laguny. "Żaboryby" nie było w zasięgu wzroku. Austin nie mógł pojąć dlaczego. Contos i załoga z pewnością słyszeli eksplozję. Czemu nie podpłynęli, żeby zbadać jej przyczynę?

- Możesz spytać ich, skąd wzięliśmy się tutaj?

Zavala zadał rybakom pytania po hiszpańsku. Gdy jeden z nich odpowiadał, drugi zgodnie kiwał głową. Wreszcie Zavala podziękował mu i zwrócił się do Austina.

- Na imię ma Juan - powiedział. - Pamięta, że spotkał nas na urwisku. Ten drugi to jego brat Pedro. Łowili ryby w tej zatoczce. Nagle usłyszeli zduszony grzmot, bulgot wody i zobaczyli pianę.

- *Si, si, la bufadora* - potwierdził Juan i wyrzucił ręce w górę w geście dyrygenta orkiestry nakazującego grać *crescendo*.

- Jakie były tego efekty? - spytał Austin.

- Twierdzi, że dźwięk był taki, jak w przesmyku pod Ensenadą, gdzie morze z łoskotem przedziera się przez szczelinę w skałach. Tyle że o wiele głośniejszy. Urwisko za wytwórnią tortilli runęło do morza. Fale wezbrały tak, że o mało nie wywróciły ich łodzi. A potem wypłynęliśmy my. Wyłowili nas jak przerośnięte sardynki i jesteśmy tutaj.

Austin ponownie rozejrzał się po morzu.

- Wspomnieli coś o "Żaborybie"? - spytał.

- Widzieli ją wcześniej. Z ich opisu wynika, że to była "Żaboryba". Opłynęła przylądek i więcej tu nie wróciła.

- Podziękuj naszym dobroczyńcom za ratunek - powiedział Austin, niepokojąc się o Contosa i jego załogę - i spytaj, czy nie opłynęliby tego cypla.

Gdy Zaval przekazał rybakom tę prośbę w chmurze niebieskiego dymu uruchomili wiekowy silnik

przyczepny, który kaszłając jak astmatyk zaczął popychać łódź po spokojnym morzu. Z Juanem przy sterze opłynęli przylądek i od razu stało się jasne, dlaczego “Żaboryba” nie pojawiła się tam, gdzie być powinna.

Statek NUMA stał mocno przechylony na prawą burtę pod ciężarem góry ziemi i kamieni, które powyginały dźwigi na pokładzie rufowym. Lawina głazów runęła ze wznoszącej się nad statkiem stromej skalnej ściany. Członkowie załogi usuwali rumowisko za pomocą łomów i łopat, wyrzucając za burtę wszystko, co się dało. Większe kamienie spychano podnośnikiem widłowym.

Gdy Juan podpłynął łodzią do burty “Żaboryby”, Contos podszedł do barierki i wychylił się przez nią. Z twarzą i rękami pokrytymi ziemią wyglądał, jakby wyczołgał się z wykopu.

- Są ranni?! - zawołał Austin, przyłożywszy dłonie do ust.

- Tylko kilka skaleczeń i siniaków! - odkrzyknął Contos. - Dobrze, że nikogo nie było na rufie.

Kiedy huknęło w zatoczce, postanowiliśmy to sprawdzić, ale zanim podnieśliśmy kotwicę, zważyło nam się na łeb całe urwisko. Gdzieście, u diabła, byli?!

- Masz ładny nowy makijaż - zażartował Austin.

- Pewnie firmy Estee Lauder - dodał Joe.

Próbując zetrzeć z nosa brud, Contos tylko pogorszył sprawę.

- Wasze dowcipasy świadczą, że diabli was nie wzięli - powiedział. - Może jednak powiecie, co się stało?

- Wybuch, który słyszeliście, nastąpił pod wodą - odparł Joe.

- Przecież nie ma tu wulkanów. - Contos z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Wybuchła instalacja podwodna - powiedział Austin.

Contos spojrział na niego zdziwiony.

- Wyjaśnimy to później. - Austin przyjrzał się żółtym skałom. - To zbocze osunęło się wskutek eksplozji w zatoce.

- Zaraz. - Kapitan “Żaboryby” zmarszczył czoło, jakby nagle o czymś sobie przypomniał. - A co się stało z “Bucioem”?

Dwaj agenci specjalni NUMA wymienili spojrzenia jak mali chłopcy, którzy coś przeszkrobali. Austin pomyślał, że ma strasznego pecha. W ciągu dwóch dni stracił już drugą łódź.

- Zatonął - odparł. - Nic się nie dało zrobić. Z wody wyciągnęli nas Juan i Pedro.

- Miło mi was poznać - powiedział Contos do uśmiechniętych rybaków. - No cóż, NUMA musi mi zbudować nową łódź.

Austin przyjrzał się “Żaborybie”.

- Ma spory przechył. Nie grozi wam zatonięcie? - spytał.

- Damy sobie radę. Na razie nie wykryliśmy żadnych przecieków. Zobaczymy, co będzie, kiedy odpłyniemy. Zniszczenia są jedynie na pokładzie i nadbudówce. Jak sami widzicie, dźwigi nie nadają się do użytku. Ale podnośnikiem widłowym można usuwać większe kamienie. Nie wezwaliśmy pomocy, żeby nie tłumaczyć się, co robimy na meksykańskich wodach.

- Zdążymy zbadać tę zatoczkę?

Contos spojrział przez ramię na rumowisko, które trzeba było usunąć.

- Zdążycie - odparł. - Potrwa jeszcze, zanim stąd wyruszymy.

Zawała poprosił rybaków, by zawieźli ich z powrotem do zatoczki, na co bracia zaczęli się głośno sprzeczać. Pedro miał dość tego przekłętego miejsca, dziwnych wybuchów i jeszcze dziwniejszych osobników wyskakujących z morza. Chciał wrócić do domu, ale zdanie brata przeważało.

Łódź okrążyła przylądek. Gdy wpłynęli do zatoczki, nad wytwórnią tortilli ujrzeli dym. Naga

skala na tyłach fabryki placków, podobnie jak urwisko nad "Żaborybą", żółciła się tam, gdzie wskutek wybuchu osunęła się wierzchnia warstwa ziemi. Po jednoszynowej windzie nie pozostał nawet ślad.

Łódź przebiła się przez zaścieniającą powierzchnię laguny martwe ryby, śmieci i odpadki. Agenci NUMA wyłowili wiadrem z wody kawałki stopionego plastiku i strzępy zwęglonego papieru. Austin, pamiętając że, dzięki małutkiemu odłamkowi metalu udało się ustalić przyczynę wybuchu na pokładzie odrzutowca TWA nad Lockerbie, uważał, że może się przydać wszystko.

Było to żmudne zajęcie, ale ich wytrwałość doczekała się nagrody, bo Zavala natrafił na ponad półmetrowy metalowy cylinder o średnicy piętnastu centymetrów, unoszący się na wodzie. Na jego powierzchni Austin odkrył wyryty numer seryjny oraz nazwę producenta.

Uwagę Joego przyciągnął ruch na szczycie urwiska, upstrzonego teraz ludźmi. Austin nie miał ochoty odpowiadać na pytania miejscowych władz i rybacy z radością powitali decyzje powrotu do statku. Gdy przybili do "Żaboryby", jej pokład był już oczyszczony i prawie pozbyła się przechyłu. Austin chciał zapłacić rybakom za przysługę, ale oni odmówili przyjęcia pieniędzy. Za pośrednictwem Zavali Juan wyjaśnił, że ratowanie ludzi na morzu to ich moralny obowiązek. Wówczas Austin w porozumieniu z Contosem podarował uszczęśliwionym rybakom silnik do łodzi, przeznaczony do wycofania z eksploatacji, ale w doskonałym stanie.

Uruchomiono maszyny i statek wolno skierował się na otwarte morze. Nie wykryto żadnych przecieków. Contos obrał kurs na północ. Odpłynęli w samą porę. Nagle bowiem, nie wiadomo skąd, pojawił się ciemnozielony śmigłowiec, kilkakrotnie okrążył zatoczkę i odleciał w stronę Stanów. Kiedy w pobliżu Ensenady wmieszali się między inne statki, dostrzegli mknący w przeciwnym kierunku kuter meksykańskiej morskiej straży granicznej. Ponieważ "Żaborybie" nic już nie groziło, Austin i Zavala wzięli prysznic i po przebraniu się w suche ubrania dołączyli do Contosa na mostku. Czekał na nich z dzbankiem świeżo zaparzonej kawy.

- Dobra, panowie - rzekł, napełniając im kubki. - Jako kapitan łodzi, którą zarekwirowaliście do swojej akcji desantowo-dywersyjnej, chciałbym wiedzieć, co się stało.

Austin łyknął mocnej kawy. Tak smacznej nie pił nigdy w życiu.

- Ten wybuch nas zaskoczył - odparł. - Chcieliśmy zbadać źródło gorąca, które uśmierciło te wieloryby. Chyba je znaleźliśmy.

Opisał Contosowi podwodną budowlę, w jaki sposób do niej podpłynęli, fałszywe boje ostrzegawcze, sieć rybacką i wysoką temperaturę wody. A potem oddał głos Joemu.

Powracając do chwil spędzonych pod wodą przed wybuchem, Zavala zacisnął dłonie, jakby ciągle jeszcze trzymał w nich koło sterowe.

- Wszystko szło dobrze. Uznaliśmy, że źródłem gorąca jest ta instalacja. Gdy wyruszyłeś, żeby przyrzeć się jej z bliska, osadziłem łódź na dnie i czekałem. Nagle temperatura wody gwałtownie podskoczyła. Wówczas kazałem ci wracać na "Buciora".

- Wezwałeś mnie w momencie, kiedy zaglądałem przez świetlik na szczycie tej budowli - powiedział. - W środku byli ludzie i jakaś maszyna. Ruszyłem do łodzi i wtedy nastąpiła eksplozja.

- Powiedziałeś, że było tam pełno rur, w tym również przewodów wysokociśnieniowych. Stąd siła wybuchu.

- Nie wykluczam jakiejś wady w instalacji, ale było to bardzo skomplikowane, nowoczesne urządzenie. Z wielostopniowym systemem zaworów odcinających i zaworów bezpieczeństwa, zapobiegających wzrostowi ciśnienia. Nie zaobserwowałem żadnej paniki. Nic nie wskazywało, że dzieje się coś złego.

- A co ze wzrostem temperatury wody?

- Zdjęcia satelitarne świadczą o tym, że do tej zatoczki już wypuszczano gorącą wodę, a więc nie ma to chyba bezpośredniego związku z wybuchem. - Z plastikowej torby Austin wyjął metalowy cylinder. - Pływał w lagunie - wyjaśnił. - Wiesz może, co to jest?

Contos uważnie obejrzał znalezisko i pokręcił głową.

- Po powrocie do Waszyngtonu spróbuję odnaleźć tego producenta - obiecał.

- Wyczucie nie zawiodło, Kurt - rzekł Zavalá. - Pamiętasz, jak w tawernie Hussonga powiedziałeś, że masz wrażenie, jakby coś nas śledziło?

- Jeśli pamiętasz, to zrobiłem jeszcze jedno wnikliwe spostrzeżenie - odparł Austin, a jego oczy barwy rafy koralowej stwardniały.

- Mianowicie?

- Powiedziałem, że to diabelstwo, które czai się w cieniu, jest piekielnie głodne.

- Ciarki mnie przechodzą, kiedy was słucham - wtrącił Contos. - Mówicie tak, jakby chodziło o Godzillę.

Austin nic na to nie powiedział. Wpatrzył się w rozcinający falę dziób "Żaboryby", jak gdyby odpowiedzi na kłębiące się w głowie pytania mógł znaleźć pod niebieskozieloną powierzchnią morza.

Szybujący nad tropikalną dżunglą sterowiec, przypominający wielki, japoński lampion, emanował delikatnym niebiesko-pomarańczowym światłem ognia dwóch palników gazowych, które ogrzewały powietrze wewnątrz jego powłoki. Oprócz rozbłysków palników o istnieniu powietrznego pojazdu świadczył tylko jego cichy cień, niczym przelotna chmura przesłaniający księżyc i gwiazdy.

To, w co wsiedli Paul i Gamay, okazało się, pomysłowym połączeniem sterowca z balonem. Palniki zapewniały mu wznios, ale w przeciwieństwie do balonu, lecącego z wiatrem, można nim było kierować, miał bowiem silnik, zaś tradycyjny gruszkowaty worek napęczniony ciepłym powietrzem, zastąpiono opływową powłoką zeppelinu. Powłoka zachowywała swój kształt dzięki wewnętrznemu ciśnieniu powietrza, a nie sztywnemu szkieletowi.

Troutowie siedzieli obok siebie z przodu aluminiowej gondoli, przytwierdzeni uprzężą do wygodnych miękkich siedzeń. Z perspektywy pasażerów zawieszonych pod brzuchem sterowca wyglądał on na olbrzyma. Z tyłu jego wysokiej na piętnaście i długiej na trzydzieści metrów poliestrowej powłoki znajdował się ster i dwa duże stateczniki, a za siedzeniami pasażerów zbiorniki z propanem, zasilające palniki, zbiorniki z paliwem do dwusuwowego silnika, sam silnik oraz trójskrzydłowa śruba napędzająca.

Paul i Gamay po kolei zapoznawali się z przyrządami sterowca. Fruwali już balonami i wiedzieli, jak działa gorące powietrze. Latanie tym statkiem powietrznym było stosunkowo łatwe. Nożnym zaworem regulowało się palniki ze stali nierdzewnej, za pośrednictwem metalowego przewodu, włączające do powłoki gorące powietrze. Na tablicy przyrządów było niewiele wskaźników. Najpilniej śledzili wysokościomierz, utrzymując sterowiec na bezpiecznym, zapewniającym swobodę manewru pułapie sześciuset metrów.

Zużyli już propan z jednego zbiornika i w tej chwili lecieli na rezerwie. Czekali na poranek, aby uruchomić zespół silnikowy, bo paliwa do napędu śrubowego było pod dostatkiem. Perłowoszary brzask po wschodniej stronie nieba zapowiedział nadejście świtu. Wkrótce przybrało ono kolor płatków róży. Ale nawet po wschodzie słońca widoczność ograniczała mgła. Opary unoszące się z koron drzew przesłaniały czerwone niebo. Kiedy Paul zajmował się pilotarzem, Gamay przeszukała schowek między siedzeniami.

- Czas na śniadanie - oznajmiła wesoło.
 - Dla mnie lekko usmażone jajka - zadysponował. - Do tego chrupiący bekon i frytki zarumienione na brzegach.
 - Z malinami czy z borówkami? - spytała, dając mu do wyboru zbożowo-owocowe batony w dwóch smakach.
 - Zawołam pokojówkę. - Paul włączył radio, lecz z głośnika dobiegły tylko trzaski. - Założę się, że Phineas Fogg nie zaznał takich niewygód - powiedział, marszcząc brwi. - No trudno, zjem borówkowy.
 - To była noc, jakich mało.
- Gamay podała mu baton i butelkę ciepłej wody mineralnej.
- Owszem, jeżeli jednej nocy spotykasz bezwzględnych białych bandytów, jesteś świadkiem morderstwa z zimną krwią i umykasz dzikim Indianom, to trudno już o więcej wrażeń.

- Życie zawdzięczamy Tessie. Ciekawa jestem, dlaczego związała się z Dieterem.

- Nie jest pierwszą kobietą, która źle trafiła. Gdybyś poślubiła prawnika albo lekarza, a nie syna rybaka, to zamiast być tutaj, pływabyś się w basenie za domem.

- Co za nuda. Orientujesz się, synu rybaka, gdzie jesteśmy? - spytała, w zamyśleniu przeżuwając baton śniadaniowy.

Paul przecząco pokręcił głową.

- Szkoda, że nie ma tu mojego taty - odrzekł. - Uczył się nawigacji, zanim uzależniliśmy się od elektroniki.

- Wystarczył sam kompas?

- Potrzebne były też terenowe znaki orientacyjne i boje nawigacyjne. Z całą pewnością tam jest wschód.

Paul wskazał słońce.

- Wioska Dietera znajdowała się na południowy zachód od wioski Ramireza. Może więc powinniśmy lecieć na północny wschód?

Paul poskrobał się po głowie.

- W nocy wiał wiatr i nie wiem, jak daleko nas zepchnął w bok. Mamy niewiele propanu do palników i musimy podjąć właściwą decyzję. Zbiorniki paliwa do silnika są wprawdzie pełne, ale niewiele nam to da, jeśli stracimy wysokość.

- Piękny widok - powiedziała Gamay, spoglądając na ocean zieleni.

- Nie aż tak piękny, jak widok trzech lekko usmażonych jajek z bekonem i frytkami.

- Rusz wyobraźnią - zachęciła, podając mu drugi baton.

- Próbuję wyobrazić sobie, w jaki sposób ściągnęli ten sterowiec do dżungli. Mogli nim przylecieć, ale wątpię w to, bo jest za mały, żeby przewieźć całe zaopatrzenie i zapas paliwa. Podejrzewam, że wystartowali niedaleko od miejsca, w którym go znaleźliśmy.

- A ponieważ nie ma tu dróg - kontynuowała jego myśl Gamay - prawdopodobnie przyplłynęli rzeką. Gdybyśmy odnaleźli tę rzekę albo jej dopływ, to doprowadziłyby nas do obozu doktora Ramireza. Wzlećmy wyżej, żeby mieć bardziej rozległy widok.

- Świetny pomysł.

Paul docisnął stopą zawór paliwa.

Palniki odpowiedziały gardłowym szeptem i po chwili sterowiec ruszył w górę. Ciepło słońca zaczęło już rozpraszać mgłę i z jednolitej połaci drzewostanu wyłaniały się nieregularne, różnokształtne kępy zieleni. Na wierzchołkach drzew wyrosły niczym rafy koralowe czerwone kwiaty.

- Tam coś jest - powiedziała Gamay, usiłując z wysokości dziewięciuset metrów przebić wzrokiem mgłę.

Paul włączył napęd i kręcąc sterem, wprowadził pojazd w ruch. Chłodzony wodą silnik zamruczał cicho, sterowiec, pokonawszy siłę bezwładu, z wolna przyspieszył i niebawem jego śruba zaczęła ich pchać do przodu z prędkością kilkunastu kilometrów na godzinę. Gamay znalazła lornetkę i śledziła przez nią trasę lotu.

- Niestychane! - powiedziała, gdy rozproszyła się mgła.

- Co widzisz?

- "Rękę Boga" - odparła z nabożnym podziwem.

Paul zawahał się. Wolno kojarzył, bo niewiele spał tej nocy.

- Wielki wodospad, o którym mówił Niemiec?

Skinęła głową.

- Nawet z tej odległości wygląda wspaniale.

Paul spróbował zwiększyć prędkość, ale sterowiec zachowywał się tak, jakby coś go hamowało.

Wyrzwał i zobaczył, że na przytroczonych do gondoli linach wisi czerwony przedmiot.

- Coś za sobą holujemy - oznajmił.

Gamay skierowała w tamtą stronę lornetkę.

- Przypomina tratwę ratunkową - powiedziała. - Jest z gumowych rurek, z siatką pośrodku.

Używali jej pewnie do zrzucania ludzi i zaopatrzenia na baldachim drzew.

- Musimy uważać, żeby nie zaplątała się w gałęzie.

Paul podniósł głowę, żeby sprawdzić kurs, i po krzyżu przebiegły mu ciarki.

Zbliżali się do skalnego występu, który wyrastał wysoko z tropikalnego lasu. Wypływająca z dżungli rzeka docierała do przepaści na końcu płaskowyżu, gdzie skały rozdzielały jej nurt tworząc pięć wodospadów. Roziskrzane w słońcu białe strugi przypominały przesypujące się przez palce diamenty. Wydawało się, że opadają w dół bardzo wolno, tak jak zwykle bywa w przypadku wody spływającej z wysoka. Kaskada tysięcy litrów wody tworzyła w jeziorze pod urwistym progiem grubą, chmurę wodnego pyłu.

- Przy tych wodospadach Niagara wygląda jak strumyczek - orzekł Paul.

- Ta woda musi mieć ujście. - Gamay zlustrowała lornetką brzegi jeziora. - Spójrz tam, Paul! - zawołała. - Widzę rzekę. Wypływa z tego jeziora. Wystarczy, że podążymy wzdłuż niej.

- Nic z tego, chyba że wypatrzysz stację tankowania gazu - odparł Paul zerkając na wskaźnik zbiornika. - Za chwilę spadniemy z nieba.

- Podleć jak najbliżej do rzeki. Wylądujemy na wodzie i wykorzystamy tratwę.

Paul szybko wyobraził sobie takie lądowanie na wodzie. Gondola zanurzy się w niej pod własnym ciężarem. Dzięki reszcie powietrza w powłoce nie pójdzie od razu na dno, ale setka metrów kwadratowych tkaniny grozi, że ugrzęzną w jej zwojach. Muszą więc opuścić sterowiec, nim uderzy w wodę, i postarać się zrobić wszystko, żeby tratwa nie została uszkodzona. Bo to ona właśnie może przesądzić, czy wydostaną się z dżungli.

Szybko przedstawił żonie plan działania.

- Tratwę trzeba odciąć przed lądowaniem - oznajmił. - Inaczej możemy ją stracić.

Gamay jeszcze raz wyrzwała przez burtę gondoli. Tratwa wisiała na dziewięciu nylonowych linach, przytwierdzonych do jej rogów.

- W schowku jest szwajcarski scyzoryk wojskowy - powiedziała.

Paul kciukiem sprawdził jego ostrość i wetknął nóż do kieszeni szortów.

- Opuść sterowiec jak najbliżej wody, a ja odetnę tratwę - powiedział.

- A potem wsiądziemy do niej i popływamy - odparła.

- Jak widzisz jest to dziecinnie łatwe - rzekł z uśmiechem.

Gamay przejęła ster i wolno zaczęli się oddalać od wodospadów. Słońce przebijające się przez mgłę nad jeziorem tworzyło liczne tęcze. Miała nadzieję, że to dobry znak.

Paul wspiął się na burtę i gondola przechyliła się pod jego ciężarem. Spojrzał w dół na huśtający się dziesięć metrów niżej czerwony trójkąt, i odciął liny przywiązane do lewego rogu tratwy. Wędrując dalej, to samo zrobił z trzema następnymi. Przytwierdzona do gondoli już tylko za jeden róg tratwa tańczyła na wietrze.

Delikatnie regulując nogą dopływ paliwa i celując w punkt blisko rzeki, Gamay zaczęła sprowadzać sterowiec w dół, łagodnym lotem ślizgowym. Gdy miała już nadzieję, że szalony plan męża powiedzie się, palnik nagle zgasł. Paliwo skończyło się trzysta metrów nad ziemią.

Sterowiec nie od razu zareagował na tę zmianę. Dzięki gorącemu powietrzu jego powłoka

zachowała opływowe kształty, śruba zaś pozwoliła mu opadać dalej pod łagodnym kątem. Jednak na wysokości stu pięćdziesięciu metrów sytuacja zaczęła wymykać się spod kontroli. Wraz z ochłodzeniem się powietrza zmniejszyła się siła nośna i wzrósł kąt opadania. Sterowiec przybrał kształt nadpsutego pomidora i zaczęło go znosić z kursu.

Paul po odcięciu dwóch lin, odpiął się od ramy gondoli i zabierał się do przecięcia trzeciej, gdy sterowiec nagle skręcił w bok. Nie przygotowany na ten nagły manewr, stracił równowagę i wypadł za burtę. Gamay krzyknęła bezradnie.

Sterowiec zaczął gwałtownie tracić wysokość. Gamay wychyliła się z gondoli i ujrzała męża uczepionego liny tuż nad tratwą, która kołysała się na wietrze jak dziecięca huśtawka. Gamay spojrzała na odkształconą, sflaczałą powłokę, a potem znów w dół. Paul żeby nie zostać przygniecionym przez sterowiec odciął linę i z około piętnastu metrów spadł na nogi do wody. Kiedy się z niej wynurzył, z potężnym rozbryzgiem i pluskiem spadła obok tratwa.

Gamay odpięła uprząż, wdrapała się na burtę, wzięła głęboki oddech i wykonała piękny skok, który na olimpiadzie przyniósłby jej najwyższe noty. Wyciągnięta jak struna weszła głęboko w wodę. Pracując mocno nogami, wynurzyła się na powierzchnię jeziora w samą porę, by zobaczyć, że sterowiec zwałił się wprost na tratwę, grzebiąc ją pod sfałdowanymi warstwami powłoki.

Tratwa zniknęła, a wraz z nią wszelka nadzieja, że dopłyną na niej do osady. Jednak w tej chwili Gamay bardziej martwiła się o Paula i gdy usłyszała jego wołanie, poczuła niewymowną ulgę.

Sterowiec niebawem zatonął, zabierając ze sobą tratwę. Gamay dostrzegła głowę męża. Paul pomachał jej ręką i popłynęli do siebie, spotykając się w pół drogi. Przez kilka chwil unosili się w pionie, podziwiając wielkie kaskady. A potem, wykorzystując prąd wody skierowali się ku odległemu brzegowi.

Zbudowany jak zapaśnik agent specjalny FBI Miguel Gomez, założywszy splecione ręce pod głowę, z ciekawością patrzył na dwóch mężczyzn, siedzących po drugiej stronie biurka.

- Pewnie przepadacie, panowie, za tortillami, skoro chcecie się widzieć z Enrikiem Pedralem - powiedział.

- Mniejsza o tortille. Chcemy zadać mu kilka pytań - wyjaśnił Austin.

- Nic z tego! - odparł Gomez, stanowczo kręcąc głową. Z jego ciemnych jak rodzyunki oczu wycierały smutek i czujność policjanta, którego już nic w życiu nie zdziwi.

- Nie rozumiem - rzekł z nutką zniecierpliwienia Austin. - Wystarczy ustalić termin z jego sekretarką. Chcemy wejść i pogadać jak z każdym innym biznesmenem.

- Farmer Pedralem nie jest każdym innym.

- Farmer? Nie wiedziałem, że para się też rolnictwem.

- Można to i tak nazwać - zgodził się Gomez, nie potrafiąc powściągnąć uśmiechu. - Słyszeliście o wielkim poszukiwaniu zwłok, zakopanych na paru ranczach tuż nad granicą?

- Jasne. Pisano o tym w gazetach. Znalezione mnóstwo trupów, najprawdopodobniej ofiar handlarzy narkotyków.

- Znajdowałem się wśród agentów FBI, których Meksykanie dopuścili do tej akcji. Właścicielem tych rancz był Enrico Pedralem, a nominalnie figuranci, którzy dla niego pracowali.

- Twierdzi pan, że król tortilli jest handlarzem narkotyków?! - spytał siedzący w drugim fotelu Zavala.

Gomez pochylił się nad biurkiem i zaczął wyliczać na palcach.

- Narkotyki, prostytutka, wymuszenia, porwania, przekręty w służbie zdrowia, kradzieże i wszelkie inne przestępstwa przeciwko porządkowi społecznemu. Do wyboru, do koloru. Pedralem działa jak wielkie korporacje, które nie stawiają wszystkiego na jedną kartę. Złoczyńcy biorą przykład z Wall Street. Hasłem meksykańskiej mafii jest dziś różnorodność w działaniu.

- Mafia! Z nią może być mały problem - powiedział Austin.

- Mały? Z nią są wyłącznie duże problemy. Przy mafii meksykańskiej Sycylijczycy to ministranci.

- Gomez rozgadał się. - Stara Cosa Nostra dawała komuś wycisk, ale nie tykała jego rodziny. Jeśli podpadł gangom ruskim, zabijały ci żonę i dzieci, ale i one traktowały to jak zwykły biznes. Inaczej sprawa ma się z Meksykanami. Każdy, kto wejdzie im w drogę, obraża ich *machismo*. Enrico nie zabija wrogów, on ściera ich, ich krewnych i przyjaciół na proch.

- Dzięki za ostrzeżenie - rzekł Austin, nie spieszony jego monologiem. - No to powie nam pan, jak możemy się z nim zobaczyć?

Gomez zaniósł się gromkim śmiechem. Zastanawiał się nad nimi, odkąd weszli do jego biura i pokazali legitymacje NUMA. Znał Narodową Agencję Badań Morskich i Podwodnych tylko z nazwy i wiedział, że jest morskim odpowiednikiem NASA. Austin i Zavala nie pasowali do jego wyobrażeń o oceanologach. Mocno opalony mężczyzna z przenikliwymi niebieskozielonymi oczami i jasnymi włosami wyglądał na takiego, który swoimi rękami jak tarany jest w stanie obalać mury. Jego towarzysz miał co prawda łagodny głos, a na ustach błąkał mu się lekki uśmiech, ale w masce na twarzy i ze szpadą w ręce byłby wymarzoną kandydatem do roli Zorro.

- Dobrze, panowie - uległ wreszcie, kręcąc głową. - Ponieważ jednak pomoc w samobójstwie nie jest zgodna z prawem, lepiej się poczuje, gdy mnie oświecicie, o co tu chodzi. Dlaczego NUMA interesuje się wytwórnią placków należąca do meksykańskiego szubrawca?

- W zatoczce przy wytwórni Pedraleza na Baja California doszło do podwodnej eksplozji. Chcemy spytać, czy coś o niej wie. Jesteśmy organizacją naukową, i szukamy odpowiedzi na kilka pytań!

- Wszyscy pracownicy rządowi są jego wrogami. Takie wypytywanie uzna za wtrącanie się w jego sprawy. Zabijał ludzi z błahych powodów.

- Nie urwaliśmy się z choinki, panie Gomez - odparł Austin. - Próbowaliśmy innych dojść. Meksykańska policja twierdzi, że wybuch spowodowały przewody pary. Sprawa zamknięta. Zadzwoniliśmy więc do Ministerstwa Handlu, licząc, że dowiemy się czegoś od właściciela fabryki. Odparli, że to nie ich sprawa, wytwórnia należy do Pedraleza, i poradzili nam skontaktować się z Gomezem z biura terenowego w San Diego. Czyli z panem. A teraz chcemy zrobić następny krok. Czy Pedralez ma jakieś biuro w Stanach?

- Nie przekroczy naszej granicy. Wie, że go schwytały.

- W takim razie musimy pojechać do niego.

- To nie będzie łatwe. Pedralez pracował kiedyś w meksykańskiej policji federalnej i ma w kieszeni połowę tamtejszych glin. Ochraniają go i przekazują mu wszystkich informatorów, rywali, każdego, kto mógłby mu zaszkodzić.

Gomez otworzył kluczem szufladę biurka i wyjął dwie grube teczki.

- W tej są akta dotyczące łajdactw Enrica, a w drugiej informacje o jego działalności legalnej - wyjaśnił. - Musi gdzieś prac brudne pieniądze, założył więc lub zakupił legalne przedsiębiorstwa po obu stronach granicy meksykańsko-amerykańskiej. Najwięcej zarobił na tortillach. Kiedy ludzie po naszej stronie granicy zaczęli je jeść, przemysł tortillowy stał się bardzo opłacalnym interesem. Kontroluje go kilka firm. Jeśli nie wierzycie, sprawdźcie to w swoim supermarkecie. Dla zdobycia swojej części Enrico wykorzystał koneksje w rządzie i obficie posmarował komu trzeba. - Pchnął akta w stronę gości. - Nie mogą wyjść z tego biura, ale możecie je przeczytać.

Austin podziękował mu i przeszedł z aktami do małej salki konferencyjnej. Usiadł przy stole naprzeciwko Zavali, wręczył mu teczkę z dokumentacją legalnych interesów Pedraleza, przykazując, by dał znak, jeśli znajdzie coś ciekawego, i zaczął kartkować drugą. Pragnął się zorientować, z kim będzie miał do czynienia. Im dłużej czytał, tym większą odczuwał niechęć. Nie podejrzewał, że w jednym człowieku może się skupić aż tyle zła. Enrico odpowiadał za setki morderstw, a w każdej z owych egzekucji było coś odrażającego.

- Mam! - obwieścił Joe i z szelestem przewrócił kilka kartek. - Informacje o powstaniu tej fabryki i raporty z jej obserwacji. Należy do niego od dwóch lat. Zajrzała tam FBI. Nie znaleźli nic podejrzanego. Odbyli pewnie tę samą wycieczkę co my, ale bez mojego skoku w bok. Raport stwierdza, że fabryka wygląda na legalne przedsięwzięcie.

- Żadnej wzmianki o podwodnej konstrukcji?

- Nie. - Zavala zmarszczył czoło. - Ani słowa.

- To mnie nie dziwi. Do laguny mogli ją ściągnąć w nocy.

- Prawdopodobnie. A co z twoimi aktami? Dowiedziałeś się czegoś?

- Owszem, że to wyjątkowe bydlę. Ale i tak musimy z nim pogadać.

- Gomez twierdzi, że to niemożliwe. Wymyśliłeś coś?

- Może. - Austin wręczył Zavalę kartkę, którą wyjął z akt. - To lista jego zamiłowań. Oczywiście wino, kobiety, wyścigi konne, hazard. Jednak moją uwagę zwróciło coś jeszcze.

Zawala dostrzegł to od razu.

- Zbiera starą broń palną - powiedział. - Znam jednego takiego.

Austin uśmiechnął się. Był namiętym kolekcjonerem pistoletów pojedynkowych, wykwintnie zdobionych staroświeckich narzędzi śmierci, którymi obwiesił ściany starej krytej przystani łodziowej nad Potomakiem, stanowiącym jego dom. Najcenniejsze eksponaty trzymał w skarbcu, a kolekcja ta należała do najciekawszych w kraju.

- Czy pamiętasz dwa nowe pistolety, które kupiłem w przeddzień regat? Są piękne, ale to duplikaty pary, którą mam. Zamierzałem wymienić się nimi na inne z jakimś kolekcjonerem.

- Chyba wiem, co ci chodzi po głowie. A jak chcesz dać znać Enricowi, że masz je na zbyciu?

- Zadzwoń do kilku handlarzy i powiem, że muszę szybko sprzedać te pistolety. Udam, że jestem w wielkiej potrzebie. Ten łajdak nigdy nie przepuści okazji, by kogoś oszukać.

- A jeśli Enrico już takie ma?

- Są dość rzadkie. Ale jeśli ma ich duplikaty, to być może zechce nabyć je z tego samego powodu co ja, by się nimi w przyszłości wymienić. Najważniejsze żebym mógł z nim porozmawiać. Nawet jeżeli ich nie kupi, to nie oprze się pokusie, żeby je obejrzeć, potrzymać w dłoniach. Jak każdy prawdziwy kolekcjoner.

- A co w przypadku ofert anonimowych? Jak poznamy, którą z nich złożył Enrico?

- Wiemy, że Pedrales nie przekracza granicy ze Stanami. Jeśli poproszą mnie, żebym w związku ze sprzedażą przyjechał do Meksyku, będzie jasne, że to on.

Zwrócili akta Gomezowi i opowiedzieli mu o swoim planie.

- Uda się albo nie - odparł. - To diablo niebezpieczne. Nawet jeżeli się z nim spotkacie, nie ma żadnej gwarancji, że coś wam powie.

- Uwzględniliśmy taką możliwość.

Gomez skinął głową.

- Za nic nie chciałbym, by tak sympatycznego gościa jak pan spotkało coś złego. W niczym wam nie pomogę, bo Meksykanie są trochę przeczuleni na punkcie policyjnych *gringos*, kręcących się na ich terytorium. Ale bądźcie pewni, że jeżeli was zabije, to jego życie nie będzie warte dziurawego peso.

- Dziękuję panu. To pociecha dla wszystkich, których pograżę w żalobie.

- Zrobię, co się da. Podeślę kilku naszych ludzi. Dajcie znać, kiedy wyruszacie.

Wymieniwszy z nim uściski dłoni, agenci NUMA wrócili do hotelu. Austin z marynarskiego worka wydobył kasetkę z ciemnobrązowego drewna, podniósł wieko i wyjął jeden z pistoletów.

- Są prawie identyczne z tymi, które mam w kolekcji - powiedział. - Wyszły spod ręki rusznikarza Bouteta w czasach egipskiej kampanii Napoleona. Na ich lufach umieścił sfinksa i piramidy.

Wykonał je prawdopodobnie dla jakiegoś Anglika. - Wycelował pistolet w lampę. - Kolba jest

zaokrąglona, a nie kanciasta jak w pistoletach z kontynentu. Ale gwint w stylu francuskim, wielobruzdowy. - Odłożył broń na zielone sukno. - To nieodparta przynęta dla każdego kolekcjonera.

Sprawdził swoją listę handlarzy starą bronią i obdzwoił ich. Zadał o to, by wiedzieli, że ogromnie mu zależy na sprzedaniu pistoletów, nawet ze stratą, i że nazajutrz wyjeżdża z San Diego. Wyznawał pogląd, że zmyślane historie muszą zawierać ziarno prawdy. Dodał więc, że w związku z zatonięciem łodzi potrzebuje gotówki na zapłacenie rachunków.

Godzinę po wypuszczeniu pierwszych balonów próbnych odebrał telefon od Lathama, wyjątkowo szczerwanego handlarza o nieco podejrzanej reputacji.

- Mam chętnego na pańskie pistolety - oznajmił podniecony Latham. - Jest bardzo zainteresowany i chciałby je obejrzeć jak najszybciej. Może pan z nim się dzisiaj spotkać w Tijuanie? To niedaleko.

- Nie ma sprawy - zapewnił Austin. - A gdzie chce się ze mną zobaczyć?

Handlarz przekazał mu, żeby zaparkował po amerykańskiej stronie granicy i przeszedł do Meksyku przez most dla pieszych. Jego znakiem rozpoznawczym będzie futerał na pistolety. Austin odparł, że przyjedzie tam za dwie godziny, odłożył słuchawkę i przekazał wiadomość Zawali.

- A jeżeli zabierze cię gdzieś, gdzie nie będziemy mogli ci pomóc, na przykład, na jedno z rancz, na których lubi flancować ludzi?

- To pogadam z nim o pistoletach i jeśli go zainteresują, dobijemy targu. W najgorszym razie da mi to sposobność wyrobić sobie o nim zdanie.

Zaraz potem Austin zadzwonił do Gomeza. Agent FBI powiedział mu, że zebrał już ludzi, którzy będą go pilnować, ale nie z bliska, bo Pedralez na pewno sprawdzi, czy nikt za nim nie idzie. Kilka minut później agenci NUMA wsiedli do ponownie wypożyczonego pickupa i wyruszyli na południe. Zawała zostawił Austina po amerykańskiej stronie i wjechał do Meksyku. Austin odczekał dwadzieścia minut, a potem z futerałem pod pachą przekroczył most graniczny. Gdy tylko znalazł się po drugiej stronie podszedł do niego postawny mężczyzna w średnim wieku, w tanim garniturze.

- Pan Austin? - zagadnął.

- Tak, tak się nazywam.

Meksykanin okazał odznakę policji federalnej.

- Policyjna eskorta dla pana i pańskich skarbów - wyjaśnił z uśmiechem. - Z polecenia szefa. W Tijuanie jest dużo złych ludzi.

Zaprowadził gościa do granatowego samochodu i otworzył tylne drzwi. Austin wsiadł pierwszy, szybko lustrując wzrokiem parking. Zawali nie dostrzegł. To dobrze, że Joe nie rzuca się w oczy, lecz poczułby się raźniej, wiedząc, że ktoś go osłania.

Wóz ruszył ulicami Tijuany, lawirując wśród plątaniny ulic przeludnionych slumsów. Korzystając, z tego że kierowca pożera wzrokiem młodą kobietę przechodzącą przez ulicę, Austin zerknął do tyłu. Za nimi jechał tylko jeden samochód - poobijana stara żółta taksówka.

Wóz policyjny zatrzymał się przed restauracją bez okien. Jej zielona ściana frontowa była tak upstrzona dziurami, jakby ćwiczono tu strzelanie z kałasznikowa. Stara taksówka minęła ich w pędzie. Austin wysiadł i stanął przy zardzewiałej reklamie piwa corona, zadając sobie pytanie, czy oczekują po nim, że wejdzie do tej spelunki. W tym momencie zza rogu wyłonił się szary mercedes, podjechał do krawężnika, a młody oprych w szoferskiej czapce, który z niego wyszedł, bez słowa otworzył drzwiczki. Austin wsiadł i ruszyli.

Mercedes opuścił slumsy, wjechał do lepszej dzielnicy i zatrzymał się przed kawiarnią na świeżym powietrzu. Drzwiczki otworzył Austinowi inny młody Meksykanin i zaprowadził go do stolika, przy którym siedział mężczyzna.

Nieznajomy wyciągnął rękę i uśmiechnął się szeroko.

- Proszę usiąść, panie Austin - powiedział. - Jestem Enrico Pedralez.

Austin ocenił, że gangster ma ponad pięćdziesiąt lat. Zaskoczyło go, że ten potwór wygląda tak zwyczajnie. Pedralez ubrany był w luźne jasnobrązowe bawełniane spodnie i białą koszulę z krótkimi rękawami. Można go było wziąć za sprzedawcę sombrero i koców ze sklepu dla turystów. Jego czarne włosy i wąsy wyglądały na farbowane i miał na sobie mnóstwo złota - łańcuch na szyi, pierścienie, bransolety.

Kelner przyniósł dwie wysokie szklanki z zimnym sokiem. Austin pociągnął łyk i rozejrzał się. Przy sąsiednich stolikach siedziało parami ośmiu śniadych drabów. Nie rozmawiali ze sobą. Udawali, że nie patrzą na niego, ale kątem oka pochwycił ich szybkie spojrzenia. Pokazując się tak publicznie, Pedralez nie zapominał o swym bezpieczeństwie.

- Bardzo dziękuję, że tak szybko pan przyjechał, panie Austin - powiedział po angielsku z lekkim obcym akcentem. - Mam nadzieję, że nie był to wielki kłopot.

- Żaden. Ucieszyłem się, że udało mi się nawiązać kontakt z ewentualnym nabywcą. Jutro wyjeżdżam z San Diego.

- Senor Latham powiedział mi, że ścigał się pan w regatach.

- Niestety, nieudanych. Moja łódź zatonięła.

- Szkoda. - Pedralez zdjął okulary przeciwsłoneczne, a jego chciwe oczy spoczęły na futerałach z pistoletami. Wyczekująco zatarł dłonie. - Mogę je zobaczyć? - spytał.

- Oczywiście.

Austin odpiął zatrask i podniósł wieko.

- Ale pięknie! - zachwycił się Pedralez z zapalem prawdziwego znawcy. Wziął jeden z pistoletów i wycelował go w mężczyznę przy sąsiednim stole. Goryl uśmiechnął się nerwowo. Król narkotyków przeciągnął palcem po naoliwionej lufie. - Boutet. Styl angielski, wykonany z pewnością na zamówienie jakiegoś bogatego lorda.

- Podziela pańskie zdanie.

- Wspaniała robota, tak jak się spodziewałem. - Pedralez ostrożnie odłożył broń do futerału i westchnął teatralnie. - Niestety, mam podobną parę.

- Cóż, trudno.

Austin udał, że stara się ukryć rozczarowanie. Już miał zamknąć futerał, gdy Pedralez położył rękę na jego dłoni.

- Niemniej moglibyśmy dobić interesu - powiedział. - Chciałbym je sprezentować bliskiemu znajomemu. Zastanowił się pan nad ceną?

- Tak - odparł Austin. Rozejrzał się dookoła, mając nadzieję, że Gomez serio obiecywał mu wsparcie, i dodał niedbałym tonem: - Potrzebuję pewnej informacji.

Oczy Meksykanina zwęziły się.

- Nie rozumiem - rzekł ostrożnie.

- Chcę nabyć jakąś nieruchomość. Na Baja California jest wytwórnia tortilli. Podobno ma być wystawiona na sprzedaż z powodu pożaru.

- Źle pan słyszał - odparł chłodno Pedralez i strzelił palcami. Mężczyźni okupujący sąsiednie stoliki stali się czujni. - Kim pan jest?

- Reprezentuję organizację znacznie większą niż pańska.

- Jest pan z policji? Z FBI.

- Nie. Z Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych. Jestem oceanologiem i prowadzę śledztwo w sprawie wybuchu w pobliżu pańskiej wytwórni. W zamian za informacje chciałbym podarować panu te pistolety.

Usta Enrica, z których zniknął dobroduszny uśmiech, wygięły się w okrutnym grymasie.

- Bierze mnie pan za głupca? - spytał. - To moja restauracja. Ci ludzie, kelnerzy, kucharz, wszyscy pracują dla mnie. Może pan zniknąć bez śladu. Przysięgną, że nigdy tu pana nie było. Co mi po pańskich *pistolas!* - dodał z pogardą. - Mam ich na kopy.

- Panie Pedralez - rzekł Austin, cały czas patrząc mu prosto w oczy - proszę mi powiedzieć, jak kolekcjoner kolekcjonerowi, co pana fascynuje w tych starych pistoletach?

Meksykanina chyba zaskoczyło to pytanie. Groźny żar w jego oczach przygasł.

- Symbolizują i ucieleśniają władzę - odparł. - A zarazem są tak piękne jak ciało kobiety.

- Ładnie powiedziane.

- A co fascynuje w nich pana?

- Piękna robota, a poza tym przypominają mi, że przypadek - przedwczesne naciśnięcie spustu, za szybko uniesiony pistolet, kula o centymetry mijająca serce - może odmienić ludzki los i życie. Są symbolem śmiertelnej loterii, jaką jest pojedynek.

- Oddał się pan w moje ręce, więc na pewno uważa się pan za szczęściarza - rzekł Pedrales, najwyraźniej zaintrygowany jego odpowiedzią.

- Skądże. Założyłem, że zechce pan porozmawiać.

- Zaryzykował pan. Brawo za odwagę. Ale nie jest to, niestety, pański dzień. Przegrał pan - odparł chłodno Meksykanin. - Nie obchodzi mnie, kim pan jest ani kogo pan reprezentuje. Wyciągnął pan fatalną kartę.

Znów strzelił palcami, na co jego goryle podnieśli się od stolików i ruszyli w ich stronę. Austin poczuł się jak lis przechytrzony przez myśliwych.

W tym momencie, wydając przeraźliwe dźwięki z rury wydechowej, pod restaurację zajechała poobijana żółta taksówka, staroświecki checker. Szofer, który wyskoczył z niej, nosił srebrne lustrzane okulary i - jeśli nie liczyć powalanej sportowej bluzy w prążki, narzuconej na koszulkę z tawerny Hussonga - podejrzanie przypominał Joego Zavalę.

Joe stanął na chodniku i z silnym meksykańskim akcentem zawołał po angielsku:

- Czy ktoś tu wzywał taksówkę?

Jeden z brysiów Enrica podszedł do niego i warknął coś po hiszpańsku.

- Szukam Amerykanina - zawołał na cały głos Zavalę, patrząc ponad ramieniem zbira. - Sierżanta Alvina Yorka.

Dla podkreślenia, że nie żartuje, bandzior położył mu dłoń na piersi.

- No dobra, dobra! Przekłęci *gringos!* - zaklął Zavalę, a potem dumnym krokiem wrócił do taksówki i odjechał, ciągnąc za sobą granatową chmurę spalin.

Goryl odwrócił się i zaśmiał.

Austin odetchnął z ulgą. Przesunął wzrokiem po niskich dachach okolicznych domów i uśmiechnął się.

Zavalę przekazał mu wiadomość, wprawdzie niezbyt subtelnie, za to skutecznie. Sierżant York był strzelcem wyborowym z Kentucky, którego za wzięcie do niewoli niemieckich żołnierzy w czasie I wojny światowej odznaczono Medalem Honorowym Kongresu.

- Zabawny typek, no nie, panie Austin?

- Bardzo.

- No cóż. Muszę iść. *Adios.* Niestety więcej się nie spotkamy.

- Chwileczkę.

Pedrales spojrział na Austina z takim rozdrażnieniem, jakby był on paprochem na jego koszuli.

- Na pana miejscu pozostałbym tutaj. Trzyma pana na celowniku snajper. Jeden nierozważny ruch, a pańska głowa rozprysnie się jak melon. Nie wierzy pan, to proszę spojrzeć na ten dach. I na tamten.

Pedrales obrócił głowę i przyjrzał się niskim dachom. Rozmieszczeni w trzech różnych miejscach snajperzy wcale się nie kryli. Usiadł.

- Widzę, że nie do końca zawiera pan losowi. Czego pan chce? - spytał.

- Chcę wiedzieć, kto jest właścicielem wytwórni tortilli na Baja.

- Oczywiście ja. Przynosi naprawdę duże zyski.

- A co z podwodnym laboratorium w zatoce? Co pan o nim wie?

- Jestem bardzo zajęтым człowiekiem, panie Austin, więc powiem panu, co wiem, i pożegnamy się. Dwa lata temu ktoś złożył mi propozycję. Prawnik z San Diego. Pewni ludzie chcieli wybudować fabrykę. Finansowali jej wzniesienie, a ja miałem czerpać zyski. Pod pewnymi warunkami.

Wytwórnia musiała stanąć na odludziu i koniecznie nad wodą.

- Chcę wiedzieć, co zbudowano w tej wodzie.

- Nie mam pojęcia. Przyplłynął duży statek. Ze strażnikami. Wwieźli coś do zatoki i zatopili tam.

Połączyli to z fabryką. Był duży ruch. A ja o nic nie pytałem.

- Co pan wie o tej eksplozji?

Pedralez wzruszył ramionami.

- Ktoś zadzwonił do mnie potem i powiedział, żebym się nie martwił. Wyrównają mi straty. Nic więcej nie wiem. A policji to nie obchodzi.

- Jak nazywał się prawnik, który załatwił tę transakcję?

- Francis Xavier Hanley. Naprawdę muszę iść. Powiedziałem panu wszystko, co mi wiadomo.

- Tak, wiem, jest pan bardzo zajęтым człowiekiem.

Pedralez dał znak ręką. Jego obstawa podniosła się od stolików i, stanąwszy w dwuszeregu, utworzyła korytarz wiodący na chodnik. Chwilę później jak spod ziemi wyrósł mercedes. Goryle wsiedli do dwóch jadących z przodu i z tyłu jeepów cherokee.

- Panie Pedralez! - zawołał Austin. - Umowa jest umową. Zapomniał pan pistoletów.

Meksykanin odpowiedział mu niewesołym uśmiechem.

- Niech pan je zatrzyma - odparł i dorzucił kilka słów.

Usiadł na tylnym siedzeniu mercedesa, zatrzasnął drzwiczki i błyskawicznie odjechał. Do spoconego, nie tylko z gorąca, Austina podjechała zdezelowana taksówka i zatrąbiła.

Kurt wszedł do środka i zdumiony rozejrzał się po jej wnętrzu.

- Skąd wytrzasnąłeś tę kolaskę? - spytał.

- Czekala na mnie dzięki uprzejmości agenta Gomeza. Z rozgrzanym silnikiem i sprzętem radiowym, przez który zawiadomiłem naszych przyjaciół, gdzie jesteś. Z żalem się z nią rozstanę. Czy mister Pedralez coś ci powiedział?

- Owszem. - Austin podniósł w górę futerał z pistoletami. - Poradził mi, żebym następnym razem, kiedy zjawię się w Tijuanie, nie zapomniał ich naładować.

Krajobraz swym pięknem wzbudzał tak nabożny podziw, że Trout o mało nie zapomniał, w jakich są opałach. Siedział na skalnej półce sześć metrów nad jeziorem i próbował ogarnąć całą panoramę, kręcąc tam i z powrotem głową. Żeby dojrzeć wierzchołek wodospadu, musiał mocno wyginać szyję. Nad pięcioma wielkimi kaskadami widniały łuki licznych tęcz powstałych w wyniku załamania promieni słonecznych w wodnej mgiełce. Rzeka huczała jak setki lokomotyw, jadących pełną parą w oddali. Trout nie był człowiekiem religijnym, ale uznał, że coś takiego stworzyć mogła tylko Ręka Boga.

- Co robisz? - spytała, ziewając, Gamay, leżąca obok w cieniu drzewa.

- Myślę, że to wymarzone miejsce na hotel - odparł.

- E tam! - Usiadła i otarła pot z twarzy. - Musiałby być klimatyzowany.

Przed godziną spadł krótki deszcz, a potem słońce znów zaczęło prażyć. Ich półkę ocieniały krzaki i drzewa, więc ucięli sobie drzemkę, ale od nasyczonej wilgocią duchoty nie było ucieczki. Paul obudził się pierwszy.

- Przyniosę ci trochę wody - zaproponował.

Zszedł nad jezioro i nabrał wody do zwiniętego liścia palmowego. Zanim doniósł ją do żony próbującej oczyścić potargane włosy ze źdźbeł trawy, połowa się wylała. Gamay napiła się łapczywie, z oczami przymkniętymi z rozkoszy.

- Dziękuję - powiedziała z uśmiechem, oddając mu resztę. - Odświeżyłam się. Chyba nie masz nic przeciw temu, żebym się wykąpała w naszym wodopoju.

Zeszła nad jezioro, zanurzyła się i przepłynęła kilka metrów.

Paul już zamierzał do niej dołączyć, gdy nagle zauważył jakiś ruch przy ujściu rzeki. Zawołał do Gamay, ale łoskot wodospadu zagłuszył jego ostrzeżenie. Pospiesznie zbiegł na dół i skoczył do wody. Podpłynął do unoszącej się spokojnie na plecach żony i chwycił ją za koszulkę.

Zaskoczona, roześmiała się.

- Ej, nie czas na zbytki - powiedziała.

- Ciii! - uciszył ją. - Wracaj na brzeg. Prędko!

Na tak oczywiste ponaglenie bez słowa popłynęła do brzegu. Chciała wdrapać się na skalną półkę, ale Paul pociągnął ją w krzaki, przyłożył palec do ust i wskazał na jezioro.

Spojrzała ostrożnie przez liście i zamarła z przerażenia. Chulo! Cztery pirogi gęsiego wypływały z rzeki na jezioro. W każdej było trzech Indian. Dwóch wiosłowało, trzeci zaś trzymał w rękach strzelbę, a na kolanach łuk. Wyraźnie zmierzali do określonego celu, nie mając pojęcia, że są obserwowani.

Przepłynęli o kilka metrów od kryjówki Troutów, tak blisko, że było widać krople potu na ich napiętych mięśniach. Sunęli w milczeniu przez jezioro, aż wreszcie zniknęli we mgle.

- Teraz wiemy, dlaczego nazywają ich Ludźmi Mgły - powiedziała Gamay.

Paul wstał ostrożnie i upewnił się, czy żaden z nich nie pozostał w tyle.

- Alarm odwołany - oznajmił. - Trzeba pomyśleć, jak się stąd wydostać. Ocaliłem scyzoryk. Z gałęzi i lian mogliśmy sklecić tratwę i popłynąć nią.

- Mam lepszy pomysł - odparła Gamay, wpatrując się w mgłę.

- Może nieco ryzykowny.

- Nieco? - Paul zaśmiał się. - Pamiętaj, że świetnie znam twój sposób myślenia. Chcesz zaproponować, żebyśmy poszli za tymi Indianami i gwizdnęli im pirogę.

- Czemu nie? Przecież są na swoim terenie, więc nie będą się tego spodziewać. Nie wyobrażam sobie, żebyś za pomocą scyzoryka zbudował tratwę, którą udałoby się nam popłynąć tą rzeką. Ci Indianie nie mogą wiosłować cały dzień. Muszą gdzieś przybić do brzegu. Odszukamy ich, zaczekamy do zmroku i weźmiemy jedną pirogę. Głowę daję, że nie zauważą jej braku.

W oczach Paula pojawiło się rozbawienie.

- Chyba nie chodzi ci tylko o to, żebyśmy się uratowali?

- Nie mów mi, że nie zastanawiałeś się nad tym, jakim cudem to plemię osiągnęło tak wysoki stopień rozwoju technicznego, i że nie zaintrygowała cię plotka o białej bogini.

- Zastanawiałem się, czy mają coś do jedzenia. - Paul poklepał się po brzuchu, żując w zamyśleniu żdźbło trawy. - Ale, mówiąc poważnie, wpadliśmy w tarapaty i nie mamy wielkiego wyboru. Nie wiemy, gdzie jesteśmy ani jak się stąd wydostać. Nie mamy co jeść. Jak powiedziałaś, to ich terytorium. Proponuję więc zrobić zwiad, a w razie niebezpieczeństwa damy dyla.

- Zgoda. A propos jedzenia, skończyły mi się batony śniadaniowe. Widziałam, że ptaki jedzą jagody z tego krzaka. Żaden nie padł, więc pewnie nie są trujące.

- Jagody! - zawołał Paul. - Świetnie!

Niestety. Jagody okazały się tak gorzkie, że nie dało się ich przełknąć. Głodni ruszyli brzegiem jeziora. Kiedy natrafili na grząski muł, wspięli się wyżej i odkryli ścieżkę. Szlak był zarośnięty i, sądząc z wyglądu, nikt z niego ostatnio nie korzystał. Posuwali się jednak ostrożnie, gotowi w razie natknięcia się na kogoś dać nura w zarośla.

Po przejściu około półtora kilometra znaleźli się w miejscu, gdzie opar znad jeziora wsiąkał w tropikalny las niczym dymy z teatralnej maszyny do produkcji mgły. Liście były mokre, jak po deszczu, a wodospad huczał z mocą tysiąca orkiestrowych kotłów. W tłumiącym ich kroki grzmocie utonęłyby nawet odgłosy marszu zbliżającej się armii. Powietrze się oziębiło i tak przesiąkło wilgocią, że można było oddychać. Z trudem wypatrywali ścieżki pod nogami.

A potem znenacka mgła się rozwiała. Zawiedli się jeśli myśleli że dojdą do baśniowej pięknej doliny. W dalszym ciągu mieli przed sobą sam las. Ale ścieżka nie biegła już nad jeziorem, tylko brzegiem rzeczki, którą z pewnością popłynęły pirogi.

Po kilku minutach Gamay przystanąła, kręcąc głową.

- Czy ta rzeczka nie wydaje ci się dziwna? - spytała.

Paul podszedł do skraju skarpy.

- Owszem, jest zbyt prosta - odparł. - Wygląda, jakby ktoś łopata i kilofem uregulował koryto.

- Otóż to. - Gamay ruszyła dalej. - Ci Chulo są fascynujący.

Wędrowali z trudem kilka godzin. Z liści palmowych zrobili sobie nakrycia głowy i często przystawali, by ugasić pragnienie wodą z rzeki. Raz przeczekali deszcz. Aż wreszcie ścieżka się rozszerzyła, i pojawiły się na niej odciski bosych stóp, co wzmogło ich czujność.

Po krótkiej dyskusji postanowili, że przejdą jeszcze kawałek brzegiem rzeki, a potem aż do zmięzchu ukryją się w lesie. Byli skonani i musieli odzyskać siły. Posuwając się dalej, dotarli do drogi wychodzącej z lasu. Wybrukowana tysiącami płaskich kamieni, skojarzyła się Gamay z drogami Inków i Majów. W niczym nie ustępowała rzymskiej Via Appia. Ulegając ciekawości, podążyli kamiennym gościńcem, a po pięciu minutach do dalszego marszu zachęcił ich prześwit między drzewami.

Droga doprowadziła do polany w kształcie idealnego koła o średnicy piętnastu metrów, również

wybrukowanej kamieniami. Pośrodku stał duży przedmiot.

- A niech mnie! - wykrzyknęli jednocześnie Paul i Gamay.

Odrzutowiec składał się z dwóch części. Przednia była nietknięta, ale po kabynie pasażerskiej nic nie zostało. Zachowaną w niezłym stanie część ogonową dosunięto do kabiny pilotów, przez co samolot stał się krótki i przysadzisty. Pokrywająca go farba zestarzała się i spłowiała, ale, o dziwo, nie był porośnięty lianami ani mchami.

Zajrzeli przez rozbite okna kabiny pilotów, spodziewając się ujrzeć szkielety. Fotele były puste. Tuż przedabiną, w płytkim zagłębieniu, czerniał popiół ogniska ze zwęglonymi kośćmi małych zwierząt. Wokół stały rzeźbione totemy rozmiarów człowieka. Figury różniły się między sobą. Wieńczyły je wyrzeźbione z ciemnego drewna posążki skrzydlatej kobiety z uniesionymi i złączonymi dłońmi. Takiej samej jak ta z medalionu znalezionego przy zabitym Indianinie.

- To jest jakaś świątynia - wyszeptała Gamay i podeszła do jamy z popiołami. - A tu palono ofiary. Przeważnie małe zwierzęta.

- Bardzo pocieszające. - Paul spojrział na słońce, a potem na zegarek. - Ustawili samolot tak, żeby służył za zegar słoneczny. Przypomina to rozmieszczenie kamieni w Stonehenge, ułożonych w kręgi, spełniających rolę kalendarza.

- Rozpoznajesz te niebiesko-białe kolory? - spytała Gamay, kładąc dłoń na dziobie samolotu.

- To barwy plemienne Chulo.

Oczy patrzącej na ścianę lasu za plecami Paula Gamay rozszerzyły się.

- Tu jest więcej tych barw - powiedziała.

Paul odwrócił się i zobaczył, że zza drzew wyłania się około dwudziestu Indian z twarzami pomalowanymi na kolor nieba i kości. Chulo, zgodnie ze swoją sławą, otoczyli ich cicho niczym duchy. Troutowie nie mogli uciec. Byli osaczeni.

I wtedy zbliżający się do nich z wysoko uniesionymi włóczniami Indianie zrobili coś dziwnego - rozwarli krąg, a jeden z nich włócznią dał im znak, żeby tędy przeszli. Paul i Gamay w asyście milczących Indian opuścili świątynię i podążyli ścieżką nad brzegiem rzeki.

Niebawem ścieżka rozszerzyła się, tworząc drogę, którą doszli do ostrokołu z bramą na tyle szeroką, że zmieściłaby się w niej ciężarówka. Z daleka po obu jej stronach dostrzegli wysokie drewniane pale, na wzór masztów flagowych zwieńczone gałkami. Gdy zbliżyli się do wrót, Gamay mocno ścisnęła dłoń męża.

- Spójrz, Paul - powiedziała.

- O cholera! - zaklął, podążywszy za jej wzrokiem.

Gałki okazały się ludzkimi głowami. Twarze wprawdzie zbrązowiały na słońcu i napoczęły je już ptaki i robaki, ale i tak można było rozpoznać rysy Dietera, Arnauda i jego milczącego pomagiera Carla. Czwarta głowa należała do ich indiańskiego pachołka. Paul rozpoznał go po baseballówce New York Yankees.

Minęli tę makabryczną dekorację i przeszli przez bramę. Za palisadą ujrzeli nad rzeką kilkadziesiąt długich, krytych strzechami chat. Żadnych kobiet ani dzieci. Strażnicy opuścili włócznie i zdjęli strzały z cięciw, ale ich postawa zniechęcała do robienia głupstw.

- Spójrz na to koło wodne - powiedział Paul. - Mamy podobne w Nowej Anglii.

Koło obracała płynąca drewnianymi korytami woda, doprowadzona z rzeki. Paul i Gamay nie mogli mu się bliżej przyjrzeć, bo strażnicy powiedli ich ku budowli pośrodku osady. Była cztery razy większa od otaczających ją chat, a jej ściany wykonano nie z drewna, lecz z gliny. Orszak zatrzymał się przed wejściem przypominającym wielkie, rozwarte usta, nad którym wisiał wirnik silnika turbodrutowego. Indianie za plecami Troutów zwarli szeregi, odłożyli broń i uklękli, dotykając

twarzami ziemi.

- I co teraz? - spytała Gamay, zdumiona nagłą uległością dzikich Indian.

- Odradzałbym ucieczkę - odparł Paul. - Dopadliby nas po trzech metrach. Widać oczekują, że wejdziemy do środka. Panie mają pierwszeństwo.

- Wejdziemy razem.

Ramię w ramię wkroczyli do ciemnego wnętrza. Po przejściu przez dwa mniejsze pokoje dotarli do większego pomieszczenia. Na samym jego końcu, w snopie światła wpadającego przez otwór w dachu, ktoś siedział. Postać uniosła rękę i skinęła na nich, by podeszli. Ruszyli wolno. Podłoga była tu z drewna, a nie z gliny, jak w znanych im chatach.

Postać siedziała na tronie zrobionym z samolotowego fotela. Jej ciało, z wyjątkiem dwóch kształtnych, opalonych nóg, skrywała owalna niebiesko-biała maska jak ze złego snu, z wymalowanymi wielkimi oczami i szerokimi ustami, pełnymi ostrych zębów rekina. Gdy Troutowie stanęli przed tym dziwolągiem, nie wiedząc, co począć, zza maski wyłoniły się dwie ręce i uniosły ją.

- Uf, ależ w niej gorąco - przemówiła po angielsku piękna kobieta, która się za nią kryła. Odstawiła wstrętą maskę na bok i skinęła głową Paulowi, a potem Gamay. - Doktorstwo Troutowie, jak mniemam?

- Skąd pani zna nasze nazwisko? - spytała Gamay, pierwsza otrząsając się ze zdziwienia.

- My, białe boginie, wszystko widzimy i wszystko wiemy - odparła nieznajoma ze śmiechem, widząc, że jeszcze bardziej zbiła ich z tropu. - Kiepska ze mnie gospodyni, bawię się kosztem gości.

Uśmiechnęła się i lekko klasnęła w dłonie. Na Troutów czekała jeszcze jedna niespodzianka. Wisząca za tronem zasłona z paciorków rozsunała się z szelestem i wyszła zza niej żona Dietera, Tessa.

15

Kancelaria adwokacka Francisa Xaviera Hanleya mieściła się na jedenastym piętrze szklanego niebieskiego wieżowca z widokiem na zatokę San Diego. Austin i Zavala wysiedli z windy w holu i podali swoje nazwiska atrakcyjnej młodej recepcjonistce. Nacisnęła przycisk interkomu i po cichej wymianie zdań oznajmiła, z promiennym uśmiechem, że mogą wejść. Przy drzwiach powitał ich rumiany osobnik o posturze sflaczałego wykidajły z klubu nocnego. Przedstawił się jako Hanley i zaprosił ich, by usiedli w dwóch empirowych fotelach. Sam umościł cielsko w pluszowym obrotowym fotelu przy dużym mahoniowym biurku, złożył dłonie koniuszkami palców i wpatrzył się w gości z miną wilka, śliniącego się na widok dwóch kozłów ofiarnych.

Po powrocie z Tijuany Austin zadzwonił do jego kancelarii i poprosił o spotkanie. Kłamiąc jak z nut oświadczył, że wraz z partnerem "zarobili kilka melonów", które chcą zainwestować. Zostali przyjęci bezzwłocznie. Drapieżny błysk w bladezielonych oczach prawnika świadczył o tym, że chwycił przynętę. Przeniósł wzrok z jednego gościa na drugiego.

- Mam zasadę od razu przystępować do interesów - mruknął. - Powiedzieliście przez telefon, że interesuje was inwestycja za granicą.

- Zwłaszcza w Meksyku - wyjaśnił Zavala.

Adwokat miał na sobie drogi szary garnitur ze sztucznego jedwabiu zwanego "skórą rekina", a na mięsistych łąpach dość złota i brylantów, by zatopić "Titanica". Żaden krawiec na świecie nie był w stanie zamaskować jego figury ulicznego osiłka, żadne klejnoty nie zdołałyby ukryć prostactwa zakorzenionego w każdym jego ruchu i słowie. Zavala i Austin przyszli tu celowo ubrani niedbale - w dzinsach, koszulkach i wiatrówkach. Albowiem w Kalifornii jak milionerzy wyglądają tylko ci,

którzy nimi nie są.

- Dobrze trafiliście - zapewnił Hanley. Uśmiech, którym chciał ich oczarować, upodobił go do tłustego sępa. - Chodzi wam o konkretną dziedzinę?

- Lubimy tortille - odparł, zachowując poważną minę Austin.

Na rumianym obliczu Hanleya odmalowała się dezorientacja.

- Nie rozumiem - powiedział niepewnie.

- Tortille - powtórzył Austin. - Słyszeliśmy, że to szybko rozwijająca się branża.

- Oczywiście - odparł Hanley, odzyskując rezon. - To kwitnący sektor dynamicznego przemysłu spożywczego.

Pewnie usłyszeliby to samo, gdyby wyrazili zainteresowanie produkcją babek z piasku. Uzgodnił wcześniej z Zavalą, że zaatakują go wprost, co tak skutecznie wytrąciło z równowagi Pedraleza.

- Słyszeliśmy - rzekł z uśmiechem Zavala - o wytwórni tortilli w stanie Baja California, za Ensenadą, którą pewnie można będzie tanio kupić.

Załawione oczy Hanleya zwięziły się.

- Gdzie pan to słyszał? - warknął.

- Tak mówią.

Koniuszki ust Zavali uniosły się w tajemniczym uśmiechu.

- Przykro mi, panowie, ale nie znam żadnej wytwórni tortilli w Baja.

- Powiada, że jej nie zna - zdziwił się Zavala, zwracając się do Austina.

- A to ciekawe. - Austin wzruszył ramionami. - Bo Enrico Pedralez twierdzi, że zna pan ją doskonale. Podał nam pańskie nazwisko i powiedział, że to pan załatwił mu ten interes.

Na dźwięk nazwiska bossa meksykańskiej mafii Hanley zrobił się czujny. Nie bardzo wiedział, co może powiedzieć tym dwóm obcym ludziom. Przemknęły mu przez myśl wszystkie możliwe zagrożenia - ze strony policji, urzędu skarbowego, urzędników państwowych. Ci dwaj nie pasowali do żadnej z tych kategorii. Postanowił więc przejść do ataku.

- Zechcecie się, panowie, wylegitymować? - spytał.

- Nie widzę takiej potrzeby - odparł Austin.

- No to, jeśli w ciągu dwóch sekund nie opuścicie mojej kancelarii, sam was z niej wyrzucę.

Austin nie ruszył się z fotela.

- Jak pan chce, ale nie radzę - odparł lodowato. - I nie dzwoniłbym też po koleżków z Meksyku.

Widząc, że ich nie zastraszył, adwokat sięgnął po słuchawkę.

- Dzwonię na policję - oświadczył.

- To może przy okazji również do stowarzyszenia prawników. Na pewno chętnie się dowiedzą, że jeden z ich grona ma konszachty z osławionym meksykańskim mafiosem. A wtedy ta oprawiona w ramki adwokacka licencja na pańskiej ścianie stanie się mniej warta niż papier, na którym ją wydrukowano.

Hanley cofnął rękę i wpatrzył się w nich zza biurka.

- Kim jesteście? - spytał.

- Ludźmi, którzy chcą się dowiedzieć więcej o wytwórni w Baja - odparł Austin.

Hanleyowi trudno było ich rozgryźć. Atletycznie zbudowani i opaleni wyglądali na plażowych wałkoni, ale pod tą niewinną powierzchownością wyczuł energię i siłę.

- Nawet jeśli macie wiarygodne pełnomocnictwa, i tak wam nie pomogę - odparł. - Wszelkie rozmowy na ten temat są objęte tajemnicą adwokacką.

- To prawda - przyznał Austin. - Ale prawdą jest też, że za brudne interesy ze znanym przestępcą może pan pójść do więzienia.

Na ustach Hanleya pojawił się nieszczerzy uśmiech.

- Dobra, wygraliście - rzekł. - Powiem wam, co wiem. Ale pójdźmy na kompromis. Zdradźcie mi, dlaczego interesuje was ten zakład. Tak będzie bardziej uczciwie.

- Owszem, ale na tym świecie nie ma uczciwości. - Twarde, zielonkawe oczy Austina wwiercily się w twarz prawnika. - Uspokoję pana. Pańskie szemrane sprawy nic nas nie obchodzą. Nie zobaczymy się więcej, jeśli dowiemy się kto pana wynajął do tego interesu w Baja.

Hanley skinął głową i z kasetki wyciągnął cygaro. Gości nie poczęstował, a kiedy je zapalił, dmuchnął w ich stronę dymem.

- Jakies dwa lata temu zgłosił się do mnie pewien makler z Sacramento - zaczął. - Usłyszał o moich, kontaktach za południową granicą i pomyślał, że świetnie się nadam na pośrednika w załatwieniu bardzo intratnej transakcji nie wymagającej dużego zachodu i ryzyka.

- Składając propozycję, nie do odrzucenia.

- Właśnie. Ale byłem ostrożny. W Kalifornii każdy myśli, żeby się wzbogacić. Wiedział o moich powiązaniach z Enrikiem. Dlatego musiałem się upewnić, że nie działa z urzędu. Do sprawdzenia go wynająłem detektywa. Gość okazał się w porządku.

Na myśl o ironii sytuacji, w której nieuczciwy prawnik troszczy się o uczciwość, Austin uśmiechnął się lekko.

- Co panu zaproponował? - spytał.

- Ludzie, których reprezentował, chcieli znaleźć kawałek gruntu na Baja. Koniecznie w odległej części półwyspu, nad brzegiem morza. Zażądał też, bym załatwił całą papierkową robotę i formalności urzędowe związane z uruchomieniem biznesu w Meksyku.

- Wytwórni tortilli.

- Tak. Chciał, żeby oficjalnym jej właścicielem był jakiś Meksykanin. Miało to ułatwić sprawę. Dostarczył plany techniczne fabryki i ekipę budowlaną. Powiedział, że jego klienci żądają dostępu do wytwórni po jej wybudowaniu, ale nie będą się wtrącać do produkcji. Zapewnili, że Enrico zatrzyma połowę zysków, a po pięciu latach fabryka przejdzie na jego własność.

- Nie zastanowiło pana, dlaczego ktoś jest taki szczodry? To przecież znaczna inwestycja.

- Płacą mi dużo dlatego, że nie zadaję takich pytań.

- Wygląda na to, że pańscy klienci potrzebowali przykrywki - podsunął Zavala.

- Pomyślałem to samo. Kiedy Japonce próbowały zbudować na wybrzeżu Baja fabrykę soli, nie zostawiono na nich suchej nitki. Wielbiciele wielorybów narobili wokół tego dużo smrodu. Uznałem więc, że widząc, co spotkało Japończyków, klienci tego maklera chcieli uniknąć podobnych kłopotów.

- A ten makler to kto?

- Nazywa się Jones. Słowo daję, to jego prawdziwe nazwisko - zapewnił Hanley, widząc ich sceptyczne spojrzenia. - Jest pośrednikiem, specjalizuje się w kupnie i sprzedaży firm.

- Kogo reprezentował?

- Nie powiedział.

- Ma pan nas za durniów, panie Hanley? - Austin pochylił się i oparł na biurku prawnika. - Przecież jest pan ostrożny. Pański detektyw na pewno sprawdził tego gościa.

- Trudno zaprzeczyć. - Hanley wzruszył ramionami. - Ci klienci próbowali ukryć swoją tożsamość w labiryncie spółek akcyjnych.

- Powiedział pan: próbowali. Kim są?

- Dotarłem tylko do małej firmy o nazwie Mulholland Group. To prywatna spółka akcyjna, powiązana z korporacjami zaangażowanymi w przedsięwzięcia hydrotechniczne na wielką skalę.

- Co jeszcze?

- To wszystko, co wiem. - Hanley sprawdził godzinę na swoim cartierze. - Wybaczcie panowie, ale jestem umówiony z prawdziwym klientem.

- Jaki jest adres i numer telefonu tego pośrednika?

- Do niczego wam się to nie przyda. Kilka tygodni temu Jones zginął. Jego samochód wypadł z górskiej drogi.

Od jakiegoś czasu przez sięgające od podłogi do sufitu okno za plecami prawnika Austin śledził helikopter, który latał tam i z powrotem nad zatoką, za każdym razem coraz bliżej wieżowca. Kiedy jednak usłyszał o niezwyklej śmierci maklera, skupił całą uwagę na Hanleyu.

- Proszę powiedzieć wszystko, co pan o nim wie - powiedział. - I udostępnić pełną dokumentację.

Hanley zmarszczył brwi. Był pewien, że spławił tych dwóch natrętów.

- Nie dam wam oryginałów - oświadczył. - Zrobię odbitki. Zajmie to parę godzin.

- Nie szkodzi. Jeszcze tu wrócimy.

Hanley zmarszczył brwi, ale po chwili uśmiechnął się, wstał zza biurka i odprowadził ich do drzwi.

- Zadzwońmy do Hiram Yaegera - powiedział w windzie Austin. - Hanley z całą pewnością usunie niektóre dokumenty, dlatego będziemy musieli sami poszperać w sprawie tej Mulholland Group.

Hiram Yaeger był w NUMA specjalistą od komputerów. System komputerowy na dziewiątym piętrze, któremu nadał imię Max, był podłączony do olbrzymiej bazy danych oceanograficznych, uzupełnianej wiedzą ze wszystkich źródeł na świecie i zaprogramowany na infiltrowanie baz zewnętrznych.

Wyszli z holu budynku na kalifornijskie słońce. Gdy Zavała dochodził do krawężnika, żeby przywołać taksówkę, usłyszeli z góry głośny łopot. Nad ulicą, w odległości jakichś trzydziestu metrów od szklanej ściany biurowca, zawisł zielony helikopter. Tak jak inni przechodnie, dwaj agenci NUMA z zaciekawieniem zadarli głowy. Wtem Austin coś sobie skojarzył i chwycił Zawalę za rękę.

- Wracamy! - powiedział.

Wpadli do otwartej windy i wcisnęli numer piętra kancelarii adwokackiej. W połowie drogi na górę usłyszeli głuchy huk i kabina zadygotała w szybie. Austin zatrzymał windę na piętrze pod kancelarią Hanleya. Przemknęli obok zaskoczonych urzędników i wbiegli po schodach na następną kondygnację.

Klatkę schodową wypełniał gryzący czarny dym. Austin wymacał drzwi na piętro. Nie wyczuwszy gorąca świadczącego o pożarze, uchylił je odrobinę. Na klatkę wydostało się jeszcze więcej dymu. Otworzyli drzwi na tyle, żeby przez nie przejść, i na czworakach, wśród duszących oparów, doczołgali się do biurka sekretarki. Chłodny prysznic z włączonej instalacji przeciwpożarowej zmoczył ich do suchej nitki. Dziewczyna leżała na dywanie obok biurka.

- Co z Hanleyem?! - krzyknął Joe.

Z drzwi gabinetu prawnika wydobywały się kłęby dymu.

- Daj sobie spokój. Zginął.

Zaciągnęli sekretarkę do klatki schodowej i znieśli ją, bezwładną, piętro niżej. Po kilkuminutowej reanimacji metodą usta - usta odzyskała przytomność. Niebawem na piętrze zadudniły buty strażaków. Przekazawszy dziewczynę pogotowiu, Austin i Zavała zeszli na dół po schodach, żeby nie utknąć w windzie, jeśli wyłączą prąd. Do holu wpadło więcej strażaków. Przyjechała

policja i przystąpiła do ewakuacji wieżowca. Agenci NUMA wmieszali się w tłum kłębiący się przed budynkiem, lecz gdy stwierdzili, że nie dzieje się nic ciekawego przeszli dwie przecznice dalej i złapali taksówkę.

Kierowca, sądząc z dowodu tożsamości, Senegalczyk, spojrział na ich usmolone twarze.

- Byliście w środku? - spytał. - Rany, usłyszałem o tym przed chwilą przez radio. Ale walnęło.

Zavala spojrział przez tylną szybę na zamieszanie przed budynkiem, gdzie policja zatrzymywała samochody i wytyczała ochronny pas przeciwpożarowy.

- Skąd wiedziałeś, co się stanie? - spytał Austina, ścierając sadze z policzka.

- Nie wiedziałem. Ale kiedy rozmawialiśmy z Hanleyem, zobaczyłem, że nad zatoką lata tam i z powrotem helikopter.

- Też go zauważyłem, ale uznałem, że należy do drogówki.

- I ja tak myślałem. Ale potem coś sobie skojarzyłem. Ten sam albo bardzo podobny śmigłowiec przeleciał po wybuchu nad wytwórnią tortilli.

- Pamiętam. Ciemnozielony. Zahuczał nad laguną i odfrunął. Tak czy owak właścicielom tej maszyny zależało, żeby Hanley marnie zginął - orzekł po namyśle Zavala.

- Hanley zadawał się z prawdziwymi bandziorami.

- Myślisz, że załatwił go Enrico?

- Możliwe. Wiedział, że z nim porozmawiamy. Ale zdziwiło mnie, że nie uprzedził go o naszej wizycie.

- Zastanawiam się nad wypadkiem pana Jonesa, który pośredniczył w tej transakcji - rzekł w zadumie Zavala. - Może i jemu zamknięto usta.

- To pasuje do teorii o Enriku, chyba że pojawi się coś lepszego.

A pojawiło się zaraz po ich powrocie do hotelu. Kiedy Austin poszedł umyć się i przebrać, Zavala włączył wiadomości. Kamera pokazała kłęby dymu, wydobywające się z kancelarii Hanleya i wozy strażackie przed budynkiem. Rzecznik straży pożarnej oświadczył, że udzielono pomocy pewnej liczbie osób, które nawdychały się dymu, ale że zginęła tylko jedna osoba. Jej nazwisko zostanie podane po zawiadomieniu najbliższych krewnych. Nie znano przyczyny wybuchu. Zavala już miał zgasić telewizor, kiedy na ekranie pojawiła się znajoma twarz.

- Kurt, musisz to zobaczyć! - zawołał.

Austin szybko wyszedł z łazienki i zdążył usłyszeć to, co podawał spiker:

- A oto informacja z ostatniej chwili. W eksplozji samochodu zginął dziś w Tijuanie domniemany szef meksykańskiej mafii narkotykowej, Enrico Pedralez. Wraz z nim śmierć poniosło dwóch mężczyzn, najprawdopodobniej jego ochroniarzy.

Spiker zaczął czytać długą listę przestępstw, przypisywanych Meksykaninowi.

- Widać, że ci od zielonego śmigłowca bardzo lubią sprzątać - rzekł Austin.

Zadzwoił telefon. Zavala, który go odebrał, słuchał przez chwilę, mruknął "proszę bardzo" i odłożył słuchawkę.

- To Miguel Gomez z FBI - powiedział.

- Czego chciał?

- Podziękował nam za to, że ułatwiliśmy mu robotę - odparł Zavala.

Brunhilda Sigurd władała swym rozległym imperium z gabinetu na szczycie wieży, wznoszącej się nad jej rozłożystą siedzibą w stylu wikingów, Walhallą. Pomieszczenie to - bez okien, bez żadnych obrazów i ozdób na śnieżnobiałych ścianach - miało kształt idealnego koła, geometrycznej figury najbliższej doskonałości. Brunhilda siedziała przy konsoli telefonicznej z białego plastiku wpatrując się w płaski ekran monitora. Urządzenia te w zupełności wystarczały do śledzenia na bieżąco jej przedsięwzięć na całym świecie. Zimą i latem w gabinecie panował niezmienny chłód - temperatura cztery stopnie powyżej zera. Nieliczni, dopuszczeni przez nią do tego orlego gniazda, przyrównywali je do chłodni, ale ona czuła się tam jak ryba w wodzie.

Wychowana na leżącej na odludziu farmie w Minnesocie, polubiła zimno i pokochała uczucie czystości, jakie daje mróz. Godzinami biegała samotnie na nartach w świetle gwiazd, nie zważając na mróz szczypiący w policzki. Gdy urosła i nabrała siły, jeszcze bardziej oddaliła się od bliźnich uważających ją za wybryk natury, "małych ludzi", jak ich nazywała. W szkole w Europie dzięki wybitnej inteligencji otrzymała najwyższe oceny, mimo że rzadko uczęszczała na zajęcia. Najbardziej chowała się przed ludźmi. Ich obecność podsyciała jej ambicję, megalomanię, tłącą się w niej złość.

- Dziękuję za poparcie ustawy w sprawie rzeki Kolorado, senatorze Barnes - powiedziała do mikrofonu. - Pański stan bardzo na tym zyska, zwłaszcza gdy firma pańskiego brata podpisze z nami kontrakty na zaplanowane przedsięwzięcia. Mam nadzieję, że skorzystał pan z moich sugestii.

- O tak, dziękuję. Musiałem oczywiście uniknąć konfliktu interesów, ale ja i brat jesteśmy sobie bardzo bliscy.

- Rozmawiał pan z prezydentem?

- Przed chwilą rozmawiałem z szefem jego kancelarii. Biały Dom zawetuje każdy wniosek wymierzony w przegłosowaną ustawę prywatyzacyjną. Prezydent święcie wierzy, że sektor prywatny ze wszystkim radzi sobie lepiej niż rząd, i z prowadzeniem więzień, i z ubezpieczeniami społecznymi, i z dostarczaniem wody.

- Jakie poparcie ma wniosek Kinkaida?

- Trochę rozproszonych głosów, nic poważnego. Wielka szkoda, że miał ten wypadek. Lubiłem go. Ale bez jego agitacji wniosek o zmianę ustawy padnie.

- Świetnie. A co z innymi wnioskami prywatyzacyjnymi?

- Są na dobrej drodze. Doczeka się pani sprywatyzowania państwowych przedsiębiorstw wodociągowych w całym kraju.

- Więc nie ma żadnych problemów?

- Może jeden. Najbardziej daje się nam we znaki naczelny dziennik w stolicy mojego stanu. Obawiam się, że może nam nabruździć.

Brunhilda spytała o jego nazwisko i zapamiętała je. Na jej biurku nie było pióra ani papieru. Polegała na własnej pamięci.

- Przy okazji, senatorze. Czy dotacja na rzecz pańskiej reelekcji jest wystarczająca?

- O tak, bardzo hojna, szczególnie jeśli zważyć, że w wyborach nie mam przeciwnika. Duże fundusze na kampanię odstraszą konkurentów.

Na konsoli telefonicznej zamrugało czerwone światło.

- Odezwe się do pana - powiedziała Brunhilda. - Do widzenia.

Przyciskiem otworzyła drzwi w ścianie i do gabinetu weszli, ubrani jak zwykle w czarne skóry, bracia Kradzikowie.

- No i co? - spytała.

Wąskie usta bliźniaków rozciągnęły się w identycznych stalowych uśmiechach.

- Zastrzeliliśmy meksykańskiego farmera...

- I prawnika, jak pani kazała.

- Żadnych komplikacji?

Pokręcili przecząco głowami.

- Sprawie farmera władze nie poświęcą wiele czasu - powiedziała. - A prawnik miał wielu wrogów. Przejdźmy do innych spraw. Chodzi o wybuch w naszym przedsięwzięciu w Meksyku. Doszły nowe fakty.

Dotknęła palcem monitora i na ekranie pojawiły się dwa zdjęcia. Jedno, zrobione przez kamerę telewizyjną, przedstawiało Austina i Zawalę w recepcji wytwórni tortilli. Drugie, powiększone, ukazywało ich obu na pokładzie "Żaboryby" w pobliżu Ensenady. Brunhilda oderwała na chwilę oczy od barczystego blondyna o jasnych włosach i przeniosła je na przystojnego bruneta.

- Wiecie, kim oni są? - spytała.

Bracia wzruszyli ramionami.

- To Kurt Austin, szef ekipy do zadań specjalnych NUMA, a to Jose Zawała, jej członek.

- Kiedy mamy...

- Ich załatwić?

Atmosfera w zimnym pomieszczeniu zrobiła się całkiem lodowata.

- Jeśli to oni zniszczyli laboratorium w Meksyku, zapłacą życiem. Ale jeszcze nie teraz.

Wcześniej trzeba się zająć pewną drobną sprawą - powiedziała i podała im nazwisko redaktora naczelnego dziennika. - To wszystko. Możecie odejść.

Bracia wypadli z gabinetu jak dwa psy, którym kazano aportować kość. Zostawszy sama, Brunhilda zaczęła rozmyślać o podwodnym laboratorium. Tyle pracy na marne. Co gorsza, wybuch zniszczył cały zapas katalizatora. Z nienawiścią wpatrzyła się w twarze mężczyzn na ekranie.

- Mali ludzie! - warknęła.

Na skinienie jej ręki ekran zgasł.

Paul Trout zakręcił prysznic i jeszcze raz z podziwem przyjrzał się jego konstrukcji. Płynąca drewnianą rurą woda tryskała przez dziurki w twardej wydrążonej skorupie tykwy, a natężenie jej strumienia regulowano prostym drewnianym zaworem. W podłodze z twardego drewna znajdował się otwór ściekowy. Paul wyszedł z drewnianej kabiny, wytarł się bawełnianym ręcznikiem, opasał drugim i wszedł do przyległej izby, oświetlonej glinianymi kagankami.

Gamay leżała w wysokim łóżku na wygodnym materacu z trawy. Ze splecionymi włosami, owinięta ręcznikiem, upozowana na starożytną Rzymiankę, jadła owoce z dużej misy.

- Co o tym wszystkim myślisz, naturysto? - spytała, przyglądając się Paulowi, opasanemu ręcznikiem, który wydawał się śmiesznie mały przy jego wzroście.

- Nawet w tak zwanym cywilizowanym świecie widziałem gorsze armatury - odparł.

- Czy wiesz, że miarą cywilizacji jest stopień zaawansowania urządzeń sanitarnych?

- Nie powiem, żeby mi się podobał zwyczaj tubylców nasadzania głów na ostre pale, ale ta wioska to prawdziwe чудо. Spójrz na jakość tych ścian. - Paul pogładził palcami biały tynk. - Mam tysiące pytań. Nasza gospodyni nie odezwała się?

- Przez Tessę przekazała, że zobaczy się z nami, kiedy odpoczniemy. A to ci niespodzianka! Myślałam, że żonę Dietera schwyтали Chulo.

Biała bogini niczego nie wyjaśniła. Po przywitaniu się z Troutami i pokazaniu im Tessy powiedziała jedynie:

- Bądźcie cierpliwi. Dowiedcie się wszystkiego w swoim czasie.

A potem klasnęła w dłonie i zza zasłony z paciorków wyłoniły się dwie półnagie damy dworu, młode Indianki ze spuszczoneymi głowami. Zaprowadziły gości do sypialni, pokazały im, jak działa prysznic, i wyszły, pozostawiając ich z misą pełną owoców.

- Wolę się jej nie sprzeciwiać - rzekł Paul, siadając przy żonie. - Co myślisz o białej bogini?

- Nie wychowała się w tych stronach. Po angielsku mówi z lekkim obcym akcentem. Jest inteligentna. Miła. Z pewnością zna się na owocach. Spróbuj tych małych żółtych. Smakują jak pomarańcze posypane cynamonem.

Paul skosztował kulistego owocu wielkości śliwki i zgodził się z jej oceną. A potem wyciągnął się na łóżku. Stopy wystawały mu poza poślanie.

Mieli zamiar odpocząć tylko chwilę, ale wyczerpani długą wędrówką w słońcu i odprężeni kąpielą zasnęli.

Kiedy się obudzili, zobaczyli indiańską damę dworu, siedzącą ze skrzyżowanymi nogami na podłodze. Przyglądała się im, a widząc, że się poruszyli, bez słowa wymknęła się z pokoju. Na stole leżały ich ubrania, które znikły, kiedy brali prysznic. Zabrudzone i prze poczone koszule i szorty wyprano i starannie ułożono. Paul spojrział na zegarek. Spali trzy godziny. Ubrali się szybko, ponaglani zapachem gotującej się stawy.

Wkrótce pojawiła się Tessa i dała im znak, żeby poszli za nią. Długim korytarzem zaprowadziła ich do dużej izby. Jej środek zajmował stół z ciemnego drewna i trzy przykryte tkaniną stołki. Na kafłowym piecu, z którego dym wylatywał rurami wchodzącymi w sufit, stały trzy gliniane bulgocące garnki. Czuwała przy nich Indianka.

Nadejście białej bogini zapowiedziało ciche pobrząkiwanie i dzwonięcie metalowych bransolet i łańcuszków na jej bosych nogach. Szyję ozdobił taki sam wisior, jaki nosił zabity Indianin. Miała orientalne oczy, wysokie kości policzkowe i kształtne, opalone ciało, które zgrabnie opinał dwuczęściowy kostium ze skóry jaguara. Rozjaśnione słońcem na miodowy blond włosy były szesane do tyłu i obcięte równo jak u miejscowych kobiet.

- Widzę, że trochę odpoczęliście - powiedziała, siadając przy stole.

- Przydał się prysznic - odparła Gamay.

- Niezwykle urządzenie - pochwalił Paul. - Jako rodowitego mieszkańca Nowej Anglii, zaintrygowała mnie pani amerykańska pomysłowość.

- Dziękuję, to jeden z moich pierwszych projektów. Wiatrak pompuje wodę do zbiornika, utrzymując ciśnienie. Zbiornik połączony jest z systemem rur, które bieżą w tych ścianach, dzięki czemu w środku jest chłodno nawet w najgorętsze dni. To najlepsza instalacja klimatyzacyjna, jaką mogłam zbudować z dostępnych tu materiałów. Najpierw zjemy, a później porozmawiamy - uprzedziła ich pytania.

Kucharka przyniosła duszone mięso z jarzynami i podała je wraz z sałatką w niebiesko-białych misach. Paul i Gamay jedli z apetytem, popijając odświeżającym niskoprocentowym napojem. Na deser były słodkie ciasteczka. Boginię rozbawił ich wilczy apetyt.

- Czas odpłacić się za kolację - powiedziała z uśmiechem, kiedy zmiotli już wszystko. -

Opowiedzcie mi, co zdarzyło się na świecie w ciągu ubiegłych dziesięciu lat.

- To niska cena za taką ucztę - odparł Paul.

- Nie wiem, czy nie zmienicie zdania. Zaczynajcie od nauki. Jakich postępów dokonano w minionej dekadzie?

Mówili na zmianę, opisując rozwój komputeryzacji, upowszechnienie się teletransmisji i Internetu, misje wahadłowców, teleskop Hubble'a, bezałogowe sondy kosmiczne, odkrycia NUMA w dziedzinie oceanografii i postęp w medycynie. Słuchała zafascynowana, z podbródkiem wspartym na splecionych dłoniach. Niekiedy zadawała pytania, zdradzające jej przygotowanie naukowe, lecz przede wszystkim chłonęła wieści z senną miną narkomanki, palącej opium.

- A teraz opowiedzcie mi o sytuacji politycznej - poprosiła.

Zaczęli przypominać różne wydarzenia: rządy amerykańskich prezydentów, stosunki z Rosją, wojnę w Zatoce Perskiej, konflikt na Bałkanach, susze, epidemie głodu, terroryzm, rozwój Unii Europejskiej. Białą boginię najwyraźniej ucieszyła wieść, że Brazylia stała się krajem demokratycznym. Opowiedzieli jej o filmie i teatrze, o muzyce i sztukach plastycznych i poinformowali, jakie znane osoby zmarły. Sami byli zaskoczeni tym, jak wiele wydarzyło się w minionych dziesięciu latach.

- A co z rakiem? - spytała. - Czy znaleziono jakiś lek?

- Niestety nie.

- A ze świeżą wodą? Nadal są z nią problemy w wielu krajach?

- Coraz większe, w związku z rozwojem gospodarczym i zatruciem środowiska.

Zasmucona, potrząsnęła głową.

- Tyle... - powiedziała nieobecny głosem. - Tyle straciłam. Nie wiem, czy moi rodzice żyją.

Brakuje mi ich, zwłaszcza mamy. - Otarła serwetką łzę. - Przepraszam, że tak was wymęczyłam pytaniami, ale nie macie pojęcia, co to znaczy być odciętym w dżungli i nie mieć kontaktu ze światem. Byliście bardzo mili i cierpliwi. Pora więc, bym opowiedziała wam o sobie.

Zawołała, żeby podano herbatę, a potem odprawiła Indianki i zostali we troje.

- Nazywam się Francesca Cabral - zaczęła.

Przez godzinę Troutowie słuchali zafascynowani opowieścią indiańskiej bogini - od historii jej rodziny, przez naukę i studia w Brazylii i Stanach, po rozbicie się samolotu.

- Tylko ja przeżyłam katastrofę - powiedziała. - Drugi pilot był łajdakiem, ale umiał latać.

Sprowadził odrzutowiec na nadrzeczne mokradła. Błoto zamortyzowało lądowanie i zapobiegło pożarowi. Przytomność odzyskałam w chacie, do której przynieśli mnie Indianie. Ranna i potłuczona, bardzo cierpiałam. Miałam otwarte złamanie nogi. Ale leki z lasu tropikalnego są bardzo skuteczne. Zestawiono mi nogę, a podawane wywary, złagodziły cierpienia i przyspieszyły powrót do zdrowia. Dowiedziałam się potem, że samolot wylądował na chacie wodza wioski i zabił go. Indianie nie wzięli mi tego za złe. Wręcz przeciwnie.

- Zrobili z pani boginię - dopowiedziała Gamay.

- Zaraz zrozumiecie dlaczego. Dawno temu Chulo uciekli przed inwazją białych. Stracili wszelki kontakt ze światem. I oto raptem, jak kometa z jasnego nieba, pojawiłam się ja. Tak zachowują się bogowie, kiedy chcą przypomnieć ludziom, gdzie ich miejsce. Chulo uznali, że wódz rozgniewał bogów, i otoczyli mnie kultem.

- Jako boginię z nieba? - podsunęła Gamay.

- W czasie ostatniej wojny tubylcy, którzy pierwszy raz ujrzeli samoloty, zaczęli je czcić, budując na ziemi ich kopie - przypomniał Paul.

- Właśnie. A pamiętasz film *Bogowie muszą być szaleni*? - spytała Gamay. - Tam obiektem wierzeń religijnych i przyczyną wszystkich nieporozumień stała się butelka coca-coli wyrzucona z samolotu.

- Istotnie - potwierdziła Francesca. - A pomyślcie, co zrobiliby ci ludzie, gdyby w ręce wpadł im sam samolot.

- To wyjaśnia tajemnicę tutejszej świątyni.

Francesca skinęła głową.

- Zaciągnęli tam kawałki odrzutowca i całkiem udatnie je zmontowali. To taki "rydwan bogów". Teraz składają przy nim ofiary ze zwierząt, żeby bogowie nie niszczyli już plemienia.

- Samolot był niebiesko-biały. Czy tubylcy właśnie dlatego malują ciała na te kolory? - spytała Gamay.

- Wierzą, że ochroni ich to przed wrogami.

- A skąd się tu wzięła Tessa?

- Jest półkrwi Chulo. Jej matkę porwało sąsiednie plemię i sprzedało Europejczykowi, ojcu Tessy. Po jego śmierci, podczas plemiennej sprzeczki, Tessa stała się własnością Dietera. Dieter wiedział o plemieniu Chulo i poślubił ją, gdy była jeszcze dziewczynką, sądząc, że ułatwi mu to dostęp do jej pobratymców i ich leczniczych ziół.

- Dlaczego z nim została?

- Uważała, że nie ma innego wyjścia. Dieter nieustannie przypominał jej, że jest nic niewarta, że jest mieszańcem. Wyrzutkiem.

- A kim był zabity Indianin, którego znaleźliśmy?

- Jej przyrodnim bratem, który mieszkał tutaj. Uparł się, że odszuka rodzinę, i zaczął się wyprawiać za wodospady. Dowiedział się tam o śmierci matki i o tym, że ma siostrę - Tessę. Wyruszył, żeby ją tu sprowadzić. Dla Chulo honor rodzinny to ważna sprawa. Niestety schwytali go współpracujący z Dieterem rabusie ziół. Chcieli, żeby im pokazał, gdzie rośnie krwawy korzeń.

- O tej roślinie wspominał nam Arnaud.

- Jest cudowna, kurowali mnie nią po rozbiciu się samolotu. Plemię Chulo uważa ją za świętą. Kiedy brat Tessy im odmówił, zaczęli go torturować. I zastrzelili podczas próby ucieczki. Dieter

ukradł próbki rośliny. Na poszukiwanie brata Tessy wysłałam oddział Chulo. Natknęli się na nią, gdy wracała tutaj. Opowiedziała im, co się stało. Odesłałam ją do Dietera, przykazując, żeby informowała nas o wszystkim. I wówczas nieoczekiwanie zjawiliście się wy. Tessa usiłowała was ostrzec. A kiedy to się nie udało, pomogła wam w ucieczce. A przynajmniej myślała, że uciekliście. Tymczasem zjawiliście się w naszych progach.

- Cali i zdrowi. Czego nie można powiedzieć o Dieterze i jego znajomkach.

- Indianie przynieśli mi ich głowy w darze. - Francesca rozejrzała się po jadalni, pełnej barwnych gobelinów ze scenami z życia wioski. - Zmumifikowane głowy klóciły się z tym wystrojem, więc zaproponowałam, by umieścili je na zewnątrz wsi.

- A więc to pani zawdzięczamy ten komitet powitalny?

- Oczywiście. Pomarańczowo-niebieski balon, którym lecieliście, rzucał się w oczy. Indianie donieśli mi, że o mało co nie wpadliście na wodospad. Poleciłam im mieć was na oku, ale nie robić krzywdy. Śledzili was od początku. Zaskoczyło mnie, że skierowaliście się w tę stronę.

- Zamierzaliśmy pożyczyć pirogę.

- Nie mielibyście najmniejszych szans. Sława tych Indian jest w pełni zasłużona. Śledzili was wiele kilometrów. Niekiedy mam wrażenie, że są to naprawdę ludzie-duchy. Przenikają przez dżungłę niczym mgła, z której, zdaniem innych plemion, są utkani.

- Po co ktoś miałby uprowadzać samolot i porywać panią? - spytał Paul, zastanawiając się nad historią Franceski.

- Znam powód - odparła. - Chodźcie, coś wam pokażę.

Wstała od stołu i oświetlonymi blaskiem pochodni korytarzami zaprowadziła ich do dużej sypialni. Tam wyjęła ze skrzyni poobijaną i porysowaną aluminiową walizeczkę. Ułożyła ją na łóżku i otworzyła, odsłaniając płataninę porwanych drutów i obwodów.

- To model eksperymentu, który wiozłam na konferencję w Kairze - wyjaśniła. - Nie chcę wchodzić w szczegóły techniczne, ale kiedy z tego końca wpuści się wodę morską, to po ekstrakcji soli z drugiego wypłynie woda słodka.

- Chodzi o odsalanie?

- Tak. O rewolucyjną metodę, odmienną od dotychczasowych. Udoskonalenie jej zajęło mi dwa lata. Najczęstszym problemem w procesie odsalania były jego koszty. Mój pozwala przerabiać tysiące litrów słonej wody za grosze. A przy tym wytwarza ciepło, które można przekształcić w elektryczność. - Francesca potrząsnęła głową. - Dzięki niemu pustynie zamieniłyby się w ogrody, a ludzie mieliby źródło energii.

- Nadal nie rozumiem - rzekł Paul. - Komu zależałoby na tym, by świat nie skorzystał z tych dobrodziejstw?

- W minionych dziesięciu latach zadawałam sobie to pytanie wiele razy i nie znalazłam zadowalającej odpowiedzi.

- Czy to był jedyny model?

- Tak - odparła Francesca i posmutniała. - Z Sao Paulo zabrałam ze sobą wszystko. Cała dokumentacja spłonęła podczas katastrofy. Niemniej - dodała weselszym głosem - udało mi się tutaj spożytkować moją wiedzę o hydraulice. Nudno byłoby siedzieć beczynnie całymi dniami, wyłącznie jako obiekt adoracji. Faktycznie jestem więźniarką. Po kraksie Chulo ukryli mnie przed ekipami poszukiwawczymi. Tak naprawdę to sama mogę być jedynie tu, w pałacu, do którego wstęp mają tylko ludzie zaproszeni. Służbę dobrałam pod kątem wierności. Na zewnątrz pilnuje mnie moja gwardia pretoriańska.

- A więc bycie białą boginią to żadna frajda - orzekł Paul.

- Łagodnie mówiąc. Dlatego tak się cieszę, że spadliście mi z nieba. Dzisiaj odpoczniecie. A jutro oprowadzę was po wiosce i zajmiemy się planami.

- Jakimi planami? - spytała Gamay.

- Myślałam, że to oczywiste. Planami ucieczki.

Na pokładzie swojej barki mieszkalnej, zakotwiczonej pod urwistymi brzegami Potomacu w okręgu Fairfax w stanie Wirginia, Kurt Austin zjadł właśnie śniadanie, na które zrobił sobie jajecznicę na szynce. Przypatrując się tęsknie leniwie płynącej rzece, pomyślał, że od jazdy po obwodnicy pod Waszyngtonem stokroć bardziej wolałby przejażdżkę skiffem. Jednak wydarzenia kilku minionych dni nie dawały mu spokoju. Dwukrotnie otarł się o śmierć, poczuł się więc osobiście zaangażowany w sprawę.

Turkusowym, zaprojektowanym specjalnie dla NUMA jeepem cherokee pojechał na południe, następnie mostem Woodrowa Wilsona na wschód do Marylandu i zjechał z obwodnicy. W podmiejskim Suitland zatrzymał się na poboczu, przed kompleksem blaszanych budynków, tak pozbawionych charakteru, że ich zbudowanie mógł zlecić tylko rząd.

Przewodniczka z biura dla zwiedzających przekazała przez telefon jego personalia i kilka minut później zjawiał się wysportowany mężczyzna w średnim wieku, w pochłapanych farbą dżinsach, dżinsowej roboczej koszuli i baseballówce z emblematem Smithsoniańskiego Muzeum Lotnictwa i Przestrzeni Kosmicznej.

- Fred Miller - przedstawił się, mocno ściskając dłoń gościa. - Rozmawialiśmy przez telefon. - Dziękuję, że znalazł pan dla mnie czas - powiedział Austin. - Nie ma sprawy. - Miller pytająco uniósł brwi. - Czy to pan jest tym Kurtem Austinem, który znalazł grób Krzysztofa Kolumba w Gwatemali?

- Tak.

- Przygoda jak się patrzy.

- Było ciekawie, nie powiem.

- No chyba. Przepraszam, ale niewiele wiem o NUMA, tylko to, co wyczytałem w gazetach o waszych podwodnych wyczynach.

- Ja też niewiele wiem o Zakładzie Konserwacji, Odtwarzania i Przechowywania, imienia Paula E. Garbera. Wasza strona internetowa informuje, że odnawiacie stare zabytkowe samoloty.

- To tylko wierzchołek góry lodowej - odparł Miller, wskazując drogę do drzwi. - Oprowadzę pana.

Wyszedł z Austinem na zewnątrz i nie przestając mówić, poprowadził go wzdłuż szeregu identycznych budynków z niskimi dachami i dużymi zasuwanymi drzwiami.

- Paul Garber był maniakiem samolotowym. W dzieciństwie oglądał lot Orvilla Wrighta na pierwszym w świecie samolocie wojskowym. Później pracował dla Instytutu Smithsoniańskiego i to jemu zawdzięczamy powstanie Muzeum Lotnictwa. Kiedy marynarka wojenna i lotnictwo postanowiły pozbyć się samolotów, dzięki którym wygraliśmy II wojnę światową, i maszyn pokonanych wrogów, Garber przeprowadził powietrzny rekonesans i na tym odludziu znalazł dwadzieścia jeden akrów gruntu należących do rządu. Nasz ośrodek składa się z trzydziestu dwu budynków. - Zatrzymali się przed jednym z większych. - To budynek dziesiąty, warsztat, w którym odtwarzamy samoloty.

- Widziałem niektóre z waszych prac w Internecie.

- Mnie pewnie również. Jestem stąd. Wiele lat kierowałem produkcją w zakładach Boeinga w

Seattle, ale pochodzę z Wirginii, więc gdy tylko nadarzyła się okazja, by się przenieść do tego ośrodka, natychmiast z niej skorzystałem. Zawsze pracujemy nad kilkoma zadaniami naraz. Właśnie skończyliśmy restaurować hawкера hurricane'a. Z małym poślizgiem, bo były kłopoty z częściami. A teraz odnawiamy kadłub Enoli Gay, bombowca B-29, z którego zrzucono bombę atomową na Hiroszimę. Odmalowujemy też płócienne poszycie małego eleganckiego dwupłatowca, zwanego "wypierdkiem" Pitta. Zajmujemy się nie tylko samolotami. Mamy tu sowiecki pocisk ziemia-powietrze, silniki samolotowe, a nawet model statku kosmicznego, wykorzystany w filmie *Bliskie spotkania trzeciego stopnia*. Możemy je obejrzeć wracając.

- Z przyjemnością. To bardzo różnorodny zbiór.

- O, tak. Do ekspozycji przygotowujemy samoloty z całego świata. Przeznaczaliśmy na ten cel aż trzy budynki. Do odrestaurowania kwalifikujemy maszyny, które się czymś odznaczyły. Ze względu na ich wartość historyczną, nowatorstwo technologiczne albo dlatego, że stanowią ostatnie zachowane egzemplarze. Proszę, tu jest to, co pana interesuje.

Weszli do budynku urządzonego jak magazyn. Na ciągnących się przez całą jego długość wysokich metalowych półkach ustawiono rzędem setki zaklejonych taśmą pudeł rozmaitych rozmiarów.

- Naszą trzecią ważną funkcją poza odtwarzaniem i konserwacją eksponatów jest gromadzenie ich - wyjaśnił Miller. - Przechowujemy w muzeum ponad sto pięćdziesiąt samolotów i tony innych wytworów ludzkie rąk. Tu trzymamy głównie części.

Zajrzał do wydruku komputerowego i powiódł gościa jednym z przejść między półkami.

- Jak znajduje pan to, co jest akurat potrzebne? - spytał zaintrygowany Austin.

Miller zaśmiał się.

- To nie takie trudne. Każda istotna część samolotu zaopatrzona jest w sygnaturę. W naszych aktach figurują jej numery seryjne, numery rejestracyjne lub kody literowe. To tu, właśnie tego szukamy.

Scyzorykiem rozciął taśmę zaklejającą kartonowe pudło i ze środka wyciągnął metalowy, ponad półmetrowy cylinder. Austin w pierwszej chwili wziął go za egzemplarz, który przysłał z Kalifornii, ale ten bardziej się błyszczał, a na jego powierzchni nie było żadnych rys ani szczerb.

- Przesłał nam pan taki sam. - Miller wyjął z pudła cylinder Austina. - Skojarzyliśmy je z sobą na podstawie numerów seryjnych. Nasz jest w tak dobrym stanie dlatego, że pochodzi z samolotu wycofanego z użycia i rozebranego na części.

Austin wziął od niego cylinder i zważył go w rękach. Był, tak jak i tamten, z lekkiego aluminium i ważył kilogram, może dwa.

- Do czego służył? - spytał.

- To hermetyczny, wodoszczelny zasobnik. Jest w idealnym stanie, bo pochodzi z samolotu, który nie był w służbie czynnej. Zbadaliśmy przesłany przez pana egzemplarz, ale to, co w nim było, zniszczyła morska woda, która dostała się tam przez dziurę. Możemy jednak powiedzieć, z jakiego samolotu pochodzi.

- Cenna będzie każda informacja.

Miller skinął głową.

- Słyszał pan o latających skrzydłach Northropa?

- Oczywiście, widziałem je na zdjęciach. Były pierwszymi samolotami ze skrzydłami typu delta.

- Northrop znacznie wyprzedzał swój czas. Wystarczy spojrzeć na bombowiec i myśliwiec stealth, by docenić jego nowatorstwo.

- A co wspólnego z latającym skrzydłem mają te cylindry?

- To, że oba pochodzą właśnie z takich samolotów. Skąd pan wziął swój, jeśli wolno spytać?
- Wyłowilem go z wody przy półwyspie Baja California.
- Hmm. To dodatkowo komplikuje zagadkę samolotu-widma.
- Widma?

Miller odłożył oba cylindry na półkę.

- Nasz egzemplarz pochodzi z samolotu złomowanego po wojnie. Dzięki numerom seryjnym możemy prześledzić jego historię od czasu, gdy zszedł z taśmy produkcyjnej. - Postukał palcem w poobijany cylinder. - Oznakowanie na tym nie pasuje do żadnej ze skatalogowanych przez nas maszyn. A zatem pochodzi on z samolotu, który nie istniał.

- Przecież to nonsens? Ktoś popełnił błąd.

- Niewykluczone, ale mało prawdopodobne. Mogę się domyślać, że ten samolot zamówił rząd, ale nie chciał, by o tym wiedziano.

- Może mi pan powiedzieć coś więcej o samolotach tego typu?

Miller starannie odłożył cylindry do pudła i zakleił je taśmą.

- Przejdźmy się - powiedział.

Budynek numer 20 wypełniały samoloty, ich części i bomby. Zatrzymali się przed dwuosobową maszyną dziwnego kształtu, z szerokim, skośnym skrzydłem i dwoma śmigłami, ustawionymi tyłem do krawędzi spływu płata.

- To N1-M, pierwszy projekt Jacka Northropa - wyjaśnił Miller. - Chciał udowodnić, że latające skrzydło może latać bez tych wszystkich zwiększających opór powierzchni w rodzaju osłon silnika i części ogonowej.

Austin obszedł samolot dookoła.

- Wygląda jak wielki bumerang - powiedział.

- Northrop zbudował go w 1940 roku jako egzemplarz eksperymentalny i nazwał "Jeepem".

Podczas prób wystąpiły poważne problemy, niemniej "Jeep" spisał się na tyle dobrze, że Northrop przekonał lotnictwo do budowy bombowca B-35.

- Ciekawe, ale jaki to ma związek z moim cylindrem?

- Northrop wykorzystał ten model do przekonania generała Hapa Arnolda, aby lotnictwo sfinansowało budowę większego samolotu, o rozmiarach bombowca. Po wojnie dwa wielkie, napędzane śmigłami latające skrzydła B-35 wyposażono w napęd odrzutowy i opatrzone symbolem B-49. Bombowce te pobiły wszystkie rekordy szybkości i zasięgu lotu. Dzięki ośmiu silnikom odrzutowym na pułapie dwunastu kilometrów rozwijały prędkość przelotową sześciuset pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Mimo że jedna z testowanych maszyn rozbiła się, lotnictwo zamówiło trzydzieści B-49 z różnymi kadłubami. Lotnicy je polubili. Twierdzili, że pilotuje się je jak myśliwce, a nie duże bombowce. Ale w 1949 roku, wkrótce po złożeniu tak dużego zamówienia, Siły Powietrzne wycofały się z programu ich budowy, wybierając gorszy samolot, B-36. Ocalałe sześciosilnikowe latające skrzydło rozebrano na części. To właśnie z niego pochodzi nasz cylinder. Pański jest z innego bombowca.

- Z nieistniejącego samolotu.

Miller skinął głową.

- Po kapitulacji Niemiec popełniono wiele głupstw. Wybuchła zimna wojna. Ludzie wszędzie wietrzyli komunistów. Wszystko stało się ściśle tajne. A po zbudowaniu przez Rosjan bomby atomowej rząd posunął się jeszcze dalej. Podejrzewam, że kazali zbudować pański samolot w konkretnym celu, ale to zataili.

- W jakim?

- Nie wiem, ale zaryzykuję domysł.

- Śmiało, przyjacielu.

Miller zaśmiał się.

- Bombowiec Northropa to pierwowzór stealtha - zaczął. - Ówczesne radary były stosunkowo prymitywne i nie mogły wykryć samolotu o tak płaskiej sylwetce. W 1948 roku latające skrzydło poleciało nad Pacyfik, zawróciło i z prędkością ośmiuset kilometrów na godzinę skierowało się wprost na radary Dowództwa Obrony Wybrzeża w Half Moon Bay, na południe od San Francisco. Wykryły je one dopiero w chwili, gdy znalazło się nad nimi.

- A więc można było niepostrzeżenie wtargnąć na terytorium wroga i niepostrzeżenie je opuścić.

- Otóż to.

- Co mogło się stać z tym samolotem?

- Był wprawdzie trudno wykrywalny przez radary, ale ktoś mógł go zestrzelić.

Najprawdopodobniej jednak oddano go na złom, tak jak pozostałe, albo rozbił się podczas testu lub podczas wykonywania zadania. Ciągłe pracowano nad usunięciem usterek w jego konstrukcji.

- To jednak nie wyjaśnia, w jaki sposób jedna z jego części znalazła się w morzu przy wybrzeżu Meksyku.

Miller wzruszył ramionami.

- Może uda mi się coś znaleźć w archiwach - podsunął Austin.

- Powodzenia. Pamięta pan, co powiedziałem o głupstwach popełnionych po wojnie? Po zerwaniu przez Siły Powietrzne kontraktu na ostatnią partię latających skrzydeł, wojskowi wkroczyli do fabryki, pocięli wszystkie budowane tam samoloty i wywieźli je na złom. Sprzeciwiono się prośbie Instytutu Smithsoniańskiego, by przekazać ten samolot do muzeum, i kazano zniszczyć wszystkie przyrządy i farby. Cała urzędowa dokumentacja na temat latającego skrzydła "przepadła", zapewne na osobisty rozkaz Trumana.

Austin wpatrzył się w latające skrzydło tak, jakby w aerodynamicznym kadłubie bombowca kryła się odpowiedź na dręczącą go zagadkę.

- No cóż, dziękuję za pomoc - rzekł wreszcie. - Zdaje się, że dotarłem do ściany.

- Żałuję, że nie mogłem bardziej pomóc - odparł Miller. - Ale mam propozycję. To strzał w ciemno. Niedaleko stąd mieszka wdowa po jednym z oblatywaczy. Zajrzała tu kiedyś, szukając informacji o mężu. Zginął podczas testowania latających skrzydeł. Zbierała różne pamiątki, żeby zostawić je dzieciom i wnukom. Daliśmy jej trochę zdjęć, bardzo się ucieszyła. Mąż mógł jej coś napomknąć. Pewnie nic nie wiedział o naszym zaginionym samolocie, ale przecież zawsze krążą jakieś plotki.

Austin zerknął na zegarek. Do NUMA zamierzał wrócić dopiero po lunchu.

- Dziękuję za informację - rzekł. - Spróbuję znaleźć tę panią.

W kancelarii odszukali nazwisko i adres tej kobiety. W imieniu męża przekazała ośrodkowi sporą darowiznę. Austin podziękował Millerowi i ruszył na południe, zostawiając za sobą przedmieścia Waszyngtonu. Teraz krajobraz bardziej przypominał wieś. Jego celem okazał się stojący przy bocznej drodze, piętrowy, pretensjonalny dom w stylu wiktoriańskim. Austin podszedł do frontowych drzwi i zadzwonił. Otworzył mu atletycznie zbudowany mężczyzna po pięćdziesiątce.

- Szukam pani Phyllis Martin - powiedział po przedstawieniu się. - Czy dobrze trafiłem?

- Tak, to dom Martinów. Niestety spóźnił się pan. Mama zmarła kilka tygodni temu.

- Bardzo mi przykro. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

- Bynajmniej. Jestem Buzz Martin. Porządkuję dom. Mogę w czymś panu pomóc?

- Być może. Pracuję w NUMA, Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych. Zbieram

informacje na temat latających skrzydeł i liczyłem, że pana mama zechce porozmawiać ze mną o pańskim ojcu.

- Czy NUMA nie zajmuje się oceanografią?

- Owszem, ale sprawa może mieć związek z naszą działalnością - odparł Austin.

Buzz Martin przyjrzał się mu badawczo.

- Chętnie z panem rozmawiam. Proszę usiąść w bujanym fotelu na ganku. Pracowałem w piwnicy, więc świeże powietrze dobrze mi zrobi. Zaraz przyniosę mrożoną kawę.

Wszedł do domu i po kilku minutach wrócił z dwiema szklankami, w których pobrzękiwał lód. Usiadł w głębokich fotelach z deszczulek. Martin podniósł wzrok na dęby ocieniające wielki trawnik.

- Wychowałem się w tym domu - powiedział. - Nie przyjeżdżałem tu zbyt często ze względu na obowiązki rodzinne i pracę w Baltimore. Pracuję w lotniczych usługach czarterowych. - Łyknął kawę. - Ale nie o mnie mamy mówić. Co chce pan wiedzieć o moim ojcu?

- Wszystko, co mogłoby rozjaśnić tajemnicę latającego skrzydła, które pilotował.

Twarz Martina rozjaśniła się.

- Aha! - zawołał, klaszcząc w dłonie. - Wiedziałem, że ten szwindel kiedyś się wyda.

- Szwindel?

- Tak - potwierdził z goryczą. - Ta parszywa sprawa z moim ojcem i rzekomą katastrofą.

Austin wyczuł, że im mniej będzie mówił, tym więcej się dowie.

- Proszę powiedzieć, co pan wie - poprosił.

Wcale nie musiał go zachęcać. Martin od lat czekał, aż znajdzie się ktoś, kto zechce wysłuchać jego opowieści.

Wstał i ze zmienioną twarzą przeszedł się po ganku. Kilka razy zaczerpnął powietrza, by zapanować nad sobą, a potem splótł ręce, usiadł na balustradzie i zaczął opowiadać.

- Ojciec zginął w 1949 roku. Według mamy, kiedy oblatywał jedno z nowych latających skrzydeł. Samolot miał wady i ciągle coś w nim poprawiano. Podczas tamtego lotu samolot podobno wpadł w korkociąg i ojciec nie zdołał zapanować nad nim. Zabił się. Miałem wtedy siedem lat.

- Na pewno strasznie pan to przeżył.

- Byłem bardzo przejęty obecnością wysokich oficerów lotnictwa i listami od prezydenta. Zresztą rzadko oglądałem ojca. Podczas wojny najczęściej przebywał poza domem. - Zamilkł. - Prawdziwym ciosem było dla mnie dopiero odkrycie, że on żyje.

- A więc pański ojciec nie zginął w katastrofie?

- Na cmentarzu w Arlington wyglądał całkiem zdrowo.

- Jak to, w trumnie?

- Nie. Obserwował swój pogrzeb z daleka.

Austin przyjrzał się uważnie swemu rozmówcy, ale na jego twarzy nie dostrzegł oznak obłąkania.

- Chciałbym o tym usłyszeć - powiedział.

Martin uśmiechnął się.

- Ponad czterdzieści lat czekałem, żeby usłyszeć od kogoś te słowa - rzekł i wpatrzył się w przestrzeń. - Wciąż pamiętam szczegóły. Wiosnę, latające wędrowne drozdy. Refleksy słońca w guzikach mundurów lotników, zapach świeżo skoszonej trawy i ziemi. Stałem w garniturku przy trumnie, tuż obok mamy, trzymałem ją za rękę i cierpiałem katusze, bo było gorąco i uciskał mnie kołnierzyk. A pastor gadał bez końca monotonnym głosem. Wszyscy na niego patrzyli. -

Przypominając to sobie, zaczerpnął powietrza. - Wtem coś się poruszyło, może ptak, i spojrzałem za plecy zgromadzonych ludzi. Zza drzewa wysunął się jakiś człowiek. W ciemnym ubraniu. Był za

daleko, bym widział jego twarz, ale nie mogłem go pomylić z nikim. Jedną nogę ojciec zawsze stawiał w charakterystyczny sposób, trochę krzywo, z powodu kontuzji, której nabawił się podczas gry w futbol.

- Co robił?

- Nic. Po prostu stał. Wiedziałem, że na mnie patrzy. W pewnej chwili uniósł nieznacznie prawą rękę, jakby chciał mnie pozdrowić. I wtedy podeszło do niego dwóch mężczyzn. Zaczęli rozmawiać, ale tak, jakby się kłócili. A potem odeszli razem. Próbowałem zwrócić na nich uwagę mamy, ale mnie uciszyła.

- Jest pan pewien, że nie był to tylko wytwór imaginerii roztrzęsionego dziecka?

- W żadnym razie. Byłem tak święcie o tym przekonany, że po pogrzebie powiedziałem o wszystkim mamie. Rozszlochała się. Nigdy nie zapomnę jej łez. Więcej o tym nie mówiliśmy. Była młoda i wyszła powtórnie za męża. Ojczym okazał się bardzo miłym człowiekiem. Wiodło mu się w interesach, więc żyli dostatnio. Byli ze sobą szczęśliwi długie lata. - Zaśmiał się. - Wrodziłem się w ojca. Matka próbowała odwieść mnie od latania, ale zostałem pilotem. Ta sprawa nie dawała mi spokoju. Szukałem jakiegoś wytłumaczenia, ale na próżno. W końcu pogodziłem się z tym, że prawda nigdy nie wyjdzie na jaw. I oto ni z tego, ni z owego zjawia się pan i zaczyna stawiać pytania.

- Co panu wiadomo o pracy ojca?

- Był doświadczonym pilotem. Pozostał w wojsku nawet po zatrudnieniu przez Avion Corporation, firmę Northropa, utworzoną do produkcji latających skrzydeł. Tata kilka razy ledwo uszedł z życiem. Latające skrzydło było świetną konstrukcją, ale przy ówczesnych materiałach i technologii oblatywanie jego prototypów wiązało się z wielkim ryzykiem. Dlatego jego śmierć w katastrofie nikogo nie zaskoczyła.

- Był pan bardzo mały, ale czy zapamiętał pan jakieś jego słowa?

- Niewiele. Mama mówiła, że uwielbiał latać tymi maszynami, twierdził, że zrewolucjonizują lotnictwo. Pasjonował się tym, co robił. Kiedyś zniknął na kilka tygodni. Nie mieliśmy z nim żadnego kontaktu. Kiedy wrócił do domu, mama powiedziała, że spiekł się na słońcu. Roześmiał się na to i odparł, że jeśli się spiekł, to na śniegu, ale nie wyjaśnił, co miał na myśli.

- Zostawił jakieś dokumenty, dziennik, pamiętnik?

- Nic o tym nie wiem. Ale pamiętam, że po jego śmierci nasz dom przetrząsali różni wojskowi. Pewnie zabrali wszystkie jego zapiski. Czy w czymś panu pomogłem?

Austin wrócił myślami do rozmowy z Fredem Millerem, do wzmianki na temat technologii prototypu samolotu stealth.

- Domyślam się, że pański ojciec przygotowywał się na północy do jakiegoś tajnego zadania - odparł.

- To było pół wieku temu. Po co utrzymywać to w tajemnicy?

- Zawsze znajdzie się jakieś usprawiedliwienie, by zachować tajemnic dłużej niż potrzeba.

Martin spojrzał na cienisty dziedziniec.

- Najbardziej dokucza mi świadomość, że ojciec żył przez te wszystkie lata - powiedział i przeniósł wzrok na Austina. - Być może nadal żyje. Miałby teraz po osiemdziesiątce.

- Niewykluczone. Oznacza to również, że może jest ktoś, kto wie, jak było naprawdę.

- Chciałbym, żeby prawda wyszła na jaw, panie Austin. Pomoże mi pan?

- Zrobię, co w mojej mocy.

Rozmawiali jeszcze jakiś czas, a przed pożegnaniem się wymienili numery telefonów. Austin przyrzekł, że jeśli się czegoś dowie, zadzwoni, i odjechał do Waszyngtonu. Jak każdy dobry detektyw nieraz pukał do wielu drzwi i zdierał podeszwy butów, ale ta zagadka była za stara, zbyt

skomplikowana, by rozwiązać ją zwykłymi metodami. Należało teraz odwiedzić Hiramę Yaegera, komputerowego eksperta NUMA.

Indiańska wioska była perłą planowania przestrzennego. Przechadzając się po sieci ciasnych uliczek między krytymi strzechą chatami, Troutowie niemal zapomnieli, iż towarzyszy im tajemnicza, piękna biała bogini w bikini ze skóry jaguara i milcząca eskorta sześciu uzbrojonych Indian Chulo w barwach małego prywatnego odrzutowca.

Na czele orszaku szła Francesca, a za nią sześciu indiańskich wojowników, po trzech z każdej strony, zachowując pełen szacunku odstęp długości oszczepu. Bogini zatrzymała się w pobliżu dużej studni w środku wsi, gdzie Indianki napełniały wodą garnki, a gromadki nagich dzieci beztrąsko biegały wokół matek. Jej twarz rozpromieniła się z dumy.

- Wszystkie udogodnienia, które tu widzicie, są efektem zintegrowanego planu - powiedziała, zakreślając ręką szeroki łuk. - Do projektu podeszłam tak, jakbym tworzyła nową infrastrukturę Sao Paulo. Nim szpadle poszły w ruch, wiele miesięcy poświęciłam na zgranie wszystkich elementów, takich jak zdobycie środków, źródła dostaw, zapewnienie siły roboczej. Konieczne było też zorganizowanie warsztatu do wytwarzania wyspecjalizowanych narzędzi, niezbędnych do produkcji drewnianych rur, zaworów i armatury. A przy tym wieś musiała funkcjonować bez zakłócenia rytmu polowań i żniw.

- Niebywałe. - Przyglądając się starannie zaprojektowanym chatom, Gamay nie mogła się powstrzymać od porównania tej wsi z nędzną i brudną kolonią Dietera i z w miarę cywilizowaną osadą, w której mieszkał doktor Ramirez. - Doprawdy niebywałe - powtórzyła.

- Dziękuję, ale po odpowiednim przygotowaniu robót nie było to aż takie trudne. Najważniejsza okazała się woda. Równie niezbędna do życia tutaj, jak w tak zwanym cywilizowanym świecie. Wyzaczyłam ekipy kopaczy do zmiany biegu rzeki. Mieliśmy takie same problemy, jakie występują na wszystkich budowach. Wytwórcy łopat skarżyli się, że za bardzo ich popędzamy, na czym cierpi jakość wykonania. Wykopaliśmy kanał, który połączył wieś z jeziorem. Kiedy już zapewniliśmy sobie dopływ wody, skierowanie jej do wioskowych studni było prostą sprawą.

- To koło wodne w niczym nie ustępuje tym, które widziałem w starych przemysłowych miastach w Nowej Anglii - rzekł Paul, przystając przed chatą wielkości garażu. - Ale najbardziej podziwiam tutejszą kanalizację. W moich stronach jeszcze w dwudziestym wieku do wygodki wychodziło się na dwór.

- Z tych publicznych szaletów jestem szczególnie dumna - zwierzyła się Francesca, gdy ruszyli dalej. - Kiedy pogodziłam się w duszy z tym, że mój proces odsalania nie ujrzy światła dziennego, skierowałam wysiłki na poprawę życia tych biednych dzikusów. Żyli na poziomie kamienia łupanego. Bez żadnej higieny. Matki z reguły umierały przy porodzie. Śmiertelność dzieci była niewiarygodna. Dorośli padali ofiarą wszelkich pasożytów, żyjących w lesie tropikalnym. Ich tradycyjne rośliny lecznicze zginęły w gąszczu innych. Pokarm miał małą wartość odżywczą. Stały dopływ czystej, zdrowej wody nie tylko uwolnił plemię Chulo od zwykłych dolegliwości, ale pozwolił im na uprawy, dzięki którym zachowują zdrowie.

- Zadawaliśmy sobie pytanie, czy zna się pani również na chirurgii - powiedziała Gamay. - Brat Tessy miał na ciele dziwną bliznę.

- A, wyrostek robaczkowy! - Francesca klasnęła w dłonie jak ucieszone dziecko. - Zrobiłam to,

bo inaczej by umarł. Moja wiedza medyczna ogranicza się do zasad udzielania pierwszej pomocy. Przydała się mi indiańska farmakologia. Chulo strzałki wystrzeliwane z dmuchaw maczają w soku pewnej rośliny. Paraliżuje on zwierzynę i nawet mała jego dawka obezwładnia człowieka. Posmarowany tym sokiem duży liść umieściłam na brzuchu brata Tessy i uzyskałam znieczulenie miejscowe. Ranę zszyłam włóknami innej rośliny, która przeciwdziała infekcjom. Do operacji użyłam noża z obsydianu, ostrzejszego od skalpela. W sumie nic nadzwyczajnego.

- A broń pani strażników? - powiedział Paul, wpatrując się w ich krótkie oszczepy o stalowych ostrzach oraz łuki i kołczany ze strzałami o długich brzechwach.

- Łuki i groty strzał są zrobione z aluminium pochodzącego z samolotu - wyjaśniła Francesca. - Z krótszym łukiem łatwiej jest poruszać się w dżungli, a konstrukcja strzał sprawia, że lecą dalej.

- Gdyby Arnaud i jego ludzie żyli, z pewnością zaświadczyliby o ich skuteczności.

- Doprawdy szkoda mi tych ludzi, ale sami zgotowali sobie taki los. Chulo to stosunkowo małe plemię i zawsze wolało uciekać niż walczyć. Owszem, kolekcjonują miniaturyzowane głowy i zjadają wrogów, ale rzadko polują na ludzi. Chcą, żeby zostawiono ich w spokoju. Biały człowiek zepchnął ich w głąb dżungli. Sądzi, że za Wielkim Wodospadem będą bezpieczni, ale biali wyzyskiwacze nie zaprzestali naporu. Gdybym nie pomogła Chulo unowocześnić obrony, to by ich zniszczono.

- Zwróciłam uwagę na plan wsi - wtrąciła Gamay. - Jej układ przypomina architekturę dawnych miast z murami obronnymi.

- Trafne spostrzeżenie. Każdy, kto sforsowałby tę palisadę, znalazłby się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. W wiosce pełno jest zaułków i ślepych uliczek, wymarzonych do zastawiania pułapek.

- A gdyby ktoś tu przybył, żeby panią odbić? - spytał Paul. - Czy te zabezpieczenia nie obróciłyby się przeciw pani?

- Dawno temu straciłam nadzieję na ratunek. Mój ojciec z pewnością zadbał o to, by ekipy poszukiwawcze przeczesaly dżunglę, i doszedł do przekonania, że nie żyję. Choć może to i dobrze. W katastrofie samolotu zginęły trzy osoby, a ja przyczyniłam się do śmierci wodza szczepu. Nie chciałabym mieć na sumieniu więcej ofiar.

- To paradoks - powiedziała w zadumie Gamay - ale im więcej pani robi dla tych Indian, tym bardziej będą chcieli panią zatrzymać.

- To prawda, ale trzymaliby mnie w niewoli, nawet gdybym nic nie robiła i siedziała tylko tyjąc. Skazana na pobyt tutaj, zgrzeszyłabym, nie wykorzystując swych umiejętności do ulżenia ich doli. Mam tylko nadzieję, że kiedy w końcu zjawią się tu biali, Chulo w zderzeniu z cywilizacją użyją swojej wiedzy, a nie broni. Na razie jednak mam niewielki wpływ na ich krwiożercze instynkty. Wystarczyło, żeby Arnaud i jego kompani okazali im wrogość, a skazali się na śmierć. Nie mogłam ich uratować. W waszym przypadku poszło łatwiej. W dżungli byliście tak bezradni, że nie stanowiliście dla nich zagrożenia.

- Zagrożenia?!

Gamay zamieniła się w słuch.

- Zachowajcie spokój - ostrzegła Francesca, spoglądając na nich ze śmiertelną powagą. - Nie rozumieją, co mówimy, ale wyczuwają. - Na chwilę przystanąła, by zademonstrować działanie rury, służącej za hydrant przeciwpożarowy, i swobodnym krokiem ruszyła dalej. - Martwią się. Biorą was za ostatnich bogów.

- Skoro tak niewiele znaczymy, to czym się przejmują?

- Boją się, że zabierzecie mnie z powrotem do nieba, z którego przybyłam.

- Tak pani powiedzieli?

- Nie musieli nic mówić. Świetnie ich znam. A poza tym Tessa podsłuchiwała, o czym szepczą.

Mówią o spaleniu was. Wraz z dymem waszych ciał powrócicie do nieba. I po kłopotcie.

Paul zerknął z ukosa na strażników.

- Trudno mi spierać się z ich logiką, ale nie wróży nam to niczego dobrego - powiedział.

- Właśnie. Tym bardziej musimy więc uciec stąd jak najszybciej. Chodźcie. Omówimy nasz plan bez pałacowych strażników, zagląających nam przez ramię.

Doszli do chodnika z białych kamieni, prowadzącego przez las do świątyni. Podążając za białą boginią, Troutowie dotarli do kolistej polany z samolotem pośrodku i ze skrzyżowanymi nogami usiedli na bruku, a Francesca na gładkiej drewnianej ławce przed dziobem odrzutowca.

- Przychodzę tu, żeby być sama - powiedziała. - Poza mną w świątyni wolno przebywać tylko kapłanom. Wojownicy będą śledzić z lasu każdy nasz ruch, ale nie przeszkodzą nam w omówieniu planów ucieczki.

Gamay zerknęła w stronę dżungli, w którą wtopili się wojownicy.

- Mam nadzieję, że ma pani coś do zaproponowania - powiedziała.

- Oczywiście. Stąd można uciec tylko wodą. Tą odnogą i kanałem do jeziora, a potem rzeką.

Przez dżunglę nie przedarlibyśmy się. Od razu by nas schwytali albo zabłądzilibyśmy.

- Widzieliśmy, jak pani Indianie wiosłują - rzekł Paul. - Musimy ich znacznie wyprzedzić.

- O kilka godzin. Ale to wprawni i silni wiosłarze. Nam będzie ubywać sił, a im przybywać.

- A co się stanie, jeśli nas schwytają? - spytał Paul. - Pytam teoretycznie - dodał.

- To nie będzie teoria. Zabiją nas - odparła Francesca.

- Nawet panią, swoją boginię?!

Skinęła głową.

- Ucieczka pozbawi mnie dotychczasowego statusu. Dlatego moją głowę zatkną na palisadzie obok waszych.

Paul mimowolnie potarł szyję.

Chwilę później na polanę wszedł jakiś Indianin w eskorcie ośmiu uzbrojonych wojowników. Wzrostem o kilka dobrych centymetrów przewyższał innych Chulo, w przeciwieństwie do typowych dla tego plemienia płaskich twarzy miał niemal rzymski nos, a muskularne ciało pomalowane nie na kolory niebieski i biały, lecz na czerwono. Podeszedł do Franceski i zaczął mówić, co jakiś czas wskazując Troutów. Francesca przerwała mu tonem ostrym jak sztylet. Spojrzał na nią ze złością, a potem lekko skłonił głowę. Jego towarzysze zrobili to samo. Cofnęli się kilka kroków, zawrócili i szybko opuścili świątynię. Francesca obserwowała ich z gniewem w oczach.

- Nie jest dobrze - powiedziała.

- Co to za jedni?

- Ten wysoki to syn wodza, którego zabił mój samolot. Nazwałam go Alarykiem, tak jak miał na imię król Wizygotów. To bardzo inteligentny człowiek, urodzony przywódca, ale o despotycznych ciągotech. Chciałby się mnie pozbyć i skupił wokół siebie grupę młodych wojowników. To, że postawił nogę w zakazanej świątyni, świadczy, iż nabrał śmiałości. Bez wątpienia chce wykorzystać zamieszanie wywołane waszym przybyciem. Musimy wrócić do pałacu.

Kiedy opuścili świątynię, z lasu natychmiast wyłonili się strażnicy i zajęli pozycje w szyku. Francesca szła szybko, więc po kilku minutach znaleźli się we wsi. Wewnątrz palisady coś się zmieniło. Wszędzie stały grupki Indian, którzy na ich widok odwracali oczy. Znikły też przyjazne uśmiechy, towarzyszące orszakowi, gdy wychodził z wioski.

Przed pałacem zebrało się ze dwudziestu uzbrojonych wojowników, którym przewodził Alaryk.

Na znak Franceski rozstąpili się z ponurymi minami. W progu całą trójkę powitała Tessa. W jej rozszerzonych oczach dostrzegli strach. Po trwającej minutę rozmowie w rodzimym narzeczu Francesca przełożyła jej słowa Troutom.

- Kapłani podjęli decyzję - oznajmiła. - Rano was zabiją. W nocy ułożą stosy, na których was spalą.

Gamay zacisnęła usta.

- Szkoda, że nie możemy zostać na śniadanie - powiedziała. - Proszę wskazać, gdzie stoi najbliższa piroga, pora się pożegnać.

- Nie uszlibyście nawet kilku kroków.

- Więc co nam pozostaje?

Francesca weszła na podest i usiadła na tronie, nie spuszczać oczu z drzwi komnaty.

- Zaczekamy - powiedziała.

Starodawny okręt z wielopokładowym kadłubem, utworzonym z lśniącej pajęczej sieci cieniutkich niebieskich nitek światła, unosił się w powietrzu, jakby wisząc na niewidzialnych linach. Jego wielkie kwadratowe żagle były wypełnione wiatrem, a widmowe proporce łopotały na szczycie masztu.

Hiram Yaeger rozsiadł się w fotelu przed konsolą w kształcie podkowy, wpatrzony w spektralny obraz nad podestem.

- Jest piękny, Max - pochwalił. - Ale szczegóły wymagają dopracowania.

- Prosiłeś o rysunek techniczny, Hiramie - brzmiał zza głośników w ścianach cichy, bezcielesny, odrobinę urażony kobiecy głos.

- Spisałaś się świetnie - odparł Hiram - ale chciałbym zobaczyć obraz jak najbardziej zbliżony do produktu finalnego.

- Zrobione.

Kadłub okrętu zmaterializował się niczym widmo powstające z ektoplazmy. Zalśnił złotem, które uwydatniło kunsztowne rzeźbione ornamenty, pokrywające jego burty od dziobu aż po rufę. Yaeger zatrzymał wzrok na dziobnicy, zwieńczonej drewnianą podobizną króla Edgara na rumaku tratującym kopytami siedmiu zabitych królów, których ucięte brody oblamowywały jego opończę. Potem przyjrzał się astronomicznym reliefom, ukazującym splendor bogów olimpijskich, i powrócił do wysokiej rufy, ozdobionej postaciami biblijnymi. Wszystkie detale były wprost bezbłędne.

- No, no! Nie mówiłaś, że zaprogramowałaś pełny obraz. Brakuje tylko pary delfinów.

W tej samej chwili pod okrętem pojawiło się morze, a przy dziobie okrętu para baraszkujących delfinów. Trójwymiarowy obraz obrócił się wolno przy wtórze ich gwizdów i pisków.

Yaeger klasnął w dłonie i zaśmiał się radośnie jak dziecko.

- Jesteś genialna, Max! - zawołał.

- Nie mam wyjścia - odparł głos. - To ty mnie stworzyłeś.

Yaeger nie tylko stworzył ów system olbrzymiej sztucznej inteligencji, ale wprowadził do programu własny głos. A ponieważ nie lubił mówić do siebie, zmodulował go tak, by miał kobiecy tembr. System zaś samodzielnie sprawił sobie kobiecą osobowość.

- Pochlebstwem osiągniesz wszystko - powiedział.

- Dziękuję. Jeśli skończyłeś, to zrobię sobie przerwę i schłodzę obwody. Hologramy zawsze mnie wyczerpują.

Yaeger znał skłonność Max do przesady i wiedział, że w wyczarowanie okrętu zaangażowała zaledwie małe ułamek obwodów. Ale oprócz kobiecej wersji swego głosu wprowadził do jej programu więcej ludzkich cech, w tym potrzebę bycia docenianą. Skinął dłonią, na co okręt, sfalowane morze i skaczące delfiny w mgnieniu oka znikły, i odwrócił się, bo usłyszał brawa.

- Cześć, Kurt - powitał z uśmiechem klaszczącego Austina. - Siadaj.

- Świetny pokaz - pochwalił Austin, siadając w fotelu obok. - Ze zniknięciem włącznie. Wątpię, czy sam David Copperfield potrafiłby zdematerializować wielki angielski okręt wojenny.

Yaeger był prawdziwym magikiem, ale sztuczek dokonywał, posługując się komputerami, a nie cylindrem i laseczką. Ubrany z zamierzoną bylejąkością w levisy, dzinsową marynarkę, zwykłą białą

podkoszulkę i znoszone kowbojskie buty w niczym nie przypominał sztukmistrza. A jednak niczym czarnoksiężnik panował nad ogromną siecią komputerową, zajmującą niemal całe dziewiąte piętro budynku NUMA. Centrala Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych gromadziła i przetwarzała mnóstwo danych cyfrowych z dziedziny oceanografii i nauk pokrewnych, jakie tutaj zebrano.

- To jeszcze nic - zapewnił, rozradowany jak chłopiec. W jego szarych oczach, osłoniętych nasadzonymi na wąski nos okrągłymi okularami w drucianej oprawie, błyszczało podniecenie. - Zaczekaj na niespodziankę, którą przygotowaliśmy ci razem z Max.

- Nie mogę się doczekać. Czy to był "Władca Mórz"?

- Tak jest. Zwodowany w 1637 roku z rozkazu Karola I. Jedna z największych morskich jednostek, jakie zbudowano w historii.

- A także, jeśli dobrze pamiętam, jedna z najcięższych. Skrócili ją o górny pokład, całkiem słusznie, zważywszy, że króla Karola też skrócono o głowę.

- Te modyfikacje wprowadzę potem. Nowy program będzie dostępny na wydziałach archeologii morskiej wszystkich uczelni, które go zamówią. Max sporządziła katalog setek dawnych statków. Ich plany, rysunki konstrukcyjne, wymiary, informacje historyczne, wszystko, co o nich wiemy, wprowadzamy do komputerów. A Max robi z tego holograficzną rekonstrukcję i w razie niekompletnych danych sama uzupełnia szczegóły. Max, może powiesz Kurtowi, co odkryłaś na podstawie materiałów, które nam dał.

Na wielkim monitorze tuż za platformą pojawiła się twarz ładnej kobiety. Jej usta rozchyliły się w śnieżnobiałym uśmiechu.

- Dla pana Austina zawsze jestem gotowa zrezygnować z przerwy na kawę - odparł zalotny głos.

Przestrzeń nad podestem rozbłysła niebieskim blaskiem laserów, rozmieszczonych w ścianach. Wiązka po wiązce, promień po promieniu, lecz z szybkością światła, błyskające lasery wyczarowały długi bezpokładowy okręt z jednym kwadratowym żaglem.

- Chodź - powiedział Yaeger, wstając.

Weszli na podest. Kiedy oślepiony na moment Austin odzyskał ostrość widzenia, stali na pokładzie okrętu, zwrócenii twarzami w stronę wdzięcznie zadartego dziobu. Jego burty zdobione były okrągłymi drewnianymi tarczami.

- To następny krok w ewolucji tego programu - wyjaśnił Yaeger. - Nie tylko będzie można oglądać statki z naszego katalogu, ale także obejść ich pokłady. Wirtualna perspektywa zmienia się, kiedy się poruszasz. Ułatwiła to prostota tej konstrukcji.

- Stoję na pokładzie okrętu z Gokstad, prawda?

- Owszem. Zbudowanego w Norwegii pomiędzy rokiem siedemsetnym a tysięcznym. Oryginał miał dwadzieścia cztery metry długości i wykonano go z surowca nieco solidniejszego od wiązek światła - z dębu. To model w skali jeden do dwóch.

- Piękny, ale co ma wspólnego z materiałem, który ci przekazałem? - spytał Austin.

- Zaraz pokażę, co znalazłem.

Przez utkane ze światła ściany przeszli do konsoli.

- Ze zdobyciem garści danych na temat Mulholland Group nie było trudności - powiedział Yaeger. - Firma ta rzeczywiście, tak jak ci powiedział ten zabity prawnik, zajmuje się projektami wodnymi. Trochę się naszukałem, ale odkryłem, że wchodzi ona w skład dużej korporacji o nazwie Gokstad. Emblematem tej firmy jest okręt, który widzisz.

Hologram zniknął i na monitorze pojawiła się stylizowana wersja okrętu wikingów.

- Co więcej?

- Poprosiłem Max, żeby pobawiła się tematem. O samej firmie Gokstad dowiedziałem się niewiele, ale jest to niewątpliwie duża międzynarodowa korporacja, zaangażowana w najróżniejsze interesy: inwestycyjne, techniczne, bankowe, budowlane.

Yaeger wręczył Austinowi dysk komputerowy.

- To wszystko, co znalazłem - powiedział. - Nic nadzwyczajnego. Będę szukał dalej.

- Dziękuję, Hiramie. Przejrzę go. A tymczasem mam jeszcze jedną prośbę do ciebie i do Max. -

Austin zrelacjonował mu swoją wizytę w ośrodku Garbera i rozmowę z synem oblatywacza. -

Chciałbym wiedzieć, czy taki samolot w ogóle powstał i co stało się z jego pilotem.

Dzięki Max, która znów wyszła naprzeciw jego życzeniom, na ekranie ukazało się zdjęcie dużego samolotu w kształcie skrzydła.

- Ta fotografia z archiwum Instytutu Smithsoniańskiego przedstawia latające skrzydło Northropa YB-49A, ostatniego bombowca tego typu, który wzbił się w powietrze - poinformował cichy głos. - Mogę przedstawić go w trzech wymiarach, jak statki.

- To na razie wystarczy. Na moim cylindrze wyryto oznaczenie "YB-49B".

Fotografię na ekranie zastąpił rysunek.

- To jest YB-49B - wyjaśniła Max.

- A co różni ten model od tego, który pokazałaś przed chwilą?

- Konstruktorzy uporali się z problemem drgań, które przeszkadzały przy zrzucaniu bomb. A ponadto zwiększyli prędkość i zasięg bombowca. Nie został jednak zbudowany.

Ani myśląc sprzeczać się z Max, Austin przyjrzał się przesuwanym pod obrazem danym porównawczym i liczbom ilustrującym osiągi samolotu. Coś w nich go zaniepokoiło.

- Zaczekaj - powiedział. - Wróć. Podają tutaj, że jego prędkość przelotowa to osiemset pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Skąd ją znali, skoro nie przeprowadzono prób?

- Może są to dane szacunkowe - podsunął Yaeger.

- Może. Ale tu tego nie zaznaczono.

- Rzeczywiście. W tamtych czasach nie mogli obejść się bez testów prototypów, bo nie mieli tak inteligentnych maszyn jak Max, umożliwiających symulację warunków lotu.

- To oczywiście, ale dzięki za komplement - powiedziała Max. - Kurt ma rację, Hiramie. Kiedy rozmawialiście, sprawdziłam, że we wszystkich fazach prac nad projektem tego samolotu jego prędkość określano jako szacunkową. Ten rysunek stanowi wyjątek.

- A zatem ten samolot być może naprawdę istniał - rzekł Yaeger. - Tylko co się z nim stało?

- Na razie nic więcej nie zwojujemy - uznał Austin. - Dokumentacja Northropa i Sił Powietrznych przepadła. A co może powiedzieć nam Max o pilocie Franku Martinie?

- To ma być szybkie przeszukanie danych czy szczegółowa analiza? - spytała Max.

- A czym się one różnią?

- Szybki przegląd ogranicza się do rejestru wojskowego Pentagonu, w którym znajdują się nazwiska wszystkich osób, żyjących i nie żyjących, które służyły w siłach zbrojnych. Pełne badanie zawiera informacje z jego tajnych akt. Dla pewności zerknę również na dane Narodowej Rady Bezpieczeństwa, FBI i CIA.

- Pytanie w kwestii formalnej: czy włamanie się do tych baz danych nie jest nielegalne?

- Włamanie to takie brzydkie słowo - zaprotestowała Max. - Powiedzmy, że składam towarzyską wizytę bratnim systemom komputerowym, by z nimi poplotkować.

- No to nie odmawiaj sobie takiej rozrywki.

- Ciekawe - powiedziała po chwili. - Próbowałam otworzyć kilkoro drzwi, ale Harry pozamykał je na kłódki.

- Co za Harry, inny komputer?

- Nie, Harry Truman.

Austin podrapał się po głowie.

- Twierdzisz, że wszystkie akta tego pilota zabezpieczono z polecenia prezydenta? - spytał.

- Tak. Poza najbardziej podstawowymi informacjami o panu Martinie całą resztę utajniono. -

Max zamilkła. - Dziwne. Właśnie natrafiłam na ślad. Jakby nagle otworzono drzwi zamknięte na

klucz. Mam go. - Na ekranie pojawiło się zdjęcie młodego człowieka w mundurze lotniczym. -

Mieszka na północy stanu Nowy Jork, koło Cooperstown.

- Żyje?!

- Co do tego istnieje sprzeczność. Według Pentagonu zginął w kraksie lotniczej w 1949 roku. A według tej nowej informacji nie.

- Zaszła pomyłka?

- Nie byłabym zdziwiona. Ludzie są omylni. Ja nie.

- Ma telefon?

- Nie. Ale mam adres.

Ze szczeliny w konsoli wysunął się wydruk. Wciąż nie wiedząc, co o tym myśleć, Austin spojrzął się nazwisko i adres pilota. Złożył kartkę i schował ją do kieszeni.

- Dziękuję, Hiramie i Max. Ogromnie mi pomogliście - powiedział i ruszył do drzwi.

- Dokąd teraz? - zapytał Yaeger.

- Do Cooperstown. To może być moja jedyna szansa, aby trafić do Galerii Sław Baseballu, która znajduje się w tym mieście.

Na drugim brzegu Potomacu, w nowej siedzibie CIA w Langley, analityk Zarządu Wywiadu zastanawiał się, czy jego komputer nie dostał czkawki. J. Barrett Browning, specjalista od Europy Wschodniej, wstał i ponad przegródką zajrzał do sąsiedniego boksu.

- Jack, popatrz, dzieje się tu coś bardzo dziwnego - powiedział.

Siedzący przy zaśmieconym biurku mężczyzna z ziemistą cerą odłożył rosyjską gazetę, w której zaznaczał fragmenty tekstów, i potarł głęboko osadzone oczy.

- Seks, zbrodnia i jeszcze raz seks. Nie wiem, co może być dziwniejsze od rosyjskiej prasy - odparł John Rowland, uznany tłumacz, który wstąpił do pracy w agencji po fatalnej dla CIA epoce Nixona. - Przypomina mi amerykańskie szmatławce. Niemal tęsknię za statystykami produkcji traktorów. - Wstał od swojego warsztatu pracy i wszedł do boksu Browninga. - O co chodzi, młodzieńcze? - spytał.

- O ten zwariowany komunikat - odparł Browning, kręcąc głową. - Przesuwałem właśnie archiwalny materiał na temat Związku Radzieckiego, kiedy na ekranie wyskoczyło mi to.

Rowland pochylił się, odczytał słowa: PROCEDURA ZASTOSOWANIA SZKODY OSTATECZNEJ URUCHOMIONA. Skubnął szpakowatą bródkę.

- Szkody ostatecznej? - zdziwił się. - Nikt już nie używa takiego języka.

- Co to znaczy?

- To eufemizm. Z czasów zimnej wojny i Wietnamu. Kulturalny zwrot, oznaczający likwidację.

- Słucham?

- Czego was uczą w tym Yale? - odparł z uśmiechem Rowland. - "Szkoda ostateczna" to przeznaczenie kogoś na odstrzał, wyrok śmierci. Akcja w stylu Bonda.

- A, rozumiem - powiedział Barrett, rozglądając się po boksach. - Zgadnijmy, który z naszych szanownych kolegów zrobił mi ten kawał.

Głęboko zamyślony Rowland nie odpowiedział. Usiadł w jego fotelu i wpatrzył się w podkreślony numer akt, widniejący pod napisem. Podświetlił go, nacisnął enter i na ekranie pojawiły się szeregi cyfr.

- Jeżeli jest to kawał, to wyborny - mruknął. - Tego szyfru nie używano od czasów Allena Dullesa, dyrektora agencji po II wojnie światowej.

Włączył drukowanie i zaniósł kopię napisu do swojego boksu, a jego młodszy, nie wiedzący co o tym myśleć kolega podążył za nim. Po krótkiej rozmowie przez telefon Rowland wprowadził szyfr do komputera i zastukał w klawisze.

- Przesyłam kumplowi z sekcji deszyfracji - wyjaśnił. - To bardzo wiekowy szyfr. Przy dzisiejszych programach deszyfracyjnych odczyta się go w parę minut.

- Skąd się wziął? - spytał Browning.

- A co czytałeś, gdy pojawił się ten komunikat?

- Materiał archiwalny. Głównie raporty dyplomatyczne. Jeden z urzędników senackich potrzebował ich dla swojego szefa, który zasiada w komisji sił zbrojnych. Szukał wzorów zachowania się Sowietów, pewnie po to, żeby zwiększyć budżet obronny.

- A czego dotyczyły te raporty?

- Pochodziły od naszych agentów, adresatem był dyrektor CIA. Dotyczyły rozwoju sowieckiej broni atomowej. Znajdowały się w starych aktach, odtajnionych na polecenie Clintona.

- Ciekawe. A więc materiał ten był przeznaczony tylko do wglądu osób z najwyższych szczebli władzy.

- Bardzo możliwe. Ale o co chodzi z tą procedurą?

Rowland westchnął.

- Nie mam pojęcia, co pocnie agencja, kiedy takie stare konie jak ja pójda na zieloną trawkę. Opowiem ci, jak działały te procedury w przypadku tajnych akcji za dawnych dobrych czasów. Przede wszystkim do ich uruchomienia potrzebna była zgoda, zwykle najwyższych czynników, sygnowana podpisami dyrektora CIA, Narodowej Agencji Bezpieczeństwa i szefów połączonych sztabów. Prezydenta w to oficjalnie nie wtajemniczano, aby w razie czego mógł zaprzeczyć, że coś wiedział. W polityce takie działania podejmuje się w reakcji na konkretne zagrożenie. Temu służyła procedura. Akcję przekuwano w rozkaz. Rozkaz dzielono na pewną liczbę zadań.

- To zrozumiałe. W ten sposób poszczególni wykonawcy znali tylko jego małe fragmenty. Dla zachowania tajemnicy.

- O, widzę, że jednak czegoś cię nauczyli u Eliasza Yale'a. Wszystkie tak przeprowadzone poronione plany, w rodzaju uziemienia Castra czy Irancontras, poniosły klęskę.

- Po co więc w ogóle takie procedury?

- Przede wszystkim po to, żeby ci ze szczytów władzy mogli się wyprzeć odpowiedzialności. Procedury takie były zwykle zawarowane dla najpoważniejszych akcji. W tym przypadku chodzi o mord polityczny. A to już poważna sprawa. Przyjęte jest, że głowy państw nie organizują zamachów na głowy innych państw ani członków własnego rządu. Byłby to zły precedens. Stąd wieloszczeblowość rozkazu. Pomyślanego tak, aby nie pozostawić żadnych odcisków palców. Tak, by nie można było wyśledzić rozkazodawców. Ale przed jego wykonaniem trzeba spełnić szereg określonych warunków.

- Podobny system bezpieczeństwa obowiązuje w bombowcach z bronią atomową. Dzięki temu, że jest kilka szczebli dowodzenia, do ostatniej chwili można odwołać atak.

- Coś w tym rodzaju. Podam ci inną analogię. Pojawia się zagrożenie. Pierwsza ręka sięga po broń. Zagrożenie rośnie. Druga ręka ładuje ją. Zagrożenie wzrasta. Trzecia ręka odciąga kurek. A kolejna naciska spust i zagrożenie znika. Wszystkie te kroki są konieczne, żeby broń wystrzeliła.

Browning skinął głową.

- Wszystko to rozumiem - powiedział - ale nie mogę się połapać, jak to cholerstwo znalazło się w moim komputerze.

- Może nie ma w tym aż tak wielkiej tajemnicy.

Rowland, któremu dni upływały zwykle na nudnej lekturze i analizowaniu gazet, z radością skorzystał z okazji, żeby ruszyć głową. Rozsiadł się wygodnie w fotelu i wpatrzył w sufit.

- Z początku procedurę tę, prawdopodobnie podzieloną na części, zapisano na papierze. Później, gdy agencja się skomputeryzowała, zaszyfrowano ją i wprowadzono do bazy danych. Tkwiła tam przez dziesięciolecia, dopóki nie uaktywniono wszystkich mechanizmów koniecznych do jej uruchomienia. Wprawdzie wiadomość o tym powinna automatycznie dotrzeć do dyrektora agencji, ale akta tymczasem odtajniono, dlatego komputer nie mógł wiedzieć, że plik przeznaczony wyłącznie dla szefa CIA przeczyta jakiś skromny analityk.

- Fantastyczne - powiedział Browning. - Teraz musimy pogłównkować, co wprawiło pięćdziesięcioletni dokument w ruch. Wczoraj przeglądałem te same materiały. I nie było go wśród nich.

- A więc został uruchomiony w ciągu zeszłej doby. Chwileczkę... Zgłosiła się poczta e-mailowa. Rowland odczytał wiadomość: "Drogi Rowlandzie. Oto twoja wiadomość. Litości! Następnym razem przyślij coś trudniejszego".

Zakodowane słowa na ekranie znaczyły po prostu "Szkoda w toku".

- To zaszyfrowana odpowiedź zabójcy - wyjaśnił.

- Jestem ciekaw, kim była jego ofiara.

Browning pokręcił głową.

- Przeszłością nie musimy się martwić, niepokoi mnie przyszłość.

- Ależ Jack, przecież od zatwierdzenia tej procedury minęło pół wieku. Wszyscy zaangażowani w tę sprawę dawno nie żyją. I zabójca, i ofiara.

- Może tak, a może nie. - Rowland puknął palcem w ekran. - Tę odpowiedź wysłano teraz. A to oznacza, że zabójca wciąż żyje, podobnie jak jego ofiara. Przynajmniej na razie.

- To znaczy?

Rowland sięgnął do telefonu, a jego zwykle wesoła twarz śmiertelnie spoważniała.

- Dyrektor CIA nie odwołał rozkazu, więc wszedł on w drugą fazę. Zabójstwa. - Gestem powstrzymał Browninga od pytania. - Proszę z dyrektorem - warknął do słuchawki. - Tak, to pilna sprawa - dodał podniesionym głosem. - Cholernie pilna!

Strażacy już ugasili pożar i kiedy Zavala wrócił do biurowca, w którym mieściła się kancelaria Hanleya, właśnie się zwijali. Drogę przez zasieki z żółtej policyjnej taśmy uTORował sobie legitymacją NUMA. Podstawił laminowaną kartę ze swoim zdjęciem pod nos śledczego i szybko schował ją do portfela. Wolał nie wyjaśniać, co przedstawiciel państwowej agencji oceanograficznej robi na miejscu katastrofy w San Diego.

Śledczy Connors, którego świadkowie poinformowali o helikopterze unoszącym się przy budynku i o dziwnym rozbłysku tuż przed eksplozją, nie wykluczał jednak, że wybuchło coś w środku. Zavala nie miał mu tego za złe. W końcu nie codziennie uzbrojone helikoptery atakowały miejscowe biurowce.

- Co z ranną? - spytał.

- Słyszałem, że w porządku - odparł Connors. - Dwóch gości wyciągnęło ją z biura, nim rozprzestrzenił się pożar.

Zavala podziękował mu i poszedł do następnej przecznicy, żeby złapać taksówkę. Kiedy podniósł rękę, żeby ją przywołać, do krawężnika podjechał czarny osobowy ford. Za kierownicą siedział Miguel Gomez. Agent FBI otworzył drzwiczki i zaprosił go do środka.

- Odkąd pojawił się pan z kolegą w naszym mieście, dużo się tu dzieje - powiedział Gomez, obrzucając go znużonym spojrzeniem. - Parę dni po waszej wizycie u mnie sprzątnięto Farmera i tę szuję. Nie zostalibyście kilka dni dłużej? Meksykańscy mafiosi i ich kumple zlikwidowałiby się sami, a ja nie miałbym co robić, co bardzo by mi dogadzało.

Zavala zaśmiał się.

- Raz jeszcze dziękujemy za osłonę w Tijuanie - powiedział.

- W rewanżu za wysłanie za granicę grupy snajperów, co groziło incydem międzynarodowym, zechce mnie pan oświecić, co się właściwie dzieje?

- Sam chciałbym wiedzieć. - Zavala wzruszył ramionami. - A jak zginął Pedralez?

- Jechał swoim opancerzonym wozem przez Colonia Obrera, zakazaną miejscowość na zachód od Tijuany, a w terenówkach przed nim i za nim jego goryle. Ta z przodu oberwała pierwsza. Po sekundzie wybuchł samochód Pedraleza. Był zbudowany jak czołg, więc na pewno oberwał bardzo mocno. Kierowca trzeciego wozu natychmiast zawrócił i nawiał.

- Rozwalił go pewnie pocisk przeciwpancerny.

Gomez utkwiał w Zawali ciemne, badawczo patrzące oczy.

- W zaułku meksykańska policja znalazła ładownik od szwedzkiego przeciwpancernego gustava.

- Szwedzi atakują meksykańskich bossów narkotykowych?

- Dobrze by było. Te pociski są dostępne na światowym rynku broni. Pewnie rozdają je już z kartonowych pudeł. Strzela się nimi z ramienia. Podobno we dwóch można wystrzelić sześć na minutę. A co pan wie o śmierci Hanleya?

- Wyszliśmy z Kurtem z biurowca i na wysokości jego kancelarii zobaczyliśmy zielony helikopter. Zawróciliśmy i w windzie usłyszeliśmy wybuch. Część świadków widziała błysk. Być może wystrzelono pocisk przeciwpancerny.

- Ile pocisków trzeba do załatwienia nieuczciwego adwokata? To brzmi jak prawniczy dowcip.

- Wątpię, czy rozbawiłby Hanleya.

- Nie miał poczucia humoru. Komuś naprawdę zależało na jego śmierci, skoro zadał sobie tyle

trudu. - Gomez urwał. - A dlaczego tam wróciliście?

- Bo Kurt uznał, że bardzo podobny helikopter widział po wybuchu w Baja.

- A więc rozmawialiście z Hanleyem?

Zavala przekonał się, że mimo zaspanej miny Gomez pozostaje czujny.

- Spytałismy go o wytwórnę tortilli. Powiedział, że zgłosił się do niego pośrednik z Sacramento, reprezentujący klienta, który chciał anonimowo otworzyć interes w Meksyku. Hanley skontaktował go z Pedralem.

- Jak się nazywał ten pośrednik?

- Jones. Ale niech pan sobie nie robi apetytu. On nie żyje.

- Co pan powie. - Gomez uśmiechnął się z przymusem. - Bomba w samochodzie?

- Spadł w przepaść. Podobno był to wypadek.

Do samochodu podszedł mężczyzna w granatowym garniturze i zapukał w okno. Gomez skinął głową.

- Potrzebują mnie - wyjaśnił Zavala. - Bądźmy w kontakcie. My meksykańsko-amerykańskie papryki - dodał po hiszpańsku - musimy trzymać sztamę.

- Obowiązkowo - odparł Zavala i otworzył drzwi. - Wracam do Waszyngtonu. Gdyby pan mnie potrzebował, bardzo proszę dzwonić do siedziby NUMA.

Był wobec niego szczery, jednak nie do końca. Przemilczał, co Hanley ujawnił na temat Mulholland Group. Wątpił wprawdzie, żeby FBI wpadło tam oficjalnie z nakazem sądowym, ale nie chciał komplikować sobie śledztwa. W drodze do hotelu połączył się z informacją telefoniczną w Los Angeles i zadzwonił pod podany numer. Recepcjonistka Mulholland Group, która podniosła słuchawkę, miłym głosem poinformowała, jak trafić do firmy. W hotelu Zavala poprosił, by wypożyczono mu samochód, i niebawem wyruszył na północ, do Los Angeles.

Przed południem zjechał z Hollywood Freeway, zapuszczając się w labirynt ciasno stojących kamienic, poprzetykanych biurami. Nie wiedział, czego się spodziewać, niemniej po wybuchu w Baja i szokującej śmierci Hanleya i Pedraleza zdziwił się, że biuro Mulholland Group mieści się w solidnym budynku, sąsiadującym ze sklepem z materiałami biurowymi firmy Staples i Pizza Hut.

W otwartym, przestronnym holu powitała go wesoła recepcjonistka, ta sama, która podała mu przez telefon wskazówki, jak tu trafić. Nie musiał roztaczać przed nią latynoskiego czaru, ponieważ chętnie odpowiedziała na pytania dotyczące firmy, zasypała go prospektami i zachęciła, by zadzwonił, jeśli będą mu potrzebne usługi z dziedziny hydrotechniki. Wrócił do samochodu i usiadł za kierownicą. Kiedy wpatrując się w bezpretensjonalną fasadę budynku, zastanawiał się, co zrobić, zabrzączał telefon komórkowy. Z biura w NUMA dzwonił Austin.

- Dowiedziałeś się czegoś? - spytał.

- Siedzę właśnie przed Mulholland Group - odparł Zavala i zapoznał go ze swoimi odkryciami.

Austin opowiedział mu o wizycie w ośrodku Garbera, rozmowie z Buzzem Martinem i o rewelacjach uzyskanych od Max.

- Zdziałałeś znacznie więcej niż ja - rzekł Zavala.

- Na razie natrafiam na same ślepe uliczki. Po południu jadę na północ stanu Nowy Jork sprawdzić, czy uda mi się wyjaśnić tajemnicę pilota tego latającego skrzydła. Skoro jesteś w Los Angeles, to może rozejrzałbyś się za firmą Gokstad.

Uzgodnili, że naradzą się jutro w Waszyngtonie. Zavala rozłączył się, zadzwonił do informacji telefonicznej po numer "Los Angeles Times", a potem do redakcji gazety. Podał nazwisko i poprosił

o połączenie z Randym Cohenem z działu finansowego.

Kilka chwil później w słuchawce rozległ się chłopięcy głos.

- Joe Zavalą, co za niespodzianka! Jak się masz?

- Dziękuję, dobrze. A co słyhać u najlepszego reportera na zachód od Missisipi?

- Staram się jak najlepiej wykorzystać tę resztkę szarych komórek, jakie mi zostały z czasów naszych balang. Wciąż jesteś filarem NUMA?

- Właściwie to jestem tu służbowo i przyszło mi do głowy, że może będziesz mógł mi pomóc.

- Dla starego kumpla ze studiów zrobię wszystko.

- Dzięki, Randy. Szukam informacji o pewnej firmie z Kalifornii. Słyszałeś może o korporacji Gokstad?

W słuchawce zapanowała cisza.

- Gokstad? - spytał Cohen.

- Tak. - Joe na wszelki wypadek przeliterował nazwę. - Coś kojarzysz?

- Zadzwoń na ten numer.

Cohen podał mu numer i odłożył słuchawkę. Zavalą zadzwonił.

- Przepraszam, że przerwałem - powiedział Cohen. - Rozmawiamy przez moją komórkę. Gdzie jesteś?

Zavalą opisał, gdzie stoi. Cohen znał tę dzielnicę i poinstruował go, jak dojechać do najbliższej kawiarni. Wszedł do niej, kiedy Joe pił przy barku drugą kawę. Zavalą uśmiechnął się do niego.

Reporter podszedł i uściśnął mu dłoń.

- Świetnie wyglądasz, Joe - powiedział. - Nic się nie zmieniłeś.

- Ty też - odparł zgodnie z prawdą Zavalą.

Cohen wyglądał prawie tak samo jak wtedy, gdy wspólnie redagowali uczelnianą gazetę.

Przybyło mu wprawdzie kilka kilo, a czarną brodę upstrzyły cętki siwizny, lecz nadal stąpał jak wielki żuraw, a patrzące zza okularów w rogowej oprawie niebieskie oczy były żywe jak nigdy.

Zamówił podwójne espresso z mlekiem i zaprowadził Joego do zwolnionego stolika. Łyknął kawy, uznał, że jest wyśmienita, i nachyliwszy się, przyciszonym głosem spytał:

- Zdradź mi, stary druhu, dlaczego NUMA interesuje się Gokstad?

- Pewnie słyszałeś o stadzie zdechłych szarych wali, które wypłynęły pod San Diego?

Cohen skinął głową.

- Odkryliśmy, że do ich śmierci przyczyniła się pewna fabryka na półwyspie Baja California.

Ślad wiódł do Mulholland Group, której macierzystą korporacją jest Gokstad.

- Jaka fabryka? - spytał ze zwięzonymi oczami Cohen.

- Tylko się nie śmiej. Wytwórnia tortilli.

- Nie śmiesz mi nic, co ma związek z tą organizacją.

- A więc ją znasz.

- Doskonale. Dlatego zatkało mnie, kiedy zadzwoniłeś. Od prawie roku wraz z grupą kolegów badam działalność Gokstad. Cykl artykułów na jej temat zatytułujemy "Wodni piraci".

- Myślałem, że piractwo umarło wraz z kapitanem Kiddem.

- To piractwo jest na taką skalę, o jakiej Kiddowi nawet się nie śniło.

- Jak na to wpadliście?

- Przez czysty przypadek. Badając fuzje spółek, zakamuflowane fuzje, takie, które nie zawsze trafiają na czołówki gazet, ale mają równie wielki wpływ na życie przeciętnych obywateli, zaczęliśmy natykać się na ten sam słaby trop. Niczym myśliwy, który, wędrując przez las, natrafia raz po raz na zasypane śniegiem ślady.

- Ślady Gokstad?

Cohen skinął głową.

- Ich identyfikacja zajęła nam wiele miesięcy i w dalszym ciągu nie mamy pełnego obrazu.

Gokstad to gigant, z holdingami wartymi setki miliardów dolarów, być może największa wszechświatowa korporacja w historii.

- Przyznaję, że nie czytam codziennie "Wall Street Journal", ale skoro jest taka wielka, jak mówisz, to dziwi mnie, że nigdy o niej nie słyszałem.

- Nie trap się. Na utajnienie swoich działań wydali miliony. Dokonują zakulisowych transakcji, korzystają z podstawionych i fikcyjnych spółek, stosują wszystkie możliwe kruczki. Ale od czego mamy komputery! Przepuściliśmy zebrane dane przez GIS, Geograficzny System Informacyjny. A GIS połączył informacje z naszej bazy danych z punktami na mapie. Policja używa go do śledzenia powiązań między gangami. Dysponujemy wspaniałymi wykresami, które ukazują aktywa Gokstad na całym świecie.

- A kto stoi za tą superkorporacją?

- Jesteśmy pewni, że ster władzy spoczywa w rękach jednej osoby, niejkiej Brunhildy Sigurd.

Na wieść, że chodzi o kobietę, zasłużenie cieszący się opinią wielbiciela płci pięknej Zavala nadstawił uszu.

- Co ci wiadomo o pani Sigurd? - spytał.

- Niewiele. Nigdy nie znalazła się na liście najbogatszych kobiet w magazynie "Fortune", choć zasługuje na pierwsze miejsce. Wiemy, że urodziła się w Stanach, że jej rodzice pochodzili ze Skandynawii, że wyjechała do szkoły w Europie, a później założyła firmę inżynierską Mulholland Group.

- Dopiero co tam byłem. Należało poprosić o spotkanie z tą panią.

- Nic byś nie wskórał. Ona nikogo nie przyjmuje.

- Skąd wzięła się nazwa tej firmy? Nie jest na Mulholland Drive.

Cohen uśmiechnął się z pobłażaniem.

- A słyszałeś o skandalu z Owens Valley? - spytał.

- Związany z systemem wodnym Los Angeles?

- Właśnie. Dziś trudno w to uwierzyć, ale w latach dwudziestych Los Angeles było niewielkim miastem, leżącym na pustyni. Do rozwoju potrzebowało wody. Najbliższym źródłem świeżej wody była mała senna Owens Valley, trzysta kilometrów na północ. Miasto po cichu wysłało tam swoich ludzi, żeby wykupili prawa do korzystania z rzeki w tej dolinie. Zanim mieszkańcy doliny połapali się, co się dzieje, było za późno. Ich woda już płynęła do Los Angeles.

- A co się stało z Owens Valley?

- Wyszła na pieprz. Większość wody, za którą zapłacili tamtejsi podatnicy, popłynęła nie do ich miasta, lecz do doliny San Fernando, gdzie grunty wykupiła tanio grupa miejscowych biznesmenów. Wraz z pojawieniem się tam wody ceny ziemi niebotycznie wzrosły, a spekulanci zarobili miliony. Tym, który dokonał tego wyczynu, był inżynier William Mulholland.

- Ciekawe. A jaką rolę odgrywa Mulholland Group w Gokstad?

- Gokstad z niej wyrosła. Obecnie Mulholland jest przedsiębiorstwem zależnym, świadczącym macierzystej korporacji usługi inżynierskie.

- A czym naprawdę zajmuje się Gokstad?

- Najpierw nabyli udziały w rurociągach, energetyce i firmach budowlanych. Ale od tamtego czasu weszli do instytucji finansowych, ubezpieczeń i mediów. W kilku ubiegłych latach skupili się na jednym produkcie - błękitnym złocie.

- Ja znam tylko czternastokaratowe.

W odpowiedzi dziennikarz uniósł szklankę z wodą.

- Błękitne złoto to woda?!

- Tak. - Cohen popatrzył na szklankę pod światło, jakby było w niej dobre wino. - Wody nie chroni już prawo naturalne, stała się towarem, który osiąga ceny wyższe niż gaz z rafinerii. Gokstad jest dominującym graczem na światowym rynku wody. Ma w ręku pakiety kontrolne przedsiębiorstw wodnych w stu pięćdziesięciu krajach na sześciu kontynentach i dostarcza wody dwustu milionom ludzi. Jej największe osiągnięcie to ustawa o sprywatyzowaniu rzeki Kolorado.

- Coś o tym czytałem.

- Rzeka Kolorado jest głównym źródłem wody dla zachodnich i południowo-zachodnich stanów. Jej systemem zawsze zarządzali pracownicy państwowi, współpracujący ze stanami i miastami, ludzie, którzy zbudowali tamy i zbiorniki. Ustawa odebrała rządowi kontrolę nad wodą z rzeki i przekazała ją w ręce firm prywatnych.

- Prywatyzacja to obecnie rzecz powszednia. Skoro firmy prywatne zarządzają więzieniami, to dlaczego nie można im powierzyć systemów wodnych?

- Dokładnie tak brzmiał argument za przyjęciem ustawy. Amerykańskie stany od lat walczyły ze sobą o prawo do wody. Na procesy wydano tony pieniędzy. Wnioskodawcy przekonywali, że prywatyzacja położy temu kres. Woda będzie rozdzielana skuteczniej i sprawniej. Inwestorzy pokryją koszty wielkich kapitalistycznych ulepszeń i usprawnień. Ale o zatwierdzeniu ustawy przesądziła susza. W miastach zaczyna brakować wody i ludzie się boją.

- A jaką rolę odgrywa w tym Gokstad?

- W myśl ustawy zarząd nad systemem rzeki Kolorado powierzono kilku odrębnym, współpracującym ze sobą spółkom.

- Dzielącym się dochodami?

- Taka była intencja. Szkopuł w tym, że niejawnym właścicielem ich wszystkich jest korporacja Gokstad.

- I to ona sprawuje kontrolę nad rzeką Kolorado?

Cohen skinął głową.

- To samo, choć na mniejszą skalę, robi w całym kraju. Zawarła kontrakty na eksploatację wody lodowcowej na Alasce. Swym zasięgiem objęła Kanadę, które ma największe źródła wody w Ameryce Północnej. Zapewniła sobie kontrolę nad większością zasobów wodnych w Kolumbii Brytyjskiej. Niedługo zbiornikami Gokstadu staną się Wielkie Jeziora.

Zawała gwizdnął cicho.

- To straszne - przyznał - ale zgodne z procesem globalizacji, koncentracją potęgi gospodarczej w rękach mniejszej liczby właścicieli.

- Owszem. Czy podoba nam się, czy nie, przejęcie najcenniejszego bogactwa naturalnego kraju jest w pełni legalne. Tylko że Gokstad, co jeszcze straszniejsze, gra nieczysto.

- To znaczył

- Dam ci przykład. Wkrótce po tym, jak kongresmen Jeremy Kinkaid, zażarty przeciwnik ustawy o prywatyzacji rzeki Kolorado, zagroził złożeniem do komisji kongresowej wniosku o jej uchylenie, zginął w wypadku.

- W wypadkach ginie wielu ludzi.

Cohen wyjął z kieszeni mapę świata i rozłożył ją na stole.

- Widzisz te czerwone kwadraciki? - spytał głosem ściszym niemal do szeptu. - Nie trudź się ich liczeniem. Są ich dziesiątki.

- Zdobyć Gokstad?

- W pewnym sensie. Rozrastająca się korporacja natrafiła na poważnych graczy - spółki i zarządy miast, kontrolujące dystrybucję wody w swoich krajach. W wielu przypadkach konkurenci Gokstad odrzucili jej propozycje. - Cohen postukał w mapę. - Porównaliśmy daty przejęć tych firm z informacjami o ich personalu. Wszędzie tam, gdzie widzisz czerwone kwadraty, daty te zbiegły się ze śmiertelnymi "wypadkami" wśród członków zarządów. Niektórzy z dyrektorów po prostu zniknęli.

- Albo więc Gokstad używa metod gangsterskich, albo ma niebywale szczęście.

- Sam oceń. W minionych dziesięciu latach korporacja ta wchłonęła międzynarodowe spółki wodne we Francji, Włoszech, Wielkiej Brytanii i RPA. Przypomina Borgów, obcą rasę ze Star Trek, która rośnie w siłę, wchłaniając inne gatunki. Gokstad zdobyła koncesje na dystrybucję wody w Azji i Afryce Południowej...

Cohen urwał wygłaszaną jednym tchem perorę, szybko spojrział w stronę drzwi i odetchnął, bo do środka weszła kobieta z dzieckiem. Zawała uniósł brwi, ale milczał.

- Przepraszam - powiedział dziennikarz. - Przez tę sprawę zrobiłem się strasznie nieufny.

- Trochę nieufności może wyjść na zdrowie.

- Nie wiem, czy w naszej redakcji nie ma wtyczki. - Cohen znów ściszył głos do szeptu, nerwowo obracając w palcach łyżeczkę. - Dlatego musiałeś zadzwonić do mnie na komórkę. W gazecie dzieją się rzeczy niepokojące.

- Jakie?

- Nic, co można by wskazać palcem. Dokumenty zastaję ułożone w innym porządku, niż je zostawiłem. Obcy ludzie w budynku. Dziwne spojrzenia.

- Na pewno nie wmawiasz sobie tego?

- Inni w redakcji też zauważyli te zjawiska. Cholera! Czy moje zdenerwowanie tak bardzo rzuca się w oczy?

- Udziela się nawet mnie.

- To dobrze, chcę, żebyś się zdenerwował. Jestem pewien, że Gokstad nie zawaha się usunąć każdego, kto stanie jej na drodze.

- Na drodze do czego?

- To jasne, że chcą przejąć kontrolę nad światowymi zasobami słodkiej wody.

Zawała zastanowił się.

- Arcytrudne zadanie - orzekł. - W Ameryce Północnej i Europie mają imponujące osiągnięcia, ale czy jedna spółka jest w stanie zmonopolizować zasoby słodkiej wody na całym świecie?

- To nie takie trudne, jak się wydaje. Słodka woda stanowi mniej niż połowę zasobów wodnych na świecie. Reszta to woda morska oraz woda zawarta w lodowcach i znajdująca się pod ziemią. W dodatku większość naszej wody nie nadaje się do użycia, bo jest zbyt skażona, a świat z dnia na dzień potrzebuje jej coraz więcej.

- Ale czy większości jej zasobów nie kontrolują nadal różne narody i rządy?

- Już nie. Po ustaleniu prawdopodobnego źródła wody Gokstad, hojnie szafując najrozmaitszymi obietnicami, proponuje zajęcie się jego eksploatacją. A kiedy już raz w to wejdzie, za pomocą łapówek, wymuszeń lub jeszcze podlejszych metod zdobywa je na własność. W ubiegłych pięciu latach tempo prywatyzacji dokonywanej przez tę korporację niebywale wzrosło. Umożliwiły to nowe międzynarodowe porozumienia handlowe, w myśl których kraje przestały być właścicielami wody. Tak jest, Joe, to powtórzenie historii z Owens Valley, tylko w skali świata!

- Ta megaspółka przypomina ogromną ośmiornicę.

- Trafne porównanie, choć dość banalne. - Wyjętą z kieszeni czerwoną kredką Cohen narysował na mapie linie i strzałki. - Oto macki. Woda popłynie z Kanady i Alaski do Chin. Ze Szkocji i Austrii dotrze do Afryki i na Środkowy Wschód. Australia ma kontrakty na eksport wody do Azji. Z pozoru w grę wchodzi różne interesy. Ale Gokstad zawiaduje całością za pośrednictwem podstawionych firm.

- A jak zamierza przemieścić taką masę wody?

- Opracowała technologię oceanicznego transportu milionów galonów wody w wielkich elastycznych pojemnikach. Poza tym w jej stocznicach wybudowano tankowce o pojemności pięćdziesięciu tysięcy ton, zdolne przewozić zarówno ropę, jak wodę.

- Mocno się wykosztowali.

- Klienci zapłacą każdą cenę za wodę. Ale większość jej nie ugasi pragnienia biedaków, ledwo wiążących koniec z końcem na wyschniętej, jałowej ziemi. Trafi do nowoczesnego przemysłu, największego, nawiasem mówiąc, truciciela środowiska.

- Niewiarygodne.

- Trzymaj się mocno, Joe, bo to nie wszystko. - Cohen stuknął palcem w mapę Ameryki Północnej. - Największy rynek jest tu, w Stanach Zjednoczonych. Pamiętasz, jak wspomniałem, że Gokstad kontroluje kanadyjskie zasoby wody? Istnieje plan skierowania olbrzymich jej mas znad Zatoki Hudsona do Wielkich Jezior i stanów południowych. - Wskazał palcem Alaskę. - Kalifornia i inne pustynne stany wysały rzekę Kolorado niemal do sucha, dlatego za sprawą kolejnego planu na amerykański Zachód - poprzez rozległy system tam, kanałów i olbrzymich zbiorników - dotrze lodowcowa woda z Jukonu. Jego urzeczywistnienie spowoduje ogromne straty w zasobach naturalnych i ludziach, gdyż pod wodą zniknie dziesiąta część Kolumbii Brytyjskiej. Nowe hydroelektrownie zgromadzą ogromne ilości energii. Domyślasz się, kto z racji swojej strategicznej pozycji zarobi na niej i na budowach?

- Znam odpowiedź.

- Otóż to. Skoszą miliardy! Plany tego projektu istnieją od lat. Ze względu na koszty i fatalne skutki dla środowiska nikt ich nie rozwinął, niemniej doczekały się mocnego poparcia i kto wie, czy nie zostaną przeforsowane.

- Przez Gokstad?

- Nareszcie kumasz - potwierdził coraz bardziej rozemocjonowany Cohen. - Tym razem nikt się nie sprzeciwi. Korporacja wykupiła gazety i stacje telewizyjne. Tak rozpropaguje pomysł, że trudno będzie jej się przeciwstawić. Zdobyła niesłychane wpływy polityczne. W zarządach jej spółek zasiadają byli prezydenci, premierzy i ministrowie. Jak z nią walczyć? A jeśli uświadomisz sobie, że tym wszystkim dysponuje ktoś, nie cofający się przed użyciem gangsterskich metod, to zrozumiesz powód mojego zdenerwowania.

Urwał, żeby zaczerpnąć tchu. Twarz poczerwieniała mu z emocji, na czole pojawił się pot. Popatrzył na Zavalę tak, jakby chciał go zachęcić do polemiki. A potem nagle oklapł.

- Przepraszam - powiedział. - Za długo babrałem się w tym gnoju. Jestem bliski załamania nerwowego. Dopiero przy tobie mogłem wyrzucić to z siebie.

- Im szybciej to opublikujecie, tym lepiej - rzekł Zavalę. - Kiedy to zrobicie?

- Niedługo. Dopracujemy ostatnie szczegóły. Chcemy się dowiedzieć dlaczego Gokstad zbudowała tyle supertankowców.

- Zapewne wiąże się to z ich planami transportu wielkich ilości wody

- Owszem, wiemy, że podpisali kontrakty na dostawy wody lodowcowej z Alaski, ale dokonaliśmy obliczeń i wyszło nam, że przy istniejącym rynku, nawet jeśli uwzględnimy Chiny, tych tankowców jest za dużo.

- Wybudowanie statku wymaga czasu. Może chcą trzymać te jednostki w odwodzie, aż nadejdzie właściwy moment.

- I to właśnie jest dziwne. Każdy z tych tankowców ma kapitana i załogę. Stoją na wodach Alaski jakby na coś czekały.

- Ale na co?

- To właśnie chcielibyśmy wiedzieć.

- Coś się szykuje - mruknął Zavala.

- Mój reporterski nos mówi mi to samo.

Zavala poczuł chłód, jakby jedna z oślizgłych macek ośmiornicy, o której mówili, dotknęła jego ramienia. Przypomniał sobie rozmowę z Austinem o niewidzialnych zagrożeniach, które czyhają w morzu. Kurta jak zwykle nie zawiodła intuicja. A jego własny instynkt podpowiadał mu, że w błękitnym cieniu kryje się coś wielkiego i głodnego, co obserwuje ich i czeka. To coś nazywało się Gokstad.

Dyrektor CIA Erwin LeGrand rozpromienił się z dumy, kiedy jego czternastoletnia córka, Katherine, podjechała truchtem na kasztanowym wałachu. Zsiadła z konia i przekazała ojcu nagrodę za pierwsze miejsce w zawodach w stylu angielskim.

- Do twojego gabinetu, tato - oznajmiła z roziskrzonymi chabrowymi oczami. - Za to, że jesteś najlepszym ojcem na świecie. To ty kupiłeś mi Vala i opłaciłeś drogie lekcje jazdy.

Ależ podobna do matki, pomyślał LeGrand, biorąc trofeum i obejmując córkę.

- Dziękuję, Katie, ale to ty, a nie ja napracowałaś się, by pokazać Valiantowi, kto tu rządzi - odparł z uśmiechem. - Pochwalę się zdobytą przez ciebie nagrodą w agencji, a potem wróci ona do twojej gąbki.

Duma mieszała się w nim z poczuciem winy. Owszem, finansował jazdy konne Katherine, ale na zawody jeździeckie przyjechał pierwszy raz od lat. Podszedł do nich fotograf z miejscowego klubu towarzyskiego. Ustawiając się z córką i koniem do zdjęcia, LeGrand żałował, że na tej rodzinnej fotografii zabraknie jego zmarłej żony.

Katie odprowadziła Vala do stajni, a LeGrand ruszył przez parcours, gawędząc ze swoją mało urodziwą, lecz nadzwyczaj inteligentną asystentką Hester Leonard. Prasa porównywała go czasem do bezbrodego Lincolna, zarówno z racji podobieństwa do szesnastego prezydenta Stanów Zjednoczonych, jak i uczciwości. Był wysoki i niezbyt przystojny, ale jego grube rysy świadczyły o silnym charakterze. Stojąc na czele największej organizacji wywiadowczej na świecie, zdobył sobie opinię człowieka prawego i w innych czasach, gdy radio i telewizja nie odgrywały takiej roli, uchodziłby za poważnego kandydata do prezydentury.

Zadzwoił telefon komórkowy Hester Leonard. Przytknęła go do ucha.

- Panie dyrektorze - powiedziała z wahaniem - dzwonią z Langley.

LeGrand spojrział groźnie i nawet nie sięgnął po telefon.

- Przecież prosiłem, żeby nie przeszkadzano mi przez dwie godziny, kiedy tu będę! - mruknął. - Chyba że zajdzie coś szczególnie istotnego.

- Dzwoni John Rowland, mówi, że w niezwykle ważnej sprawie.

- Rowland? A, w takim razie... - LeGrand wziął telefon. - Cześć, John - powiedział, rozchmurzając się. - Nie musisz przeproszać. Zadzwoiłeś w porę, żeby usłyszeć dobre wieści. Katie wygrała w tutejszym klubie konkurs jazdy w stylu angielskim.. Dziękuję. Ale jaka to pilna sprawa każe ci zakłócić najważniejszą być może chwilę w jej życiu? - Nastroszył brwi. - Nie, nie słyszałem... Tak, oczywiście... Zaczekaj w moim biurze.

LeGrand oddał telefon asystentce, przyjrzał się nagrodzie córki i potrząsnął głową.

- Niech pani wezwie samochód - powiedział. - Natychmiast wracamy do Langley. A potem niech pani zadzwoni do mojego biura i powie, żeby spełnili wszystkie życzenia Johna Rowlanda. Muszę pożegnać się z córką i zrekompensować jej zawód. A niech to, pewnie będę musiał kupić jej jeszcze jednego konia - dodał i pocwałował przeprosić córkę.

Dwadzieścia minut później czarna limuzyna zatrzymała się z piskiem przed siedzibą CIA. LeGrand wysiadł i drugimi krokami przemierzył hol. Przy drzwiach czekał asystent. LeGrand wyrwał mu z ręki teczkę z aktami i w windzie przejrzał jej zawartość. Chwilę potem wszedł do swojego

biura. Czekał już tam na niego John Rowland, któremu towarzyszył zdenerwowany młody, analityk Browning.

Rowland i dyrektor CIA uścisnęli sobie dłonie jak starzy przyjaciele. Przed laty pracowali w agencji na tym samym szczeblu. LeGrand miał wielkie ambicje i wspinał się na sam szczyt drabiny. Rowlandowi wystarczało zajmowane stanowisko i pozycja opiekuna młodych analityków, rozpoczynających karierę. LeGrand ufał mu ślepo, gdyż John już nieraz uchronił go przed wdepnięciem w łajno.

- Przeczytałem ten materiał z bazy danych - rzekł. - Co o tym sądzisz?

Rowland szybko zreferował sytuację.

- Nie można tego zatrzymać? - spytał LeGrand.

- Uruchomiono procedurę. Zostanie zrealizowana do końca.

- Cholera! Posypią się głowy. Kto jest celem?

Rowland podał dyrektorowi kartkę. LeGrand odczytał nazwisko i zbladł.

- Skontaktuj się ze tajnymi służbami - polecił. - Zawiadom ich, że dowiedzieliśmy się właśnie o przygotowywanym zamachu na życie przewodniczącego Izby Reprezentantów. Trzeba mu natychmiast przydzielić ochronę. Mój Boże! Jak mogło do tego dojść?

- Zebranie wszystkich szczegółów wymaga czasu - odparł Rowland. - Wiemy tylko, że tę procedurę uruchomiły pytania, które napłynęły do banku danych wywiadu z Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych.

- Z NUMA?! - zawołał gromkim głosem LeGrand i wielką pięścią trzasnął w biurko z taką siłą, że pióro wyskoczyło z obsadki. - Połącz mnie z Jamesem Sandeckerem! - zawołał do najbliższego stojącego asystenta.

- Za jakieś dwadzieścia minut dolecimy do Albany - poinformował Buzz Martin.

Austin wyrżał przez okno dwusilnikowego piper'a seneki. Widoczność była równie wspaniała jak wówczas, gdy wylecieli z Baltimore. Mógł odczytać nazwy statków, którymi usiany był górny bieg Hudsonu.

- Jeszcze raz dziękuję za podwiezienie - powiedział. - Zwykle na takie majówki zabiera mnie mój partner, Joe Zavała, ale jeszcze nie wrócił z Kalifornii.

- No, to ja powinienem panu podziękować - odrzekł Martin. - Dotarłby tu pan i beze mnie.

- Chcę żeby rozpoznał pan ojca.

Martin zerknął na pasmo gór Catskill na zachodzie.

- Nie jestem pewien, czy rozpoznam go po tylu latach. Dawno go nie widziałem. Mógł się bardzo zmienić. - Jego twarz spochmurniała. - Od chwili gdy pan zadzwonił i poprosił mnie, bym z panem poleciał, myślę o tym, co mu powiem. Nie wiem, czy go przytulić, czy mu przyłożyć.

- Na początek może pan uścisnąć mu dłoń. Spotkania z dawno utraconym ojcem nie zaczyna się od haka w szczękę.

Martin zaśmiał się.

- Tak, ma pan całkowitą rację - przyznał. - Ale i tak jestem na niego zły. Chcę usłyszeć, dlaczego nas zostawił i ukrywał się przez te wszystkie lata, każąc nam myśleć, że nie żyje. Dobrze, że mama tego nie doczekała. Zadręczyłaby się myślą, że wyszła powtórnie za mąż za życia pierwszego męża. Cholera - dodał, załamującym się głosem - mam nadzieję, że go nie zwymyślam.

Włączył mikrofon i poprosił wieżę kontroli lotów o instrukcje do lądowania. Wkrótce znaleźli się na ziemi.

W wypożyczalni samochodów nie było kolejki i niebawem wyjechali z miasta pathfinderem z napędem na cztery koła. Drogą 88, wiodącą wśród pasm wzgórz i małych farm, Austin pomknął na południowy zachód w stronę Binghamton. Po mniej więcej godzinie opuścił autostradę i pojechał na północ, docierając do Cooperstown, sielskiej miejsciny, której główna ulica wyglądała jak dekoracja z filmu Franka Capry. Z Cooperstown skierowali się na zachód dwukierunkową wiejską drogą. Była to kraina Skórzanej Pończochy Jamesa Fenimore'a Coopera i Austin bez trudu przywołał w wyobraźni obraz Sokolego Oka i jego indiańskich towarzyszy, przekradających się leśnymi dolinami. Coraz rzadziej natrafiali na osady i domy. W tym regionie było więcej krów niż ludzi.

Nawet mapa niewiele im pomogła. Austin zatrzymał się przy sklepie na stacji benzynowej, a Buzz zajrzał do środka, żeby się rozpytać. Wszedł stamtąd mocno ożywiony.

- Staruszek z tego sklepu mówi, że zna Bucky'ego Martina od lat - oznajmił. - Powiada, że to miły gość, tyle że odludek. Trzeba jechać tą drogą i kilometr dalej skręci w lewo. Farma jest około ośmiu kilometrów stąd.

Szosa zwęziła się, a po jej tłuczniowo-smołowej nawierzchni pozostało nieledwie wspomnienie i wyboje. Mijając farmy w gęstym lesie o mały włos nie przegapili bocznej gruntowej drogi, znikającej w zagajniku. O jej istnieniu świadczyła jedynie aluminiowa skrzynka pocztowa bez nazwiska i numeru. Skręcili i pojechali przez las. W końcu drzewa ustąpiły miejsca pastwiskom, na których pasły się stadka krów. Kilometr dalej ujrzeli gospodarstwo.

W dużym piętrowym budynku mogły z powodzeniem mieszkać trzy pokolenia. Ozdobne okna i witraże świadczyły o zamożności właściciela. Od frontu dom miał werandę. Za nim znajdowała się stodoła, stajnia i silos. Na podwórzu stał stosunkowo nowy pikap.

Austin wjechał na kolisty podjazd i zatrzymał się przed budynkiem. Nikt nie wyszedł ich powitać. W oknach nie pojawiły się zaintrygowane twarze.

- Może wysiądę pierwszy - zaproponował. - Zanim staniecie twarzą w twarz, przyda się małe przygotowanie gruntu.

- Dobrze - zgodził się Buzz. - Czuję wielką treść.

- Będzie dobrze. - Austin ścisnął go za rękę. Nie wiedział, co sam by zrobił na jego miejscu.

Chyba nie zachowałby nawet takiego spokoju. - Zbadam sytuację.

- Dziękuję.

Austin wysiadł z samochodu, podszedł do drzwi i kilka razy zapukał. Nikt nie odpowiedział. Nikt też nie zareagował, kiedy przekręcił gałkę wiekowego dzwonka. Odwrócił się i rozłożył ręce tak, by zobaczyć to Martina. Zszedł z werandy i skierował się do stodoły za domem. W ciszy słychać było jedynie gdakanie kur i pochrząkiwania ryjącej świni.

Drzwi stodoły stały otworem. Wchodząc do niej Austin pomyślał, że wszystkie stodoły i chlewy na świecie mają ten sam zapach. Kiedy mijał stajnię, prychnął koń, może spodziewał się, że zostanie poczęstowany cukrem. Martina tu nie było. Kury i wieprzki podbiegły do ogrodzenia, sądząc, że ma dla nich jedzenie. Na niebie krążył jastrząb. Austin wszedł do stodoły.

- W czym mogę pomóc? - usłyszał.

- Pan Martin? - spytał, widząc jedynie sylwetkę mężczyzny.

- To ja. A pan kto? Proszę mówić głośno, synu. Słuch mam już nie ten co kiedyś.

W przeciwieństwie do niższego, proporcjonalnie zbudowanego syna, był potężnym, masywnym mężczyzną. W jasnobrązowej koszuli, takichże spodniach, butach roboczych na grubych podszewkach i powalanej baseballówce z logo firmy ciągnikowej Caterpillar na siwiuteńkiej głowie mógłby pozować do reklamy traktorów. Twarz miał zbrązowiałą od słońca, mocno pobrużdżoną, białe brwi i niebieskie oczy. Był świetnie trzymającym się siedemdziesięcio-, osiemdziesięciolatkiem. W ustach trzymał niedopałek cygara.

- Nazywam się Kurt Austin. Pracuję w Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych - przedstawił się Austin.

- Czym mogę służyć, panie Austin?

- Szukam Bucky'ego Martina, oblatywacza z lat czterdziestych. Czy to może pan?

W niebieskich oczach starca błysnęło rozbawienie, jakby usłyszał żart.

- Tak, to ja - potwierdził.

Kiedy Austin zastanawiał się, czy od razu przejść do rzeczy i powiedzieć mu, że jest z nim jego syn, Martin spytał:

- Przyjechał pan sam?

W reakcji na to zaskakujące pytanie w mózgu Austina odezwał się dzwonek alarmowy. W tym człowieku było coś dziwnego. Nie czekając na odpowiedź, starzec wyszedł przed stodołę, skąd widać było pusty wypożyczony samochód. Najwyraźniej zadowolony z tego, co zobaczył, rzucił cygaro na ziemię, rozgniół je obcasem i wrócił do stodoły. Austin był ciekaw, gdzie się podział Buzz.

- Trzeba uważać z paleniem przy tym suchym sianie. - Martin uśmiechnął się. - Jak pan mnie znalazł?

- Zajrzeliśmy do starych akt rządowych i natrafiliśmy na pański adres. Długo pan tu gospodarzy?

Martin westchnął.

- Mam wrażenie, że od zawsze, synu. Orka i chodzenie koło była najlepiej uświadamiają człowieka, dlaczego kiedyś ludzie uciekali ze wsi na wyprzódki. To cholerna harowa. Ale mój wyrok dobiega końca, choć nie spodziewałem się pana tak szybko.

- Pan mnie oczekiwał? - spytał zaskoczony Austin.

Martin sięgnął za drzwiczki boksu, wyciągnął dubeltówkę i wymierzył ją w jego brzuch.

- Zadzwoniono do mnie, zgodnie z procedurą - odparł. - Nie radzę się ruszać. Wzrok mam już nie ten, co kiedyś, ale widzę stąd całkiem dobrze.

Austin wpatrzył się w ziejące lufy dwururki.

- Niech ją pan odłoży, bo może jeszcze przypadkiem wystrzelić - powiedział.

- Przykro mi, synu, nie ma mowy. I nie próbuj wyciągnąć tych wideł z siana, bo rozwalę cię, zanim zrobisz krok. Nie ja tu decyduję, tylko ta przeklęta procedura.

- Nie rozumiem, o czym pan mówi.

- Pewnie, że nie. Pochodzi ona z czasów, kiedy nie było cię na świecie. Ale zanim cię zabiję, nie zaszkodzi, jeśli się wszystkiego dowiesz.

Austinowi łomotało serce. Był bezbronny. Mógł jedynie grać na zwłokę.

- Pomylił się pan - powiedział.

- Bynajmniej. Dlatego spytałem, co tu robisz. Nie chciałem zastrzelić przypadkowego turysty, który wpadł kupić jajka. Ale ty szukasz Martina, a to oznacza, że chcesz mnie powstrzymać.

- Powstrzymać? Przed czym?

- Przed wykonaniem zadania.

- Nic nie wiem o żadnym zadaniu, ale czy mam przez to rozumieć, że pan nie jest Martinem?

- Jasne, że nie. Zabiłem go dawno temu.

- Dlaczego? Był tylko oblatywaczem.

- Nic do niego osobiście nie miałem, tak jak do ciebie. Pracowałem dla Urzędu Służb Strategicznych pod komendą "Dzikiego", Billa Donovana. Byłem egzekutorem, czyli, jak się to dziś nazywa, zawodowym zabójcą. Po wojnie wykonałem dla nich kilka zadań i zgłosiłem chęć wycofania się. Szef odparł na to, że mowy nie ma. Za dużo wiem. Więc zawarliśmy układ. Uzgodniliśmy, że wykonam jeszcze jedną robotę. Ale był pewien problem - nie wiedzieli, kiedy zostanie wydany rozkaz. Może za pięć miesięcy, a może za pięć lat. - Starzec zaśmiał się. - Nikt nie myślał, że po tak długim czasie.

Austin spostrzegł, że przestał mówić jak chłop.

- Kogo miał pan zabić? - spytał.

- Rząd trzymał to w wielkiej tajemnicy, bo nie chcieli, by ktoś się o tym dowiedział. Opracowano więc taki system, by każda próba wścibienia nosa w sprawę lub choćby zbliżenia się do niej uruchomiła procedurę likwidacyjną. Jedno zaplanowali mądrze: potencjalny przeciwnik musiał trafić do mnie. Umieścili mnie na tym odludziu. Swoim węszeniem uruchomiłeś szereg rozkazów. Pierwszy doprowadził cię do mnie. Ostatni wskazał, że tym, kogo mam usunąć, jest przewodniczący Izby Reprezentantów. Pewnie dotarł do rządowej tajemnicy i miał zamiar ją ujawnić.

- Procedura, o której pan mówi, pochodzi sprzed pół wieku. Kongresmen, którego miał pan zabić, dawno nie żyje.

- To nieważne - odparł Martin, potrząsając głową. - Wciąż obowiązuje mnie rozkaz. Szkoda, bo sprawa pewnie już się zdezaktualizowała z drugiej jednak strony to dobrze, żeś przyjechał, synu - rzekł, wracając do chłopskiej wymowy, a spojrzenie jego niebieskich oczu stwardniało. - Kiedy to załatwię, oficjalnie przejdę na emeryturę.

Uniósł dubeltówkę. Austin przygotował się na ogłuszający huk i napiął mięśnie brzucha, jakby siłą woli chcąc powstrzymać pocisk. Gdyby miał czas pomyśleć, na pewno uznałby za ironię losu, że uszedłszy z życiem z niezliczonych, śmiertelnie niebezpiecznych akcji, zginie z rąk niedosłyszającego, niedowidzącego osiemdziesięcioletniego zabójcy.

Nagle za plecami Martina wyrosła postać. Buzz! Starzec zachował na tyle dobry wzrok, by dostrzec mimowolną reakcję na twarzy Austina, i odwrócił głowę.

- Pan nie jest moim ojcem! - wykrzyknął Buzz i przeniósł wzrok z twarzy starca na dubeltówkę, którą przedtem zasłaniał on ciałem.

Farmer przyłożył strzelbę do ramienia, ale wiek stępił jego refleks. Austin miał ułamek sekundy na podjęcie decyzji, czy uderzyć go głową w plecy jak rozjuszony byk, ale uznał, że nie zdąży.

- Martin! - zawołał, sięgając po widły, a kiedy tamten obrócił się, cisnął nimi jak oszczepem.

Celował w rękę trzymającego broń, lecz w tym momencie stary zrobił krok w jego stronę i widły przedziurawiły mu płuca i serce. Trafiony, krzyknął z bólu, a skierowana w górę dubeltówka wypaliła w dach. Spłoszony koń omal nie rozniósł kopytami boksu. Martin wypuścił broń i zwałił się na drewnianą podłogę.

Austin, bardziej z nawyku niż z potrzeby, odsunął nogą dubeltówkę. Buzz podszedł do zabitego i przykląkł. Przyjrzał się uważnie jego rysom.

- Nie, to na pewno nie jest mój ojciec - powiedział cicho ku uldze Austina. - Przede wszystkim jest za wysoki. Mój ojciec był krępy jak ja. Zupełnie nie przypomina go z twarzy. Kto to?

- Podawał się za Martina. Nie wiem, jak się naprawdę nazywał.

- Dlaczego chciał pana zabić... nas obu?

- Sam tego nie wiedział. Był jak bomba-pułapka, które zrzucali Niemcy. Wybuchła, gdy saperzy próbowali ją rozbroić. Ale przecież, miał pan czekać w samochodzie.

- Musiałem się przejść. Okrzyłem dom, nikogo nie zobaczyłem, więc szukając pana wszedłem do stodoły.

- Całe szczęście. - Austin nadstawił ucha. - Coś słyszę. - Ostatni raz spojrzął na trupa. -

Przyjemnej emerytury, Bucky - powiedział i skierował się do wrót stodoły.

Buzz wyszedł za nim na podwórze w chwili, kiedy z lasu wypadł czarno-biały wóz z niebieskim kogutem na dachu i zatrzymał się z piskiem w chmurze kurzu. Na jego drzwiczkach widniał napis SZERYF. Z samochodu wysiadło dwóch mężczyzn w granatowych mundurach, młody, tęgi i chudy, siwy. Młodszy zbliżył się, trzymając dłoń na kaburze. Nosił odznakę zastępcy szeryfa.

- Który z panów to Austin? - spytał.

- Ja - odparł Kurt.

Zastępca szeryfa najwidoczniej nie spodziewał się takiej szczerzej odpowiedzi.

- Jestem szeryf Hastings - przedstawił się starszy policjant, delikatnie odsuwając podwładnego. -

Czy któryś z panów widział Bucky'ego Martina?

- Jest w stodole - odparł Austin.

Zastępca szeryfa pośpieszył do stodoły i po chwili wypadł z niej blady jak ściana.

- Jezu! - wybąkał, szukając palcami broni. - Stary Bucky nie żyje. Przebity widłami. Który z was to zrobił?

Hastings dał mu znak, żeby zapanował nad sobą i wezwał miejscową ekipę kryminalną.

- Wyjaśni mi pan, co tu się dzieje, panie Austin? - spytał.

- Martin chciał nas zabić z dubeltówki, która leży przy nim. Nie miałem wyboru.

- Pytałem, co tu się naprawdę dzieje. No bo raptem telefonują do mnie z Waszyngtonu...

- Z Waszyngtonu?

- Tak jest. Najpierw dzwonią z biura gubernatora i każą czekać, a potem łączą mnie z jakimś narwańcem, admirałem Sandeckerem. Twierdzi, że jego podwładny Austin jest w niebezpieczeństwie i wysyła mnie na farmę Martina, gdzie ma zostać popełnione morderstwo. Pytam go, skąd wie, że ktoś zginie, a on na to, że jeżeli nie skończę z głupimi pytaniami i natychmiast nie pojedę, to wypruje mi flaki. - Hastings uśmiechnął się. - Chyba miał rację. Jak pan się nazywa? - zwrócił się do Martina.

- Buzz Martin.

Zaskoczony szeryf zamrugał.

- Jest pan krewnym denata? - spytał.

Austin i Martin wymienili spojrzenia, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

- Mam nadzieję, że się panu nie śpieszy, szeryfie, bo to bardzo, bardzo długa historia - odparł wreszcie Austin, kręcąc głową.

Bębny biły bez przerwy od godziny. Na początku miarowo dudnił tylko jeden, w rytmie, w jakim bije ludzkie serce. Potem dołączyły do niego następne. Głuche dudnienie nabrało tempa, a w tle pojawił się monotony śpiew. Zatopiona w myślach Francesca, z rękami splecionymi na plecach i opuszczoną głową, niczym lwica w klatce przemierzała tam i z powrotem salę tronową. Siedzący obok tronu Troutowie czekali cierpliwie, aż przemówi. Tessa znów gdzieś zniknęła.

Przy wejściu do pałacu powstało zamieszanie i kilka chwil później do sali wbiegły dwie pokojówki, padły na kolana i zaczęły mówić z ożywieniem. Francesca łagodnym głosem uspokoiła młode Indianki, delikatnie podniosła je z kolan i odgarnęła im z twarzy zmierzwiłone włosy. Po kolei je wysłuchiwała, na rękę wsunęła im bransoletki wykonane z części samolotu, ucałowała w głowy i odprawiła.

- Wypadki toczą się szybciej, niż sądziłam - wyjaśniła Troutom. - Te kobiety twierdzą, że Alaryk nastawił plemię przeciwko nam.

- Myślałam, że nie wejdą do pałacu - powiedziała Gamay, marszcząc czoło.

- Zawsze twierdziłam, że jest inteligentny. Przysłał moje służące, bym poznała jego plany. Chce wyrzucić presję psychologiczną. Te bębny to jego robota. - Francesca wskazała na sufit. - Ściany pałacu są z gliny, ale dach z suszonej trawy. Podpalą go. Alaryk mówi, że prawdziwi bogowie powstaną z popiołów. Jeżeli stąd wybiegniemy, uciekając przed płomieniami, okaże się, że miał rację, że jesteśmy fałszywymi bogami, a wówczas nas zabiją.

- Byliby zdolni skrzywdzić własną królową?

- Nie byłby to pierwszy przypadek popadnięcia władczyni w niełaszkę. Pamiętacie los Marii, królowej Szkotów, i Anny Boleyn?

- Rzeczywiście - przyznała Gamay. - Co zrobimy?

- Uciekniemy. Jesteście gotowi?

- W każdej chwili. Nie musimy się pakować - odparł Paul. - Ale jak przedrzemy się przez ten podburzony tłum?

- W zanadru mam jeszcze kilka sztuczek białej bogini. Och, świetnie, wróciła Tessa.

Indianka pojawiła się cicho jak cień. Na jej kilka wypowiedzianych w języku tubylców słów Francesca skinęła głową. Tessa wzięła jedną z pochodni palących się przy tronie.

- Zechce pan jej pomóc, doktorze - powiedziała Francesca.

Paul chwycił Tessę w pasie i uniósł w górę. Była lekka jak piórko. Indianka wetknęła pochodnię w kącie sali, tam gdzie gliniana ściana stykała się ze strzechą. Było pewne, że wkrótce płomień obejmie sufit. To samo zrobili po drugiej stronie pomieszczenia.

- Podpalanie nie jest moją specjalnością, ale odciągając tym prymitywnym sposobem ich uwagę zyskamy na czasie - wyjaśniła Francesca i powiodła oczami po sali. - Trochę żal rozstawać się z królowaniem. Żegnajcie - powiedziała ze smutkiem nie wiadomo do kogo i wdała się w ożywioną rozmowę z Tessą. Kiedy skończyły, Indianka miała bardzo zadowoloną minę. Francesca westchnęła ciężko. - Widzicie, do czego doszło? Moje poddane się buntują. Kazałam jej zostać, ale chce iść z nami. Szkoda czasu na sprzeczki. Idziemy.

Mrocznymi korytarzami zaprowadziła ich do sypialni. Chwilową nieobecność Tessy wyjaśniły

dwa leżące na łóżku worki. Indianka pakowała rzeczy do ucieczki. Francesca wyjęła z drewnianej skrzyni poobijaną aluminiową walizeczkę z paskiem i zawiesiła ją na ramieniu, a potem, wręczając jeden worek Paulowi, a drugi Gamay, wyjaśniła, że jest w nich jedzenie i "kilka niezbędnych rzeczy".

- I co teraz? - spytała Gamay, rozglądając się po pomieszczeniu bez okien.

Bębny dudniły coraz gwałtowniej.

- Oczywiście weźmiemy prysznic - odparła Francesca.

Zapaliła od pochodni mały kaganek, podeszła do kabiny z prysznicem i uniósłszy wypolerowaną podłogę, odsłoniła prostokątny otwór.

- Tu jest drabina - oznajmiła. - Bardzo stroma, więc uważajcie.

Zeszła pierwsza, przyświecając im kagankiem. Stanęli stłoczeni w wysypanym żwirem ścieku od prysznica. Prowadził stąd w ciemność tunel.

- Wybacz pan, doktorze - powiedziała Francesca - ale nie spodziewałam się tu człowieka pańskiego wzrostu. Kopaliśmy to przejście latami, wynosząc po trochu ziemię i dyskretnie się jej pozbywając. Tunel biegnie do przykrytego rowu, który kazałam wykopać Indianom wiele lat temu pod przyszły wodociąg.

Kiedy skuleni, pomagając sobie rękami, przemieszczali się tunelem, Paul pochylał się nisko, by nie uderzać głową w sklepienie. Strop w równych odstępach podtrzymywały belki. Posuwali się w ciemnościach, bo Francesca zgasiła kaganek, żeby nie zdradził ich dym. Piętnaście metrów dalej dotarli do drugiego, nieco większego tunelu.

- To ten rów - wyjaśniła cicho Francesca. - Nie możemy rozmawiać. Jesteśmy zaledwie pół metra pod ziemią, a Chulo mają świetny słuch.

Z pomocą prymitywnej zapalniczki, takiej samej, jaką miał przy sobie przyrodni brat Tessy, zapaliła kaganek i ruszyli dalej. Posuwali się wolno, ale po kwadransie tunel się skończył. Łopatką wyjętą z worka Francesca zaczęła walić w ślepa ścianę, a kiedy rozległ się głuchy odgłos, dała znak Paulowi, by przysunął się bliżej.

- Znow potrzebna pańskiej krzepy, doktorze - powiedziała. - Niech pan otworzy ten właz. Nad rzeką pewnie nikogo nie ma, ale proszę to zrobić ostrożnie.

Paul przystawił ramię do deski, zebrał się w sobie, pchnął i powoli zwiększając napór poczuł, że właz ustępuje. Naparł mocniej. Okrągła pokrywa odsunęła się o kilka centymetrów. Paul zerknął przez szczelinę jednym okiem i zobaczył wodę. Pchnął jeszcze raz i usunął przeszkodę.

Wylot rowu znajdował się w porośniętej trawą nadrzecznej skarpie. Paul prześliznął się przez otwór i pomógł wygramolić się kobietom. Wyjście z zimnego, ciemnego tunelu na gorące słońce okazało się takim wstrząsem, że mrużyli oczy jak krety. Paul zamknął właz. Kiedy zamaskowały otwór, podczołgał się na szczyt skarpy i wyjrzał przez jej krawędź.

Niedaleko znajdowała się makabrycznie udekorowana palisada, pod którą właśnie przeszli. Za nią wzbijały się wysoko w górę kłęby czarnego dymu i słychać było odgłosy przypominające świergot stada dzikich ptaków. Paul ześliznął się w dół.

- Cieszę się, że będą mieli królewską pieczęć. A pani nie wierzyła w swój talent do podpalania - powiedział do Franceski.

Francesca dała im znak, by ruszyli za nią brzegiem rzeki. Skuleni, pod osłoną skarpy po kilku minutach dotarli do stojących tu piróg. Dwie odciągnęli na bok. Paul chciał resztę zatopić, ale trudno było uszkodzić ich solidne kadłuby.

- Przydałaby się piła mechaniczna albo choćby siekiera - powiedział.

Francesca sięgnęła do worka i wyjęła zakryty garnek. Płaskim kamieniem z rzeki rozsmarowała

na pirogach znajdującą się w nim ciemno żółtą substancję i podpaliła. Drewno zaczęło się tlić.

- Ogień grecki - wyjaśniła. - To mieszanka żywic miejscowych drzew. O temperaturze spalania wyższej od napalmu. Próba jej połączenia z wodą jedynie podsycyła pożar.

Zdumieni Troutowie patrzyli, jak płomienie obejmują kadłuby. Wiedzieli, że po odkryciu zniszczonych łodzi, tubylcy popędzą teraz ścieżką wzdłuż rzeki.

Popłynęli parami - lepiej wiosłujący ze słabszymi. Gamay z Franceską jedną pirogą, Paul z Tessą drugą. Po godzinie dobili do brzegu, napili się wody i odpocząwszy pięć minut ruszyli dalej. Płynęli pod prąd, więc od wiosła porobiły im się pęcherze na dłoniach. Ból znieczulił maścią leczniczą z cudownego worka Franceski. Wiosłowali uparcie, żeby przed zapadnięciem ciemności znaleźć się jak najdalej od wioski.

Ale mrok zapadł zbyt prędko, co utrudniło im, a w końcu uniemożliwiło żeglugę. Pirogi zaplątywały się w zielsku i wpadały na piaszczyste łachy. Również walka z tymi przeszkodami bardzo ich wyczerpała, poniechali dalszych prób, podплыnęli bliżej brzegu i posilili się suszonym mięsem i owocami. Zasnąć też im się nie udało z braku miejsca na pirogach i z radością powitali szary świt.

Skostniałi, z zapuchniętymi oczami wyruszyli w drogę, popędzani odgłosem bębnow, który kazał im zapomnieć o bólu i dolegliwościach. Złowieszcze dudnienie zdawało się docierać zewsząd, niosąc się echem przez dżunglę.

Łodzie sunęły przez kurtynę mgieł wstających nad wodą. Wprawdzie ta naturalna zasłona dymna skrywała zbiegów przez oczami Chulo, ale musieli płynąć wolno, by omijać przeszkody. Żar wschodzącego słońca przemienił opary w przezroczystą mgiełkę. Znów widząc przed sobą rzekę, zaczęli wiosłować jak szaleni. Dudnienie bębnow ucichło, ale nie ośmielili się zatrzymać i płynęli przez następną godzinę. A wkrótce potem usłyszeli inny dźwięk.

- Posłuchajcie - powiedziała Gamay, nadstawiając uszu.

Z daleka dobiegł ich cichy szum, tak jakby przez dżunglę pędził pociąg.

Bardzo poważna od chwili opuszczenia wioski Francesca uśmiechnęła się.

- Ręka Boga przyzywa - powiedziała.

Podniesieni na duchu, zapominając o zmęczeniu, głodzie i zdrętwiałych pośladkach, ponownie przyłożyli się do wiosła. Wzmagający się szum nie zagłuszył jednak innego dźwięku - furkotu, z jakim zrywa się do lotu rzeczny ptak, i mocnego stuknięcia, które nastąpiło chwilę potem.

Paul z niedowierzaniem spuścił wzrok. W burcie pirogi tkwiła blisko metrowa strzała. Kilkadziesiąt centymetrów wyżej, a przebiłaby mu klatkę piersiową. Spojrzał w stronę brzegu. Pośród drzew migały niebiesko-białe sylwetki pędzących Indian. Powietrze rozdarł ich zawodzący śpiew wojenny.

- Atakują nas! - krzyknął niepotrzebnie Paul.

Wśród gradu strzał Gamay i Francesca pochyliły się nisko nad wiosłami i piroga odpłynęła poza zasięg łuków.

Ale prześladowcy niebawem dogonili pirogi, szybko podążając ścieżką nad rzeką. W pewnym miejscu szlak skręcił do lasu i teraz, aby strzelać, Indianie musieli się przedzierać przez gęste zarośla. Za każdym razem łodzie umykały poza zasięg strzał. Nawet nowoczesne łuki, które dopomogła im skonstruować Francesca, nie na wiele się zdały.

Nie ulegało wątpliwości, że w tej grze w kotka i myszkę niebawem górę wezmą myśliwi. Uciekinierzy wiosłowali coraz wolniej, nierówno. Gdy zdawało się, że nie ma już dla nich ratunku, nagle rzeka się skończyła i wpłynęli na jezioro. Na chwilę przestali wiosłować, by zorientować się w sytuacji. Postanowili jak najszybciej dotrzeć do ujścia głównej rzeki, gdzie nieprzebyta dżungla z

obu stron uchroni ich od strzał Chulo.

Pokrzepieni nadzieją, wzięli się do wiosła z nową energią, trzymając się środka jeziora. Huk tysięcy ton wody spadającej w dół pięcioma kaskadami był niewyobrażalny. Wiosłujący ledwo widzieli się we mgle. Paul powiedział sobie, że jednak nie chciałby budować tutaj hotelu. Wreszcie wypłynęli z chmury wodnego pyłu na otwarte jezioro. Przyglądając się gęstej ścianie dżungli, szukali ujścia rzeki.

- Jest tam, przy tym rozstępie pomiędzy drzewami. - Płynąca w pierwszej pirodze Gamay wskazała wiosłem w stronę brzegu. - O, cholera!

Z rzeki wypłynęły trzy niebiesko-białe pirogi.

- Myśliwi - powiedziała Francesca, mrużąc oczy w blaskach odbitego słońca. - Nie było ich w wiosce, więc nie wiedząc naszej ucieczce. Dla nich pozostaję królową. Spróbuję ich zwieść. Płynmy tam.

Indianie w pirogach nie okazali wrogości, a dwóch nawet pomachało im rękami. Nagle jednak z brzegu doleciały okrzyki ludzi Alaryka. Wołali coś i przyzywali współplemieńców gestami. Płynący pirogami zawahali się, a potem, w reakcji na coraz głośniejsze ponaglenia, skierowali się w stronę ładu. Ledwo łodzie dotknęły brzegu, miejsce myśliwych zajęli ścigający.

Uciekający wykorzystali krótką przerwę w pościgu, wiosłując szaleńczo w stronę rzeki, ale prześladowcy szybko zaczęli ich doganiać, płynąc na skróty.

- Nie zdołamy dopłynąć! - zawołała Gamay. - Odetną nam drogę.

- Może uda nam się zgubić ich w tej mgle - odparł Paul.

Gamay i płynący tuż za nią Paul z Tessą zawrócili pirogi i skierowali je w stronę wodospadu. Im bliżej niego, tym bardziej sfalowana była woda. Zawzięty pościg trwał. Dzięki sile i wiosłarskim umiejętnościom Indianie szybko zmniejszali dystans. Mającące we mgle kaskady były wprawdzie niedaleko, lecz kiedy zbiegów spowił wodny opar, zrozumieli, że jeżeli zbliżą się do nich jeszcze bardziej, zginą pod rwącymi strumieniami.

- Przydałaby się któraś z pani sztuczek! - zawołał Paul do Franceski, przekrzykując łośkot.

Jednak ona tylko pokręciła głową.

- Ja coś mam! - Tessa podała mu worek, który leżał między jej kolanami.

Paul wsadził rękę do środka i wyciągnął duży pistolet.

- Skąd to? - spytał zdumiony.

- Należał do Dietera.

Paul zerknął przez ramię na wytrwale goniące ich pirogi, a potem na wodospad. Cóż z tego, że Francesca nie chciała, by jej byłych poddanych spotkała krzywda, skoro nie mieli innego wyboru. W ich stronę, leciały strzały.

Ponownie sięgnął do worka, szukając dodatkowych naboji, i znalazł telefon satelitarny GlobalStar. Dieter z pewnością kontaktował się przez niego z nabywcami. Paul przez chwilę wpatrywał się w aparat, zanim dotarło do niego, co znalazł. Krzyknął z radości.

Podpłynęła do niego Gamay.

- Działa? - spytała na widok telefonu.

Paul nacisnął guzik. Zapaliło się światelko. Telefon działał.

- A dopiero niespodzianka! Spróbuj - powiedział, wręczając telefon żonie - a ja postaram się ich odstraszyć.

Gamay wystukała numer i kilka chwil później w słuchawce rozległ się znajomy niski głos.

- Kurt! - krzyknęła do telefonu. - To ja!

- Gamay? Martwiliśmy się o was. Co z wami, wszystko w porządku?

Zerknęła na nadpływające pirogi i przełknęła ślinę.

- Jesteśmy w strasznych opałach! - odparła, przekrzykując ryk wodospadu. - Nie mogę rozmawiać, dzwonię przez GlobalStar. Możesz ustalić naszą pozycję?

Bum!

Paul wystrzelił, celując w dziób pirogi Alaryka, która jednak nie zwolniła tempa.

- To pistolet?

- Strzelał Paul!

- Słabo cię słyszę przez ten hałas. Zaczekaj.

Sekundy dłużyły się jak lata. Gamay nie miała złudzeń co do wyniku tej rozmowy. Jeśli nawet ustalą naszą pozycję, pomoc nadejdzie za kilka dni, pomyślała. Ale przynajmniej Kurt będzie wiedział, co się z nami stało.

- Namierzyliśmy was - rozległ się znów w słuchawce spokojny, pokrzepiający głos Austina.

- Dobrze. Musimy zmykać! - odparła Gamay, robiąc niski unik przed buczącą jak gniewna pszczoła strzałą.

Kiedy Troutowie byli zajęci czym innym, ich pirogi zaczęły dryfować bokiem do fal. Kołysały się niebezpiecznie, ale przybliżyły do wodospadu i mogącej je skryć mgły.

Indianie, wyczuwając, że to już koniec polowania, wznowili swój dziwny, zawodzący śpiew. Klęczący na dziobach łucznicy napięli łuki.

Paul, widząc, że nie ma już na co czekać, wymierzył pistolet w Alaryka. Gdyby zabił przywódcę Indian, reszta pewnie by uciekła. Francesca krzyknęła. W pierwszej chwili pomyślał, że nie chce, by strzelał, ale biała królowa wskazywała na szczyt wodospadu.

Przypominający dużego owada obiekt, który nad nim przeleciał, szybko opadł w dół, przebijając się przez tęczową mgłę. Na wysokości trzydziestu metrów na chwilę zawisł w powietrzu, a potem sfrunął nisko i zabuczał nad łodziami wojowników. Łucznicy porzucili łuki, i schwyciwszy wiosła, jak szaleni popłynęli do brzegu.

Paul opuścił pistolet, uśmiechnął się do Gamay i powiosłowali ku spokojniejszym wodom. Helikopter okrążył jezioro, powrócił i zawisł nad ich pirogami. Z bocznych drzwi wychylił się i pomachał im uśmiechnięty mężczyzna z gęstymi srebrnymi wąsami i głęboko osadzonymi oczami - doktor Ramirez.

Zadzwoił telefon.

- Gamay, Paul? - odezwał się Austin. - Nic wam się nie stało?

- Nic - odparła Gamay, śmiejąc się z ulgą. - Dziękujemy za podesłanie taksówki. Ale musisz wyjaśnić, jak tego dokonałeś. To naprawdę nie lada wyczyn, nawet dla wielkiego Kurta Austina.

- O tym potem. Do zobaczenia jutro. Jesteście mi potrzebni. Bądźcie gotowi do pracy.

Z helikoptera opuszczono drabinę.

Ramirez dał znak Francesce, by wspięła się pierwsza. Zawahała się, a potem chwyciła najniższy szczebel i, jak przystało na białą boginię, zaczęła wstępować do nieba, z którego spadła dziesięć lat temu.

Sandy Wheeler właśnie wsiadała do hondy civic, kiedy podszedł do niej dziwny mężczyzna i z obcym akcentem spytał po angielsku, jak trafić do biura ogłoszeń "Los Angeles Times". Odruchowo przycisnęła do siebie torebkę i rozejrzała się dookoła. Dobrze, że w garażu gazety byli inni ludzie. Wychowała się w Los Angeles, więc przywykła do świrów, ale przez tę sprawę z wodą zrobiła się ostatnio nerwowa i nawet ze zgrabnym pistolecikiem w torebce nie czuła się całkiem bezpiecznie. Swoimi metalowymi zębami nieznajomy z łatwością schrupałby jego lufę.

Będąc reporterką umiała jednym rzutem oka rozpoznawać ludzi, a ten osobnik miał gębę jak czarny charakter z ringu wolnoamerykanki. Jej wzrostu, jakby bez szyi, potężnie zbudowany, ubrany był w ciemnozielony, przciasny dres, a okrągława, uśmiechnięta twarz i jasne włosy przypominały jej potwora z książki rysownika Maurice'a Sendaka *W krainie dzikostworów*. Ale najbardziej niesamowite wrażenie robiły jego oczy, z tak czarnymi tęczęwkami, że ginęły w nich źrenice.

Udzielwszy mu pośpiesznie wskazówek, Sandy wsiadła do samochodu i natychmiast zablokowała drzwi. Nieznajomemu najwyraźniej nie śpieszyło się do biura ogłoszeń, bo kiedy cofała auto, stał przewiercając ją na wylot oczami zimnymi jak skała. Sandy miała trzydzieści kilka lat, długie kasztanowe włosy i opaloną, pociągłą twarz, w której dominowały duże błękitne oczy. Dzięki joggingowi i ćwiczeniom fizycznym była wysportowana i tak ładna, że czasami mężczyźni gapili się na nią, zapominając języka w gębie. Zanim trafiła do grupy badającej aferę z wodą, dobrze poznała życie, pracując jako reporterka kryminalna. Niełatwo ją było przestraszyć, ale na widok tej kreatury przeszły ją ciarki. Nie chodziło o sam wygląd. Od tego człowieka wiało grozą.

Zerknęła we wsteczne lusterko i z zaskoczeniem stwierdziła, że maskaron zniknął. Niepotrzebnie tak się wystraszyła. Dorastając w Los Angeles, bardzo wczesnie nauczyła się, żeby trzeba cały czas mieć się na baczności. Ta przekłeta historia z wodą przytępiła jej czujność. Cohen przyrzekł, że artykuł ukaże się już za dwa dni. Szkoda, że nie szybciej. Miała dość zabierania do domu dyskietek z dokumentacją. Cohen obsesyjnie bał się zostawiać ją w redakcji. Co wieczór czyścił redakcyjny komputer z plików, robiąc kopie zapasowe. Rano zaś wgrywał je z powrotem.

Nie miała mu jednak za złe tych przesadnych obaw. Sprawa z wodą była rzeczywiście niezwykła. W zespole mówiono o nagrodzie Pulitzera. Cohen koordynował pracę trzech reporterów. Jej przypadło zbadanie Mulholland Group i tajemniczej prezeski tej spółki, Brunhildy Sigurd. Pozostała dwójka zajmowała się nabywaniem przez nią firm w Stanach oraz powiązaniem międzynarodowymi. Mieli do dyspozycji księgowego i prawnika. Wszystko zaś odbywało się w tajemnicy większej niż prace nad amerykańską bombą atomową. Naczelnny wiedział wprawdzie o sprawie, ale nie znał jej rozmiarów. Westchnęła, pocieszając się, że za kilka dni, po opublikowaniu artykułu, będzie mogła wreszcie wyjechać na długi urlop na Maui.

Z garażu pojechała do swojego mieszkania w Culver City. Po drodze, w centrum handlowym, kupiła butelkę kalifornijskiego zinfandela, bo obiecała Cohenowi, który miał do niej wpaść później, by dopracować szczegóły, że zrobi mu kolację. Gdy płaciła kasjerce, spostrzegła, że ktoś zagląda przez szybę do sklepu. To był on, ta kreatura z metalowymi zębami, uśmiechał się. Przypadek nie wchodził w grę. Ten świr ją śledził. Wychodząc ze sklepu, spojrzała na niego groźnie i zdecydowanym krokiem poszła do samochodu. Najpierw wyciągnęła z torebki pistolet i zatknęła go

za pasek, a potem zadzwoniła z komórki do Cohena, który kazał jej meldować o wszystkich nietypowych zdarzeniach. Nie zastała go, ale nagrała mu wiadomość, że właśnie jedzie do domu i że jest śledzona.

Wolno wyjechała z centrum handlowego, a później dodała gazu i przez skrzyżowanie przemknęła w chwili, gdy zmieniały się światła. Wszystkie jadące za nią wozy zatrzymały się. Dobrze знаła tę dzielnicę, więc okrężną trasą - przez dwa parkingi motelowe - boczną ulicą dotarła do domu. Zdążyła już trochę się uspokoić. Wpadła do czteropiętrowego budynku i wjechała na trzecie piętro. Kiedy wysiadła z windy, o mało co nie upuściła zakupów. Ten świr stał na końcu korytarza i wpatrywał się w nią z obłąkańczym uśmiechem. Postawiła torbę z zakupami na podłodze, wyciągnęła zza paska pistolet i wycelowała w prześladowcę.

- Spróbuj tylko podejść - zagroziła.

Nie poruszył się i tylko jeszcze szerzej się uśmiechnął.

Jakim cudem zdołał ją wyprzedzić? Oczywiście znał jej adres. Podczas gdy kluczyła po mieście, on pojechał prosto do jej mieszkania. To jednak nie wyjaśniało, jak dostał się do budynku. Za brak należytej ochrony administracji należy się opeer. A może nawet warto opisać ją w gazecie.

Celując z pistoletu, Sandy odnalazła w torebce klucze, otworzyła drzwi do mieszkania i szybko je za sobą zatrzasnęła. Nareszcie była bezpieczna. Odłożyła pistolet na stolik, zasunęła rygiel, założyła łańcuch i przytknęła oko do wizjera. Świr stał tuż za nimi, z twarzą jeszcze bardziej groteskowo zniekształconą przez soczewkę. W rękę trzymał, niczym dostawca, jej torbę z zakupami. Co za tupet! Zakląła soczyście. Tym razem nie zamierzała zawracać głowy Cohenowi. Zawiadomi policję o natręcie.

I nagle poczuła, że nie jest w mieszkaniu sama.

Odwróciła się i zamarła ze strachu, nie wierząc własnym oczom.

Ujrzała potwora z metalowymi zębami. Niemożliwe! Przecież był za drzwiami! I nagle w jednej chwili znalazła odpowiedź.

Bliźniaki!

Ale olśnienie przyszło za późno. Kiedy cofała się do drzwi, ruszył wolno za nią. Oczy błyszczały mu jak czarne perły.

- Joe, próbuję cię złapać od godziny! - powiedział rozgorączkowany Cohen.

- Przepraszam, wychodziłem. Co się stało?

- Sandy zniknęła. Ci dranie dopadli ją.

- Chwileczkę, uspokój się - rzekł Zavała. - O jakiej Sandy i o jakich draniach mówisz? Zaczynij od początku.

- Dobrze, dobrze.

Cohen na chwilę zamilkł, wziął się w garść i zaczął mówić zwykłym opanowanym głosem, w którym wyczuwało się jednak wielkie napięcie.

- Wróciłem do redakcji, bo coś mnie tknęło. Zniknął nasz cały materiał źródłowy.

Przechowywaliśmy go w zablokowanym pliku. Teraz jest pusty.

- Kto miał do niego dostęp?

- Tylko członkowie zespołu. Można na nich polegać. Do otworzenia tych plików zmusiłby ich jedynie pistolet przyłożony do głowy. O, mój Boże! - jęknął Cohen, gdy dotarł do niego sens własnych słów.

- A co się stało potem? - spytał Zavała.

Cohen wziął głęboki oddech i wypuścił powietrze.

- Dobra. Przepraszam - powiedział. - Potem sprawdziłem dyski. Puste. Żeby do nich wejść, trzeba znać hasło. Znali je członkowie zespołu. Codziennie po pracy wszystko kopiowaliśmy. Na zmianę. Dziś dyskietki zabrała Sandy Wheeler, jedna z naszych reporterek. Odebrałem wiadomość, że śledził ją jakiś mężczyzna. Dzwoniła z parkingu niedaleko domu. Wieczorem mieliśmy zjeść u niej kolację i przejrzeć materiał do pierwszego artykułu z planowanej serii. Zadzwoiłem do niej po odebraniu wiadomości, ale nie odebrała telefonu. Pojechałem więc do jej mieszkania. Sandy dała mi klucz. Torba z zakupami stała na stole. Z butelką wina w środku. A przecież ona zawsze odstawia je na półkę.

- Zniknęła bez śladu?

- Tak. Natychmiast stamtąd wybiegłem.

- A co z innymi reporterami z twojego zespołu? - spytał Zavala, tknięty nagłą myślą.

- Próbowałem się do nich dodzwonić. Bezskutecznie. Co robić?

Dzięki temu, że Cohen tak szybko wyszedł z mieszkania Sandy, prawdopodobnie ocalił swoje życie.

- Skąd dzwonisz? - spytał Zavala. - Słyszę muzykę.

- Jestem w barze dla pedałów niedaleko domu Sandy. - Wystraszony Cohen zaśmiał się nerwowo. - Wpadłem tu, bo myślałem, że ktoś mnie śledzi, a chciałem być wśród ludzi.

- Ktoś za tobą wszedł?

- Nie zauważyłem. Są tu głównie motocykliści. Rzucają się w oczy.

- Możesz do mnie zadzwonić za pięć minut? - spytał Joe.

- Tak, ale pośpiesz się. Jakiś wysoki transwestyta puszcza do mnie oko.

Zavala odszukał numer, który podał mu Gomez. Agent odebrał telefon po trzecim sygnale.

- Jestem w Los Angeles - powiedział Zavala, pomijając zwyczajowe uprzejmości. - Mam tu kogoś, kogo trzeba wycofać z obiegu. Pomoże mi pan? Żadnych pytań, ale obiecuję, że wszystko wyjaśnię przy najbliższej okazji.

- To ma związek ze sprawą, w którą pan się wplątał?

- Z nią i z czymś jeszcze. Przepraszam, że jestem taki tajemniczy. Pomoże pan?

Gomez zamilkł.

- Mamy bezpieczny adres w Inglewood - odezwał się po chwili bardzo rzeczowym tonem. - Czuwa tam pewien anioł stróż. Zadzwoń do niego i uprzedzę o nadejściu przesyłki.

Podał Zawali, jak dojechać pod wskazany adres.

- Dzięki. Pogadamy później - obiecał Joe.

- Mam nadzieję - odparł Gomez.

Zaraz po tej rozmowie zadzwonił telefon. Zavala prędko podał Cohenowi adres od Gomeza i polecił mu pojechać tam taksówką.

- Zostaw swój samochód - ostrzegł. - Mogli zainstalować nadajnik.

- Oczywiście! Nawet o tym nie pomyślałem. Biedna Sandy. I inni. Czuję się odpowiedzialny za ich los.

- Nic więcej nie mogłeś zrobić, Randy - zapewnił Joe. - Skąd mogłeś wiedzieć, że ta sprawa tak cię przerasta?

- O co w tym wszystkim, do diabła, chodzi?

- W czasie naszej pierwszej rozmowy trafiłeś w sedno. Chodzi o niebieskie złoto.

Czarna gumowa piłka przemknęła jak meteor, ale Sandecker przewidział kąt jej odbicia i jego lekka drewniana rakietą wystrzeliła niczym język węża. Błyskawiczny bekhend z suchym stukiem posłał piłkę na prawą ścianę. LeGrand zrobił wypad do przodu, ale źle obliczył jej podkręcony lot i rakietą niezdarnie przeciął powietrze.

- Koniec gry - oznajmił Sandecker.

Był fanatykiem zdrowego trybu życia i odżywiania, a dzięki regularnemu uprawianiu joggingu i podnoszeniu ciężarów mógł z powodzeniem mierzyć się z ludźmi znacznie odeń młodszymi i wyższymi. Stał na szeroko rozstawionych nogach, niedbale trzymając rakieta w zgiętej ręce. Na jego czole nie było ani jednej kropli potu. Żaden włos nie sterczał mu na głowie i starannie przystrzyżonej płomiennorudej szpiczastej brodzie.

Za to LeGrand spływał potem. Kiedy zdjął szkła ochronne i wytarł do sucha twarz, przypomniał sobie, dlaczego zaniechał pojedynków z admirałem. Dyrektor CIA był wyższy i silniejszy od Sandeckera, ale za każdym razem przekonywał się, że w grze w squasha liczy się przede wszystkim strategia. W zwykłych okolicznościach wykręciłby się od gry z szefem NUMA, ale nie mógł tego uczynić, gdy zadzwonił on dzień po wypadku w stanie Nowy Jork.

- Zarezerwowałem w klubie kort - oznajmił wesoło Sandecker. - Nie miałbyś ochoty poodbijać małej czarnej piłki?

Mimo jowialnego tonu jego głosu LeGrand nie miał wątpliwości, że zaproszenie to jest rozkazem. Odwołał więc wszystkie poranne spotkania i po drodze wpadł do Watergate, żeby zabrać sprzęt. Sandecker czekał na niego w klubie squashowym. Miał na sobie modny granatowy dres ze złotymi lamówkami. Ale nawet w tym niezobowiązującym stroju łatwo można było wyobrazić go sobie, jak na pokładzie dawnego okrętu wojennego rozkazuje wybrać żagle lub wystrzelić salwę burtową w arabskiego pirata. W identyczny sposób dowodził NUMA, pilnie śledząc wszelkie zmiany wiatru i posunięcia przeciwników. Jak każdy dobry dowódca dbał też bardzo o swych podwładnych.

Na wieść, że przez jakiś debilny plan wywiadu Austin o mało co nie stracił życia, wybuchnął niczym wulkan Krakatau. Zwłaszcza wkurzyło go, że w tej sprawie brała udział CIA. Lubił LeGranda, lecz był święcie przekonany, że Centralną Agencję Wywiadowczą rozpieszczą się i pakuje się w nią więcej forsy niż jest tego warta.

Teraz jednak, stawiając jej dyrektora pod ścianą, nie zamierzał wyładowywać na nim złości. Chodziło o załatwienie czegoś ważniejszego. Nie stronił od politycznych gier. Do jego najcenniejszych darów należała umiejętność sterowania swym gniewem. Obiekty wściekłości Sandeckera nie miały pojęcia, że pod jego gorącą jak promień lasera furią kryje się często spokój, że wręcz bawi się w głębi ducha. Umiejętność ta dobrze mu służyła. Szanowali go prezydenci z obu partii. Senatorowie i kongresmeni wręcz zabiegali o podtrzymanie z nim znajomości. Członkowie rządu nakazywali swym podwładnym łączyć rozmowy z nim bez pytania.

LeGrand, dręczony wyrzutami sumienia z powodu incydentu w stanie Nowy Jork, bez wahania przyjął więc zaproszenie admirała, skwapliwie korzystając z okazji, by naprawić szkody, nawet za cenę upokorzenia na korcie. Ku jego zaskoczeniu Sandecker powitał go z uśmiechem i w trakcie gry nic nie wspominał o przygodzie Austina. Co więcej, w barku postawił pierwszą kolejkę soku.

- Dziękuję, że tak szybko zgodziłeś się na mecz - powiedział, prezentując swój słynny krokodyli uśmiech.

LeGrand łyknął soku z papai i potrząsnął głową.

- Mam nadzieję, że kiedyś z tobą wygram - odparł.

- Najpierw musisz poprawić bekhend - odparł Sandecker. - A przy okazji, skoro już tu jesteś, chciałbym podziękować ci, że zapobiegłeś tragedii, która mogła spotkać mojego pracownika Austina.

LeGrand pomyślał, że może jednak nie będzie tak źle.

- Szkoda tylko, że ktoś z twoich ludzi nie zareagował szybciej. Mogliście uratować waszego asa - dodał z tym samym niepokojącym uśmiechem Sandecker, z ironią akcentując ostatnie słowo.

LeGrand uśmiechnął się w duchu. Było oczywiste, że admirał nie może sobie darować tego tematu.

- Przykro mi z powodu tego nieszczęsnego epizodu - powiedział, puszczając mimo uszu jego przytyk. - Z początku nie mieliśmy jasności co do rozmiarów tego, hm, problemu. Sytuacja była bardzo skomplikowana.

- Tak słyszałem. Wiesz, co zrobię, Erwinie? - spytał łaskawym tonem Sandecker. - Zapomnę na razie, że ten dziwny, uknuty przez Urząd Służb Strategicznych, a przeprowadzony przez CIA plan wyszedł całkiem na opak, przez co omal nie zginęli szef ekipy do zadań specjalnych NUMA i niewinny świadek, a przewodniczący Izby Reprezentantów znalazł się w niebezpieczeństwie.

- Jesteś bardzo wspaniałomyślny, James - odparł LeGrand.

Admirał skinął głową.

- Szczegóły tego sztubackiego żartu szpiegowskiego nigdy nie wyjdą poza ściany NUMA - zapewnił.

- Agencja docenia twoją dyskrecję.

Sandecker uniósł rude brwi.

- Ale jeszcze nie jesteśmy kwita - oświadczył. - W zamian żądam pełnego naświetlenia tej brudnej, nikczemnej sprawy.

LeGrand wiedział, że musi przystać na taką wymianę. Już z góry podjął decyzję, że wyłoży karty na stół.

- Masz pełne prawo domagać się tego - przyznał.

- No pewnie.

- Trudno było złożyć wszystko do kupy, zwłaszcza w tak krótkim czasie, ale postaram się jak najlepiej objaśnić ci, co się stało.

- A raczej, co się, na szczęście, nie stało - sprostował Sandecker.

LeGrand zdobył się na blady uśmiech.

- Początek tej historii sięga drugiej wojny światowej - zaczął. - Po klęsce Niemiec rozpadła się koalicja sprzymierzonych. Kiedy Churchill wspominał w swym przemówieniu o "żelaznej kurtynie", zaczęła się zimna wojna. W Stanach wciąż panowało dobre samopoczucie, bo tylko one miały bombę atomową. Do czasu, gdy Sowieci zdetonowali własną atomówkę i zaczął się wyścig zbrojeń. Dzięki bombie wodorowej odzyskaliśmy przewagę. Ale Rosjanie siedzieli nam na karku i tylko kwestią czasu było, kiedy nas dogonią. Jak wiesz, w bombie wodorowej zachodzi inny proces niż w bombie atomowej.

- W bombie termonuklearnej dochodzi do połączenia, a nie rozszczepienia jąder - rzekł Sandecker, który, służąc na atomowych okrętach podwodnych, dobrze znał się na fizyce atomowej.

LeGrand skinął głową.

- Atom wodoru połączono z atomem helu - ciągnął. - W ten sam sposób powstaje energia

słoneczna. Kiedy tylko dowiedziano się, że główne radzieckie laboratorium syntezy jąder atomu znajduje się na Syberii, nasz rząd zaczął myśleć o sabotażu. Niektórzy byli zbyt pewni siebie po zwycięstwie nad państwami Osi i z nostalgią wspominali wypad komandosów na fabrykę ciężkiej wody w Norwegii. Słyszałeś oczywiście o tej akcji.

- Mówisz o fabryce produkującej izotop potrzebny do stworzenia niemieckiej bomby atomowej.
- Właśnie. Akcja ta opóźniła prace Niemców.

- Podobny rajd komandosów na Syberii byłby, łagodnie mówiąc, zbyt ambitnym przedsięwzięciem.

- W praktyce niemożliwym do przeprowadzenia. Nawet z akcją w Norwegii było mnóstwo kłopotów, mimo współpracy i silnego wsparcia ze strony miejscowych partyzantów. Były też inne względy.

- ZSRR i Stany starannie unikały bezpośredniej konfrontacji wojskowej. Rajd na sowieckie laboratorium byłby uznany za otwarcie wrogi akt, którego nie można zlekceważyć.

- Właśnie. Tak samo, jak zniszczenie przez Rosjan naszego laboratorium w Nowym Meksyku. Wywołałoby to prawdziwą wojnę.

- Ale nawet pomysł niemożliwego do przeprowadzenia rajdu należało objąć ścisłą tajemnicą, by nikt się o nim nie dowiedział - rzekł Sandecker, dobrze wiedząc, że ryzykowne sytuacje polityczne wymagają wybiegów i uników.

LeGrand skinął głową.

- To samo powiedział nasz prezydent, kiedy przedstawiono mu sytuację.

- Niezwykle trudne zadanie.

- Oczywiście. W tym czasie zdarzyło się jednak coś nowego. Zbudowano samolot nazwany latającym skrzydłem. Z konstrukcją tą były pewne problemy, ale jedna jej, nie zaplanowana cecha, zdecydowała o atrakcyjności projektu - technologia "stealth". Płaska sylwetka tej maszyny i jej gładka powierzchnia sprawiły, że w odpowiednich warunkach mogła być nie do wykrycia przez radar. Według oficjalnych danych nasze Siły Powietrzne zniszczyły wszystkie latające skrzydła, także te w produkcji, ale prezydent Stanów zatwierdził potajemną budowę zmodyfikowanej wersji tego samolotu. Nowe latające skrzydło miało większy zasięg i prędkość niż pierwsze modele. Krótko mówiąc, można było ukradkiem dolecieć nim nad Syberię i powrócić.

- Ale przecież Rosjanie nie są tumanami. Gdyby zniszczono im laboratorium, z pewnością domyśliliby się, że to nasza robota.

- Oczywiście, stąd tak wielka waga drugiego składnika tego równania. Było nim odkrycie anasazium, produktu ubocznego eksperymentów laboratorium w Los Alamos. Substancję tę odkrył, antropolog amator, zafascynowany starą kulturą Indian Pueblo. Swoje znalezisko nazwał na cześć plemienia Anasazi. Anasazium miało między innymi zdolność modyfikacji jąder wodoru. Potajemne wprowadzenie tej substancji do radzieckich laboratoriów broni atomowych mogłoby zakłócić badania nad syntezą jądrową. Oceniano, że opóźniłoby o kilka lat prace ZSRR nad nową bombą. Stany zyskałyby w ten sposób czas na wybudowanie międzykontynentalnego bombowca i nowoczesnego systemu raketowego, któremu Sowieci nie byłiby w stanie sprostać. Plan zakładał zrzuć bomb na spadochronach. Wybuchając, uwolniłyby płynne anasazium, które przeniknęłoby przez systemy wentylacyjne radzieckiego laboratorium. Dla ludzi substancja ta jest równie nieszkodliwa jak woda. Zaatakowani uznaliby wybuch bomby za odgłos bardzo dziwnej, krótkiej burzy z piorunami.

- A gdyby ten samolot rozbił się z powodu jakiejś awarii?

- Nie przewidziano kapsułki z trucizną, takiej jak ta, której nie połknął Francis Gary Powers po

rozbić się U-2. Po prostu nie dano załodze spadochronów. Zresztą z tego samolotu nie dałoby się wyskoczyć na spadochronie. Nie było odrzucanej osłony kabiny, a katapultowanych foteli jeszcze nie skonstruowano. W razie znalezienia szczątków samolotu zawsze można było skłamać, że to eksperymentalna maszyna, która na swoje nieszczęście zesłała z kursu.

- Piloci o tym wiedzieli?

- Byli to bardzo ideowi ochotnicy, absolutnie nie dopuszczający do siebie myśli, że im się nie uda.

- Szkoda, że ten plan nie wypalił.

- Przeciwnie. Akcja zakończyła się pełnym sukcesem.

- Jak to? - zdziwił się Sandecker. - O ile pamiętam, Sowieci zbudowali bombę wodorową niedługo po nas.

- To prawda. Pierwszą bombę termonuklearną zdetonowali w 1953 roku, dwa lata po Stanach Zjednoczonych. Ale przypomnij sobie, co mówiłem o przesadnej pewności siebie. Naszym w głowie nie powstało, że może ich przechytrzyć taki ciemny prostak jak Stalin. Dla Stalina wszyscy byli w najwyższym stopniu podejrzani. Dlatego polecił Igorowi Kurczatowowi, sowieckiemu odpowiednikowi naszego Oppenheimera, prowadzić równorzędne badania laboratoryjne nad wodorem na Uralu. Zakończyły się one sukcesem. Stalin uznał, że technicy z Syberii zawiedli i kazał ich zlikwidować.

- Dziwię się, że nie zaatakowano laboratorium na Uralu.

- Rozważano taką akcję, ale w końcu ją odwołano. Może uznano, że jest zbyt niebezpieczna, a może zawiniły problemy techniczne z latającym skrzydłem.

- Co się stało z tym samolotem?

- Wraz z ładunkiem zapieczętowano go w hangarze. Wojsko opuściło bazę na Alasce, skąd startował. Załogę rozproszono po całym świecie. Nikt z jej członków nie znał całej prawdy. I to był prawie koniec sprawy.

- Prawie?! Masz na myśli tę procedurę i zabicie pilota?

LeGrand poprawił się niespokojnie w fotelu.

- Nie tylko. W rzeczywistości zabito całą załogę tego samolotu - odparł cicho. - Poza politykami tylko oni znali dokładnie szczegóły akcji i jej cel. Usunięto czterech ludzi. Ich rodzinom powiedziano, że zginęli w wypadku. Pochowano ich z pełnymi honorami na cmentarzu w Arlington.

- Miły gest.

LeGrand nerwowo odchrząknął.

- Przecież wiecie, że zrobiłem, co mogłem, by wyczyścić sprawę w Agencji. Ale czasem, gdy usuwam jedną warstwę brudu, to pod spodem odkrywam następną, jeszcze brudniejszą. Na ogół ze zrozumiałych względów nie afiszujemy się naszymi osiągnięciami. Ale faktem jest, że w środowisku wywiadu dokonywano rzeczy, z których w żadnym razie nie można być dumnym. Należy do nich ten smutny epizod.

- Austin zapoznał mnie ze swoimi odkryciami. Ten pilot był obecny na własnym pogrzebie w Arlington. Podobno widział go tam jego syn.

- Nalegał, żeby ostatni raz pozwolono mu popatrzeć na żonę i dziecko. Powiedziano mu, że dla własnego bezpieczeństwa na czas nieokreślony dostanie opiekuna. Oczywiście był to podstęp. Wkrótce po tym, jak wzięto go pod ochronę, jego opiekun go zabił.

- Ten, który mieszkał na północy stanu Nowy Jork?

- Właśnie.

- Ani trochę mi nie żał tego oprawcy - powiedział surowo Sandecker. - Gotowego mordować z

zimną krwią w wieku, w którym podobno mądrzejemy. O mały włos nie zabił Austina. Czemu służyła ta procedura? Nie wystarczyło zabicie członków załogi?

- Ludzie, którzy podjęli tę decyzję, pragnęli mieć absolutną pewność, że tajemnica się nie wyda. Obawiali się, że jej ujawnienie wywoła wojnę. Stosunki z Sowietami i bez tego były fatalne. Procedurę pomyślano tak, by uruchamiała ją najmniejsza próba odsłonięcia sekretu. W pojęciu jej autorów każdy szpieg pochodził z zagranicy. Nikomu się nie śniło, że źródłem zagrożenia może stać się Kongres Stanów Zjednoczonych. Zresztą wszystkie te zabezpieczenia okazały się niepotrzebne. Pokonany w powtórnych wyborach ówczesny przewodniczący Izby Reprezentantów nigdy nie wygłosił expose. Pewnie uznano, że mina, założona po to, by rozerwała każdego, kto trafi na ślad afery, sama się z czasem rozbroi. Nikomu na myśl nie przyszło, że po pół wieku wciąż będzie niebezpieczna.

Sandecker rozsiadł się w fotelu i splótł palce.

- A więc z tego powodu o mało co nie zginął mój człowiek. Słyszałem, że ten morderca już spakował walizki, by wyruszyć z materiałami wybuchowymi i karabinem snajperskim. Najwyraźniej chciał się dobrze zabawić przed przejściem na emeryturę. Wielka szkoda, że nie możemy zdradzić Amerykanom, na jakie głupstwa poszły w imię demokracji dolary z ich podatków.

- Ujawnienie tej sprawy byłoby błędem. - odparł LeGrand. - Rosjanie z wielkimi oporami zredukowali swój arsenał nuklearny. Gdyby ta historia wyszła na jaw, wzmocniłoby to pozycję garstki tamtejszych nacjonalistów, którzy twierdzą, że Stanom nie można ufać.

- I tak będą myśleć swoje - rzekł z przekąsem Sandecker. - Z własnego doświadczenia wiem, czego najbardziej boją się moi tego świata - kompromitacji. - Uśmiechnął się. - Mam nadzieję, że nie ma już żadnych procedur czyhających na Bogu ducha winnych ludzi.

W słowach tych kryło się zawołane ostrzeżenie.

- Już wydałem polecenie dokładnego przeszukania naszych plików komputerowych, by wykluczyć taką możliwość - zapewnił LeGrand. - Koniec z niespodziankami.

- Oby - odparł Sandecker.

Austin nalał do kubka gorącej jamajskiej kawy Blue Mountain, napił się jej, wziął z biurka aluminiowy cylinder i zważył go w wielkiej dłoni, wpatrując się w jego porysowaną powierzchnię niczym w kryształową kulę. Ale nie dojrzał w nim żadnych tajemnic, tylko rozmyte odbicie własnej opalonej twarzy i jasnych włosów.

Odłożył cylinder i powrócił do mapy Alaski, rozpostartej na biurku. Na Alasce był kilka razy i na zawsze zachował w pamięci ogrom tego pięćdziesiątego stanu. Znalezienie starej bazy lotniczej na tak dzikim terytorium przypominało szukanie igły w stogu siana. Na dobitkę bazę latającego skrzydła wybudowano tak, by uchronić ją przed wścibskimi oczami. Przesunął palcem od przyładka Barrowa w głąb Arktyki, na południe od półwyspu Kenai. Gdy w głowie zaczęła mu kielkować pewna myśl, zadzwonił telefon. Wpatrzony w mapę, podniósł słuchawkę.

- Kurt, możesz do mnie wpaść? - usłyszał głos Sandeckera.

- Czy to nie może poczekać, panie admirale? - spytał Austin, nie chcąc stracić wątku myślowego.

- Oczywiście, Kurt - odparł wspaniałomyślnie Sandecker. - Pięć minut ci wystarczy?

Myśl rozkwitła i zwiędła niczym kwiat na słońcu. Umysł Sandeckera pracował z szybkością maszyny.

- Przyjdę za dwie minuty.

- Wspaniale. Na pewno nie będziesz tego żałował.

Wchodząc do gabinetu Sandeckera na dziewiątym piętrze, Austin spodziewał się, że zastanie go przy olbrzymim biurku, wykonanym z pokrywy luku statku konfederatów, który próbował przełamać jankeską blokadę. Jednak ubrany w wojskową marynarkę, z kieszonką przyozdobioną wyhaftowanymi złotymi kotwicami, admirał siedział w jednym z czarnych, wygodnych, skórzanych foteli przeznaczonych dla gości i rozmawiał z kobietą, zwróconą tyłem do drzwi.

- Dziękuję, że wpadłeś, Kurt - powiedział wstając, żeby się z nim przywitać. - Chcę ci kogoś przedstawić.

Kobieta podniosła się i Austin natychmiast zapomniał o tym wszystkim, z czym tu przyszedł.

Wysoka, szczupła nieznajoma miała wydatne azjatyckie kości policzkowe, oczy w kształcie migdałów i sięgające ramion ciemnoblonde włosy, splecione w ciasny warkocz. Z jej egzotyczną urodą kontrastował tradycyjny strój: długa spódnica i żakiet w kolorze burgunda. Emanowało z niej coś więcej niż tylko naturalne piękno. Nosiła się dumnie jak królowa, lecz zarazem poruszała się miękko i zwinnie jak pantera. Podeszła do Austina, by uścisnąć mu dłoń. Jej ciemnobrązowe, nakrapiane złotymi cętkami oczy zdawały się emanować tropikalnym żarem, a bijąca od niej woń piżma skojarzyła się mu z dudnieniem odległych bębnow. I wtedy nagle dotarło do niego, kim jest ta kobieta.

- Pani doktor Cabral? - spytał.

- Dziękuję, że zechciał pan się ze mną spotkać, panie Austin - przemówiła miękkim, niskim głosem. - Mam nadzieję, że nie oderwałam pana od żadnych ważnych spraw. Admirał Sandecker spełnił moją prośbę, bym mogła osobiście podziękować panu za pomoc.

- Bardzo mi miło, ale to zasługa Paula i Gamay. Ja tylko odebrałem telefon i nacisnąłem kilka guzików.

- Jest pan stanowczo zbyt skromny, panie Austin - odparła z uśmiechem, który stopiłby kostki lodu. - Gdyby nie pańska błyskawiczna interwencja, moja głowa i głowy pańskich kolegów zdobyłyby w tej chwili wioskę odległą o tysiące kilometrów od cywilizacji.

- Na szczęście tak się nie stało - wtrącił się Sandecker. - Czy zechciałyby pani opowiedzieć nam wszystko od początku do końca?

- Oczywiście - odparła. - Opowiadanie komuś o własnych przygodach działa kojąco, a ponadto pozwala odtworzyć zapomniane szczegóły.

Sandecker dał Austinowi znak, żeby usiadł, a sam zajął miejsce w fotelu przy biurku i wziął do ust jedno z dziesięciu specjalnie dla niego skręcanych cygar, które wypalał co dzień. Wraz z Austinem w wielkim skupieniu wysłuchali pasjonującej opowieści Franceski o porwaniu samolotu, o katastrofie, gdy otarła się o śmierć, i o jej awansie na białą boginię. Bardzo szczegółowo przedstawiła plany robót publicznych w wiosce Chulo, z których była taka dumna. Na koniec wspomniała o przybyciu Troutów, szalonej ucieczce z wioski i ratunku z helikoptera.

- Fascynujące, doprawdy fascynujące. A co się stało z pani przyjaciółką Tessą? - spytał Sandecker.

- Została z doktorem Ramirezem. Jej bezcenna wiedza o roślinach leczniczych pomoże mu w badaniach. Rozmawiałam przez telefon z moimi rodzicami. Chcieli, żebym wróciła do domu, ale postanowiłam zatrzymać się w Stanach. Potrzebuję więcej czasu na adaptację, zanim rzucę się w wir życia towarzyskiego w Sao Paulo. A poza tym chcę koniecznie dokończyć dzieło przerwane przed dziesięciu laty.

- Świecie wierzę, że przeszłość to teraźniejszość, ale także przyszłość - powiedział Sandecker. - Proszę opowiedzieć co działo się przedtem, zanim wsiadła pani do tamtego samolotu.

Francesca wpatrzyła się w przestrzeń.

- Muszę cofnąć się do dzieciństwa - powiedziała. - Bardzo wcześnie uświadomiłam sobie, że należę do uprzywilejowanej klasy społecznej. Już jako dziewczynka wiedziałam, że w moim mieście są przerażające slumsy. Kiedy podrosłam i zaczęłam podróżować, zrozumiałam, że moje miasto jest wizerunkiem świata w miniaturze. Skupiskiem ludzi, którzy opływają w dostatki, i tych, którzy co nie mają nic. Odkryłam też, że o bogactwie i ubóstwie narodów decyduje najbardziej rozpowszechniona substancja na ziemi - woda. Świeża woda jest warunkiem postępu. Bez wody nie ma co jeść. Bez jedzenia nie ma woli życia, chęci, żeby żyć lepiej. Nawet w krajach zasobnych w ropę większość dochodów z niej przeznaczana się na zakup lub produkcję wody. Uważamy za oczywiste, że po odkręceniu kranu popłynie z niego woda, ale to się może zmienić. Konkurencja na rynku wody ogromnie wzrosła.

- W Stanach spory o wodę to nic nowego - wtrącił Sandecker. - O prawo do niej toczono dawniej wojny.

- Nieporównywalne z kłopotami, które nas czekają - odparła złowieszczo Francesca. - W tym wieku wojny będą się toczyć nie o ropę, jak jeszcze niedawno, lecz o wodę. Sytuacja staje się krytyczna. Światowe zapasy wody kurczą się, bo przybywa ludzi. Na ziemi jest tyle samo słodkiej wody co przed dwoma tysiącami lat, kiedy było nas o dziewięćdziesiąt siedem procent mniej niż teraz. Ale - nie licząc nieuniknionych okresów susz, takich jak obecny - z powodu zwiększonego zapotrzebowania na wodę oraz skażeń będzie jeszcze gorzej. W niektórych krajach po prostu jej zabraknie, co wywoła światowy kryzys związany z wędrówką ludów. Dziesiątki milionów ludzi wyleją się poza granice swych państw. A to oznacza upadek przemysłu rybnego, zniszczenie środowiska, konflikty, obniżenie poziomu życia. - Urwała na chwilę. - Jako ludzie związani z morzem z pewnością dostrzegacie ironię sytuacji. Stoimy w obliczu braku wody na planecie, której

dwie trzecie powierzchni pokrywa woda.

- Woda, woda, wszędy woda i ani kropli do picia - Austin zacytował poetę Samuela Taylora Coleridge'a.

- Właśnie. Ale gdyby tak sędziwy Marynarz miał czarodziejską różdżkę i za jej pomocą zmienił wiadro morskiej wody w słodką?

- Jego statek by ocalał.

- Rozszerzmy tę analogię na miliony wiader.

- Zażegnałoby to światowy kryzys - dopowiedział Austin. - Blisko siedemdziesiąt procent ludności świata mieszka w odległości kilkudziesięciu kilometrów od morza.

- Otóż to - przyznała Francesca.

- Czy to znaczy, że ma pani taką różdżkę czarodziejską?

- Coś w tym rodzaju. Opracowałam rewolucyjną metodę odsalania wody morskiej.

- Pomysł z odsalaniem trudno nazwać nowym - wtrącił Sandecker.

Francesca skinęła głową.

- Już starożytni Grecy potrafili oczyszczać wodę morską z soli - przyznała. - Odsalarnie zbudowano na całym świecie, w tym wiele na Bliskim Wschodzie. Istnieje kilka sposobów odsalania, ale wszystkie są drogie. W pracy doktorskiej zaproponowałam całkiem nowe rozwiązanie. Moim celem było opracowanie wydajnej i taniej metody odsalania, która byłaby dostępna najbiedniejszym rolnikom, próbującym wyżyć na piachu. Pomyślcie tylko o skutkach jej wdrożenia. Woda byłaby prawie za darmo. Pustynie zamieniłyby się w siedliska cywilizacji.

- Z pewnością przemyślała też pani niepożądane następstwa - rzekł Sandecker. - To, że tania woda przyspieszyłaby rozwój oraz przyrost ludności i zanieczyszczenie środowiska, które mu towarzyszy.

- Myślałam nad tym długo i usilnie, panie admirale, ale inne rozwiązania grożą jeszcze przykrzejszymi konsekwencjami. Swoją metodę udostępnię jedynie tym krajom, które postawią na stabilny rozwój.

- A więc pani eksperyment się udał - skonstatował Austin.

- Jak najbardziej. Wiozłam model procesu odsalania na konferencję międzynarodową. Surowcem jest woda morska, a produktem woda słodka plus energia. I to wszystko przy zerowej ilości odpadów.

- Taki proces byłby wart miliony.

- Oczywiście. Gdybym przyjęła propozycje jego sprzedaży, które mi składano, byłabym fantastycznie bogata, ale ja chciałam podarować mój proces światu.

- To bardzo szlachetny zamiar. Składano pani oferty. A więc ktoś wiedział o pani odkryciu i dalszych planach?

- Kiedy zgłosiłam w Organizacji Narodów Zjednoczonych swój udział w konferencji, moje odkrycie stało się tajemnicą poliszynela - wyjaśniła Francesca. - Dziwi mnie tylko jedno. O tym, co uzyskałam, wiedziało wiele osób. Tak więc gdyby ludzie, którzy próbowali mnie porwać, chcieli wykorzystać moje osiągnięcia, natychmiast by się zdemaskowali.

- Jest inna możliwość - podsunął Austin. - Może chcieli pogrzebać sprawę, ukryć pani osiągnięcia przed światem?

- Ale po co ktoś miałby pozbawiać ludzkość takiego dobrodziejstwa?

- Jest pani pewnie za młoda, by to pamiętać - wtrącił słuchający z wielką uwagą Sandecker. - Przed laty krążyły opowieści o wynalazcy, który zbudował silnik samochodowy spalający dwa litry paliwa na sto kilometrów czy wręcz napędzany wodą. Mniejsza o szczegóły. Spółki paliwowe kupiły

podobno jego pomysł i pogrzebały go, by móc dalej czerpać zyski. Opowieści te były prawdopodobnie zmyślane, ale rozumie pani, do czego zmierzam?

- Kto pozbawiłby biedne narody dostępu do taniej wody?

- Pozwoli pani, że zadam pytanie teoretyczne. Przypuśćmy, że kontroluje pani światowe zasoby słodkiej wody. Jak zareagowałaby pani na odkrycie naukowe, dzięki któremu tania woda staje się nagle dostępna dla wszystkich?

- Moje odkrycie położyłby kres pańskiemu teoretycznemu monopolowi na wodę. Ale o czym my mówimy. Zdobyć przez kogokolwiek kontroli nad słodką wodą na świecie nie jest możliwe.

Sandecker i Austin wymienili spojrzenia.

- W ubiegłych dziesięciu latach zdarzyło się bardzo wiele, doktor Cabral - rzekł Austin, wyręczając admirała. - Z całą historią zapoznamy panią później, a teraz powiem tylko, że odkryliśmy, iż pewna wielka międzynarodowa korporacja, która nazywa się Gokstad, jest bardzo bliska zdobycia monopolu nad światowymi zasobami słodkiej wody.

- Niemożliwe!

- Chciałbym, żeby tak było.

- A więc to Gokstad próbowała mnie porwać, to ona ukradła mi dziesięć lat życia!

Spojrzenie Franceski stwardniało.

- Brak nam niezbitych dowodów - wyjaśnił Austin. - Ale poszlaki wiodą właśnie do niej. Co pani wiadomo o substancji zwanej anasazium?

Francesca zaniemówiła ze zdziwienia.

- Czy jest coś, czego wy z NUMA nie wiecie? - spytała, szybko dochodząc do siebie.

- Niestety jest tego sporo. O tej substancji wiemy bardzo mało, tylko tyle, że w dziwny sposób działa na wodór.

- To jego najważniejsza właściwość. Reakcja jest bardzo skomplikowana. Właściwie na anasazium oparty jest mój proces odsalania. O jego istnieniu wie tylko garstka ludzi.

- Jak pani na nie trafiła?

- Przypadkiem. Przeczytałam artykuł napisany przez fizyka z Los Alamos. Zamiast udoskonalić istniejące metody odsalania, postanowiłam zmierzyć się z problemem na poziomie cząsteczek, a nawet atomów. Rozwiązanie znalazłam dopiero wtedy, gdy dowiedziałam się o istnieniu tej substancji. Skontaktowałam się z autorem artykułu. Miał niewielką ilość anasazium, a gdy powiedziałam mu, do czego jest mi potrzebne, zgodził się mi je odstąpić.

- Dlaczego anasazium jest takie rzadkie?

- Z kilku powodów. Brak popytu z racji nieprzydatności w gospodarce. Zbyt skomplikowany proces oczyszczania. A ponadto dlatego, że źródło potrzebnej rudy znajduje się w tej części Afryki, gdzie nieustannie toczą się wojny. Zdobyłam kilka gramów substancji, które wystarczyły na potrzeby mojego modelu. Chciałam zaproponować narodom świata, aby wspólnymi siłami wyprodukowały tyle anasazium, ile potrzeba do uruchomienia projektów pilotażowych.

- Gokstad zbudowała jakąś instalację u wybrzeży Meksyku. Zniszczył ją potężny wybuch.

- Chciałabym się dowiedzieć czegoś o niej.

Austin streścił jej pobieżnie wydarzenia, poczynając od śmierci wali. Opisał cylindryczny pojemnik znaleziony po eksplozji i to, w jaki sposób wyśledził jego związek z latającym skrzydłem. Sandecker natomiast zapoznał Franceskę z zimnowojennym rajdem na laboratorium na Syberii.

- Niesamowita historia. Jaka szkoda tych wielorybów - powiedziała zasmucona. - Mój proces wytwarza ciepło, które można zmienić w energię. Anasazium potrafi być niestabilne i w pewnych warunkach staje się ogromnie wybuchowe. Ci ludzie z pewnością próbowali odtworzyć mój proces

odsłania, nie wiedząc, że grozi im niebezpieczeństwo. Skąd wzięli anasazium?

- Nie wiemy, gdzie jest jego źródło - odparł Austin.

- Musimy je odszukać, a wtedy wznowię badania - oświadczyła stanowczo Francesca.

- Jest jeszcze ważniejszy powód, by je znaleźć - powiedział Sandecker.

- Nie znam ważniejszego powodu niż dokończenie moich badań.

- Jeżeli Gokstad zrealizuje swoje plany, pani badania będą bez znaczenia. Kto zawładnie światowymi zasobami wody, ten zawładnie kulę ziemską.

- Mówi pan tak, admirale, jakby chodziło o dominację nad światem.

- Bo właśnie o to chodzi. Napoleonowi i Hitlerowi nie udało się, gdy próbowali osiągnąć swój cel siłą zbrojną. Obaj natrafili na silnego przeciwnika. - Sandecker wpatrzył się w chmurę dymu z cygara, którą wypuścił z ust. - Protestom ludzi przeciwko globalizacji, przeciwko wszystkim zagrożeniom związanym ze Światową Organizacją Handlu i Międzynarodowym Funduszem Walutowym, nie można odmówić racji. Ale niebezpieczeństwo tkwi nie w tych instytucjach, lecz w fakcie, że ktoś mógłby przejąć pełną kontrolę nad gospodarką światową.

- Jakiś globalny Al Capone? - podsunął Austin.

- Są pewne podobieństwa. Capone bezwzględnie tępił konkurencję i miał duży zmysł organizacyjny. Dzięki pieniądзом zdobył polityczne wpływy. Ale nielegalny alkohol to nic w porównaniu z wodą. Świat nie może się bez niej obejść. Ci, którzy położą na niej łapę, zdobędą najwyższą władzę. Któż bowiem przeciwstawi się tym, których jedno słowo może skazać kraj na śmierć z pragnienia? Właśnie dlatego twierdzę, że najpierw trzeba załatwić ważniejsze sprawy.

- Ma pan rację, panie admirale - przyznała Francesca. - Jeśli ta korporacja Gokstad znajdzie główne źródło zaopatrzenia w anasazium, to zawładnie również moim procesem.

- Inteligencja w parze z urodą to wymarzone połączenie - rzekł z nieskrywanym podziwem Sandecker. - Dokładnie wyraziła pani moje obawy. Bezwarunkowo musimy znaleźć te dawno ukryte zapasy, zanim zrobi to Gokstad.

- Kiedy pan zadzwonił, zastanawiałem się właśnie, w jaki sposób precyzyjnie określić miejsce ich ukrycia. Będę potrzebował pomocy.

- Nie ma sprawy. Możesz korzystać z wszystkiego czym dysponuje NUMA, a w razie potrzeby zwrócimy się o pomoc gdzie indziej.

- Powinniśmy jak najszybciej pojechać na Alaskę.

- Jest jeszcze jedna sprawa. Niepokoi mnie rozbudowa floty tankowców, o której doniósł ten reporter, znajomy Joego. Co o tym myślisz?

- Pewnie Gokstad szykuje się do dostarczenia ogromnych ilości wody z Alaski dokądś, gdzie jest potrzebna. Mówi się o transporcie wody do Chin.

- Być może - odparł bez przekonania Sandecker. - Pogadam z Rudim Gunnem. Może on i Yaeger wyświecą tę tajemnicę. Kiedy ty i Joe będziecie próbowali odnaleźć to latające skrzydło, oni spróbują się dowiedzieć czegoś o tankowcach Gokstad.

- Zajmę się tym - obiecał Austin i wstał. - Odprowadzę panią do wyjścia, doktor Cabral - zaproponował, ściskając dłoń Franceski.

- Dziękuję, proszę mówić mi po imieniu - powiedziała, kiedy szli do windy.

- Zgoda, jeśli pani zrobi to samo. Jaka kuchnię pani lubi: koreańską, tajską, włoską czy tradycyjną amerykańską?

- Słucham?

- Więc nikt pani nie uprzedził? - spytał z udawanym zdumieniem. - Do zestawu ratowniczego Austina należy też kolacja. Mam nadzieję, że pani nie odmówi. Kto wie, jak długo będę musiał się

żywić wielorybim tranem i stekami z morsa.

- W takim razie chętnie przyjmę zaproszenie. Czy godzina siódma panu odpowiada?

- Jak najbardziej. Pozostanie mi dużo czasu na przygotowanie się do wyprawy na Alaskę.

- A więc do zobaczenia. Jak pan wie, zatrzymałam się u Troutów. Odpowiada mi kuchnia koreańska.

Austin pożegnał się z Franceską pod wielkim globem, wyrastającym z zielonej jak morze posadzki, pośrodku holu wejściowego NUMA - atrium otoczonego wodospadami i akwariami wypełnionymi kolorową, egzotyczną morską fauną i florą. A potem wrócił do biura na trzecim piętrze, poinformował Zawalę przez telefon o rozmowie z Sandeckerem i zajął się zorganizowaniem transportu na Alaskę.

Kiedy przyjechał po Franceskę do domu Troutów w Georgetown, była gotowa do wyjścia. Z Paulem i Gamay zamienił tyle słów, ile wymagała tego grzeczność, a potem pojechali do jego ulubionej koreańskiej restauracji, mieszczącej się w bezpretensjonalnym budynku w Alexandrii.

Zaproponował, by zamówili *belogi*, cienkie platy marynowanej wołowiny, smażonej na gorącej płycie. Bardzo lubił to danie, lecz tym razem, pochłonięty widokiem Franceski, ledwie je skosztował. Miała na sobie prostą bladoniebieską sukienkę z marmurkowego dzinsu, kontrastującą z jej ciemną karnacją i długimi bujnymi włosami, które zatrzymały w sobie blask słońca. Trudno mu było pogodzić wizerunek tej kulturalnej, pięknej kobiety, wyraźnie rozkoszującej się posiłkiem spożywanym w cywilizowanych warunkach, z opowieścią o białej bogini, władczyni dzikich Indian. Była spokojna i odprężona, ale nawet gdy śmieli się z jej braku wprawy w posługiwaniu się pałeczkami, nie mógł otrząsnąć się z wrażenia, jakie wywarła na nim, gdy ujrzał ją pierwszy raz. Mimo zewnętrznego poloru i ogłady widać było, że dżungla weszła jej w krew. Dostrzegł to w kociej gracji jej ruchów i w czujności jej ciemnych oczu. Zauroczonego tym i zafascynowanego przyrzekł sobie, że koniecznie musi się z nią spotkać po powrocie z wyprawy.

Ten wspólny wieczór szybko się skończył. Przed wyjazdem na Alaskę Austin miał mnóstwo rzeczy do zrobienia. Kiedy wysadził ją przed domem Troutów, spytał, czy zechce się z nim umówić po powrocie.

- Będzie mi bardzo miło - zapewniła. - Jakiś czas pomieszkam w Waszyngtonie i liczę, że poznamy się lepiej.

- Do zobaczenia - powiedział. - Czas i miejsce ustalimy później.

- Jesteśmy umówieni.

Uśmiechnęła się i leciutko pocałowała go w usta.

Przy poparciu Sandeckera Austin bez trudu załatwił odrzutowiec NUMA. Przeleciawszy z prędkością ośmiuset kilometrów na godzinę nad Stanami, przed skokiem do Anchorage turkusowa cessna citation ultra uzupełniła paliwo w Salt Lake City. Po całonocnym locie, o świcie barwiącym na różowo góry Chugach, Austin i Zavała wylądowali na obrzeżach największego miasta Alaski, nazywanego przez część tubylców Los Anchorage. Po niewielu minutach znów wzbili się w powietrze, śpiesząc do celu swojej podróży w Nome.

Wkrótce po starcie z Anchorage Zavała przyniósł z kuchenki dwa kubki parującej kawy. Austin studiował starą mapę, rozłożoną na składanym stole między fotelami. Uwagę skupił na półwyspie, który jak pięść z wydatnymi kłykciami sterczał w stronę pobliskiej Rosji po drugiej stronie Cieśniny Beringa.

Usadowiwszy się w fotelu naprzeciwko Austina, Zavała łyknął kawy i wyjrzał przez okno na rozległą przestrzeń w dole. Przez rozproszone strzępy pierzastych chmur przezierały obramowane rzekami czarne góry i gęste lasy.

- Bezkresna kraina - powiedział wolno. - Wiesz już, do jakiego portu zawiniemy po Nome?

Austin usiadł prosto, splótł dłonie za głową, spojrzał w dal i na jego ustach pojawił się uśmiezek.

- Mniej więcej - odparł.

Zavała wiedział, że Austin nie sili się na tajemniczość. Po prostu nie lubił niespodzianek. Przed przystąpieniem do działania starannie zbierał dane.

- Nie mam złudzeń, że stoimy przed ogromnie trudnym zadaniem. Możemy tak szukać do emerytury i nic nie znaleźć. - Austin zmarszczył w zamyśleniu czoło. - Dlatego postanowiłem zacząć od tego, co już wiemy.

- Wiemy, że celem ataku był Związek Radziecki - powiedział Zavała, wskazując na mapie północno-zachodni kraniec Alaski, gdzie krótkie palce poszarpanej linii brzegowej - pozostałości dawnego mostu międzylądowego - sięgały w stronę Azji. - Jaki zasięg miało to skrzydło?

- Cztery i pół tysiąca kilometrów przy prędkości przelotu około ośmiuset kilometrów na godzinę. Przyjmuję, że aby powiększyć jego zasięg, zwiększono pojemność zbiorników paliwa.

- Można zatankować w powietrzu - odpowiedział Zavała.

- Wziąłem to pod uwagę. Ale żeby uniknąć wykrycia, akcja ta musiała trwać jak najkrócej.

Ostro zatemperowanym ołówkiem Austin połączył łukiem przylądek Barrowa z deltą rzeki Jukon. Zavała cicho gwizdnął.

- To ponad tysiąc pięćset kilometrów - powiedział. - Ogromny teren do przeszukania.

- Większy od niektórych stanów - przyznał Austin. - Pomyślałem jednak, że nasz wywiad chciał utrzymać ten plan w jak największej tajemnicy. Wybudowanie nowej bazy byłoby kosztowne i czasochłonne, a co więcej, mogło zwrócić uwagę przeciwnika.

Zavała strzelił palcami.

- Wykorzystali istniejącą bazę! - zawołał.

Austin skinął głową.

- Po wybuchu drugiej wojny światowej na Alasce w obawie przed japońską inwazją zbudowano

wiele stanowisk artyleryjskich i lotnisk. Te czerwone kropki na mapie to lotniska polowe z czasów wojny.

- A jeśli ta baza była tajna? - spytał Zavala po chwili zastanowienia.

- Była tajna. - Austin obrysował ołówkiem miasto Nome. - Tu znajdziemy to, czego szukamy, choć przyznaję, że mimo wielu domysłów nadal strzelam w ciemno.

- Skąd wiesz, że to właśnie tu? - spytał Zavala. - Samolot mógł wystartować z wielu innych miejsc.

Austin wyjął z kieszeni marynarki mały notatnik. Brązowa okładka była podniszczona, ale wciąż dało odczytać się słowa "Siły Powietrzne Armii Stanów Zjednoczonych", a w dole napisane atramentem nazwisko.

- To pamiętnik ojca Buzza Martina, pilota, który poleciał tym skrzydłem na ostatnie zadanie.

Zavala roześmiał się uradowany.

- Powinieneś być magikiem - powiedział. - Wyciągnąłeś go niczym królika z kapelusza.

- Ten królik sam mi wskoczył na kolana. Po spotkaniu Sandeckera z LeGrandem CIA pogrzebała w archiwach i oddała rodzinie osobiste rzeczy Martina. Widać bardzo im się śpieszyło, by pozbyć się obciążających dowodów, więc nie przeszukali tych rzeczy dokładnie. Buzz znalazł w mundurze ojca jego notatnik. Przyszło mu na myśl, że może być tam coś ważnego, więc przez wyjazd z Waszyngtonu przekazał go mnie.

- Nie widzę tutaj żadnej mapy - rzekł Zavala, odwracając pofałdowane kartki pamiętnika.

- To byłoby zbyt proste. - Austin wziął pamiętnik i otworzył na stronie, którą wcześniej zaznaczył żółtą zakładką. - Martin był doświadczonym żołnierzem. Wiedział, że w wojsku nie można mieć długiego języka. Pamiętnik zawiera głównie zwierzenia, jak bardzo mu brak żony i dziecka. Ale kilka rzeczy przemycił. Pozwól, że odczytam ci fragment:

"Do mojej żony Phyllis i syna Buzza. Może kiedyś to przeczytacie. Mając mnóstwo czasu, w drodze do No-Name zacząłem pisać ten pamiętnik. Gdyby góra dowiedziała się, że robię notatki, nawarzyłbym sobie piwa. Ta sprawa jest bardziej tajna niż Program Manhattan. Od tajniaków nieraz słyszałem, że jestem zwykłym pilotem, który ma wykonywać rozkazy i nie zadawać pytań. Czasem czuję się jak więzień. Jestem wraz z całą załogą pod ścisłym dozorem. Prowadzę więc te zapiski chyba dlatego, aby poczuć, że jestem człowiekiem. Karmią nas dobrze, Phyllis, i pod tym względem nie musisz się o mnie martwić. Jem dużo świeżego mięsa i ryb. Niestety naszego baraku nie zbudowano z myślą o lodowatej Północy. Wprawdzie śnieg ześlizguje się z półkolistego dachu, ale metal to kiepski izolator. Ciągłe palimy w piecu drewnem. Lepiej byłoby nam w igloo. Za to samolot ma się w swojej dziupli wybornie. Przepraszam za te narzekania. Mam szczęście, że latam tą maszyną. Nie do wiary, że taki wielki samolot może być zwrotny jak myśliwiec. To przyszłość lotnictwa".

Austin przerwał czytanie.

- Dalej pisze, jak bardzo tęskni za domem i z jaką radością do niego wróci - powiedział.

- Szkoda, że nie było mu to sądzone - rzekł Zavala. - Nie miał pojęcia, że jest nie tylko więźniem, ale także skazańcem.

- Martin nie był pierwszym ani ostatnim patriotą rzuconym na pożarcie lwom w imię racji, które ci na górze ochrzčili wyższym dobrem. Niestety, nie zazna satysfakcji, że jego pamiętnik wskaże nam drogę do No-Name.

- To jeszcze bardziej mętne określenie miejsca niż "gdzieś na Pacyfiku" z czasów wojny.

- Też tak myślałem, dopóki nie przypomniałem sobie anegdoty, którą słyszałem przed laty.

Pewien oficer marynarki brytyjskiej, opływający Alaskę w latach pięćdziesiątych XIX wieku,

dostrzegł ziemię, której nie było na mapach, więc oznaczył ją jako “? Name”. Kopiujący jego mapę kartograf z admiralicji uznał ów znak zapytania za P, zaś “a” w “Name” wziął za “o”. W ten sposób z “No name” - “bez nazwy” - zrobił się “Przylądek Nome”. W pamiętniku jest jeszcze coś: “Lot z Seattle bez przygód. Samolot prowadzi się wspaniale. Lądowanie trzydzieści minut za No-Name”.

- Jaką prędkość przelotową miało to skrzydło? - spytał Zavala.

- Od sześciuset pięćdziesięciu do ośmiuset kilometrów na godzinę.

- A więc stacjonowali w odległości od trzystu dwudziestu pięciu do czterystu kilometrów od Nome.

- Zgadza się. I tu zaczyna być ciekawie. “Pierwsze spojrzenie na nasz punkt docelowy.

Powiedziałem chłopcom, że z powietrza przypomina nos Douga” - przeczytał Austin.

- Nos doga?

- Nie, to imię własne - “Doug”.

- Co zawęza nasze poszukiwania do paru milionów gości, którzy je noszą.

- Tak, wiem, zareagowałem identycznie, ale potem przeczytałem resztę: “Brakuje tylko fajki z kaczana kukurydzy, żeby wyglądał jak stary Orli Dziób”.

- Douglas MacArthur! Niezapomniany profil.

- Zwłaszcza dla uczestnika ostatniej wojny. W dodatku Nome leży w odległości zaledwie dwustu sześćdziesięciu kilometrów od Rosji. Pomyślałem, że warto zamówić kilka zdjęć satelitarnych.

Kiedy ty drzemałeś w samolocie, ja z lupą w ręku przyjrzałem się tym fotkom.

Austin podał zdjęcia Zavali.

- Nie widzę tu niczego podobnego do dziobu orła - powiedział Zavala kręcąc głową.

- Ja też go nie znalazłem. Ale uprzedzałem cię, że nie będzie to łatwe zadanie.

Kiedy pilot NUMA zameldował, że podchodzi do lądowania na lotnisku w Nome, Zavala z Austinem wciąż jeszcze analizowali mapę i zdjęcia. Zanim jednak samolot zatrzymał się na pasie małego, ale nowoczesnego lotniska, byli już spakowani. Do miasta przyjechali taksówką jedną z trzech tutejszych dwupasmowych zwirowych dróg. W jaskrawym słońcu płaska tundra prezentowała się jeszcze monotonię, ale w oddali widać było góry Kigluaik. Taksówka wjechała na biegnącą nad szaroniebieskimi wodami Morza Beringa Front Street, minęła ratusz z przełomu wieków, metę wyścigów psich zaprzęgów szlakiem Iditarod i zatrzymała się w porcie barek nad zatoką. Tu Zavala i Austin wynajęli zatankowany do pełna hydroplan.

Joego zachwycił jednosilnikowy, nie wymagający dużego rozbiegu maule M-7. Kiedy sprawdzał jego stan, Austin kupił w gospodzie Grubego Fredzia kanapki i kawę. Nie mieli dużo bagażu. Zabrali głównie ubrania, ale Austin nie zapomniał o swoim niezawodnym rewolwerze bowen, a Zavala o strzelającym z szybkością stu pocisków na minutę pistolecie maszynowy ingram. Na pytanie Kurta, po co mu tak zabójcza broń na bezludnej północy, odmruknął coś o niedźwiedziach grizzly.

A potem usiadł za sterami i pofrunęli na północny wschód, trzymając się linii brzegowej. Samolot leciał nisko, z prędkością dwustu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Niebo się zachmurzyło, ale nie było deszczu, z którego sływał rejon Nome. Szybko zabrali się do pracy. Zavala po kilka razy okrążył obiecująco wyglądające miejsca wskazane przez Austina, a on ołówkiem zakreślał na mapie zbadane obszary. Ich entuzjazm malał z każdym kilometrem lotu nad poszarpanym wybrzeżem. Nagą ziemię przecinały jedynie wątle rzeczki i płytkie stawy, utworzone przez stopniały śnieg.

Austin recytował wiersze Roberta Service’a, które Zavala przełożył na hiszpański, ale nie rozproszyło to nudy i monotonicznych poszukiwań.

- Widzieliśmy dzioby papug, dzioby gołębi, a nawet dziób żółwi, ale nie orła - poskarżył się Joe,

zaczynając tracić swój tradycyjnie dobry humor.

Austin przyjrzał się zakreślonym fragmentom mapy. Do zbadania pozostał spory jeszcze kawał wybrzeża.

- Nie chciałbym przerywać poszukiwań. Jak się czujesz?

- W porządku, ale niedługo zabraknie paliwa.

- Przelatywaliśmy nad jakąś osadą rybacką. Co powiesz na to, żeby zjeść tam lunch i zatankować maszynę?

W odpowiedzi Zavala pochylił samolot i zatoczył półkole. Wkrótce dostrzegli rzekę, nad którą przelecieli wcześniej. Wzdłuż jej koryta po około dziesięciu minutach dotarli do zbiorowiska domów z dykty. Na rzece stały zacumowane dwa hydroplany. Zavala wyszukał wolny kawałek wody, sprowadził maszynę w dół, z niemal idealnym poślizgiem wylądował i podpłynął do sponiewieranego przez sztormy mola. Stojący tam krępy młodzian z twarzą okrągłą jak księżyc w pełni, rzucił im linę cumowniczą.

- Witamy w wiosce Tinook. Stu sześćdziesięciu siedmiu mieszkańców, w większości spokrewnionych - powitał ich z olśniewającym uśmiechem. - Jestem Mike Tinook.

Wcale nie był zaskoczony, że dwóch nieznajomych spadło z nieba do jego zapadłej wioski. Ogromne odległości sprawiają, że mieszkańcy Alaski muszą czasem przelecieć setki kilometrów, chcąc zjeść z kimś śniadanie. Mike opowiedział im, że wyrósł w tej wiosce, jakiś czas pracował jako mechanik samolotowy w Anchorage, po czym na dobre wrócił do domu.

Austin wyjaśnił mu, że są z Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych.

- Domyśliłem się, że pracujecie dla rządu - zapewnił rezolutnie Tinook. - Jesteście za czyści na nafciarzy i myśliwych, a zbyt pewni siebie jak na turystów. Kilka lat temu wpadła tu ekipa NUMA. Prowadzili badania na Morzu Czukockim. Co was sprowadza do Krainy Północnego Słońca?

- Prowadzimy rekonesans geologiczny, ale muszę przyznać, że na razie bez sukcesów - odparł Austin. - Poszukujemy cypla, który wystaje w morze. Ma kształt orlego dziobu.

Tinook pokręcił głową.

- Tam stoi mój samolot - powiedział. - Kiedy nie łowię ryb i nie pomagam przy wypasie reniferów, dużo latam, ale z niczym mi się to nie kojarzy. Chodźmy do sklepu. Przyjrzyjmy się mapie.

Po rozchwianych schodach wspięli się do budynku z dykty. Był to typowy na Alasce sklep wielobranżowy, połączenie spożywczego z żelaznym, pamiątkarskim, odzieżowym i apteką. Klienci mogli się tu zaopatrzyć w rzeczy najróżniejsze: od środków odstraszających owady i żywności w puszkach po części zamienne do śniegołazów i magnetowidy.

Tinook przyjrzał się mapie.

- Nie. Nie ma tu nic przypominającego dziób orła - powiedział, drapiąc się w głowę. - Może powinniście pomówić z Clarencem.

- Z Clarencem?

- To, mój dziadek. Niejedno widział w życiu i lubi gości.

Austin stracił nadzieję. Chciał jak najszybciej stąd odlecieć. Zastanawiał się właśnie, jak dyplomatycznie spławić Tinooka, nie robiąc mu przykrości, kiedy na ścianie za kontuarem dostrzegł wiszącą strzelbę. Podszedł, żeby ją obejrzeć. Był to karabin M1, broń amerykańskiej piechoty z drugiej wojny światowej.

- Pański? - spytał Tinooka.

- Prezent od dziadka, ale do polowań używam własnego. Ta broń ma swoją historię. Na pewno nie chcecie porozmawiać z Clarencem? Może warto.

- Z chęcią rozprostuję nogi - powiedział Zavala, widząc zainteresowanie Austina. - W końcu nie

musimy się martwić, żeby wrócić do domu przed zmrokiem.

Ten argument przemówił do Austina. Dzień trwał tu dwadzieścia dwie godziny i nawet po zachodzie słońca tylko na krótko zapadał zmierzch.

Mike poprowadził ich zabłoconą ulicą obok innych bud, gromad pyzatyh dzieci, śpiących psów husky i stojaków, na których suszyły się w słońcu czerwone płaty łososia. Zatrzymał się przed drzwiami budy mniejszej od innych i zapukał. Ktoś w środku zaprosił ich, by weszli. W jednoizbowej chacie pachniało drzewnym dymem i jakąś mięsną potrawą, gotowaną na piecyku. Całe umeblowanie stanowiła prycza w kącie i stół pokryty ceratą w czerwono-białą szachownicę. Siedzący przy nim starzec, starannie malował drewnianą, wysoką na piętnaście centymetrów figurkę niedźwiedzia polarnego. Na stole stał już rząd innych zwierząt - pomalowanych figurek wilków i orłów.

- Dziadku, panowie chcieliby posłuchać historii twojego karabinu - powiedział Mike.

Z pokrytej tysiącem zmarszczek twarzy starca wyjrzały ciemne azjatyckie, mądre i wesołe oczy. Clarence nosił okulary w ciemnej oprawce, gęste siwe włosy miał porządnie zaczesane w jedną stronę, a jego szeroki uśmiech sięgał od ucha do ucha. Choć skończył już osiemdziesiąt lat, uścisk ręki wciąż miał żelazny, a wyglądał tak, że pewnie poradziłby sobie w zapasach z lwem morskim.

- Muszę wracać do sklepu - powiedział jego wnuk. - Do waszego powrotu zdążę zatankować hydroplan.

- Robię je dla sklepów z pamiątkami w Anchorage - wyjaśnił starzec, odkładając niedźwiedzia i farby. - Cieszę się, że wpadliście. Właśnie pora na lunch.

Wskazał gościom rozklekotane krzesła i nie słuchając ich protestów napełnił dwie wyszczerbione chińskie miski gulaszem z garnka. Sobie też nałożył nie żałując, jakby chcąc zademonstrować, że to jedzenie nikomu nie zaszkodzi.

- Jak smakuje? - spytał.

Austin skosztował na próbę potrawy i oświadczył, że jest bardzo smaczna. Starzec się rozpromienił.

- Czy to z karibu? - spytał Zavalę.

Gospodarz sięgnął do kubła na śmieci i wyjął z niego pustą puszkę po "gulaszu popularnym".

- Dobry chłopak z tego Mike'a - powiedział. - On i jego żona kupują mi to, więc nie muszę gotować. Martwią się, że po śmierci żony żyję samotnie. Lubię gości, ale nie chciałbym was zanudzić.

Austin rozejrzał się po chacie. Ściany ozdobione były prymitywnymi harpunami i wytworami eskimoskiej sztuki ludowej. Obok głowy srogiego morsa wisiła ni w pięć, ni w dziewięć ilustracja Normana Rockwella, przedstawiająca chłopca w gabinecie dentystycznym. Były też rodzinne fotografie, a wśród nich liczne zdjęcia krępej, przystojnej kobiety, być może żony starca. Najmniej pasował do tego pomieszczenia komputer, upchnięty w kącie.

- To zadziwiające - powiedział dziadek Tinooka, spostrzegając jego rozbawienie. - Mamy tu antenę satelitarną, żeby dzieci poznawały świat. Mogę przez tę maszynę rozmawiać z każdym, więc nigdy nie jestem sam.

Austin doszedł do wniosku, że Clarence wcale nie jest starym gadułą, który plecie trzy po trzy.

- Bardzo chętnie posłuchamy tej historii - powiedział.

Starzec głośno dojadł resztę gulaszu, włożył miski do zlewu, usiadł i zmrużył oczy tak, jakby zmagął się z zawodną pamięcią. Ale kiedy zaczął mówić, od razu stało się jasne, że nie pierwszy raz snuje tę opowieść.

- Pewnego dnia, wiele lat temu, polowałem. Oj, było wtedy pstrągów i łososi do złowienia,

lisów do schwytania, stad karibu. Zawsze coś upolowałem. Miałem małą aluminiową łódkę i dobry silnik. Świetnie mi służyła. Ponieważ było za daleko, żeby po tym polowaniu wracać do domu, dwie noce spędziłem na starym lotnisku.

Austin zerknął na Zawałę. Alaska była usiana lotniskami nie zasługującymi na nazwy.

- Gdzie się znajdowało? - spytał.

- Kawałek stąd, na pomoc. Zostało po drugiej wojnie. Latali z transportami do Rosji i tam był przystanek. Mieli też sterowce do wypatrywania okrętów podwodnych. Niewiele zostało - barak, w którym mogłem rozpalić ognisko, ogrzać się i wysuszyć. Przed powrotem do domu trzymałem tam i wędziłem upolowaną zwierzynę.

- Dawno temu?

- O, będzie z pięćdziesiąt lat. Pamięć już u mnie nie ta. Ale dobrze pamiętam, kiedy oni zakazali mi tam polować.

- Oni?!

Dziadek Tinooka skinął głową.

- Od miesiący nie widziałem tam nikogo. Aż któregoś dnia, kiedy smażyłem pstrągi, przyleciało takich dwóch. Groźnych białych. Błysnęli odznakami, mówią, że pracują dla rządu, i pytają, co tu robię. Gdy poczęstowałem ich rybą, zrobili się miłsi. Powiedzieli, że w tej bazie będzie coś tajemniczego i nie mogę tu więcej przyplływać. Ale że kupią ode mnie każde świeże mięso i ryby, jakie im dostarczę. Jeden z nich dał mi karabin, który widzieliście, żebym mógł polować. Dostarczyłem im mnóstwo zwierzyny i ryb, ale nie do samej bazy. Spotykałem się z nimi zawsze w pół drogi.

- Widział pan jakieś samoloty?

- Pewnie, dużo przylatywało i odlatywało. Raz na polowaniu usłyszałem taki, co hałasował jak sto pędzących rzek. Był wielki jak ta wioska i miał cudaczny kształt.

- Jaki?

Starzec podszedł do ściany i zdjął harpun.

- Podobny do tego - powiedział, dotykając palcem ostrego metalowego grotu.

- Jak długo pan dla nich polował? - spytał Austin, nie odrywając od niego oczu.

- Jakies pół roku. Któregoś dnia pojawili się i powiedzieli, że już nie potrzebują mięsa. Kazali mi trzymać się z daleka od lotniska, żebym nie wszedł na minę. Karabin mi zostawili. I bardzo szybko odjechali.

- Szukamy starego lotniska, które leży na kawałku ziemi przypominającym orli nos, ale nie możemy go znaleźć - powiedział Zawała.

- To miejsce właśnie tak wyglądało. Ale zmieniły je lód i wiatr. W lecie tę ziemię zatapia woda z wezbranych rzek. Dlatego wygląda inaczej niż wtedy. Macie mapę?

Austin wyjął z kurtki mapę i rozłożył ją.

Gruby palec dziadka Tinooka spoczął na odcinku brzegu pod fragmentem mapy zakreślonym ołówkiem.

- Tutaj - powiedział starzec.

- Przelecieliśmy nad tym - stwierdził Zawała.

- A czy ci dwaj podali panu swoje nazwiska? - spytał Austin.

- Pewnie, powiedzieli, że nazywają się Hewy i Dewy.

- Lewy był chyba akurat zajęty - skomentował ze śmiechem Zawała.

Stary Eskimos wzruszył ramionami.

- Czytałem komiksy z Kaczorem Donaldem, kiedy pływałem na statkach handlowych w

Anchorage - powiedział. - Pewnie uznali, że na niczym się nie znam, ale nie wyprowadzałem ich z błędu.

- I chyba dobrze pan zrobił.

- Jak powiedziałem, byli to groźni ludzie, ale trochę się z nimi zaprzyjaźniłem. O tych minach powiedzieli pewnie dlatego, żeby mnie odstraszyć. - Zamyślił się na chwilę. - Jedno nie dawało mi spokoju. Jaką to wielką tajemnicę tam skrywano? Przecież nie walczyliśmy z Japończykami. Wojna była skończona.

- Niektórzy nie mogą żyć bez wojny - odparł Austin. - Zawsze ją sobie znajdują.

- Nie znam się na tym, ale dla mnie to szaleństwo. No cóż, minęło wiele lat. Po co chcecie lecieć do tej starej bazy?

Austin nie wiedział, co mu odpowiedzieć. Mógł wyjaśnić staremu, jak ważne jest znalezienie dziwnej substancji anasazium, nim dostanie ją w łapy Gokstad i narobi biedy na cały świat. Podejrzewał jednakże, że prawdziwe motywy jego postępowania tkwią głębiej. Nie mogli pogodzić się z tym, jak potraktowano ojca Buzza Martina.

- Ze względu na pewnego chłopaka, który był na pogrzebie żyjącego jeszcze wówczas ojca - odparł, nie potrafiąc znaleźć lepszej odpowiedzi.

Starzec skinął głową z powagą, jakby wszystko stało się dla niego jasne.

Tymczasem Austin już myślał o czekającym ich zadaniu.

- Wielkie dzięki za opowieść - powiedział wstając. - I za lunch.

- Zaczekajcie. - Clarence przyjrzał się drewnianym figurkom, które wyrzeźbił, wybrał dwie i wręczył je gościom. - Weźcie je. Niedźwiedzia dla jego siły i wilka dla jego przebiegłości.

Austin i Zavała podziękowali starcowi za ten gest.

- Po tym, jak wskazałem wam drogę, lepiej się poczuję, dając wam je na szczęście. Mam przeczucie, że w tej bazie, mogą być wam potrzebne.

Za pierwszym razem w dostrzeżeniu Dziobu Orła przeszkodził im oślepiający refleks słońca odbitego w lustrze wody. Z nadbrzeżnej równiny, którą roztopy zamieniły w część zatoki, pozostał jedynie wąski, wyszczerbiony sierp tundry. Ale kiedy Zavala przechylił samolot, pod przejrzystą powierzchnią wody zarysował się ciemny profil nosa generała MacArthura. Austin pokazał na migi, że są na miejscu i trzeba lądować.

Zavala obszernym łukiem zszedł w dół i przeleciał nad cyplem na wysokości kilkudziesięciu metrów. Zakrzywiony wąski pasek lądu miał blisko dwa kilometry długości i niespełna kilometr szerokości. Rozmiaru szkód, wyrządzonych pierwotnym kształtom przylądka przez lód i wiatr, dopełniło czarne blocko, które nadgryzło jego brzegi.

- Spróbuj podejść jak najbliżej do tych moren - powiedział Austin, wskazując niskie, polodowcowe wzgórza tam, gdzie cypel stykał się z lądem.

- Żaden problem - zapewnił Zavala. - Ta maszyna usiądzie nawet na łebku od szpilki. Patrz, jak się ląduje.

Austin całkowicie ufał lotniczym umiejętnościom partnera. Zavala przelatał setki godzin na wszelkich możliwych maszynach. Joe jeszcze raz przeleciał nad paskiem lądu i długim lotem ślizgowym, cały czas zmniejszając prędkość, opadł w dół. Pływaki maszyny musnęły płytką wodę.

I wtedy pod ich stopami coś huknęło, przeraźliwie zazgrzytał rozdzierany metal. Hydroplan zakręcił w miejscu, a oni zabezpieczeni pasami podskoczyli w fotelach jak szmaciane lalki. Wreszcie wirująca maszyna znieruchomiała, pochylona na jedno skrzydło. Zavala zdołał wyłączyć silnik.

Kiedy śmigło się zatrzymało, Austin obmacał głowę, żeby upewnić się, czy nadal ma ją na karku.

- Tak wygląda lądowanie na łebku od szpilki? - spytał.

Zavala poprawił czapkę i wyprostował lustrzane okulary przeciwsłoneczne na nosie.

- Przepraszam - rzekł z niezwykłą dla niego pokorą. - Widocznie zaczęto produkować inny gatunek szpilek.

Austin pokręcił głową i zaproponował, by zbadać uszkodzenia. Gdy stanęli na pływakach, czekał już tu na nich miejscowy komitet powitalny. Chmara spragnionych ludzkiej krwi komarów wielkości kondorów zagoniła ich z powrotem do kabiny. Odważyli się ją opuścić dopiero po obfitym skropieniu się supersilnym środkiem odstraszającym. Zeskoczyli z samolotu do głębokiej na pół metra wody i obejrzelik dokładnie pogięty prawy pływak.

- Przyjdzie nam się z tego tłumaczyć w wypożyczalni, ale damy radę wystartować - stwierdził Zavala i pobrnął przez wodę torem ich lądowania. - Spójrz na to - rzekł chwilę później, pochylając się nad czymś.

Austin podszedł do niego i przyjrzał się metalowemu słupkowi, sterczącemu kilkanaście centymetrów pod wodą. Na jego wierzchołku, błyszczał świeży metal i zwisały miedziane przewody elektryczne.

- Gratulacje - powiedział. - Znalazłeś latarnię kierunkową.

- Bezbłędny samonaprowadzający instynkt Zavali nigdy nie zawodzi - oparł Joe takim tonem, jakby naumyślnie trafił w światło lądowania.

Rozszerzywszy teren poszukiwań, po kilku minutach znalazł drugie światło, z nietkniętą oprawką

żarówkami i szklanymi soczewkami.

Austin zlustrował okolicę. Nietrudno było się zorientować, dlaczego właśnie to odludne miejsce wybrano na tajne lotnisko polowe. Teren wokół był płaski niczym pokład lotniskowca i wymagał jedynie niewielkiej niwelacji. W koronkowej siateczce strumieni, które spływając ze wzgórz tworzyły jezioro, lśniło słońce.

Po wyładowaniu rzeczy z samolotu założyli plecaki i pobrnęli w stronę oddalonych o czterysta metrów wzgórz. Choć dzięki specjalnym butom mieli suche nogi, cieszyli się, że jest ponad dziesięć stopni ciepła, gdyż ich nieprzemakalne spodnie z goretexu omywała chlupocząca woda. Kiedy wyszli na brzeg, pojawiło się grząskie błoto, a potem ruszyli z chrzęstem po wiecznej zmarzlinie przez splechietki jaskrów, krokusów i maków. Ku wzgórzom biegły rzędy świateł lądowania. Raz zatrzymali się, by przyrzeć się wielkiemu stadu edredonów, sunących nad mokradłem niczym ciemny pióropusz dymu. Panowała tak nieziemaska cisza, że poczuli się jak na innej planecie.

Dotarli do podnóża stromej skarpy. Wydłużone, zaokrąglone na wierzchołku wzgórze przypominało nieco kształtem bochenek chleba. Spod porastającej je gęstej roślinności przezierwały pokryte mchami i porostami łaty czarnej skały. Austina zastanowiło to, że pagórek stoi samotnie, w odległości kilkuset metrów od najbliższych wzgórz. Zwrócił na to uwagę Zavali.

- Zauważyłeś, jak tu płasko, jeśli nie liczyć tej górki? - spytał.

- Gdybym był geologiem, może znalazłbym jakieś wyjaśnienie.

- Myślałem też o światłach lądowania. Prowadzą prosto do niej.

Przyjrzał się uważnie odsłoniętemu fragmentowi skały, a potem odsunął się, przejechał palcami po jej lśniącej powierzchni i dużym ostrzem szwajcarskiego scyzoryka wojskowego odkroił z niej cienki płat wielkości dłoni. Obejrzał zdobycz, uśmiechnął się i podał ją Zawali.

- Farba - zdziwił się Zawała i dotknął lśniącej powierzchni, którą odsłonił scyzoryk. - Blacha i śruby. Ktoś bardzo się natrudził, żeby je ukryć.

Austin cofnął się o kilka kroków i spojrzał na szczyt pagórka.

- Clarence Tinook wspomniał o starej bazie sterowców. Może to jest ich hangar?

- Pasuje to do naszej teorii o wykorzystaniu istniejącej bazy. Tylko jak się dostać do środka?

- Powiedz "Sezanie, otwórz się" i bądź dobrej myśli.

Zawała cofnął się i wykrzyknął słynne zaklęcie z Ali Baby i czterdziestu rozbójników. Kiedy nic to nie dało, powtórzył je po hiszpańsku, też na próżno.

- Znasz jakieś inne zaklęcia? - spytał.

- Wyczerpałeś cały mój repertuar - odparł Austin, wzruszając ramionami.

Przeszli na drugą stronę pagórka. Ze zmarzliny wystawały tu fundamenty kilku mniejszych budynków, zapewne metalowych baraków. Odkryli też stosy zardzewiałych puszek i potłuczonego szkła na dawnym wysypisku, ale ani śladu wejścia do hangaru.

Wpadł na nie - a raczej w nie - Zawała.

Wyprzedzający go o kilka kroków Austin usłyszał krzyk i szybko się odwrócił. Ale Joe zniknął, jakby pochłonęła go ziemia. Tę hipotezę potwierdził wkrótce jego niesamowity, dobiegający z głębi głos, którym miotał przekleństwa w języku meksykańskich przodków. Austin cofnął się ostrożnie po własnych śladach i natrafił na wejście do piwnicy, którego nie zauważył za pierwszym razem.

- Nic ci nie jest! - zawołał.

Z dołu dobiegła go kolejna wiązanka przekleństw.

- Nic, porosty złagodziły upadek - odparł Zawała. - Zejdź. Są schodki.

Piwnica miała około dwu i pół metra głębokości. Joe stał przed uchylonymi nitowanymi drzwiami ze stali.

- Niebawem - mruknął Austin. - Bezbłędny samonaprowadzający instynkt Zavalii.

- A cóż innego? - obruszył się Zavalii.

Austin wyjął z plecaka małą, ale silną latarkę halogenową. Pod naporem jego ramienia drzwi otworzyły się z hałasem. Wszedł do środka, a Zavalii tuż za nim. W twarze wionęło im zimne, cuchnące powietrze, jak z agregatu klimatyzacyjnego w mauzoleum. Snop światła odsłonił korytarz, którego betonowe ściany i sufit nie chroniły wnętrza przed chłodem wiecznej zmarzliny, przeciwnie, wzmagaly wrażenie zimna. Obaj, szczelnie otuliwszy szyje kołnierzami, ruszyli korytarzem.

W głównym holu podziemnego bunkra było kilka drzwi. Austin obejrzał w świetle latarki pomieszczenia. Zardzewiałe ramy łóżek i przegniłe materace w pierwszym z nich świadczyły, że służyło za sypialnię. W dwóch następnych mieściły się kuchnia i spiżarnia, a w czwartym węzeł łączności.

- Odjechali w pośpiechu - stwierdził Zavalii, patrząc na rozwalone szafki radiowe i wzmacniacze.

Poszli dalej, omijając duży prostokątny otwór w podłodze. Przykrywająca go kiedyś metalowa krata niemal doszczętnie przerdzewiała. Austin skierował światło latarki do głębokiego szybu.

- Pewnie jest to szyb wentylacyjny albo grzewczy - zawyrokował.

- Myślałem o tym, co Clarence powiedział o minach - rzekł Zavalii.

- Miejmy nadzieję, że historię tę wysmażono po to, żeby odstraszyć myśliwych i rybaków.

Korytarz kończył się krótkimi schodami, które prowadziły do następnych stalowych drzwi. Domyślili się, że są pod hangarem. Nie do końca przekonany o braku min, Austin wziął głęboki oddech, otworzył drzwi i przestąpił próg. Natychmiast wyczuł zmianę. Powietrze nie było tu tak zimne i stęchłe jak w betonowym bunkrze. Nad stęchliwą dominował zapach benzyny, oleju i metalu.

W ścianie na prawo od drzwi był przełącznik, a nad nim wymalowany za pomocą szablonu napis "generator". Na znak Austina Zavalii pociągnął rączkę przełącznika w dół. Z początku nic się nie działo. Dopiero po chwili z ciemności dobiegł ich trzask, a po nim seria kaszlnięć z wolna ożywającego silnika. Wysoko w górze rozjarzyły się przyćmione światła i niebawem rozblęły jasno, iluminując sklepienie wielkiej sztucznej pieczary. Zavalii zaniemówił z wrażenia. Na pomoście pośrodku hangaru stało coś, co wyglądało jak czarnoskrzydły mściciel ze skandynawskiego mitu.

Obszedł maszynę w kształcie bumerangu i ostrożnie dotknął jednego ze stateczników na końcu kadłuba.

- Prześliczna - szepnął, jakby mówił o pięknej kobiecie. - Czytałem o niej w gazetach, oglądałem na zdjęciach, ale nie myślałem, że jest tak wspaniała.

Austin podszedł do niego.

- Albo natknęliśmy się na jaskinię nietoperza, albo odnaleźliśmy dawno zaginione widmowe latające skrzydło - rzekł.

Zavalii wszedł pod kadłub.

- Poczytałem coś niecoś o tym samolocie - powiedział. - Te stateczniki dodali mu dla stabilizacji, po zastąpieniu śmigieł napędem odrzutowym. Rozpiętość skrzydła wynosi około pięćdziesięciu dwóch metrów.

- To połowa boiska futbolowego.

Zavalii potwierdził skinieniem głowy.

- Choć ma tylko piętnaście metrów długości, był największym samolotem tamtych czasów. Spójrz na te silniki odrzutowe. W oryginalnej konstrukcji wszystkie osiem wbudowano w kadłub. Te dwa podwiesili u dołu, żeby zrobić miejsce dla zbiorników paliwa. Zgadza się to z tym, co mówiłeś o przeróbkach w celu zwiększenia jego zasięgu.

Przeszli przed dziób samolotu. Z tej perspektywy jego skośna aerodynamiczna sylweta robiła jeszcze większe wrażenie. Choć maszyna ważyła ponad dwieście ton, świetnie się trzymała na trójkątowym podwoziu.

- Ta ślicznotka naprawdę udała się Jackowi Northropowi - odparł Austin.

- Jak najbardziej. Spójrz na tę szczupłą sylwetkę. Fale radarowe nie mają się od czego odbić.

Nawet pomalowali ją na czarno jak współczesne stealthy. Wejdźmy do niej - rzekł podekscytowany Zavala.

Po drabince weszli przez właz do środka i przedostali się do kabiny pilotów, nietypowej jak reszta samolotu. Usadowiwszy się w obrotowym fotelu, Zavala z pomocą ręcznego napędu podjechał metr dwadzieścia w górę i znalazł się w bańce z pleksiglasu. Spojrzał przez osłonę, umieszczoną na lewo od linii symetrii skrzydła. Typowe przełączniki i instrumenty umieszczono pomiędzy pilotem a drugim pilotem, który siedział niżej. Natomiast dźwignie przepustnicy w górze, na wzór łodzi latających marynarki wojennej, takich jak catalina.

- Fantastyczna widoczność - oznajmił Zavala. - Całkiem jak w myśliwcu.

Austin zajął miejsce w fotelu drugiego pilota po prawej. Miał stamtąd widok przez okno w przedniej krawędzi płata. Widząc, że Zavala zajął się przyrządami kontrolno-sterowniczymi, postanowił obejrzeć resztę samolotu. Mechanik pokładowy miał miejsce trzy metry za drugim pilotem, plecami do dziobu, przed imponującą baterią przyrządów pomiarowych. Nie mógł więc patrzeć przez okno. Taki rozkład wnętrza uznał Austin za niefortunny, ale wysokość pomieszczeń, kabina do spania, toaleta i kuchnia, świadczące, że samolot zaprojektowano do dalekich lotów, zrobiły na nim wrażenie. Usiadł na chwilę w fotelu bombardiera i wyjrzał przez okno, próbując wyobrazić sobie, że leci wysoko nad niegościnną Syberią. A potem wczuł się do komór bombowych. Kiedy wrócił do kabiny, Zavala wciąż manipulował przy przyrządach kontrolno-sterowniczych.

- Znalazłeś tam coś? - spytał Joe.

- Ważniejsze jest to, czego nie znalazłem. Gniazda komór bombowych są puste.

- Nic?

- Nawet żadnej przeciwpożarowej bomby wodnej. - Austin uśmiechnął się. - Widzę, że beznadziejnie zakochałeś się w tej staruszce.

- To miłość od pierwszego wejrzenia - odparł ze zmysłowym uśmiechem Zavala. - Starsze babki zawsze mnie brały. Coś ci pokażę. Ta ślicznotka zachowała żywotność.

Przebiegł palcami po pulpicie sterowniczym. Bateria tarcz i przyrządów pomiarowych rozjarzyła się czerwienią.

- Jest w pełni sprawna i gotowa do lotu - zdumiał się Austin.

Zavala skinął głową.

- Na pewno została podłączona do generatora - odparł. - Niby dlaczego nie miałyby być na chodzie. Chłodno tu i sucho, a póki byli tu ludzie, bardzo o nią dbali.

- Może rozejrzemy się po tej dziupli?

Zavala niechętnie opuścił kabinę pilotów. Po wyjściu z samolotu obeszli hangar dookoła. Wnętrze zaprojektowano tak, by dobrze służyło samolotowi. W jego pobliżu umieszczono łatwo dostępne podnośniki hydrauliczne i dźwigi, aparaturę pomiarową, pompy oleju i paliwa. Joe zatrzymał się w niemym podziwieniu przed ścianą zapełnioną wiszącymi narzędziami. Były czyste jak instrumenty chirurgiczne. Austin wetknął głowę do magazynku, rozejrzał się i przywołał Zavalę.

W pomieszczeniu leżały w sięgających sufitu stertach dziesiątki lśniących cylindrów takich jak ten, który odkryli w morzu w pobliżu półwyspu Baja California. Austin ostrożnie wziął jeden z nich i

zważył w rękach.

- Jest znacznie cięższy od tego pustego w moim biurze - powiedział.

- Anasazium?

- Bezbłędny samonaprowadzający instynkt Austina. - Austin uśmiechnął się. - Czy nie po to przyjechaliśmy z tak daleka?

- Owszem. Ale poza tym odkryłem, czemu Martin zakochał się w tym samolocie.

- Oby to nie było nowe fatalne zauroczenie. Trzeba się zastanowić, co począć z tym fantem. Zawała przyjrzał się zawartości magazynu.

- Do zabrania stąd tego wszystkiego przydałoby się coś większego niż nasz hydroplan - stwierdził.

- Wracajmy do Nome - rzekł Austin. - Wezwiemy posiłki. Nie uśmiecha mi się powrót drogą, którą dostaliśmy się tutaj. Poszukajmy innego wejścia.

Znów przeszli przed dziób latającego skrzydła. Samolot stał frontem do szerszej ściany hangaru, wychodzącej na pas startowy. Spróbowali otworzyć drzwi, ale nie dali rady. Kiedyś podnoszono cały fragment ściany, niczym wrota garażu. Po chwili Austin dostrzegł przełącznik z napisem "drzwi". Ponieważ poszcześciło im się z przełącznikiem generatora, nacisnął i ten. Najpierw hangar wypełnił szum silników, a potem głośnie trzaski, terkot i piski metalu trącego o metal. Wreszcie przyrośnięta do ziemi brama drgnęła, z hurgotem otworzyła się na oścież, szczęknęła i znieruchomiała.

Dochodziła północ, zachodzące słońce rzucało na tundrę ołowiany blask. Wyszli przed hangar i stanęli twarzą do ukrytego w nim dziwnego samolotu. Nagle z tyłu usłyszeli natrętny klekot. Obrócili się i ujrzeli wielki helikopter.

Śmigłowiec opadł w dół jak drapieźny ptak, przeleciał nad ich hydroplanem i zawisł w powietrzu kawałek dalej. Po chwili obrócił się w miejscu o trzysta sześćdziesiąt stopni, spod jego dziobu wytrysnęło światło i maule zniknął w oślepiającej eksplozji żółtoczerwonych płomieni. Ze stosu pogrzebowego wodnopłatowca wzbiła się chmura czarnego dymu, a tundrę w promieniu setek metrów rozświetliła luna.

- Przepadł nam depozyt za wypożyczenie samolotu - skomentował Zawała.

Uporawszy się z pierwszym zadaniem, helikopter obrócił się dziobem w stronę hangaru. Austin sparaliżowany pojawieniem się maszyny i dokonaniem przez nią dziełem zniszczenia, dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo są bezbronni. Rzucili się do otwartych drzwi. Po obu burtach pędzącego śmigłowca rozkwitły białe rozbłyski ognia z karabinów maszynowych, a serie pocisków wzbijały wokół nich fontanny wody i błota.

Wpadli do hangaru i Austin nacisnął przełącznik. Znów zaszumiły silniki i wśród zgrzytu maszynerii wrota zaczęły się zamykać. Z helikoptera, który wylądował kilkaset metrów od nich, wypadli ludzie w ciemnozielonych mundurach i z bronią automatyczną ruszyli na hangar.

Niestety Zawała zostawił swój pistolet maszynowy w hydroplanie. Austin dwukrotnie strzelił z bowena, by choć na chwilę powstrzymać napastników. A potem wrota zamknęły się ze szczękiem, niemal całkowicie tłumiąc huk wystrzałów.

- Zaryglujmy tylne drzwi - zawołał Austin, pędząc do wejścia z tyłu hangaru.

Pobiegli korytarzem do piwnicy. Ale nie zdołali zabezpieczyć drzwi, bo rygiel przerdzewiał. Licząc na to, że napastnicy nie są zbyt rozgarnięci, ściągniętym z pryczy materacem zakryli otwór wentylacyjny w podłodze. Zastawiwszy tę prowizoryczną pułapkę, popędzili z powrotem i zaryglowali drzwi do hangaru. Mimo panującej ciszy nie mieli złudzeń co do swego bezpieczeństwa. Wprawdzie było oczywiste, że napastnicy nie chcą uszkodzić latającego skrzydła, to do rozprucia blaszanych ścian hangaru niczym puszki sardynek wystarczyło kilka dobrze wymierzonych rakiet lub

podłożonych ładunków.

- Co to za jedni? - spytał Zavala, próbując złapać oddech.

W metalowe poszycie hangaru zaczęto mocno walić, jakby chciano wypróbować jego wytrzymałość.

- Jeżeli się nie mylę, wkrótce się przekonamy - odparł Austin, rozglądając się po hangarze.

Początek ataku obwieścił ogłuszający wybuch, który odbił się echem, jakby metalowe wnętrze hangaru było wielkim dzwonem. Z wybitej wysoko dziury spadł deszcz gorących odłamków metalu. Jednak narosła przez dziesiątki lat otulina z roślinności i ziemi osłabiła eksplozję.

- Celują wysoko, żeby nie trafić w samolot - powiedział Austin, spoglądając na nierówny otwór.
- Pewnie liczą na to, że nas wystraszą.

- No, to nieźle im idzie - odparł Zavala z miną świadcząca, że wcale się nie boi.

Gdyby łatwo ulegał panice, nie mógłby pracować w ekipie do zadań specjalnych NUMA. Spokojnie wodził oczami po wnętrzu hangaru, szukając czegoś, co dałoby im choćby jakąś szansę.

Ledwie umilkło echo wybuchu, usłyszeli głośnie walenie w stalowe drzwi w tylnej części hangaru.

- No i na nic się zdała nasza pułapka - stwierdził Austin.

Chwytnąjąc skrzynki z narzędziami, ławki, szafki, wszystko, co dało się ruszyć z miejsca, podparli drzwi. Ta prowizoryczna barykada mogła powstrzymać napastników tylko kilka minut. Gdy schronili się pod samolotem, Zavala rzucił okiem na silniki odrzutowe. Ich czarne dysze przywodziły na myśl lufy dział fortecznych. Chwycił Kurta za rękę.

- Spójrz - powiedział - te dysze są wycelowane prosto w tylną ścianę. Gdybyśmy zapalili silniki, zafundowalibyśmy naszym gościom niezwykle gorące powitanie.

Austin, nic sobie nie robiąc z ciągłego walenia w tylne drzwi hangaru, stanął przed dziobem latającego skrzydła i z rękami na biodrach spojrzał w górę na kabinę pilotów.

- Nawet gdyby udało nam się stąd wydostać, nie mielibyśmy dokąd uciec. Może jednak coś wymyślimy.

Zavala natychmiast zrozumiał, co mu chodzi po głowie.

- Żartujesz! - zaprotestował.

- Twierdzisz, że systemy są sprawne - powiedział Austin. - W takim razie nie warto marnować paliwa, by usmażyć kilku drani, skoro możemy im zwiać. Przyznaj - dodał, widząc błysk w oczach Joego - że chciałeś się przelecieć tym cudem techniki.

- Jest wiele znaków zapytania. A co będzie, jeśli silniki nie zapalą albo zwietrzało paliwo? - spytał Zavala, ale z jego twarzy można było wyczytać, że wyklucza taką ewentualność.

- Wiem, że to nie będzie łatwe. Pewnie dawniej wyciągano go na pas startowy. My musimy się obejść bez tego.

- Będę szczęśliwy, jeśli w ogóle ruszymy z miejsca. Te silniki nie pracowały od pięćdziesięciu lat - odparł Zavala.

- Pamiętasz scenę z filmu Woody'ego Allena, w której volkswagen zapala od razu po wiekach stania w jaskini? Nie powinieneś mieć z tym żadnych kłopotów.

Zavala uśmiechnął się.

- To jednak nie jest volkswagen. Najpierw muszę rozruszać tę landarę. Na takich flakach nie dojedziemy nigdzie. Trzeba je dopompować.

- Widziałem tu jakieś węże, ale czasu jest niewiele.

- Zaczniemy od dwóch zewnętrznych opon pod kadłubem i przedniego koła. Oponami

wewnętrznymi zajmiemy się na końcu.

Szybko rozwinięli wąż i napompowali opony. Sprężarka terkotała w rytmie ich serc. Austin przerwał pompowanie i nadstawił uszu. Drzwi wprawdzie nie puściły, ale łomot ustał. Cisza mogła oznaczać, że napastnicy szykują się do ich wysadzenia. Nie zdążył się tym martwić, bo frontem hangaru znów wstrząsnął potężny wybuch. Podmuchi powalił ich na powalaną smarami betonową podłogę. Druga rakietka zrobiła wyrwę pod pierwszą dziurą.

- Nie ma czasu! - krzyknął Austin. - Dopompujemy powietrze na stacji paliwowej. Zostaw otwarty właz. Jak tylko usłyszysz silniki, naciśnij przełącznik. Dobiegnę do samolotu, zanim wrota ruszą w górę.

- Nie zapomnij odłączyć kabla rozruchowego - przypomniał mu Zawała.

Austin stanął przy ścianie i położył dłoń na przełączniku. Szansę mieli niewielkie, ale liczył, że amerykańska technika z czasów wojny zda egzamin.

Zawała wdrapał się na wysoki fotel pilota i wyjrzał przez plastikową osłonę kabiny. Potem zaś wpatrzył się w gąszcz przyrządów na dziwnej tablicy. Czekał go błyskawiczny kurs pilotażu. Postanowił zwracać uwagę tylko na te wskaźniki, które sygnalizowały kłopoty. Wszystkie systemy działały. Na pulpicie sterowniczym pomiędzy fotelami pilotów było radio oraz wskaźniki paliwa i prędkości. Przebiegł palcami po przełącznikach i tarcze rozjarzyły się jak plansza elektrycznego bilardu.

Wstrzymując oddech, po kolei włączył zapłony. Turbiny ruszyły z gardłowym grzmiotem, wchodząc na coraz wyższe obroty. Wówczas dał znak Kurtowi.

Kiedy Austin nacisnął przełącznik na ścianie, Zawała wskoczył w fotel drugiego pilota i wyregulował dopływ paliwa. Pod unoszącymi się wrotami pojawiła się wąska kreska dziennego światła. Austin wbiegł pod samolot i odłączył kabel rozruchowy, a potem wcześniej przygotowanym młotem wybił spod kół drewniane klocki, po omacku przedostał się przez dym do włazu, podciągnął się w górę i szczelnie go zamknął.

W tylną ścianę hangaru buchnęły gorące gazy spalinowe. Wszystkie nie umocowane do podłogi przedmioty roztrzaskały się lub stopiły w żarze. W straszliwym grzmocie silników trudno było zebrać myśli. Budynek wypełnił duszący dym.

Z trudem łapiąc oddech, zdyszany Austin zajął miejsce w fotelu drugiego pilota.

- Ruszaj! - zawołał.

Zawała uniósł w górę kciuki.

- Jest trochę kapryśna, ale jak na taką staruszkę można wytrzymać! - odkrzyknął z oczami wlepionymi w otwierające się wrota.

Z wciśniętymi hamulcami, kolejno pchając przepustnice, zwiększył gaz do maksimum. W normalnej sytuacji było to zadanie mechanika pokładowego, teraz jednak musiał zawierzyć swemu doświadczonemu uchu. Nie dało się rozróżnić dźwięku poszczególnych silników, ale ich nieprzerwany ryk był dobrym znakiem.

Wrota hangaru na chwilę zamaryły, lecz po chwili ożyły. Po zwolnieniu hamulców samolot zachwiał się do przodu. Zawała gładko przesunął dźwignie przepustnic i wydał z siebie triumfalny okrzyk bojowy, gdy tysiące koni mechanicznych wypchnęło maszynę z hangaru. Ale jego radość trwała krótko.

Wprost na linii startu, niespełna kilometr od nich, stał wielki zielony helikopter, który po wybiciu drugiej dziury w hangarze wylądował w tundrze. W chwili gdy latające skrzydło wyłoniło się z hangaru niczym świeżo wykluty z jaja monstrualny czarny ptak, napastnicy w ciemnozielonych mundurach szykowali się do ataku. Zaskoczeni i przerażeni rozpięzchli się jak liście na wietrze.

Pilot helikoptera dostrzegł sunącego w jego stronę czarnego olbrzyma w momencie, gdy oparty o swoją maszynę palił papierosa. Natychmiast do niej wskoczył i stanął przed wyborem - zostać w miejscu i dać się staranować, zasypać skrzydło raketami lub kulami w nadziei, że pośpiesznie oddane strzały trafią w jego płaski kadłub, albo wzbić się w niebo.

Austina zaniepokoiło stukotanie w poszycie maszyny, jakby walił w nie olbrzymi dzieciół.

- Strzelają do nas! - oznajmił, co nieco uspokoiło Zavalę, który sądził już, że rozpada się jeden z silników. - Wzbijesz się czy zajedziemy tą bryką do samego Nome?

Ponieważ z powodu nietypowego umiejscowienia tablicy przyrządów Zavalę nie widział wszystkich wskaźników, krzyknął do Austina, by podawał mu prędkość.

- Sześćdziesiąt pięć! - odkrzyknął Austin.

Zavalę był zaskoczony, że mimo tak wielkiej masy i nie dopompowanych opon samolot tak prędko przyspieszył. Musiał bardzo pilnować sterów, by nie unieść dziobu.

- Sto!

Podwozie zderzyło się z wodą płytkiego jeziora, ale prędkość skrzydła wciąż wzrastała.

- Sto trzydzieści!

W tej samej chwili Zavalę wyczuł w sterach lekkość, wskazującą, że samolot zbliża się do prędkości startu.

- Sto sześćdziesiąt!

Zavalę policzył do dziesięciu i cofnął sterownicę. Nogami obaj o mało co nie przebili podłogi, naciskając wyimaginowane pedały gazu. Mieli wrażenie, że potężny samolot wyskoczył w powietrze. Zavalę ocenił, że bez trudu wyminą helikopter, ale kiedy maszyna zaczęła wzbijać się w niebieskie niebo, stracił go z oczu.

Pilot śmigłowca wreszcie podjął decyzję. Błędnie założył, że sunący ociężałe po wiecznej zmarzlinie samolot-nietoperz uderzy w helikopter na ziemi. Poderwał go więc w górę niemal w tej samej chwili, co Zavalę latające skrzydło.

Z fotela drugiego pilota Austin świetnie widział, że śmigłowiec przetnie tor ich lotu. Zavalę, nie zdając sobie sprawy z kolizji, był bez reszty pochłonięty startem. Ze wskazań przyrządów wynikało, że gwałtowne przyspieszenie grozi oderwaniem osłon wolno chowającego się podwozia, zaprojektowanego dla wolniejszych samolotów o napędzie śmigłowym. Piloci radzili z tym sobie, chowając je na wysokości zaledwie kilkudziesięciu metrów nad ziemią i wzlatając pod stromym kątem.

Gdyby nie ten niezwykły manewr, doszłoby do zderzenia. Uniknęli go o metry, ale i tak podwozie ze straszliwym metalicznym zgrzytem otarło się o wirnik śmigłowca. Jego łopaty rozpadły się, na chwilę zawisł w powietrzu, a potem runął w dół jak kamień i na ziemi wyrosła kula ognia. Latające skrzydło zachwiało się, ale Zavalę odzyskał nad nim kontrolę. Na wysokości półtora kilometra skończył się wzbijać i wyrównał lot.

I wówczas zdał sobie sprawę, że dłuższy czas nie oddychał. Natychmiast nabrał do płuc tak dużo powietrza, że aż zakręciło mu się w głowie. A potem na prośbę Austina przyjrzał się ze swojej grędy samolotowi, szukając śladów uszkodzeń. Od podziurawionego kulami kadłuba nadal odpadały skrawki aluminium, a drugi silnik dymił.

- Wygląda jak szwajcarski ser, ale twarda z niej sztuka - powiedział i obrał kurs w stronę Nome. Utrzymał samolot na wysokości tysiąca metrów. Po jakimś czasie roześmiał się.

- Co cię tak śmieszy, *compadre*? - spytał ze swojego fotela Austin, który manipulował przy radiu.

- Zastanawiałem się, co powiedzą, kiedy pojawimy się tam z nienacka pięćdziesięcioletnim bombowcem stealth.

- Powiemy, że wylecieliśmy na akcję i porwało nas UFO.

- To prawie tak samo niewiarygodne jak to, co nam się rzeczywiście przytrafiło - odparł Zavala, kręcąc głową.

Przylot podziurawionego kulami latającego skrzydła był największym wydarzeniem w Nome od czasu pierwszego wyścigu psich zaprzęgów szlakiem Iditarod. Wieść o wylądowaniu bez podwozia, na warstwie piany, czarnego samolotu o dziwnym kształcie rozeszła się po mieście lotem błyskawicy i niebawem otoczyli go zaciekawieni mieszkańcy. Z lotniska Austin zadzwonił do Sandeckera, informując go o tym, co odkryli, i poprosił o przysłanie posiłków. Admirał skontaktował się z Pentagonem i dowiedział się, że w bazie lotniczej Elendorf pod Anchorage przebywa na manewrach jednostka do zadań specjalnych. Skierowano ją do Nome. Na naradzie strategicznej, jaką Austin odbył z dowódcami oddziału, postanowiono, że najpierw sytuację w bazie zbada helikopter, za którym w krótkim odstępie czasu podąży główna siła uderzeniowa.

Los sprawił, że Austin i Zavala powrócili do tajnej bazy sterowców helikopterem *pave hawk*. Takim samym, jak blisko dwudziestometrowa maszyna patrolująca Rejon 51, ściśle tajny teren, w Roswell w Nowym Meksyku, gdzie według miłośników UFO znajdują się szczątki kosmitów i ich statku. Z szybkością dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę śmigłowiec pofrunął nisko nad tundrą, żeby uniknąć wykrycia. Po przybyciu nad bazę przeleciał nad zatopionym pasem startowym, przeszukując ziemię czujnikami drgań. Nie wykrywszy znaków życia, zaczął krążyć. Na jego pokładzie oprócz trzech członków załogi było ośmiu uzbrojonych po zęby żołnierzy Sił Specjalnych i dwóch pasażerów - Austin i Zavala.

Wkrótce znad morza pojawił się samolot i przeleciał nad bazą. Czterosilnikowy turbośmigłowy *combat talon* zaprojektowano tak, by służył komandosom z jednostki do zadań specjalnych do desantu w każdych warunkach. Od jego kadłuba oderwały się ciemne przedmioty i po kilku sekundach na niebie rozkwitło dwadzieścia sześć spadochronów. Spadochroniarze opadli na niskie wzgórza za hangarem latającego skrzydła.

Helikopter wciąż krążył nad bazą. Plan zakładał, że jeśli pierwsza grupa uderzeniowa znajdzie się w kłopotach, śmigłowiec ostrzela przeciwników z powietrza z dwóch karabinów maszynowych i wysadzi oddział wspierający tam, gdzie najbardziej się przyda.

Minęło kilka nerwowych minut. A potem w radiu śmigłowca zatrzeszczał głos dowódcy grupy przebywającej na ziemi:

- Wszystko w porządku. Lądujcie.

Pave hawk przemknął nad porozrzucanymi szczątkami hydroplanu i poczerniałym kadłubem helikoptera, który unicestwiło latające skrzydło, i wylądował przed samym hangarem. Jego potężne wrota były rozdziawione jak usta pacjenta na fotelu dentystycznym. Strzegący wejścia, odziani w panterki i uzbrojeni w karabiny M-16A1 oraz granatniki komandosi z oddziału specjalnego byli jak śmiertelnie groźne maszyny do zabijania. Druga ich grupa badała wielkie jak jaskinia wnętrze budynku. Ledwie koła helikoptera dotknęły ziemi, komandosi, których przywiózł, wypadli przez boczne drzwi i dołączyli do towarzyszy.

Po nich wysiedli dwaj agenci NUMA i weszli do hangaru. Bez latającego skrzydła w środku wyglądał na jeszcze większy. Wszędzie wały się porozrzucane, poczerniałe i zwęglone resztki przedmiotów. Tylną ścianę, podpaloną żarem spalin z silników odrzutowych, pokrywały pęcherze farby. Austin i Zavala ominęli tłące się szczątki i skierowali wprost do magazynu. Drzwi do niego były otwarte. Pojemniki zniknęły.

- Pusty jak butelka tequili w niedzielny poranek - rzekł Zavala.

- Tego się obawiałem. Na pewno ściągnęli drugi helikopter.

Uciekając przed duszącym dymem, Austin i Zavała wyszli przed hangar. Kilkaset metrów dalej, na płaskim, suchym skrawku ziemi, lądował właśnie combat talon. Ruszyli w stronę wraku helikoptera, licząc, że znajdą tam jakieś wskazówki na temat napastników. W zwęglonym kadłubie i wokół niego leżały szerniałe ciała. Niedługo potem do agentów NUMA podszedł dowódca pierwszej grupy i uściśnął im dłonie.

- Nie wiem, po co nas tu ściągnęliście - powiedział. - Przecież załatwiliście ich na cacy.

- Woleliśmy nie kusić losu - odparł Austin.

- Tu nie ma żywej duszy. Sprawdziliśmy podziemny bunkier. Na dnie szybu, na który zwróciliście naszą uwagę, znaleźliśmy dwa trupy. Czy coś wam o tym wiadomo?

Austin i Zavała wymienili zaskoczone spojrzenia.

- Zastawiliśmy na naszych gości małą pułapkę - wyjaśnił Austin - ale nie myśleliśmy, że w nią wpadną.

- A jednak wpadli. Przypomnijcie mi, żeby nigdy nie wchodził do was kuchennymi drzwiami bez pukania.

- Jasne. Przykro mi, że trudziliście się na darmo.

- Ostrożność nigdy nie zawadzi. Znacnie przecie historyę z Atką i Kiską.

Austin potwierdził skinieniem głowy. Znał historyę dwóch aleuckich wyseppek, zajętych przez Japończyków. Po zdobyciu w krwawym boju pierwszej z nich Amerykanie postanowili dokonać zmasowanej inwazji na drugą, nie wiedząc, że Japończycy opuścili ją dzień wcześniej.

- To samo zdarzyło się tutaj - odparł. - Szczury dały drapaka.

Oficer jeszcze raz przyjrzał się poskręcanemu wrakowi śmigłowca i cicho gwizdnął.

- Widzę, że podcięliście im skrzydła - stwierdził.

- Niestety zabrali z sobą coś, co było w hangarze. W każdym razie dzięki za pomoc, majorze - powiedział Austin.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Ćwiczenia są potrzebne, ale nie ma to jak akcja, w której do nas strzelają.

- Postaram się to panu załatwić następnym razem.

- Sądząc z wyglądu bombowca, którym przyleciał pan do Nome - odparł z lekkim uśmiechem major - mam chyba do czynienia z człowiekiem, który dotrzymuje słowa.

Ponieważ ich akcja poniosła fiasko, Austin i Zavała skorzystali z propozycji podwiezienia do Elendorfu, skąd mogli polecieć do Waszyngtonu. Kiedy wojskowe samoloty zatrzymały się w Nome, by zatankować paliwo, Zavała zaproponował, że za pomocą osobistego czaru i konta bankowego NUMA udobrucha właściciela zniszczonego hydroplanu. Gdy po wyrażeniu zgody na zakup nowego samolotu, wychodził z wypożyczalni, zobaczył zmierzającego w tym kierunku Austina. Miał bardzo poważną minę.

- Właśnie to otrzymałem - powiedział, wręczając mu kartkę.

- Gamay i Francesca porwane - przeczytał Zavała. - Trout ranny. Wracajcie natychmiast. S.

Bez jednego słowa pospieszyli przez pas startowy do czekającego na nich talona.

Paul Trout z zabandażowanymi klatką piersiową i twarzą leżał w szpitalnym łóżku, raz po raz czyniąc sobie wyrzuty za brak czujności. Instynkt samozachowawczy działał sprawnie, kiedy musieli z Gamay unikać strzał łowców głów, ale powrót do tak zwanego cywilizowanego świata znacznie go przytłumił. Nie zdawali sobie sprawy, że z furgonu przed ich domem w Georgetown są śledzeni przez ludzi znacznie dzikszych od tych, których napotkali w dżungli.

Wymalowany na drzwiach samochodu wciąż jeszcze lepki napis głosił, iż wóz jest własnością departamentu robót publicznych Dystryktu Kolumbia. W środku krył się najnowocześniejszy sprzęt z dziedziny łączności i inwigilacji elektronicznej. Przy monitorach i głośnikach, przekazujących obrazy i dźwięki spoza ceglanych ścian domu, siedzieli bracia Kradzikowie. Czekanie i obserwowanie przychodziło im z trudem. W Bośni stosowali znacznie prostsze metody. Po wybraniu celu ataku w asyście dwóch ciężarówek bojówkarzy zajeżdżali w środku nocy pod upatrzony dom, rozbijali drzwi i wyciągali z łóżek jego przerażonych mieszkańców. Mężczyzn zabierano i zabijano, kobiety gwałcono, a dopiero potem mordowano, dom plądrowano.

Dostanie się do domu Troutów nie było takie łatwe. Wprawdzie stał on w bocznej ulicy, ale nie brakowało na niej przechodniów i samochodów. Po powrocie Troutów z Wenezueli zrobił się tu większy ruch niż zazwyczaj. Odkrycie przez dwójkę naukowców NUMA białej bogini i ich dramatyczna ucieczka z rąk krwiożerczych dzikusów stanowiły temat jak z filmu przygodowego. Po ogłoszeniu tej wiadomości przez CNN, Paula i Gamay wytropili dziennikarze. Ich dom obiegli przedsiębiorczy reporterzy i fotografowie z "Washington Post", "New York Times", ogólnokrajowych sieci telewizyjnych i popularnych piśmideł.

Paul i Gamay na zmianę grzecznie odpowiadali, że muszą odpocząć i że na wszystkie pytania odpowiedzą jutro na konferencji prasowej w centrali NUMA. Po informacji odsyłali do działu prasowego agencji. Fotografowie zrobili zdjęcia ich domu, a sprawozdawcy telewizyjni przekazali relacje, stojąc na jego tle. Wreszcie zainteresowanie Troutami ustało, a dziennikarze, żyjący z sensacji, sięgnęli do innych, mniej rzetelnych źródeł informacji.

Paul sporządzał w swoim gabinecie na piętrze raport dla NUMA o przygodach w Wenezueli, a Francesca i Gamay dyskutowały w pracowni na parterze, jak najszybciej wznowić projekt odsalania wody. Gdy Francesca oznajmiła Troutom, że odkłada powrót do Sao Paulo, zaofiarowali jej schronienie przed hordami dziennikarzy. Na dźwięk dzwonka do drzwi Gamay ciężko westchnęła, bo tym razem to ona musiała stawić czoło wezwaniu czwartej władzy. Najbardziej natarczywe były ekipy telewizyjne. Również tym razem, jak się tego spodziewała, w progu powitali ją reporter z notatnikiem w ręku i kamerzysta ze steadicamem na ramieniu. Trzeci członek ekipy trzymał reflektor i metalową walizkę.

Chciała wysłać ich do wszystkich diabłów, ale zmusiła się do uśmiechu.

- Widzę, że nie dotarła do panów wiadomość o jutrzejszej porannej konferencji prasowej - powiedziała.

- Przepraszam, ale nikt nas nie powiadomił - odparł reporter.

Pomyślała, że to dziwne. Ludzie odpowiedzialni w NUMA za kontakty z prasą dobrze znali środowisko dziennikarskie, a reporterzy wdzięczni im byli za dostarczanie fascynujących historii.

Poza tym ten niski, przysadzisty dziennikarz w źle dopasowanym ubraniu i z włosami obciętymi tuż przy skórze w niczym nie przypominał wymuskanych przystojniaków, czytających wiadomości. Co prawda się uśmiechał, ale gębę miał dziką, zbójcejką. I, od kiedy to stacje telewizyjne zatrudniały spikerów mówiących z tak silnym obcym akcentem? Spojrzała ponad jego ramieniem, spodziewając się, że zobaczy wóz telewizyjny z antenami na dachu, ale stał tam jedynie furgon przedsiębiorstwa robót miejskich.

- Przykro mi - powiedziała i zaczęła zamykać drzwi.

Mężczyzna natychmiast przestał się uśmiechać i wsadził w nie nogę. Gamay szybko otrząsnęła się z przestrachu i całym ciałem naparła na nie z taką siłą, że skrzywił się z bólu. Chciała dłonią odepchnąć twarz intruza, ale jego dwaj kompani doskoczyli i uderzyli w drzwi barkami tak mocno, że osunęła się na kolana. Natychmiast wstała, jednak było już za późno na ucieczkę i walkę. Rzekomy reporter mierzył jej w twarz z pistoletu. Kamerzysta odłożył sprzęt, podszedł do niej i ścisnął jej szyję tak, że ledwo mogła oddychać. W dodatku z taką siłą uderzył nią o ścianę, że dziewiętnastowieczne lustro spadło na podłogę i rozbiło się.

Tego już było za wiele. Lustro kosztowało kilka tysięcy dolarów i polowała na nie wiele tygodni. Zapominając o strachu, walnęła mężczyznę kolaniem w krocze. Na chwilę rozluźniła dłonie na jej szyi, lecz zaraz potem z morderczym błyskiem w oku znowu je zacisnął. Zebrała wszystkie siły, lecz w tym momencie na okrzyk fałszywego reportera napastnik odstąpił od niej i w charakterystyczny sposób przesunął palcem po gardle. Spojrzała

na niego nienawistnie, bo nic więcej nie mogła zrobić. Ten gest nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Zbir bez wahania poderżnąłby jej gardło.

Wyczucie jej nie myliło. Choć Kradzikowie woleli działać we dwójkę, czasem jednak korzystali z pomocy ziomków. Kiedy Brunhilda Sigurd umożliwiła im wyjazd z Bośni, wymogli na niej, by wydestała też z Bałkanów ich dziesięciu najbardziej oddanych i bezwzględnych ludzi. Nazwali swoją grupę Parszywą Dwunastką. Jednak w porównaniu z nimi główne postacie z amerykańskiego filmu pod takim samym tytułem były niewiniątkami. Bośniacka dwunastka zabiła, okaleczyła, zadręczyła i zgwałciła setki niewinnych ofiar. Choć byli rozsiani po całym świecie, każdemu z nich w każdej chwili można było zlecić zabicie kogoś lub w ciągu kilku godzin zgromadzić ich do udziału w większej akcji. Do zadań wykonywanych dla Gokstad podchodzili z bezgranicznym zapałem.

Słyszając brzęk rozbitego lustra, Francesca wyszła z pracowni do przedpokoju, ale nim zdążyła zareagować, na rozkaz mężczyzny w garniturze została pochwycona i pchnięta na ścianę tuż przy Gamay. Drugi zbir wyjął z metalowej walizki dwa czeskie pistolety maszynowe, skorpiony. Fałszywy reporter otworzył drzwi wejściowe i po chwili do domu wkroczył jeszcze jeden oprych. Gamay pomyślała, że wygląda jak wyrośnięty troll. Choć było ciepło, nosił długą czarną skórzaną kurtkę, takiego samego koloru golf i spodnie, a na głowie miał czarną czapkę w wojskowym stylu.

Zapoznawszy się z sytuacją, powiedział kompanom coś, co ich ucieszyło, bo zareagowali chytrymi, pożądlivymi uśmiechami. Gamay, która pracowała w niejednym kraju, domyśliła się, że rozmawiają po serbskochorwacku. Na rozkaz przybysza jeden z jego kamratów z czeskim pistoletem maszynowym pod pachą skierował się korytarzem w głąb domu, po drodze zaglądając ostrożnie do mijanych pomieszczeń. Inny wszedł po schodach prowadzących z parteru na piętro.

Zbir w skórze podszedł do lustra i przyjrzał się rozbitemu szkłu.

- Siedem lat nieszczęść - powiedział do Gamay z zimnym uśmiechem.

- Kim pan jest? - spytała.

Zignorował jej pytanie.

- Gdzie mąż?

Zgodnie z prawdą odparła, że nie wie. A wówczas skinął głową tak, jakby wiedział coś, o czym ona nie miała pojęcia, i obrócił ją twarzą do ściany. Spodziewała się uderzenia w głowę albo kuli w plecy. Zamiast tego poczuła ostre ukłucie w prawą rękę. Igła! Dranie!!! Zrobili jej zastrzyk. Zerknęła i zdążyła zobaczyć, że igła strzykawki zagłębia się w skórę Franceski. Próbowwała przyjść jej z pomocą, ale zdrętwiała jej ręka, a po kilku sekundach drętwota objęła całe ciało. Korytarz zawirował i osunęła się w przepaść.

Paul usłyszał brzęk tłukącego się lustra i ze szczytu schodów zobaczył, że jakiś mężczyzna dusi Gamay. Już miał zbiec w dół, gdy do domu weszła kreatura w skórzanej kurtce. Wrócił więc do pracowni i spróbował wezwać pomoc. W słuchawce telefonu panowała cisza. Pewnie przecięli kable. Wąskimi tylnymi schodami po cichu zszedł do kuchni. Rewolwer trzymał w pracowni, ale jedyna droga do niej wiodła przez korytarz. Kiedy zobaczył, że dwóch uzbrojonych mężczyzn rozdzieliło się - jeden ruszył po schodach, a drugi w jego stronę - cofnął się do kuchni.

Rozejrzał się za bronią. Miał tu do dyspozycji tylko noże, z którymi nic nie wskórałyby przeciwko pistoletowi maszynowemu. Nawet gdyby zaskoczył przeciwnika hałas ściągnąłby pozostałych, którzy z pewnością by go zabili. Należało wymyślić coś innego. Podczas ostatniego remontu domu modernizacja kuchni pochłonęła ich roczne zarobki. Zainstalowali nowe dębowe szafki i restauracyjny piec. Ale największą inwestycją była chłodnia, tak wysoka, że Paul wchodził do niej nie schylając się.

Nie mając wyboru, wśliznął się tam, nie domykając ciężkich drzwi. Wykręcił żarówkę, umieścił ją tuż za progiem i przywarł do ściany we wnęce obok nich. Zdażył! Przez matową szybę zobaczył mężczyznę, który z pistoletem gotowym do strzału wszedł do kuchni. Intruz zatrzymał się, rozejrzał i dostrzegł uchylone drzwi chłodni. Zbliżył się ostrożnie, pchnął je łokciem i zajrzał do środka. Potrącona obcasem buta żarówka z hałasem poturlała się po drewnianej podłodze. Lufa pistoletu zatoczyła krąg. Kiedy oprych chciał już nacisnąć spust, nogi ugięły się pod nim i runął na podłogę, mając wrażenie, że na głowę zwałił mu się sufit.

Trout odłożył wędzoną zamrożoną szynkę, której użył jako maczugi. Chwycił pistolet napastnika i wszedł do kuchni. Najpierw sprawdził schody prowadzące na piętro. Postanowił, że z tym na górze rozprawi się, gdy uwolni Gamay i Franceskę. Ostrożnie wśliznął się do przedpokoju. Broń dawała mu pewną przewagę, ale musiał uważać, żeby nie postrzelić kobiet.

Gdy zobaczył, że mężczyźni pochylają się nad leżącą na ziemi Franceską i jego żoną, zapominając o ostrożności ruszył naprzód.

Nagle poczuł na żebrach zimną stal noża. Kiedy próbował obrócić się twarzą do napastnika, nogi zmiękły mu raptem, jakby były z waty, i zwałił się na podłogę, rozbijając sobie twarz i łamiąc nos.

Czuwający przy tylnych drzwiach, by uniemożliwić domownikom ucieczkę, Melo Kradzik zauważył Trouta, gdy wychodził on z chłodni. Teraz, widząc Paula w kałuży krwi, przestąpił przez niego, podszedł do brata i klepnął go w plecy.

- Dobrze, że pomyślałeś o drzwiach od podwórza, bracie - pochwalił go.
- Na to wygląda - odparł jego bliźniak, patrząc na leżącego. - Co z nim zrobimy?
- Niech się wykrwawi na śmierć.
- Dobra. Kobiety załadujemy na tyłach domu, nikt nie zauważy.

Melo wezwał kompana na piętrze, żeby zszedł na dół. Zanieśli nieprzytomne kobiety do terenowego mercedesa, upchnęli je z tyłu i odjechali. Chwilę później zniknął również furgon departamentu robót publicznych. Kiedy początkowy szok spowodowany raną od noża zamienił się w ból, Paul na krótko odzyskał świadomość. Resztkami sił doczołgał się do pracowni, gdzie miał telefon komórkowy, i wystukał numer 911. Ocknął się na moment w szpitalnym łóżku.

Kiedy znowu się obudził, stwierdził, że nie jest sam. Przez szpary w sklejonych powiekach zobaczył, że przy jego łóżku stoją dwie osoby. Uśmiechnął się słabo.

- Gdzieście byli tak długo? - spytał.

- Wróciliśmy jak najszybciej, okazją, dwoma myśliwcami z Elendorfu - odparł Austin. - Jak się czujesz?

- Prawa strona ciała ma się znośnie, ale lewa tak, jakby ją popieszczono rozpalonymi szczypcami. I z nosem też nie jest najlepiej.

- Nóż o włos ominął płuco - powiedział Austin. - Na zrośnięcie się mięśnia trzeba trochę czasu.

Dobrze, że nie jesteś mańkutom.

- Tak właśnie pomyślałem. Są jakieś wieści o Gamay i Francesce? - spytał z obawą Paul.

- Żyją, ale porwały ich te zbiry.

- Policja sprawdziła porty lotnicze, dworce kolejowe i autobusowe - odparł Zavalą. - Teraz zaczniemy szukać my.

W cierpiących niebieskich oczach Paula pojawiła się nagła determinacja. Zwiesił z łóżka nogi i oświadczył:

- Jadę z wami.

Od bolesnego wysiłku zakręciło mu się w głowie. Czując mdłości, na chwilę znieruchomiał. Odłączył kroplówkę.

- Musicie mnie stąd zabrać - powiedział. - Potraficie chyba jakoś urobić siostrę oddziałową.

Austin znał Paula na tyle, by wiedzieć, że za nic nie zostanie on w szpitalu. Spojrzał na Zavalę, ale uśmiech na jego twarzy utwierdził go w przekonaniu, że Joe mu nie pomoże. Wzruszył ramionami.

- Zobaczę, co da się zrobić. A ty tymczasem skombinuj naszemu przyjacielowi wdzianko stosowniejsze od tej szpitalnej pizamy - powiedział do Zawali, odwrócił się na pięcie i poszedł do pokoju pielęgniarek.

Na sali konferencyjnej NUMA na dziewiątym piętrze nastrój był ponury jak na pogrzebie. Po hiobowych wieściach ze szpitala Sandecker nie spodziewał się, że w tym nadzwyczajnym zebraniu weźmie udział Paul Trout. Paul wyglądał jak z krzyża zdjęty, ale admirał wiedział, że nic nie odwiódłoby go od udziału w poszukiwaniu Gamay i Franceski.

Uśmiechnął się więc tylko do niego, by dodać mu otuchy i przyjrzał się zebranym. Paul siedział między Austinem i Zavalą, pilnującymi, żeby nie spadł z krzesła. Czwartą osobą przy stole był szczupły, wąski w ramionach Rudi Gunn, jego zastępca, dyrektor operacji specjalnych NUMA, który w okularach w grubej rogowej oprawie wyglądał jak profesor.

Sandecker sprawdził godzinę.

- A gdzie Yaeger? - spytał z lekkim zniecierpliwieniem.

Wprawdzie Hiram dzięki swej niezwyklej wiedzy komputerowej, był tu na specjalnych prawach, ale nawet prezydent Stanów Zjednoczonych nie ośmieliłby się spóźnić na spotkanie z admirałem. Zwłaszcza na tak ważne.

- Przyjdzie za chwilę - odparł Austin. - Poprosiłem go o sprawdzenie czegoś, co ma związek z naszą dyskusją.

W jego głowie trzepotała jak motyl pewna myśl. Po powrocie z Alaski pozwolił sobie na kilka godzin snu. Odpoczynek odświeżył mu umysł. Gdy jechał tu z Wirginii, owa niejasna myśl nagle mu się skryształizowała i chwilę później zadzwonił z komórki do Yaegera. Geniusz komputerowy jechał właśnie z Marylandu, gdzie mieszkał z żoną artystką i dwiema kilkunastoletnimi córkami. Austin przedstawił mu swój pomysł, poprosił, by się nim zajął, i obiecał, że usprawiedliwi go na zebraniu przed admirałem.

Sandecker z miejsca przystąpił do rzeczy.

- Stoimy przed niewiadomym, panowie - oznajmił. - Nieznani sprawcy porwali dwie osoby, a jedną ranili. Możesz zapoznać nas z sytuacją, Kurt?

Austin skinął głową.

- Miejscowa policja bada wszelkie tropy - powiedział. - Furgon miejskich służb porzucono w pobliżu Obelisku Waszyngtona. Wóz ten został skradziony kilka godzin wcześniej. Nie znaleziono żadnych odcisków palców. Wszystkie lotniska i dworce kolejowe poddano obserwacji. Paul pomógł FBI sporządzić portret pamięciowy herszta tej szajki, a Interpol rozesłał go.

- To nic nie da - rzekł Sandecker. - Mamy do czynienia z zawodowcami. Sami musimy odszukać Gamay i doktor Cabral. Jak wiecie, Rudi miał robotę za granicą. Staralem się go informować na bieżąco, ale nie zawadziłoby, gdybyś szybko w chronologicznym skrócie przedstawił sytuację.

Austin był na to przygotowany.

- Wszystko zaczęło się dziesięć lat temu od nieudanego porwania Franceski Cabral - zaczął. - Kiedy jej samolot rozbił się w wenezuelskiej dżungli, uznano, że zginęła. A teraz przechodzę do współczesności. Dziesięć lat później w pobliżu San Diego ja i Joe wpadliśmy - dosłownie - na stado martwych wielorybów. Zginęły po zetknięciu się z gorącą wodą, którą wypuściło do morza podwodne laboratorium przy brzegu Baja California w Meksyku. Kiedy badaliśmy ów przypadek, laboratorium wyleciało w powietrze. Przeprowadziłem rozmowę z meksykańskim gangsterem, który

służył za parawan prawdziwemu właścicielowi tego przedsięwzięcia, kalifornijskiej firmie konsultingowej Mulholland Group. Prawnik gangstera przyznał, że Mulholland wchodzi w skład międzynarodowej korporacji Gokstad. Wkrótce po rozmowie z nami gangster i jego prawnik zostali zamordowani.

- W sposób bardzo widowiskowy - podkreślił Sandecker.

- Tak jest. Nie zastrzelono ich z przejeżdżającego samochodu. Te morderstwa starannie zaplanowano, a zabójcy użyli nowoczesnej broni.

- To znaczy, że są dobrze zorganizowani i dysponują znacznymi środkami - orzekł Gunn, który jako były dyrektor NUMA do spraw logistyki świetnie orientował się w trudnościach towarzyszących zorganizowaniu każdej akcji.

- Doszliśmy do identycznego wniosku - odparł Austin. - Taką organizację i środki może zapewnić tylko wielka korporacja, która ma w tym interes.

- Gokstad?

Austin skinął głową.

- Ta nazwa z niczym mi się nie kojarzy - wyznał Gunn.

- Jedyne trop to godło tej firmy. Przedstawia ono okręt wikingów, który odkryto w wieku dziewiętnastym w norweskim Gokstad. Poprosiłem Hiramę o wyszukanie wszystkiego, co wiadomo na ten temat. Wiele tego nie ma. Kłopoty ze znalezieniem informacji miała nawet Max. W każdym razie jest to potężna korporacja z holdingami na całym świecie. Na jej czele stoi Brunhilda Sigurd.

- Kobieta! - zdziwił się Gunn. - Ciekawe imię. Brunhilda była walkirią, jedną ze skandynawskich dziewczyc, które odprowadzały poległych bohaterów do Walhalli. Sigurd - Zygfryd - był jej kochankiem. Chyba nie sądzicie, że to jej prawdziwe imię i nazwisko?

- Niewiele o niej wiemy.

- Zdaję sobie sprawę, że megakorporacje są bezwzględne w interesach. - Gunn potrząsnął głową. - Ale tu mamy do czynienia z metodami gangsterskimi.

- Na to wygląda - przyznał Austin. - Joe - zwrócił się do Zawali - zapoznaj Rudiego ze swoimi odkryciami.

- O Gokstad dowiedziałem się od Kurta przez telefon, kiedy byłem w Kalifornii - rzekł Zawała. - Spotkałem się tam z reporterem z "Los Angeles Times", który dużo wiedział o tej korporacji, bo wraz z grupą dziennikarzy badał jej działalność. Powiedział mi, że właśnie przygotowują cykl artykułów na temat tych, jak ich nazwał, wodnych piratów. Mieli w nich ujawnić, w jaki sposób Gokstad monopolizuje światowe zasoby słodkiej wody.

- Wierzyć mi się nie chce, żeby jedna firma była w stanie przejąć kontrolę nad całą słodką wodą na świecie - oświadczył Gunn.

- Ja też zareagowałem na to bardzo sceptycznie - odparł Zawała. - Jednak w rewelacjach tego reportera nie ma wielkiej przesady. Należącym do Gokstad spółkom legalnie zezwolono sprywatyzować rzekę Kolorado. Na całym kontynencie słodka woda przechodzi z rąk państwa w ręce prywatne. Gokstad siłą pozbyła się rywali. Ten dziennikarz twierdzi, że w ciągu kilku ostatnich lat zginęli bądź przypadli bez śladu wszyscy ci, którzy konkurowali na świecie z Gokstad albo byli przeciwni przejmowaniu przez nią firm.

Gunn gwizdnął cicho.

- Ta historia z pewnością narobi hałasu - przyznał.

- Nie tak prędko. Gazeta nagle zrezygnowała z artykułów o Gokstad. Troje pracujących nad nimi dziennikarzy zniknęło, a mój znajomy ukrył się.

- Jesteś pewien, że to nie pomyłka? - spytał zaniepokojony Gunn.

Zawała wolno pokręcił głową. W sali zaległa cisza.

- Jest w tym jakaś prawidłowość - powiedział Gunn. - Niech pomyślę.

Jego nieszczególny wygląd mylił. Akademię Marynarki Wojennej nie przypadkiem ukończył jako najlepszy absolwent na roku. Był prawdziwym geniuszem o niezwykłych zdolnościach analitycznych.

- Coś się zmieniło - odezwał się znienacka.

- Co masz na myśli, Rudi? - spytał Sandecker.

- Metody, tryb działania. Przyjmijmy, że nasza zasadnicza przesłanka jest słuszna i że za tymi wszystkimi morderstwami stoi Gokstad. Joe twierdzi, że działali skrycie. Ludzie po prostu znikali albo ginęli w rzekomych wypadkach. Wraz z morderstwami tego Meksykanina i sprzedajnego prawnika to się zmieniło. Admirał nazwał je, "widowiskowymi".

Austin zaśmiał się.

- W porównaniu z atakiem na Alasce były to pieszczoty - powiedział. - Musieliśmy tam we dwóch stawić czoło regularnemu szturmowi.

- W ataku na mój dom też nie przebierano w środkach - wtrącił Paul.

- Chyba wiem, do czego zmierzasz, Rudi - rzekł Sandecker. - Paul, jak szybko rozeszła się wieść, że doktor Cabral żyje?

- Prawie natychmiast. Doktor Ramirez zadzwonił do Caracas z helikoptera, który nas uratował. Wenezuelski rząd nie zwlekał z ogłoszeniem tej wiadomości. Podejrzewam, że CNN zdążyła roztrąbić o tym na cały świat, zanim opuściliśmy dżunglę.

- Wkrótce potem wypadki nabrały tempa - stwierdził Sandecker. - Dla mnie sytuacja jest jasna. Iskrą zapłonową stała się wiadomość, że Francesca Cabral żyje. Jej zmartwychwstanie oznaczało, że proces odsalania wody znów jest realny. Potrzebna była tylko substancja, która go umożliwi. Doktor Cabral nie zrezygnowała z zamiaru udostępnienia swojego odkrycia światu. Przeciwni temu ludzie po prostu wznowili plany zarzucone przed dziesięciu laty.

- I tym razem udało im się - dodał Austin.

- Dobrze, to wyjaśnia porwanie Franceski. Ale czemu porwali Gamay? - spytał Paul.

- Oni nie działają na chybił trafił - odparł Austin. - Dlatego myślę, że Gamay miała szczęście. Gdyby nie była im potrzebna, to by ją zabili. Czy przypominasz sobie coś więcej w związku z porwaniem?

- Ich przywódca, facet w czarnej skórze, mówił z nieznanym mi obcym akcentem. Jego kompani mieli jeszcze silniejszy akcent.

Zagłębiając się w fotelu Sandecker nagle się wyprostował.

- Te bandziory to płotki - oznajmił. - Musimy uderzyć w sam wierzchołek. Znaleźć tę babę z wagnerowskim imieniem, która rządzi Gokstad.

- Jest nieuchwytna. Nie wiemy nawet, gdzie mieszka - powiedział Austin.

- Ona i Gokstad stanowią klucz - oświadczył Sandecker. - Czy wiadomo, gdzie jest ich siedziba?

- Mają biura w Nowym Jorku, Waszyngtonie i na Wybrzeżu Zachodnim. A poza tym na pewno w Azji i Europie.

- Są jak hydra.

- Nawet gdybyśmy wiedzieli, gdzie jest ich centrala, niewiele by nam to dało. Z pozoru Gokstad jest legalnym przedsięwzięciem. Zaprzeczają wszelkim naszym oskarżeniom.

Do sali wsunął się dyskretnie Hiram Yaeger i usiadł na krześle.

- Przepraszam - powiedział. - Musiałem skopiować na to zebranie trochę materiałów.

Widząc jego wyczekujące spojrzenie, Austin przejął inicjatywę.

- Przyszło mi na myśl coś, co Hiram pokazał mi wcześniej - hologram statku wikingów -

wyjaśnił. - Tego samego, który jest znakiem firmowym Gokstad. Doszedłem do wniosku, że takie wyeksponowanie go coś znaczy. Dlatego poprosiłem Hiram, żeby zajął się Gokstad, zajrzał pod podszewkę skąpych biznesowych informacji, które znalazła Max.

Yaeger skinął głową.

- Zgodnie z sugestią Kurta zleciłem Max przejrzeć historycznych materiałów, związanych z tym tematem. A składają się nań, jak z pewnością wiecie, tony materiałów. Kurt podsunął mi, by poszukać związków z Kalifornią, być może z Mulholland Group. Max wyłowiła ciekawy artykuł gazetowy. O norweskim projektancie antycznych statków, który przyjechał do Kalifornii, żeby zbudować dla bogatego klienta kopię okrętu z Gokstad.

- Kim był ten klient? - spytał Austin.

- W artykule nie podano jego nazwiska. Ale z dotarciem do norweskiego projektanta nie było kłopotu. Kilka minut temu zadzwoniłem do niego i spytałem o to zlecenie. Wprawdzie zobowiązano go do dyskrecji, ale ponieważ upłynęło wiele lat, bez skrupołów wyjawiał, że zbudował tę kopię dla dużej kobiety mieszkającej w dużym domu.

- Dużej kobiety?

- To znaczy wysokiej. Olbrzymki.

- Jak ze staroskandynawskiej sagi? A co z tym domem?

- Twierdzi, że przypomina nowoczesną sadybę wikingów, a stoi nad brzegiem dużego jeziora w Kalifornii, otoczonego górami.

- Tahoe?

- Tak właśnie pomyślałem.

- Duży dom w stylu wikingów nad jeziorem Tahoe? Łatwo będzie go znaleźć.

- Już to zrobiłem. Max ma łączność z prywatnym satelitą. - Yaeger rozdał zebrany odbitki zdjęć satelitarnych. - Wokół tego jeziora są wspaniałe budowle - domy mieszkalne, kąpieliska i hotele. Ale ten się wyróżnia.

Pierwsze zdjęcie przedstawiało niebieskie wody jeziora Tahoe, które z wielkiej wysokości wyglądało jak sadzawka. Na drugim kamera najechała na kropkę na jego brzegu, tak powiększając szczegóły, że pokazała rozłożysty budynek i lądowisko helikopterów w jego sąsiedztwie.

- Czy ta chata ma właściciela? - spytał Austin.

- Wszedłem do bazy danych miejscowego urzędu podatkowego - odparł z uśmiechem Yaeger. - Dom należy do firmy handlu nieruchomościami.

- Niewiele nam to daje.

- Co w takim razie powiecie na to, że firma ta wchodzi w skład korporacji Gokstad?

Sandecker podniósł wzrok znad zdjęć. Cały czas starał się nad sobą panować, lecz był wściekły, że porwano jego ulubioną pracowniczkę, a drugiego cenionego pracownika raniono. W dodatku uprowadzono śliczną doktor Cabral po tym wszystkim, co przeszła. Ponownie pozbawiono świat wynalazku, który mógł ocalić wiele istnień.

- Dziękuję, Hiramie - powiedział i zimnymi, władczyimi niebieskimi oczami powiódł po siedzących przy stole. - A więc, panowie - oznajmił głosem ostrym jak brzytwa - wiemy, co należy zrobić.

Obserwujący Franceskę osobnicy byli albo bliźniakami, albo produktem jakiegoś nieudanego szalonego eksperymentu z klonowaniem. Siedzieli kilka kroków od niej, z rękami wspartymi na oparciach odwróconych krzeseł. Budzili odrazę, lecz nie to było najgorsze. Najbardziej przerażało ich milczenie. Byli pod każdym względem identyczni, od szpetnych twarzy po zamięłowanie do czarnych skór.

Starła się nie patrzeć w ich ciemne oczy, nie widzieć zaczerwienionych powiek, wypukłych czoł, metalowych zębów i bladych psychopatycznych gąb. Łypali na nią łakomie, ale w ich pożądlivych spojrzeniach nie było erotyzmu, nieuświadomionej dzikości, do której przywykła u Chulo. Była tylko i wyłącznie żądza krwi. Rozejrzała się po dziwnym okrągłym pokoju z nagimi ścianami, w którym panowało przenikliwe zimno. Na środku stała konsola komputerowa. Zaskoczona jej nedorzeczną wielkością zastanawiała się, czy niezwykle duże meble, podobnie jak niska temperatura, nie są chwytem psychologicznym, który ma wywołać u trafiających tu ludzi poczucie, że są bezsilni i mali. Nie miała pojęcia, gdzie się znajduje.

Nie wiedziała, jak trafiła do tej sterylnej komnaty. Jak przez mgłę docierało do niej, że przewożą ją z miejsca na miejsce. W pewnej chwili wydało się jej, że słyszy silniki odrzutowca, lecz ponownie zrobiono jej zastrzyk i straciła przytomność. Martwiła się też, że nie wie, co się stało z Gamay. A potem poczuła ukłucie w rękę i oprzytomniała tak prędko, jakby wstrzyknięto jej środek pobudzający. Kiedy rozwarła oczy, ujrzała bliźniaków. Przez kilka minut żaden nie powiedział słowa. Z ulgą powitała więc syk otwieranych drzwi. Do komnaty weszła kobieta i odprawiła karykaturalnych braci ruchem ręki.

Francesca nie bardzo wiedziała, czy trafiła do panoptikum, czy może na plan filmu Felliniego. Wyjaśniła się za to tajemnica dużych mebli. Ubrana w ciemnozielony mundur gospodyni była olbrzymką. Usadowiwszy się na wielkiej kanapie, uśmiechnęła się miło, lecz bez śladu ciepła.

- Dobrze się pani czuje, doktor Cabral? - spytała.
- Co pani zrobiła z Gamay?
- Z pani przyjaciółką z NUMA? Umieściliśmy ją w wygodnym pokoju.
- Chcę ją zobaczyć.

Kobieta niespiesznie sięgnęła ręką, dotknęła palcem ekranu komputera, na którym ukazała się Gamay. Leżała bokiem na polówce. Francesca wstrzymała oddech. Gamay poruszyła się, próbowała się podnieść, lecz po chwili opadła bezsilnie.

- W przeciwieństwie do pani nie dostała antidotum - wyjaśniła olbrzymka. - Obudzi się za kilka godzin, kiedy środek przestanie działać.

- Chcę ją zobaczyć osobiście i upewnić się, że nic jej nie jest.
- Być może zobaczy ją pani później - odparła stanowczo kobieta i dotknęła ekranu.

Monitor zgasł.

- Gdzie właściwie jestem? - spytała Francesca, rozglądając się po komnacie.

- To nieważne.

- Po co nas tu przywieźliście?

Kobieta nie odpowiedziała na jej pytanie.

- Czy Melo i Radko przestraszyli panią?
- Te dwa podgrzybki, które stąd przed chwilą wyszły?

Olbrzymka skwitowała to porównanie uśmiechem.

- Dobra metafora, ale bardziej zasługują na miano trujących sromotników. Pomimo pani brawury i tak widzę w pani oczach strach. To dobrze. Ci dwaj muszą przerażać. Podczas czystek etnicznych w Bośni bracia Kradzikowie własnoręcznie zabili setki ludzi, a zamierzali zabić tysiące. Wycięli w pień całe wioski i urządzili wiele rzezi. Gdyby nie ja, zasiedliby na ławie sądu międzynarodowego w Hadze, oskarżeni o zbrodnie przeciwko ludzkości. Nie ma takiej zbrodni wojennej, której by nie popełnili. Są całkowicie pozbawieni sumienia, zasad moralnych i nie żałują niczego, co zrobili. Okaleczanie i zabijanie ludzi to ich druga natura. - Urwała, by do Franceski dotarł sens jej słów. - Wyrażam się jasno?

- Tak. Wynajęcie tych zbrodniarzy świadczy o tym, że pani też brak skrupułów.

- Słusznie. Wynajęłam ich właśnie dlatego, że są urodzonymi mordercami. To tak, jakby cieśla nabył młotek do wbijania gwoździ w deski. Mój młotek to bracia Kradzikowie.

- Ludzie nie są gwoździami.

- Niektórzy są, inni nie, doktor Cabral.

- Skąd pani zna moje nazwisko? - spytała Francesca, pragnąc zmienić temat.

- Zapoznałam się z pani odkryciem i podziwiam je od lat. Jest pani jednym z czołowych inżynierów hydrotechników na świecie. Teraz jednak zdobyła pani jeszcze większy rozgłos jako bogini.

- A kim jest pani?

- Nazywam się Brunhilda Sigurd. Choć pani nazwisko jest sławniejsze od mojego, obie jesteśmy indywidualnościami w wybranej przez nas dziedzinie, pozyskania najcenniejszej substancji na ziemi - wody.

- Jest pani hydrotechnikiem?

- Studiowałam na najlepszych uczelniach technicznych w Europie. Po studiach przeniosłam się do Kalifornii, gdzie założyłam firmę konsultingową, obecnie największą na świecie.

Francesca pokręciła głową. Była pewna, że zna wszystkich w branży inżynierii wodnej.

- Nigdy o pani nie słyszałam - powiedziała.

- Działam za kulisami. Bardziej mi to odpowiada. Mam dwa metry dziesięć wzrostu. Ze względu na posturę jestem dziwolągiem, przedmiotem drwin ludzi znacznie niższych i gorszych ode mnie.

Mimo swojej trudnej sytuacji Francesca potrafiła ją zrozumieć.

- Mnie również dali się we znaki idioci, którzy nie chcieli pogodzić się z faktem, że kobieta może być lepsza od nich - powiedziała. - Ale nie przejmowałam się tym.

- A może powinna pani. Ostatecznie moja złość na to, że muszę się kryć przed ludźmi, stała się atutem. Swój gniew przekułam w nieposkromioną ambicję. Z myślą o przyszłości, przejęłam inne firmy. Tylko jedno stanęło mi na drodze. - Brunhilda znów uśmiechnęła się chłodno. - Pani, doktor Cabral. Kilka ładnych lat temu stało się dla mnie jasne, że z czasem popyt na słodką wodę przerośnie na świecie jej podaż, i zapragnęłam być tą, w której ręku znajdzie się wtedy kurek. A potem usłyszałam o pani rewolucyjnym procesie odsalania. Pani sukces storpedowałby moje metodycznie realizowane plany. Nie mogłam na to pozwolić. Rozważałam, czy nie złożyć pani propozycji, ale kiedy poznałam, z kim mam do czynienia, doszłam do wniosku, że nie wyperswaduję pani niepraktycznego altruizmu. Dlatego postanowiłam nie dopuścić do podarowania tego procesu światu.

Francesce krew uderzyła do głowy.

- To pani zorganizowała moje porwanie! - wysyczała.

- Liczyłam, że namówię panią do współpracy. Umieściłabym panią w laboratorium, aby udoskonalila pani ten proces. Niestety moje plany wzięły w łeb, a pani znikła w Amazonii. Wszyscy myśleli, że pani zginęła. Aż tu nagle czytam o przygodach doktor Cabral wśród dzikusów, o tym, jak została ich królową. Obie przetrwałyśmy we wrogim świecie.

- Gdybym zapoznała panią z moim odkryciem, to co by się z nim stało? - spytała spokojnym tonem Francesca, opanowawszy gniew.

- Zatrzymałabym go w tajemnicy, umacniając kontrolę nad światowymi zapasami wody.

- Chciałam podarować swoje odkrycie światu. Ulżyć ludzkim cierpieniom, a nie czerpać z nich zyski - odparła z pogardą Francesca.

- To chwalebne, ale niepraktyczne. Przekonana o pani śmierci, postanowiłam skopiować pani dzieło i założyłam w Meksyku laboratorium. Niestety zniszczył je wybuch.

Francesca ledwo powstrzymała śmiech. Znała przyczynę eksplozji i kusiło ją, by oznajmić to olbrzymce prosto w twarz. Ale zamiast tego powiedziała:

- Nie dziwi mnie to. Eksperymentowanie z wysokim ciśnieniem i wysokimi temperaturami wiąże się z ryzykiem.

- Nieważne. Główne laboratorium, które mam tutaj, pracowało nad innym aspektem procesu. I wtedy przyszła dobra wiadomość o pani ucieczce z Amazonii. Wprawdzie znowu pani zniknęła, ale wiedziałam o pani związkach z NUMA. Śledziliśmy Troutów od ich powrotu do Stanów.

- Znow marnuje pani czas.

- Bynajmniej. Jeszcze nie jest za późno na wykorzystanie pani wiedzy w pracy dla mnie.

- W dziwny sposób werbuje pani pracowników. Po pierwszym porwaniu spędziłam dziesięć lat w puszczy. A teraz uśpiła mnie pani i porwała drugi raz. Dlaczego miałabym cokolwiek dla pani zrobić?

- Wesprę pani badania niespotykanymi subwencjami.

- Chętnie sfinansowałoby je wiele fundacji. Ale nawet gdybym była skłonna dla pani pracować, a nie jestem, istnieje pewien zasadniczy szkopuł. Proces odsalania wymaga skomplikowanej przemiany cząsteczkowej, która zachodzi tylko w obecności bardzo rzadkiej substancji.

- Wiem o anasazium. Wybuch w laboratorium w Meksyku zniszczył mój zapas tego materiału.

- To źle - odparła Francesca. - Bez niego proces jest niemożliwy. Jeśli więc z łaski swojej wypuści mnie pani...

- Z pewnością ucieszy panią wieść, że mam wystarczająco dużo anasazium, by dopracować metodę. Na wieść o pani powrocie zdobyłam znaczną ilość tego rarytasu. Dodam, że w samą porę. Bo NUMA wysłała z tym samym zadaniem część swojej ekipy do zadań specjalnych. Nareszcie mogę więc sfinalizować plan przejęcia kontroli nad słodką wodą na świecie. Tylko pani jest w stanie docenić jego genialną prostotę.

Francesca udała, że zadowolona z komplementu z wahaniem akceptuje jej propozycję.

- No cóż, udział w tak ambitnym przedsięwzięciu jest bardzo kuszący dla mnie, jako hydrologa - odparła.

- Świat wkracza właśnie w największy okres susz w swojej historii. Doświadczenia przeszłości wskazują, że może on potrwać nawet sto lat. Susze już dały się we znaki w Afryce, Chinach i na Bliskim Wschodzie. Pragnienie zaczyna dręczyć także Europę. A ja zamierzam przyśpieszyć ów proces wysychania świata.

- Proszę wybaczyć mój sceptycyzm, ale przecież to absurd.

- Doprawdy? - spytała z uśmiechem Brunhilda. - Sprawa dotyczy również Stanów. Wielkie miasta Środkowego Zachodu - Los Angeles, Phoenix, Las Vegas - mają wodę z rzeki Kolorado, a ja

ją kontroluję. Są uzależnione od niepewnej sieci tam, zbiorników i kanałów. Każde zakłócenie dostaw wody grozi im katastrofą.

- Czyba nie wysadzi pani zapory? - spytała zatrwożona Francesca.

- O tak prymitywnych metodach nie ma mowy. Miasta, w których regularne dostawy wody osiągnęły punkt krytyczny, uzależniają się coraz bardziej od dostawców prywatnych. Podstawione firmy Gokstad wszędzie wykupują systemy wodne. Żeby spowodować niedobór wody, wystarczy zakręcić kran. A będziemy ją sprzedawać jedynie tym, których na nią stać - wielkim miastom i nowoczesnym centrom przemysłowym.

- A co z tymi, których nie będzie stać?

- Na Zachodzie jest takie stare porzekadło: "Do pieniędzy nawet woda popłynie w górę". Bogaci zawsze zapewniali ją sobie tanio kosztem reszty. W moim planie nie ma dłuższej miejsca na tanią wodę. A przeprowadzimy go w skali świata, w Europie i Azji, w Ameryce Południowej i Afryce. Będzie to kapitalizm w najczystszej postaci. Cenę ustali rynek.

- Ale woda nie jest towarem jak półtusze wieprzowe.

- Za długo żyła pani w dżungli. Globalizacja to po prostu rozwój monopoli - w łączności, rolnictwie, przemyśle spożywczym, energetycznym. Dlaczego więc nie wodnym? W myśl nowych umów międzynarodowych państwa przestały być właścicielami swoich zasobów wodnych. Nabywa je ten, kto daje więcej, a najwięcej daje Gokstad.

- W krajach, które nie będą w stanie jej kupić, pojawi się głód i chaos.

- Chaos będzie nam sprzyjał. Otworzy Gokstad drogę do politycznego zdominowania osłabionych rządów. Zapanuje wodny darwinizm. Przetrwają najsilniejsi. - Lodowate niebieskie oczy Brunhildy zdawały się wwiercać w czaszkę Franceski. - Proszę nie myśleć, że to zemsta za afronty, których doznałam z powodu mego wzrostu. Jestem biznesmenką, która dobrze wie, że do prowadzenia interesów potrzebny jest odpowiedni polityczny klimat. Wymagało to dużych inwestycji. Wydałam miliony dolarów na zbudowanie floty tankowców, które będą przewozić wodę z miejsc, gdzie jest, holując ją w wielkich oceanicznych pojemnikach. Całe lata czekałam na tę chwilę. Nie ośmielałam się przystąpić do akcji z obawy przed pani metodą odsalania. Zniszczyłaby ona mój monopol w ciągu tygodni. Teraz, gdy mam panią i anasazium, czas przypuścić atak. Za kilka dni w zachodniej połowie Stanów zabraknie wody.

- Niemożliwe!

- Czyżby? Zobaczmy. Po odcięciu dostaw wody z rzeki Kolorado reszta pójdzie jak z płatka. Moja firma kontroluje większość zasobów słodkiej wody w innych częściach świata. Po prostu zakręcimy kurki. Nie od razu, stopniowo, z czasem coraz bezwzględniej. W razie skarg odpowiemy, że produkujemy tyle wody, ile jesteśmy w stanie.

- Zna pani konsekwencje - powiedziała spokojnie Francesca. - To oznacza zamienienie większości świata w pustynię. Skutki będą straszne.

- Dla niektórych, lecz nie dla właścicieli światowych zasobów wody. Ludzie zapłacą każdą cenę, jakiej zażądamy.

- Owszem, nie mając innego wyjścia. Ale szybko się wyda, jaki z pani potwór.

- Przeciwnie. Gokstad ogłosi, że dzięki zbudowanej przeze mnie flocie tankowców jesteśmy gotowi do transportu wody z Alaski, Kolumbii Brytyjskiej i Wielkich Jezior w inne rejony świata. Kiedy nasze piękne tankowce pojawią się na tym wybrzeżu, zostaniemy okrzyknięci bohaterami.

- Już i tak jest pani bogata ponad najśmielsze marzenia. Po co pani więcej bogactw?

- W sumie świat na tym skorzysta. Zapobiegę w ten sposób wojnom o wodę.

- *Pax Gokstadiana*, narzucony siłą?

- Siła nie będzie konieczna. Nagrodzę tych, którzy mi się podporządkują, a ukazę opornych.
- Skazując ich na śmierć z pragnienia.
- Jeśli zajdzie potrzeba. Pewnie zastanawia się pani, jak się ma do tego pani metoda odsalania.
- Domyślam się, że nie pozwoli pani, aby zepsuła pani szaleńczy plan.
- Przeciwnie, odgrywa w nim bardzo ważną rolę. Nie zamierzam utrzymywać moich tankowców w morzu w nieskończoność. Są one jedynie tymczasowym rozwiązaniem, które przestanie być potrzebne, gdy świat zbuduje infrastrukturę umożliwiającą dopływ wody z czapy lodowej bieguna. Ogromne połacie gruntów rolnych obrócone w pustynię znów ożyją dzięki nawodnieniu na olbrzymią skalę.
- Nikogo nie będzie na to stać.
- Tym łatwiej będzie kupić całe kraje na przymusowej wyprzedaży. A na koniec zbuduję odsalarnie wody według pomysłu Franceski Cabral, w pełni zawiadując ich produkcją.
- Sprzedaną temu, kto da więcej.
- Oczywiście. A oto moja nowa propozycja. Umieszczę panią w laboratorium, dając do dyspozycji wszystko, co potrzeba.
- A jeżeli odmówię?
- Wtedy przekazę pani przyjaciółkę z NUMA braciom Kradzikom. Nie umrze szybko i nie czeka jej przed śmiercią nic dobrego.
- W niczym nie zawiniła. Nie ma nic wspólnego z tą sprawą.
- Ale jest gwoździem, który należy wbić w razie konieczności.

Francesca nie odpowiedziała.

- Skąd wiem, że mogę pani ufać? - spytała po chwili.
- Mnie nie można ufać, doktor Cabral. Powinna pani wiedzieć, że nie wolno ufać nikomu. Ale jako osoba inteligentna orientuje się pani, że ponieważ jest pani dla mnie o wiele cenniejsza niż życie tej kobiety, jestem skłonna dobić targu. Od pani współpracy ze mną zależy, czy ona zachowa życie. Zgoda?

Franceska czuła odrazę do tej kobiety, i do pomysłów zrodzonych w mrocznych zakamarkach jej błyskotliwego umysłu. Brunhilda była megalomanką, tak jak inni tego rodzaju ludzie, całkowicie obojętną na cierpienia niewinnych jednostek. Ale przecież biała królowa nie przetrwałaby dziesięciu lat pośród dzikich łowców głów, nietoperzy wampirów, kęsających owadów i trujących roślin, gdyby nie siła ducha. Była sprytna, przebiegła i podstępna. Żyjąc w dżungli, nabrała cech dzikiego jaguara. A od chwili ucieczki stamtąd pałała żądzą zemsty. Pomyślała, że tę kobietę należy powstrzymać za wszelką cenę.

Ulegle opuściła głowę i załamującym się głosem powiedziała:

- Wygrała pani. Pomogę wdrożyć mój proces.
- Dobrze. Pokażę pani laboratorium, w którym będzie pani pracować. Na pewno zrobi na pani wrażenie.
- Chcę porozmawiać z Gamay. Upewnić się, że nic jej nie jest.

Brunhilda nacisnęła przycisk interkomu i zjawiło się dwóch mężczyzn w ciemnozielonych mundurach. Ku uldze Franceski nie byli to bracia Kradzikowie.

- Zaprowadźcie doktor Cabral do naszego drugiego gościa - poleciała Brunhilda. - A potem wróćcie z nią tu. Ma pani dziesięć minut - oznajmiła Francesce. - Chcę, by natychmiast przystąpiła pani do pracy.

Dwaj strażnicy powiedli Franceskę labiryntem korytarzy do windy i zjechali z nią kilka pięter w dół. Tam kodem cyfrowym otworzyli nieoznakowane drzwi i zostali na zewnątrz. Francesca weszła

do małego pomieszczenia bez okien. Gamay siedziała na brzegu polówki, oszołomiona jak bokser, który otrzymał o jeden cios za dużo. Na widok Franceski rozpromieniła się i uśmiechnęła.

Spróbowała wstać, ale nogi ugięły się pod nią.

- Dobrze się czujesz? - spytała Francesca, siadając przy niej i otaczając ją ramieniem.

Gamay odgarnęła zmierzwiłone włosy.

- Nogi mam jak z waty, ale już mi lepiej - odparła. - A co z tobą?

- Dali mi środek pobudzający. Obudziłam się jakiś czas temu. Twój środek nasenny wkrótce przestanie działać.

- Czy ktoś wspomniał, co się stało z Paulem? Kiedy wpadli ci porywacze, był na górze.

Francesca pokręciła przecząco głową.

- Czy domyślasz się, gdzie jesteśmy? - spytała Gamay, starając się nie myśleć o najgorszym.

- Nie. Nasza gospodyni nie chciała powiedzieć.

- Czyżbyś rozmawiała z kimś, komu zawdzięczamy ten komfort?

- Nazywa się Brunhilda Sigurd. To jej ludzie nas porwali.

Gamay chciała coś powiedzieć, ale Francesca wzrokiem nakazała jej milczenie. Bez wątpienia podsłuchiowano ich rozmowę i obserwowano je.

- Mam tylko kilka minut - dodała szybko Francesca. - Chciałam, żebyś wiedziała, że zgodziłam się pracować z panią Sigurd nad procesem odsalania. Musimy tutaj zostać, dopóki go nie skończę. Nie wiem, ile czasu mi to zajmie.

- Będziesz pracować z osobą, która nas porwała?

- Tak - odparła Francesca. - Dziesięć lat życia zmarnowałam w dżungli. Można na tym zarobić mnóstwo pieniędzy, a poza tym wierzę, że dzięki Gokstad mój proces zostanie udostępniony światu w sposób uporządkowany i kontrolowany.

- Czy na pewno tego chcesz?

- O tak, jak najbardziej.

Drzwi odsunęły się w bok i jeden ze strażników dał Francesce znak, że czas iść. Skinęła głową, nachyliła się ku Gamay, uściśnęła ją, a potem szybko wstała i odeszła ze strażnikami. Pozostawszy sama, Gamay rozważyła sytuację. Kiedy ich wzrok spotkał się, Francesca puściła do niej oko. Na pewno. Ucieszyła się, że w zdumiewającym wyznaniu przyjaciółki o współpracy z wrogiem kryje się jakiś fortel, ale nie to było w tej chwili dla niej najważniejsze. Położyła się na polówce i zamknęła oczy. Najpierw musiała odpocząć. A potem pomyśli o ucieczce.

Unoszący się wysoko w górze nad kobaltowymi wodami jeziora Tahoe mężczyzna wisiał pod czerwono-białą parolotnią, wyдутą jak czasza spadochronu. Przytwierdzony był liną do pędzącej sześćdziesiąt metrów pod nim motorówki z wyciągarką.

Lotniarz włączył radio, które trzymał w ręku.

- Jeszcze jedno kółko, Joe - powiedział.

Kierujący łodzią Zavala pomachał Austinowi ręką, potwierdzając, że usłyszał jego instrukcję. Wprowadził motorówkę w szeroki zakręt, by powrócić wzdłuż brzegu jeziora po jego kalifornijskiej stronie.

Manewr ten otworzył przed Austinem widok na panoramę wód. Jezioro Tahoe rozpościera się na granicy stanów Kalifornia i Nevada w górach Sierra Nevada, trzydzieści siedem kilometrów na południowy zachód od Reno. Otoczone pierścieniem dzikich gór, w zimie pokrytych śniegiem, jest największym wysokogórskim jeziorem w Stanach Zjednoczonych. Leży na wysokości tysiąca siedmiuset metrów w niecce utworzonej przez ruchy tektoniczne, ma pięćset metrów głębokości, trzydzieści siedem kilometrów długości i około dziewiętnastu kilometrów szerokości. Dwie trzecie jego trzystudwudziestokilometrowej powierzchni znajduje się w Kalifornii. Na pomocy wpada do niego rzeka Truckee. Na południu zaś - do sejfów mieszczących się na granicy dwóch stanów kasyn, w których gra się o wysokie stawki - wpływa rzeka pieniędzy. Pierwszym białym odkrywcą tego akwenu był John C. Fremont, podróżnik i kartograf. Dla mówiących po angielsku nazwa, jaką nadali jezioru Indianie z plemienia Washoe, Da-ow, "dużo wody", brzmiała jak Tahoe i w tej formie się przyjęła.

Zataczając szeroki łuk na parolotni, Austin skupił uwagę na konkretnym odcinku brzegu z ciemnym lasem. Zamiast utrwaląc ów widok w niedoskonałej pamięci, wolałby użyć do tego kamery wideo lub aparatu fotograficznego, ale z Gokstad z pewnością pilnie śledzono wszelki ruch w ich pobliżu. Jakakolwiek oznaka zbytniego zainteresowania, w rodzaju obiektywu kamery skierowanego w niewłaściwą stronę, wywołałaby tam alarm.

Przeleciał obok długiego mola, sterczącego ze skalistego brzegu. Stała przy nim zacumowana motorówka. Za hangarem na łodzi, czy też magazynem, wznosiły się stromo w górę czarne skały, tworzące płaskowyż porośnięty gęstym lasem. Wystające ponad korony drzew wieże, wieżyczki i dachy przywodziły na myśl zamkowe fortyfikacje z baśni braci Grimm.

Wtem dostrzegł nagły ruch. Na molu pojawiła się grupa biegnących mężczyzn w ciemnych ubraniach. Był za daleko, by dojrzeć szczegóły, ale wcale by się nie dziwił, gdyby jego zdjęcia na parolotni trafiły do rodzinnego albumu Gokstad.

Motorówka odciągnęła go kilometr dalej i stracił molo z oczu. Gdy znaleźli się w bezpiecznej odległości, dał Zavali znak, że chce wylądować. Wyciągarka ściągnęła go w dół. Fotel, na którym siedział, opadł na wodę i zaczął się na niej unosić. Austin był zadowolony, że udało mu się nie skąpać w jeziorze. Nawet w lecie temperatura wody w Tahoe nie przekraczała kilkunastu stopni.

- Wypatrzyłeś coś ciekawego? - spytał Zavala, pomagając mu wejść na motorówkę.

- Nie było transparentu z napisem "serdecznie witamy".

- Ale na przystani widziałem jakiś komitet powitalny.

- Wybiegli jak oparzeni podczas naszej drugiej rundy. Mieliśmy rację co do tej ochrony.

Słusznie założyli, że teren Gokstad będzie dobrze strzeżony i że nie ma co bawić się w podchody.

Uznając, iż najprostsze metody są często najskuteczniejsze, plikiem banknotów i legitymacjami NUMA przekonali właściciela motorówki z wciągarką i parolotni, by pożyczył im je na kilka godzin. Dali mu do zrozumienia, że prowadzą śledztwo przeciwko mafii, w co nietrudno było uwierzyć, zważywszy bliskość kasyn. A ponieważ było po sezonie, przystał on na transakcję, na której zarobił więcej niż przez tydzień.

Po spakowaniu parolotni Austin wyjął z wodoszczelnej torby notes i pióro. Sporządził kilka szkiców tego, co zobaczył z góry, i porównał je ze zdjęciami satelitarnymi, dostarczonymi przez Yaegera. Na szczycie urwiska schody biegnące od przystani łączyły się z chodnikiem, który rozszerzał się w drogę wiodącą do głównego kompleksu budynków. W bok od tej drogi znajdowało się lądowisko helikopterów.

- Bezpośredni frontalny atak od strony jeziora nie wchodzi w rachubę - powiedział.

- Nie powiem, żebym tego żałował. Wciąż pamiętam strzelaninę na Alasce - odparł Zavalą.

- Liczyłem, że zajrzę pod wodę. Dawniej to jezioro było krystalicznie czyste, ale ścieki z osiedli na brzegach spowodowały rozrost glonów.

Zavalą pilnie przypatrywał się innej fotografii. Po naradzie strategicznej w centrali NUMA Austin ściągnął z NOAA - Narodowego Urzędu Oceanograficznego i Atmosferycznego - zdjęcie satelitarne jeziora. Pokazywało ono w kolorach rozkład temperatury wody. Niemal całe Tahoe miało barwę niebieską, z wyjątkiem miejsca przy zachodnim brzegu, gdzie czerwień sygnalizowała podwyższoną temperaturę. Podgrzana woda znajdowała się bezpośrednio pod mołem Gokstad. Impuls cieplny był podobny do tego w oceanie przy wybrzeżu Baja California.

- Zdjęcia nie kłamią - powiedział. - Choć nie można wykluczyć gorącego źródła.

Austin zmarszczył czoło.

- No dobrze - odparł - powiedzmy, że masz rację i że mieści się tu podwodne laboratorium, takie jak to w Meksyku. W takim razie nie rozumiem jednego. Przecież chodzi o odsalarnię. A to jest jezioro słodkowodne.

- Zgadzam się, że nie ma w tym sensu. Ale wątpliwości możemy rozwiązać tylko w jeden sposób.

Wróćmy i zobaczymy, czy przyszła nasza paczka.

Austin uruchomił silnik i pomknął w stronę Południowego Tahoe. Ślizgając się po intensywnie niebieskich wodach jeziora, niebawem zawinęli do przystani. Z końca wąskiego mola pomachał im ręką Paul Trout. Świeża rana za bardzo mu dokuczała, by mógł pływać podskakującą na falach łodzią. Zdrową ręką chwycił linę i przycumował ich do mola.

- Przyszła wasza paczka - oznajmił. - Stoi na parkingu.

- Szybko - zdziwił się Austin. - Chodźmy popatrzeć.

Ruszył z Zavalą w tamtą stronę.

- Zaczekajcie! - zawołał Paul.

- O wszystkim dowiesz się później - rzucił przez ramię Austin, jak najszybciej pragnąc obejrzieć przesyłkę.

Paul pokręcił głową.

- Tylko mi nie mówcie, że was nie ostrzegłem - mruknął.

Ciężarówka stała z samego boku, a na niej coś, co przypominało kształtem dwa samochody osobowe, stojące jeden za drugim. Przedmiot ów spowity był w miękki materiał i ciemny plastik. Kiedy Austin podszedł, by się lepiej przyjrzeć, z szoferki od strony pasażera wysiadła znajoma postać. Jim Contos, kapitan "Żaboryby", podszedł do nich z uśmiechem na twarzy.

- A to dopiero - mruknął Zavala.
- Jim! Co za miła niespodzianka! - powiedział Austin.
- Co tu jest, do diabła, grane, Kurt? - spytał bez uśmiechu Contos.
- Nagła sprawa, Jim.

- Wiem, że nagła, bo Rudi Gunn zadzwonił do mnie w trakcie testów SeaBusa na morzu i kazał go migiem zawieźć nad Tahoe. Przyjechałem więc z San Diego, żeby sprawdzić dla kogo to.

Austin dostrzegł stolik i zaproponował, by usiedli. A potem przedstawił sytuację, pokazując zdjęcia i rysunki. Contos w milczeniu słuchał wyjaśnień i jego posępne oblicze chmurzyło się coraz bardziej.

- Tak to wygląda - podsumował Austin. - Kiedy zobaczyliśmy, że dostać się tam można tylko w jeden sposób, sprawdziliśmy, która z łodzi jest najbliżej. Niestety okazało się, że ta, którą testowałeś.

- Po co ta ciuciubabka? - Czy nie lepiej tam po prostu wejść?

- Przede wszystkim to miejsce jest lepiej strzeżone niż Fort Knox. Sprawdziliśmy dostęp od strony lądu. Wystarczy odetchnąć, aby uruchomić alarmy w ogrodzeniu z drutu żyłkowego. Cały czas pilnie strzegą go patrole. Wjechać tam i wyjechać można tylko jedną drogą. Biegnie ona przez silnie strzeżony, gęsty las. Gdybyśmy wysłali tam oddział specjalny policji z karabinami, pewnie byłyby ofiary. A jeśli mylimy się i naszych kobiet tam nie ma? Jeśli wszystko za tymi drutami jest zgodne z prawem?

- Ale ty tak nie myślisz?

- Ja nie.

Contos spojrział na żaglówki, spokojnie sunące pojezierze.

- Myślisz, że twoja żona tam jest? - spytał Paula, który się do nich przysiadł.

- Tak. I mam najszczerzy zamiar wydostać ją stamtąd.

- Przydałaby ci się zapasowa ręka - odparł Contos, spostrzegając temblak. - A twoim przyjaciółom pomoc przy zwodowaniu SeaBusa.

- Zaprojektowałem go - przypomniał Zavala.

- Świetnie o tym wiem, ale go nie testowałeś, więc nie znasz jego narowów. Na przykład baterie mają działać przez sześć godzin, a wystarczają zaledwie na cztery. Z tego, co mówicie, wynika, że to laboratorium jest kawał stąd. Pomyśleliście chociaż, jak go dostarczyć na miejsce?

Austin i Zavala wymienili rozbawione spojrzenia.

- Prawdę mówiąc, załatwiliśmy już środek transportu - odparł Austin. - Chcesz go zobaczyć?

Kapitan "Żaboryby" skinął głową. Wstali od stolika i przez parking poszli na przystań. W miarę zbliżania się do wody Contos miał coraz bardziej zdziwioną minę. Przyzwyczajony do super sprzętu NUMA, wypatrywał nowoczesnego barkowca z żurawiami. Lecz nic takiego tam nie było.

- I gdzie ten wasz środek transportu? - spytał.

- Właśnie nadpływa - odparł Austin.

Contos spojrział na jezioro i zrobił duże oczy, bo w ich stronę płynął staroświecki tylnokołowiec. Pomalowany na czerwono, biało i niebiesko statek przyozdobiony był turkoczającymi chorągiewkami.

- Żartujesz! - nie wytrzymał. - Chcesz ją zwodować z tego statku?! Wygląda jak tort weselny.

- Ta łajba codziennie przepływa przez jezioro w obie strony. Nikt już nie zwraca na nią uwagi.

Świetnie nadaje się do tajnej akcji, prawda, Joe?

- Podobno serwują na niej bardzo smaczne śniadania - odparł z poważną miną Zavala.

Contos wpatrzył się ponuro w zbliżający się statek. A potem bez zapowiedzi obrócił się na pięcie i ruszył na parking.

- Hej, kapitanie, dokąd to?! - zawołał za nim Austin.
- Do ciężarówki po moje banjo.

Francesca stała na pokładzie okrętu wikingów, napawając oczy jego opływowymi kształtami, pięknym pełnym gracji zadartym dziobem i takąż rufą, malowanym kwadratowym żaglem. Nawet grube klepkowe poszycie kadłuba i duża ciężka stępka miały swój wdzięk. Rozejrzała się po wielkiej, oświetlonej pochodniami komnacie ze sklepionym sufitem i udekorowanymi średniowieczną bronią wysokimi kamiennymi ścianami, nie mogąc się nadziwić, jak czemuś tak pięknemu można dać tak dziwną, ponurą i brzydką oprawę. Stojąca przy rumplu Brunhilda Sigurd wzięła jej milczenie za podziw.

- To arcydzieło, prawda? - zagadnęła. - Norwegowie, którzy przed dwoma tysiącami lat zbudowali pierwowzór tego statku, nazywali go *skuta*. Nie był wprawdzie tak wielki, jak smoczy okręt - *drakkar* - za to najszybszy. Zleciłam odtworzyć go w każdym szczególe, począwszy od dębowych klepek po przędzę z krowiej sierści, używaną do uszczelniania. Ma dwadzieścia cztery metry długości i pięć szerokości. Oryginał znajduje się w Oslo. Jego pierwowzór przepłynął Atlantyk. Na pewno zastanawia się pani, dlaczego zadałam sobie tyle trudu, żeby go zbudować i umieścić w tej wielkiej sali.

- Niektórzy zbierają znaczki, inni stare samochody. Są różne gusta - odparła Francesca.

- To coś więcej niż kaprys kolekcjonera.

Brunhilda zdjęła dłoń z rumpla i podeszła do niej. Górowała nad Franceską muskularnym ciałem, ale nie samą posturą budziła grozę. Wyglądała na taką, co potrafi miotać pioruny.

- Wybrałam ten okręt na symbol moich niepomiaralnych dóbr, ponieważ ucieleśnia ducha wikingów - oznajmiła. - Pływali nim ci, którzy zagarniali, co tylko chcieli. Często zachodzę tu po natchnienie. Podobnie będzie z panią, doktor Cabral. Chodźmy, pokażę pani, gdzie będzie pani pracować.

Po krótkich odwiedzinach u Gamay, Franceskę odprowadzono do orlego gniazda Walhalli. Brunhilda poprowadziła ją zdumiewającym labiryntem korytarzy, który przypominał wnętrze statku wycieczkowego. Wprawdzie nikt ich nie pilnował, ale Francesce do głowy by nie przyszło uciekać. Nawet gdyby udało się jej jakimś cudem obezwładnić olbrzymkę, i tak by się tu zgubiła. A poza tym podejrzewała, że w pobliżu są strażnicy.

Wsiadły do windy, która zjechała w dół z prędkością, od której uginały się kolana. Znalazły się w pomieszczeniu, gdzie czekał wagonik na jednej szynie. Brunhilda wskazała Francesce miejsce z przodu, a sama usiadła z tyłu, w przedziale dostosowanym do jej wzrostu. Ich ciężar uruchomił akcelerator. Wagonik wjechał do oświetlonego tunelu i przyspieszył. Gdy zdawało się już, że wymknie się komputerom kontrolującym jego szybkość, zwolnił i zatrzymał się w pomieszczeniu takim samym jak to, które dopiero co opuściły.

Tu również była winda. Miała kształt jaja o ścianach z przezroczystego plastiku. Znajdowały się w niej fotele dla czworga osób normalnej postury. Drzwiczki zamknęły się z sykiem i winda ruszyła w ciemność, która wkrótce nabrała niebieskiego koloru. Obserwując przez przezroczyste ściany grę światła i cieni, Francesca uzmysłowiła sobie, że otacza ich woda. Pociemniało, a potem nagle zrobiło się jasno, jakby zaświecił reflektor.

Drzwi otworzyły się i obie wysiadły. Francesca ledwo mogła uwierzyć oczom. Znajdowały się w

jasno oświetlonym, okrągłym pomieszczeniu o średnicy trzydziestu metrów, z kopulastym dachem. Trudno było określić dokładnie jego wymiary, ponieważ wypełniały je grube rury, węzownice i kadzie wszelkich rozmiarów. Pośród tych przewodów i zbiorników krzątało się w milczeniu lub gapiło w monitory komputerowe kilkunastu techników w białych fartuchach.

- No i co pani na to? - spytała z wyraźną dumą Brunhilda.

- Niewiarygodne! - odparła z niekłamany podziwem Francesca. - Gdzie jesteśmy, na dnie morza?

Olbrzymka uśmiechnęła się.

- Tu będzie pani pracować - powiedziała. - Chodźmy, oprowadzę panią.

Chociaż rury szły w różnych kierunkach, w tym szaleństwie była metoda. Wszystkie rury ostatecznie zbiegały się w środku pomieszczenia.

- Tu ustawia się parametry oddziałujące na materiał rozszczepialny - wyjaśniła Brunhilda, wskazując na migające światła na tablicy sterowniczej. - Nasze podwodne laboratorium stoi na czterech nogach. Dwie z nich służą ponadto jako rury wlotowe, a drugie dwie jako wylotowe. Ponieważ znajdujemy się w akwenu słodkowodnym, dlatego najpierw dodajemy do wody sól i minerały morskie, które są w tych pojemnikach.

Przeszły do środka pomieszczenia, które zajmował potężny cylindryczny zbiornik mający sześć metrów średnicy i trzy wysokości.

- Z pewnością jest w nim anasazium - powiedziała Francesca.

- Właśnie. Woda opływa rdzeń, a następnie przez dwa wsporniki powraca do jeziora.

Wróciły do głównej tablicy sterowniczej.

- No i co, doktor Cabral, jak bliscy jesteśmy powtórzenia pani procesu? - spytała Brunhilda.

Francesca sprawdziła wskazania przyrządów pomiarowych.

- Chłodzenie, napięcie prądu, temperatura, wszystko w porządku. Jesteście blisko, bardzo blisko.

- Poddaliśmy anasazium działaniu ciepła, zimna i elektryczności, ale z ograniczonymi sukcesami.

- Nic dziwnego. Brak drgań akustycznych.

- Oczywiście!

- Pojęliście zasadę, ale proces nie uda się bez poddania materiału działaniu fal dźwiękowych o pewnym natężeniu, zharmonizowanych z innymi siłami. To tak, jakby z kwartetu smyczkowego zabrać wiolonczelę.

- Błyskotliwe! Jak pani to odkryła?

- Wystarczyło pomyśleć nieszablonowo. Jak pani wie, do tej pory istniały trzy główne metody odsalania wody. W elektrodializie i osmozie odwróconej naelektryzowana woda przepływa przez membrany, które usuwają sól. Trzecia metoda to destylacja, polegająca na odparowaniu wody w taki sam sposób, w jaki pod wpływem słońca paruje woda w oceanach. Wszystkie trzy wymagają ogromnych nakładów energii, przez co koszty odsalania rosną nadmiernie. Moja metoda polega na zmianie struktury cząsteczkowej i atomowej. W trakcie procesu powstaje energia, która go podtrzymuje. Najmniejsza niedokładność i wszystko na nic.

- Ile czasu potrzeba na przystosowanie tego laboratorium do pani wymagań?

- Tydzień.

- Trzy dni - oświadczyła Brunhilda.

- Skąd ten pośpiech?

- Zwołałam zebranie zarządu Gokstad. Przyjadą tu ludzie z wszystkich kontynentów. Chcę zademonstrować im pani proces. Kiedy zobaczą efekty, powrócą do swoich krajów i przystąpimy do realizacji globalnego planu.

- Uporam się z tym w dwadzieścia cztery godziny - odparła Francesca po krótkim zastanowieniu.
- To znacznie krócej niż tydzień.
- Kiedy mam motywację, pracuję szybciej. Ale nie za darmo.
- Pani nie może się ze mną targować.
- Wiem. Chcę jednak, żeby wypuściła pani moją przyjaciółkę. Uspiliście ją. Nie ma pojęcia, gdzie jest ani jak tutaj trafiła. Nigdy pani nie zidentyfikuje i nie sprawi kłopotów. Uwięziono ją tutaj, żebym uruchomiła odsalarnię. Potem nie będzie już pani potrzebna.
- Zgoda - odparła Brunhilda. - Wypuszczę ją, jak tylko zobaczę pierwszą szklanę czystej wody.
- A jakie mam gwarancje, że dotrzyma pani słowa?
- Żadnych. Przecież i tak nie ma pani wyjścia.

Francesca skinęła głową.

- Będzie mi potrzebny sprzęt i bezwzględny posłuch.
- Cokolwiek pani zechce - odparła Brunhilda i przywołała gestem kilku techników. - Doktor Cabral ma otrzymać wszystko, czego zażąda, zrozumiano?

Na jej rozkaz inny technik przyniósł poobijaną aluminiową walizeczkę.

- To chyba pani własność - powiedziała Brunhilda. - Znalezliśmy ją w domu pani znajomych. Muszę iść. Proszę mnie wezwać, kiedy będzie pani gotowa do przeprowadzenia próby.

Francesca miłośnie pogładziła dłonią walizeczkę, w której był jej roboczy model procesu odsalania.

Brunhilda Sigurd odmaszerowała do windy. Kilka minut potem powróciła do komnaty na wieży. Czekali tam na nią bracia Kradzikowie, których wezwała przez telefon.

- Po tylu latach czekania i rozczarowań proces doktor Cabral wkrótce będzie nasz - oznajmiła triumfalnie.

- Kiedy? - spytał jeden z bliźniaków.
- Powinien zacząć działać za dwadzieścia cztery godziny.
- Nie, nie - odezwał się drugi bliźniak, błyskając metalowymi zębami. - Kiedy zabawimy się z tymi kobietami?

Powinna była się tego domyślić. Bracia byli jak dwa roboty zaprogramowane wyłącznie na torturowanie i mordy. Po uruchomieniu procesu odsalania nie zamierzała darować Francesce życia. Zazdrościła jej osiągnięć naukowych i urody, a po za tym chciała się zemścić za to, że straciła przez nią dużo czasu i pieniędzy. Do Gamay nie żywiła szczególnych uraz. Tyle tylko, że lubiła załatwiać sprawy do końca.

- Wkrótce - odparła z lodowatym uśmiechem.

Śniady nocny strażnik, były żołnierz piechoty morskiej, stał na końcu mola Walhalli i palił papierosa. Kiedy zjawił się jego zmiennik i poprosił o raport, zmrużonymi oczami spojrzał na lśniące w słońcu jezioro i pstryknięciem posłał niedopałek do wody.

- Ruch jak w ulu - odparł śpiewnym akcentem z Alabamy. - Całą noc latały śmigłowce.

Na dźwięk łopat nadlatującego helikoptera były żołnierz Zielonych Beretów, zmiennik strażnika, spojrzał w górę.

- Mamy następnych gości - powiedział.

- Co się dzieje? Pracuję w nocy, a śpię w dzień, więc mało do mnie dociera.

- Na naradę zlatują się grube ryby. Cała załoga na nogach, a teren strzeżony jak nigdy. - Zmiennik spojrzał na jezioro. - Płynie "Królowa Tahoe", punktualnie.

Podniósł lornetkę do oczu i skierował ją na tylnokołowiec sunący wolno w stronę północnego krańca jeziora. "Królowa Tahoe" przypominała trochę parowiec z filmu *Statek komediantów*. Pomalowana na biało wyglądała jak polukrowana, a jej dwa pokłady oddzielone były jasnoniebieskim pasem.

Z przodu miała dwa wysokie czarne kominy, a młócące spokojną wodę jeziora, pchające ją naprzód koła łopatkowe były w oczy jaskrawą czerwienią. Na górnym pokładzie trzepotały na wietrze czerwone, białe i niebieskie chorągiewki.

- Hmm - mruknął strażnik, lustrując pokład. - Niewielu tam dziś turystów.

Nie byłby tak spokojny, gdyby wiedział, że przyglądają mu się te same zielone jak rafa koralowa oczy, które wczoraj patrzyły na niego spod parolotni. Austin stał w przypominającej kształtem pudełko cygar sterówce na pokładzie dziobowym. Obserwował strażników na molu, oceniając ich czujność. Widział, że są uzbrojeni, ale najwyraźniej się nudzili.

Przy sterze stał kapitan statku, pochodzący z Emerald Bay, doświadczony weteran żeglugi jeziorowej.

- Zwolnić o parę węzłów? - spytał.

Tylnokołowiec był zbudowany z myślą o wygodzie, a nie szybkości podróży. Jeśli zwolni jeszcze bardziej, stanie w miejscu, pomyślał Austin.

- Płyniemy tak jak teraz, kapitanie - odparł. - Ze spuszczeniem łodzi nie powinno być problemu.

Spojrzał na molo i zobaczył, że jeden strażnik odchodzi, a drugi się chowa. Liczył, że utnie sobie drzemkę.

- Dziękuję za pomoc. - Wyciągnął dłoń. - Mam nadzieję, że nie sprawiliśmy panu kłopotu, wynajmując statek w ostatniej chwili.

- Żegluję tą łajbą tam i z powrotem i jest mi obojętne, kto nią płynie. A poza tym ten rejs jest znacznie ciekawszy od zwykłej wycieczki.

Firma żegluga nie chciała tracić dziennych dochodów, a przekonanie jej, że wynajęcie statku jest sprawą wagi państwowej, wymagało sięgnięcia do kieszeni i telefonów z samego Waszyngtonu.

- Cieszę się, że sprawiliśmy panu frajdę - powiedział Austin. - Pora. ruszać. Kiedy pan nas wysadzi, nie zwalnijcie.

- A jak wrócicie?

- Właśnie się zastanawiamy - odparł z uśmiechem Austin.

Opuścił sterówkę i zszedł do przestronnego salonu na dolnym pokładzie. Zwykle byłoby tam pełno turystów, którzy jedząc i pijąc podziwialiby wspaniałe krajobrazy. Dziś siedzieli tam tylko dwaj ludzie, Joe i Paul - Zavalą włożył już wojskowy skafander z czarnym kapturem, a Trout przeglądał jakiś wykaz. Austin szybko się przebrał, a potem wraz z Zavalą przeszedł przez furkę w relingu, przez którą wsiadali i wysiadali pasażerowie.

Gdyby nie wisząca przy burcie tylnokołowca drewniana platforma, wpadliby do wody. Zbudowana na morskich pontonach ratowniczych - podłużnych kioskach z mocnego nylonu - tratwa mogła unieść kilka ton. Rankiem umieścili na niej łódź podwodną. Contos sprawdzał właśnie, czy podczas pośpiesznego montażu nie popełnili większych błędów.

- Jak wygląda? - spytał Austin.

- Nie tak dobrze jak ta, którą Huckleberry Finn pływał po Missisipi - odparł Contos, kręcąc głową. - Ale obleci z braku laku.

- Dzięki za takie uznanie dla naszego skutniczego kunsztu - rzekł Zavalą.

- Postarajcie się jej nie stracić - powiedział Contos. - No bo na czym będę przeprowadzał testy?

Bez osłaniających go płacht Seabus wyglądał jak gruba plastikowa kiszka. Był wersją turystycznej łodzi podwodnej pływającej na Florydzie, przeznaczoną do transportu ekip pracujących pod wodą na średnich głębokościach. W przezroczystym sztywnym kadłubie z akrylu przewoził do sześciu osób wraz ze sprzętem. Kadłub spoczywał na grubych, okrągłych płozach, kryjących balast, zbiorniki trytowe i pędniki. Wyżej, przy burtach, znajdowały się dodatkowe zbiorniki balastowe i pojemniki ze sprężonym powietrzem. Tę zewnętrzną konstrukcję spajała ze sztywnym kadłubem twarda okrągła rama. Dwuosobowy kokpit umieszczono z przodu łodzi, a z tyłu znajdowało się jej elektryczno-hydrauliczno-mechaniczne serce i śluza powietrzna, umożliwiająca nurkom opuszczanie i powrót do Seabusa pod wodą.

- Zbliżamy się do celu - oznajmił Trout i spojrzał na zegarek. - Trzy minuty do wodowania.

- Jesteśmy gotowi - odparł Austin. - A jak z tobą, Paul?

- Nie może być lepiej - odparł z niepewnym uśmiechem Trout.

Wcale nie czuł się dobrze. Bardzo martwił się o Gamay i strasznie pragnął wziąć udział w tej akcji. Niemniej wiedział, że ze swoją niesprawną ręką tylko by zawadzał. Austin przekonał go, że na powierzchni jest potrzebny ktoś trzeźwo myślący, kto w razie niebezpieczeństwa wezwie wojsko.

Do przeniesienia łodzi podwodnej na tratwę sprowadzili dźwig. "Królowa Tahoe" odpłynęła wczesnym rankiem, zanim na nabrzeżu zrobił się ruch. Trzymała się blisko brzegu aż do chwili, kiedy zawsze wyruszała w rejs. Mimo dużego obciążenia holowana tratwa huśtała się i kołysała na boki. Na dany sygnał Zavalą i Austin jednocześnie przekłuli nożami nylonowe pontony. Głośny syk powietrza szybko przeszedł w bulgotanie. Pontony sflaczały. Kiedy tył tratwy zanurzył się w wodzie, odpięli liny przytrzymujące łódź podwodną, weszli do niej przez właz rufowy, sprawdzili szczelność i usadowili się w kokpicie.

Przód tratwy uniósł się w górę, lecz wkrótce opadł i zaczął tonąć, bo z pontonów uszło powietrze. Jak na tak nowoczesną łódź podwodną, była to prymitywna metoda wodowania, ale zdała egzamin. Po zatonięciu tratwy Seabus utrzymał się na wodzie. Zatańczył w kilwaterze tylnokołowca i zniknął w pianie ubitej przez łopaty kół na rufie. Kiedy opuścili się niżej, woda z niebieskozielonej stała się granatowoczarna.

Austin wyregulował balast i zawiśli piętnaście metrów pod powierzchnią. Napędzane bateriami silniki zawyły, gdy Zavalą dodał gazu i skierował łódź w stronę brzegu. Na szczęście nie natrafili na żaden prąd przeciwny i mogli utrzymać prędkość dziesięciu węzłów. Osiem kilometrów do brzegu

pokonali w pół godziny.

Zavala kierował łodzią, Austin śledził ekran hydrolokatora. Skaliste urwisko, sięgające na trzydzieści metrów w głąb jeziora, miało u podstawy szeroką półkę. Na niej, bezpośrednio pod pływającym mołem, sonar wykrył bardzo duży obiekt. Podnieśli oczy i na tle jasnego nieba zobaczyli długi zarys pomostu i pływaków. Austin miał nadzieję, że znudzony strażnik nie zwróci uwagi na odgłosy dochodzące spod wody. Kiedy Zavala ciasną spiralą sprowadzał łódź w dół, Austin na przemian śledził radar i sprawdzał wzrokiem otoczenie.

- Przestań schodzić! - polecił.

Zavala zareagował natychmiast i łódź zatoczyła koło niczym głodny rekin.

- Podeszliśmy za blisko półki? - spytał.

- Niezupełnie. Odsuń łódź i zjedź jeszcze piętnaście metrów.

Seabus odsunął się od brzegu półki i ustawił dziobem w jej stronę.

- *Madre de Dios!* - zdziwił się Zavala. - To jest wielkie jak stadion. Właśnie coś takiego wyleciało w powietrze w Baja. A więc znowu miałaś rację.

- Po prostu dopisało mi szczęście.

- Musimy tam wejść.

- Nie traćmy więc czasu. Proponuję obejrzeć to od spodu.

Joe skinął głową, dodał gazu i płynnie skierował łódź wprost pod potężną budowlę. Jej powierzchnię wykonano z półprzezroczystego zielonego materiału, trudno dostrzegalnego pod wodą. Takie laboratorium byłoby imponującym osiągnięciem inżynierii nawet na suchym lądzie. Także ono, jak to w Baja, spoczywało na czterech cylindrycznych nogach, umieszczonych na skraju okręgu.

- Na zewnątrz tych nóg są otwory - rzekł Austin. - Prawdopodobnie takie same jak w Meksyku - wlotowe i wylotowe.

Zavala podpłynął do piątego wspornika pośrodku konstrukcji i włączył dwa reflektory.

- Brak otworów kanałowych - powiedział. - Ale co tu mamy? - Przysunął łódź bliżej owalnego zagłębienia, jedyne w gładkiej powierzchni wspornika. - Wygląda na drzwi. Brak tylko powitalnego transparentu.

- Może o nim zapomnieli - odparł Austin. - Co powiesz na to, żebyśmy zaparkowali i złożyli sąsiedzką wizytę?

Zavala posadził delikatnie Seabus na skalnej półce tuż przy wsporniku. Nałożyli aparaty do nurkowania i hełmofony z hydrotelefonami. Do wodoszczelnej torby przy pasie Austin wetknął dużego bowena i zapas amunicji. Był już w niej, zamiast pistoletu maszynowego, który Zavala stracił na Alasce, dziewięćmilimetrowy glock.

Austin pierwszy wsunął się do małej śluzi, zalał jej komorę i otworzył zewnętrzny właz. Zavala dołączył do niego na zewnątrz łodzi kilka minut potem. Podpłynęli do grubego cylindrycznego wspornika, unieśli się w górę i uchwycili się klamer po bokach drzwi. Z prawej strony znajdowała się przezroczysta płytka z dwoma przyciskami - czerwonym i zielonym. Zielony się świecił.

Zawahali się.

- Może być podłączona do alarmu - rzekł Zavala, wypowiadając na głos obawy Austina.

- Pomyślałem to samo. Tylko po co mieliby to robić? Jaki włamywacz by się tu zapuścił?

- Nie mamy wielkiego wyboru. Naciskaj!

Austin nacisnął podświetlony przycisk. Jeśli uruchomił alarm, to go nie usłyszeli. Część wspornika odsunęła się bezgłośnie w bok, odsłaniając otwór podobny do szeroko rozwartych ziewających ust. Zavala dał partnerowi znak, że wpływa pierwszy. Austin podążył za nim. Znaleźli się w pomieszczeniu w kształcie pudła na kapelusze. Na ścianie dostrzegli taki sam przycisk, jak ten,

którym otworzyli drzwi. Austin nacisnął go. Przypadkiem tak nieszczęśliwie zaczepił torbą z bronią o drzwi śluzy, że urwała się i została na zewnątrz.

- Trudno - powiedział, uprzedzając pytanie Joego. - Nie ma czasu.

Po zamknięciu wewnętrznych drzwi w środku rozbrzmiał krąg świateł. Z komory szybko zniknęła woda, a w suficie otworzył się okrągły właz. Wciąż nic nie wskazywało na to, że zauważono ich obecność. Gdyby nie odległy szum maszynierii, byłoby całkiem cicho.

Austin wspiął się po drabince, wystawił głowę przez właz, a potem dał znak Zawali i ruszył dalej. Znaleźli się w następnym okrągłym, większym pomieszczeniu. Na ścianie wisiało kilka ciemnozielonych kombinezonów płetwonurków. Na półkach leżały aparaty tlenowe, a w dużej szafie rozmaite specjalistyczne narzędzia.

Austin zdjął hełmofon, maskę, aparat i wziął szczotkę z długą rączką i sztywnymi stalowymi kolcami.

- Używają jej do czyszczenia furt wlotowych. W przeciwnym razie obrosłyby glonami.

Zawała podszedł do drzwi w zakrzywionej ścianie i wskazał na jeszcze jedną parę przycisków.

- Zaczynam się czuć jak szympans poddany testom na inteligencję, podczas których naciska guzik, żeby dostać jedzenie.

- Szympans nie miałby tutaj żadnych problemów - odparł Austin.

Na jego znak Zawała nacisnął zielony przycisk. Drzwi otworzyły się i weszli do pomieszczenia z kabinami prysznicowymi i półkami. Z jednej z nich Austin zdjął zawiniętą w plastik paczkę i otworzył. Był w niej dwuczęściowy biały komplet z lekkiej syntetycznej tkaniny. Bez słowa zdjęli skafandry płetwonurków i na termiczną bieliznę szybko włożyli białe uniformy. W paczkach znaleźli też ściśle przylegające do głowy czepki, co ucieszyło Austina, bo jego srebrnoplatynowa czupryna zbyt rzucała się w oczy.

- Jak wyglądam? - spytał czując, że to ubranie jest dla niego stanowczo przyciasne.

- Jak wielka, paskudna pieczarka.

- O taki właśnie kamuflaż mi chodziło. Idziemy.

Weszli do ogromnego pomieszczenia z wysokim sklepieniem z różnej grubości rurami i przewodami. Dobiegający zewsząd szum świdrował uszy.

- To jest to - mruknął Austin.

- Przypomina mi scenografię z filmu Obcy - powiedział Zawała.

Zza grubej pionowej rury wyłoniła się zniecka postać w bieli. Zesztywnieli i sięgnęli po broń, której nie mieli, ale idący z jakimś przyrządem pomiarowym technik ledwie na nich spojrzął i zniknął w labiryncie przewodów. Wielkie pomieszczenie składało się z dwóch poziomów, oddzielonych pomostami i kratownicami. Postanowili wspiąć się wyżej, by mieć lepszy widok na laboratorium i uniknąć spotkań z innymi technikami. Weszli tam po najbliższych schodach. Żaden z zajętych pracą techników nie spojrzął w górę. Z wysoka laboratorium robiło jeszcze większe wrażenie. Przypominało futurystyczny ul wypełniony brzęczeniem pszczół.

- Przeszukanie tego miejsca zajęłoby nam cały dzień - orzekł Austin. - Znajdźmy przewodnika.

Zeszli schodami na dół i ukryli się za dużą rurą. Przed wielkim pulpitem sterowniczym stało plecami do nich trzech techników, najwyraźniej bardzo zaabsorbowanych pracą.

Dwóch odeszło, trzeci został. Rozejrzawszy się szybko, czy nikt go nie widzi, Austin błyskawicznie dopadł do nic nie podejrzewającego człowieka i potężnym ramieniem otoczył jego szyję.

- Ani słowa, bo ci skręcę kark - zagroził i zaciągnął jeńca za rurę. - To nasz nowy przewodnik - przedstawił go Zawali.

Zavala przyjrzał się technikowi.

- My się znamy - powiedział.

Austin obrócił jąca do siebie. Francesca! W miejsce przerażenia na jej twarzy pojawiła się ulga.

- Co tutaj robicie? - spytała.

- Byliśmy umówieni, pamiętasz? - odparł z uśmiechem. - "Czas i miejsce ustalimy później".

Uśmiechnęła się mimo zdenerwowania. Nieco uspokojona, rozejrzała się dookoła.

- Nie możemy tu zostać - powiedziała. - Idźcie za mną.

Klucząc pośród labiryntu rur dotarli do pokoiku, w którym stał plastikowy stół i krzesło.

- Zażądałam tego pomieszczenia, żeby móc spokojnie pracować - wyjaśniła. - Przez kilka minut będziemy bezpieczni. Jeżeli ktoś przyjdzie, udawajcie, że tu pracujecie. - Z niedowierzaniem pokręciła głową. - Jak się tutaj dostaliście?

- Busem - odparł Austin. - A gdzie Gamay?

- To jest odsalarnia. Gamay trzymają w rezydencji. Pod silną strażą w celi na parterze.

- Jak się tam dostać?

- Pokażę wam. Z laboratorium pojedziecie windą, która dociera do wagonika na szynie. Wagonik wjeżdża tunelem do podziemi rezydencji. Stamtąd windą wjedziecie na parter. Zdołacie ją uratować?

- Przekonamy się, kiedy spróbujemy - odparł z uśmiechem Zavala.

- To bardzo niebezpieczne. Ale macie szansę. Strażnicy są dziś zajęci. Ma się tu odbyć zebranie.

Śpieszcie się, zanim zacznie się ruch.

- Jakie zebranie? - spytał Zavala.

- Wiem tylko tyle, że niezwykle ważne. Jeżeli do tego czasu nie uruchomię odsalarni, Gamay zginie.

Francesca wyrzała z pokoju, żeby sprawdzić, czy droga wolna, a potem zaprowadziła ich do windy. Widać było, że jest wyczerpana. Pod zaczerwienionymi oczami miała ciemne podkówki. Życząc im powodzenia, zniknęła w płataninie rur.

Nie tracąc czasu, weszli do dziwnej jajowatej windy i poprzez wodę dotarli nią do opisanego przez Franceskę wagonika. Wsiedli do niego i tunelem dojechali do górnej stacji. Wyszli na korytarz. Drzwi windy były kilka kroków dalej. Światelko nad nimi wskazywało, że kabina zjeżdża na dół.

- Jesteśmy mili czy od razu walimy w łeb? - spytał Zavala.

- Spróbujmy być mili.

Drzwi windy otworzyły się i wysiadł z niej strażnik. Z ramienia zwisał mu pistolet maszynowy. Podejrzliwie spojrzął na Zavalę, a potem na Austina.

- Przepraszam - zagadnął grzecznie Zavala. - Gdzie możemy znaleźć kobietę z NUMA. Trudno jej nie zauważyć. Wysoka, z rudymi włosami.

Kiedy strażnik sięgał do pistoletu, wielka jak bochen pięść Austina wyrznęła go w brzuch. Wydawszy dźwięk jak balon, z którego uchodzi powietrze, osunął się na ziemię.

- Podobno mieliśmy być mili - powiedział Zavala.

- I byliśmy - odparł Austin.

Chwycili strażnika za ręce i nogi i razem wciągnęli go do windy. Zavala podjechał pół piętra w górę i zablokował ją. Austin uklęknął i poklepał mężczyznę w policzek. Strażnik odemknął powieki i widząc jego twarz szeroko otworzył oczy.

- Nie chcemy dziś nikomu robić krzywdy - powiedział Austin. - Dlatego daję ci jeszcze jedną szansę. Gdzie jest ta kobieta?

Strażnik pokręcił głową. Ale Austin nie miał chęci słuchać wykrętów. Przystawił lufę do jego

nosa tak blisko, że strażnik zrobił zęza.

- Nie będę tracił czasu - powiedział cicho. - Wiemy, że jest na parterze. Jeśli nie powiesz nam tego ty, znajdziemy kogoś innego. Rozumiesz?

Strażnik skinął głową.

- To dobrze.

Austin chwycił go za kark, podźwignął na nogi, a Zavała wcisnął guzik w windzie. Na parterze nikt na nią nie czekał. Wypchnęli strażnika na pusty korytarz.

- Co z ochroną? - spytał Austin.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Większość strażników jest na górze. Są zajęci pilnowaniem szcych zjeżdżających na zebranie.

Austina ciekawiło wprawdzie, jaki jest cel zebrania i kim są jego uczestnicy, ale bardziej obchodził go los Gamay.

- Prowadź - polecił, wbijając w żebra strażnika lufę pistoletu.

Strażnik z ociąganiem poprowadził ich korytarzem i zatrzymał się przed drzwiami otwieranymi kodem cyfrowym. Przez chwilę wahał się, czy nie grać na zwłokę, udając, że nie zna kodu, ale piorunujące spojrzenie Austina ostrzegło go, by lepiej nie próbował. Wystukał kod i drzwi się otworzyły. Pokój był pusty.

- To jej pokój - zapewnił.

Wepchnęli go do środka i rozejrzeli się. To pomieszczenie mogło służyć za więzienie, gdyż drzwi otwierały się tylko z zewnątrz. Zavała podszedł do łóżka, zdjął coś z poduszki i uśmiechnął się.

- Była tutaj - oznajmił.

Ciemnorude pasemko włosów, które trzymał w palcach, należało z pewnością do Gamay.

- Dokąd ją zabrali? - spytał Austin.

- Nie wiem - odparł ponuro strażnik.

- Uważaj, żeby to, co powiesz, nie było twoim ostatnim słowem.

Strażnik nie miał wątpliwości, że Austin zastrzeli go bez wahania.

- Ja nie ochraniam tych kreatur - odparł.

- O kim mówisz?

- O braciach Kradzikach. Zabrali ją do Wielkiej Sali.

- Co to za jedni?

- Para zabójców, załatwiają dla szefowej brudną robotę - odparł strażnik z wyraźną odrazą.

- Powiedz, jak się tam dostać.

Strażnik wyjaśnił im wszystko, co chcieli. Austin zapowiedział, że jeżeli wprowadził ich w błąd, wróca do niego. Pozostawili go w zamkniętej celi i zaryglowali drzwi na korytarz prowadzący do windy. Nie wiedzieli, kim są bracia Kradzikowie, i nie dbali o to. Jednego byli pewni. W tym miejscu nie czekało Gamay nic dobrego.

Pięćdziesięciu mężczyzn zebranych przy stole na pokładzie okrętu z Gokstad nie nosiło opończ i oręża, lecz ciemne garnitury, ale sceneria przypominała pogańską uroczystość sprzed tysiąca lat. Płomienie pochodni odbite od ostrzy wiszącej na ścianach średniowiecznej broni, rzucały chybotliwe cienie i refleksy na ich twarze. Ów teatralny efekt nie był przypadkowy. Całą tę komnatę Brunhilda zaprojektowała jako wielką dekorację do reżyserowanego przez siebie spektaklu.

Zarząd Gokstad tworzyli najwybitniejsi przedstawiciele światowego biznesu. Pochodzili z wielu krajów i wszystkich kontynentów. Do ich grona należeli dyrektorzy międzynarodowych korporacji, przedstawiciele handlowi, którzy, prowadząc tajne negocjacje, uzyskiwali władzę większą od niektórych rządów, oraz byli i aktualni politycy, zawdzięczający kariery plutokratom, stanowiącym autentyczną klasę rządzącą w macierzystych krajach. Tych reprezentujących wszystkie rasy i odcienie skóry ludzi, tak różniących się od siebie wyglądem i karnacją, łączyło wszakże jedno - nienasycona chciwość.

- Witam panów - przemówiła Brunhilda, stojąca u szczytu stołu. - Dziękuję za tak szybkie przybycie. Wielu z was przyjechało z bardzo daleka, lecz zapewniam, że ta podróż wam się opłaci. - Przesunęła oczami po twarzach, rozkoszując się chciwością wyzierającą zza ich wyćwiczonych uśmiechów i ostrych jak noże spojrzeń. - My, zebrani w tej sali, jesteśmy sercem i duszą Gokstad, niewidzialnym rządem, potężniejszym od wszystkich znanych światu. Stanowicie coś więcej niż elitę biznesu, jesteście kapłanami tajnego stowarzyszenia, tak jak templariusze.

- Przepraszam, że na samym początku zakłócam tę porywającą mowę - przerwał jej wylupiastooki angielski handlarz bronią, Grimley. - Ale nie mówi nam pani nic nowego. Mam nadzieję, że nie przeleciałem dziesięciu tysięcy kilometrów, by usłyszeć, jaka z nas doborowa kompania.

Brunhilda uśmiechnęła się. Członkowie zarządu Gokstad jako jedyni na świecie mogli z nią rozmawiać jak równy z równym.

- Nie, lordzie Grimley - odparła - zwołałam panów, by poinformować, że nasze plany zdecydowanie nabrały tempa.

Anglika to nie przekonało.

- Powiedziała nam pani, że na zdobycie światowego monopolu nad zasobami wody trzeba lat - rzekł, węsząc długim nosem w powietrzu tak, jakby czuł nieprzyjemny zapach. - Czyżby z lat zrobiły się miesiące?

- Nie, lordzie Grimley. Dni!

- A zatem cofam, co powiedziałem. - Po twarzy Grimleya przemknął obłudny uśmiech. - Proszę kontynuować.

- Z przyjemnością. Jak wiecie z moich comiesięcznych sprawozdań, nasze plany realizowaliśmy bez przeszkód, aczkolwiek wolno. Codziennie przejmowaliśmy jakieś źródło wody, ale zbudowanie floty tankowców wymagało czasu. Problem stanowiły wielkie pojemniki do transportu wody przez oceany. Dopiero od niedawna technologia pozwala je skonstruować. Ostatnio naszym projektem zainteresowała się Narodowa Agencja Badań Morskich i Podwodnych.

Jako pierwszy znaczenie tych słów pojął Howes amerykański magnat rynku nieruchomości.

- NUMA?! Skąd się o nas dowiedzieli?

- To skomplikowana historia. Dostaniecie, panowie, szczegółowe raporty na ten temat. Na razie powiem tylko, że ich agenci są bardzo wytrwali i dopisuje im szczęście.

- Sprawa jest poważna - orzekł Amerykanin. - Najpierw to gazetowe śledztwo, a teraz to.

- Ta gazeta nie opublikuje artykułów na nasz temat. Ani żadna inna. Zniszczyliśmy całą ich dokumentację. A co do NUMA, to też ich unieszkodliwiliśmy.

- Mimo wszystko bardzo mnie to martwi - odparł Howes. - Na zachowanie naszych działań w tajemnicy wydaliśmy miliony. A sprawa w każdej chwili może się wydać.

- W pełni się z panem zgadzam. Zrobiliśmy, co tylko możliwe, by zachować anonimowość, ale operacji tak długofalowej i na taką skalę nie da się ukrywać w nieskończoność. Skrywająca naszą działalność przed opinią publiczną fasada zaczyna się kruszyć. Musiało kiedyś do tego dojść, niemniej jest to sygnał, że trzeba się śpieszyć.

- Chce pani przez to powiedzieć, że do przyspieszenia planów zmusiła nas NUMA?

- Nie. Tylko to, że nastąpił szczęśliwy zbieg okoliczności.

Pierwszy zrozumiał w czym rzecz niemiecki bankier Heimmler.

- Tak nagle mogło przyspieszyć ten plan tylko jedno - powiedział z miną boa dusiciela, któremu dostarczono żywego królika. - Opanowała pani metodę odsalania doktor Cabral.

Brunhilda odczekała, aż umilknie rozgwar.

- Znalazłam lepsze rozwiązanie - oznajmiła z triumfem. - Zatrudniłam do tego ją samą.

- Cabral?! - zdziwił się Niemiec. - Czytałem doniesienia w gazetach, że żyje, ale...

- Żyje i ma się dobrze. Zgodziła się pracować dla Gokstad, ponieważ przejęliśmy cały zapas anasazium. Jest teraz w naszym laboratorium i szykuje się do pokazu. Niebawem zademonstruję panom ten cud. Rozmawiałam z nią przed tym zebraniem. Obiecała, że będzie gotowa za godzinę. A tymczasem zapraszam do stołu, który przygotowaliśmy w jadalni. Muszę sprawdzić, co z transportem. Zobaczymy się wkrótce.

Po opuszczeniu przez członków zarządu Wielkiej Sali, Brunhilda udała się do głównego wejścia Walhalli. Przed gankiem stało kilka ciemnozielonych terenówek. Przy każdej z nich warowali kierowca i uzbrojony strażnik.

- Wszystko gotowe? - spytała pierwszego strażnika.

- Tak, proszę pani, możemy przewieźć gości w każdej chwili.

Do laboratorium najszybciej jechało się podziemnym wagonikiem, ale zbudowano go głównie z myślą o transporcie małych grup techników. Większą grupę łatwiej było tam dostarczyć samochodami. Brunhilda niczego nie pozostawiała przypadkowi. Usiadła w fotelu obok kierowcy i kazała się zawieźć nad jezioro. Kilka minut później terenówka zatrzymała się na skraju niskiego wzgórza nad wodą. Brunhilda zeszła po schodach na przystań i wkroczyła do hangaru dla łodzi. Były tam ukryte windy, obsługujące laboratorium. Minęła szybką windę w kształcie jaja, wsiadła do dużej towarowej i kilka chwil potem znalazła się w laboratorium, gdzie panowało wyraźne podniecenie.

Francesca pracowała przy pulpicie sterowniczym.

- Właśnie miałam do pani dzwonić - powiedziała na widok Brunhildy. - Mogę przeprowadzić demonstrację szybciej niż przewidywałam.

- Czy na pewno się uda?

- Chce pani zobaczyć to przed premierą?

Brunhilda rozważyła propozycję.

- Nie - zdecydowała - nie mogę się doczekać, żeby ujrzeć ich miny, gdy zobaczą, że nasza metoda działa.

- Na pewno będą zaskoczeni - odparła Francesca, puszczać mimo uszu słowo "nasza".

Przez noszony przy pasie telefon Brunhilda poleciła, aby wozy zaczęły przewozić dyrektorów.

Niespełna pół godziny później przy reaktorze zebrał się cały zarząd Gokstad. Brunhilda przedstawiła Franceskę. Kiedy urodziwa Brazylijka stanęła przy niej, rozległ się pomruk podziwu. Patrząc z uśmiechem na otaczających ją mężczyzn, Francesca pomyślała, że przypominają wygłodniałe dzikie zwierzęta zebrane wokół wodopoju. Dobrze pamiętała, że to oni skazali ją na dziesięć lat pobytu w dżungli. I że kiedy żyła pośród Chulo, z pragnienia zmarły prawdopodobnie miliony ludzi, nie mogących skorzystać z dobrodziejstw jej wynalazku.

Pierwszy raz widziała tyle skoncentrowanego w jednym miejscu zła, ale ukryła swoje obrzydzenie.

- Nie wiem, ilu z panów ma wykształcenie techniczne - zaczęła - ale nie trzeba się znać na technice, aby pojąć to, co za chwilę zobaczycie. Wprawdzie mój proces jest trudny do przeprowadzenia, ale opiera się na prostej koncepcji. Metody odsalania znali już starożytni Grecy. Bazowały one niezmiennie na procesach fizycznych: odparowywaniu wody, elektrolizie, przepuszczaniu jej przez membrany, by oddzielić sól w podobny sposób, w jaki dziecko odsiewa muszelki na plaży. Ja natomiast doszłam do przekonania, że łatwiejszą pod pewnymi względami metodą może się okazać zmiana cząsteczkowej struktury substancji zawartych w morskiej soli na poziomie atomów i cząstek elementarnych.

- W pani procesie jest coś z alchemii - wtrącił gładko ogolony bankier z Niemiec.

- To bardzo trafne porównanie - odparła. - Chociaż alchemia nigdy nie osiągnęła swego celu, to przygotowała grunt pod nauki chemiczne. Ja też, tak jak alchemicy, próbowałam przemienić metal pospolity w złoto. W moim przypadku w błękitne złoto - wodę - cenniejszą od wszystkich minerałów na ziemi. Potrzebny był mi kamień filozoficzny, który to umożliwi. - Obróciła się ku rdzeniowi z anasazium. - Oto katalizator, dzięki któremu proces może zaistnieć. Materiał ten w zetknięciu ze słoną wodą oczyszcza ją z soli.

- Kiedy zademonstruje nam pani ów cud? - spytał lord Grimley.

- Proszę za mną - powiedziała, podchodząc do pulpitu sterowniczego. Jej dłonie zatańczyły po klawiaturze. Rozległ się pomruk pomp i szum wody.

- Przez główną rurę nad głowami panów wpada woda - wyjaśniła. - Wpływa do zbiornika. Napełnienie go zajmie kilka minut.

Przeszła z całą grupą na drugą stronę zbiornika do katalizy. Przez dłuższą chwilę milczała, a potem spojrzała na jakiś przyrząd pomiarowy i wskazała na inną dużą rurę.

- To rura wylotowa, którą płynie słodka woda - oznajmiła. - Czy czują panowie ciepło wydzielane podczas reakcji?

- Podobno można go użyć do produkcji energii - powiedział Amerykanin.

- Owszem. W tej chwili woda wpompowywana jest do zimnych wód jeziora i ciepło się rozprasza, ale odsalarnię da się tak zaprojektować, by wracało jako energia, która ją napędza. Nadwyżkę tej energii można przesyłać gdzie indziej.

Wśród członków zarządu podniósł się szum. Francesca nieomal czuła promieniującą z nich chciwość, gdy obliczali miliardy, które zarobią na wodzie i taniej energii.

Podeszła do splotu pionowych węzownic, wychodzących z rury ze słodką wodą. Na ich spodzie był kran, przy którym stały papierowe kubki.

- To urządzenie chłodzące, które oziębia otrzymaną wodę - wyjaśniła. - Jak smakowała woda, którą otrzymywaliście do dzisiaj? - spytała jednego z techników.

- Była słonawa - odparł.

Francesca odkręciła kran i napełniła kubek. Przyjrzała mu się pod światło jak koneserka wina, spróbowała łyk i wypięła do dna.

- Wcięż ciepława, ale porównywalna ze źródłaną - powiedziała.

Brunhilda nalała sobie wody i napiła się.

- Nektar bogów - oznajmiła z triumfem.

Dyrektorzy rzucili się do kranu. Kosztowali po kolei wody, reagując okrzykami zdumienia.

Niebawem wszyscy zaczęli mówić naraz. Pozostawiający ich przy obłożonym jak źródło młodości kranie, Brunhilda odprowadziła Franceskę na bok.

- Moje gratulacje, doktor Cabral - powiedziała. - A więc proces się sprawdził.

- Wiem to od dziesięciu lat - odparła Francesca.

Ale Brunhildy nie obchodziła przeszłość, tylko przyszłość.

- Zapoznała pani moich techników z nim na tyle, by mogli go odtworzyć?

Tak. Wprowadziłam tylko kilka poprawek. Byliście bardzo bliscy jego wdrożenia.

- A więc z czasem dokonaliibyśmy tego?

- Chyba nie - odparła Francesca po chwili zastanowienia. - Pani proces i mój są jak dwie linie równoległe. Mogą być bardzo blisko siebie, ale nigdy się nie przetną. Ja wykonałam swoje zadanie, pora więc, by dopełniła pani warunków umowy.

- Oczywiście. - Brunhilda zdjęła z pasa radiotelefon, włączyła go i z uśmiechem świdrując Franceskę zimnymi niebieskimi oczami powiedziała do mikrofonu: - Powiedzcie Kradzikom, że kobieta z NUMA należy do nich.

- Chwileczkę! - Francesca chwyciła ją za muskularną rękę. - Przymknij pani...

Brunhilda z łatwością strąciła jej dłoń.

- Uprzedzałam, że nie wolno mi ufać - odparła. - Zademonstrowała pani swój proces, więc pani znajoma nie jest mi już potrzebna. - Ponownie przyłożyła radiotelefon do ucha i uśmiech zniknął z jej twarzy. - Jak to? - warknęła. - Dawno? - Zatknęła radiotelefon za pas. - Panią zajmę się później - obiecała Francesce i zrobiwszy wojskowy w tył zwrot, odmaszerowała do windy dla personelu.

Francesca zamarła ze zgrozy. Lecz po chwili - w reakcji na perfidię Brunhildy - rozgorzała w niej od nowa tłumiona przez dziesięć lat wściekłość. Gdyby Gamay zginęła, łatwiej było jej teraz podjąć tę decyzję. Zacisnąwszy szczęki, z determinacją zagłębiła się na powrót w labirynt rur.

Gamay niemal poczuła ulgę, kiedy przyszli po nią dwaj strażnicy. Miała serdecznie dość siedzenia w celi, z której nie można było uciec, chyba że wysadziwszy drzwi z zawiasów. Postanowiła pomówić z kimś w NUMA o wyposażeniu pracowników agencji w wynalazki w stylu Jamesa Bonda.

Ze struchlałym sercem podążyła ze strażnikami labiryntem korytarzy. Była pewna, że zgubiłaby się tu po kilku krokach. Zatrzymali się przed dwuipółmetrowymi ciężkimi drzwiami z brązu, z odlanymi scenami z mitologii. Dominujący motyw czaszek urozmaicała kolekcja olbrzymów, karłów, dziwnych potworów, dzikich koni, powyginanych drzew, runów z błyskawicą wokół centralnego symbolu - pięknego wiosłowego okrętu.

Jeden strażnik wcisnął guzik na ścianie, bezszelestnie otwierając drzwi, a drugi szturchnięciem lufy wepchnął Gamay do środka.

- To nie nasz pomysł - powiedział takim tonem, jakby się usprawiedliwiał.

Drzwi zamknęły się.

- Uroczo - mruknęła pod nosem, rozglądając się po pomieszczeniu.

Znajdowała się w ogromnej sali, większej od boiska futbolowego, której gigantyczne rozmiary podkreślały rzędy zapalonych pochodni na ścianach.

Pośrodku komnaty, w świetle bijącym od czterech wysokich kociołków z rozżarzonymi węglami, stał okręt z rozwiniętym kwadratowym żaglem, bliźniaczo podobny do tego na drzwiach.

Jako archeolog morski, którym została przed ukończeniem studiów z biologii morza, Gamay od razu rozpoznała, że jest to statek wikingów lub jego bardzo wierna kopia. Czyżby była w muzeum? Nie, to raczej bogato zdobiona krypta. Może okręt ten - zgodnie z obyczajem średniowiecznych Skandynawów - służył za grobowiec? Po części z ciekawości, lecz głównie dlatego, że nie miała wyboru, ruszyła w jego stronę.

Kiedy szła przez wielką salę, z ciemności obserwowały ją dwie pary zaczerwienionych oczu. Te same oczy obserwowały ją łapczywie wcześniej na ekranie monitora, gdy leżała w celi. Bracia Kradzikowie spędzili przed ekranem wiele godzin, chłonąc wzrokiem szczegóły jej wyglądu, od ciemnorudych włosów po długie, szczupłe nogi. W podglądactwie bliźniaków nie było krzty erotyzmu. Stanowił on bowiem namiętność zbyt ludzką. Ich interesowało wyłącznie zadawanie cierpień. Przypominali psa nauczonego nie ruszać smakołyku dopóki nie pozwoli mu na to jego pan. Mając jednak Gamay tak blisko, ulegli sadystycznym ciągotom. Przyniesiono im ją i tę drugą. Korzystając z tego, że Brunhilda zajęta była w laboratorium, samowolnie sięgnęli po obiecaną nagrodę.

Polecili przyprowadzić Gamay do Wielkiej Sali, ale strażnicy wykonali ich rozkaz niezbyt chętnie. W małej armii strzegącej Gokstad, dokonującej niekiedy wypadów na zewnątrz, jak w przypadku Alaski, służyli wyłącznie byli wojskowi, wyrzuceni z elitarnych jednostek na całym świecie: dawni żołnierze francuskiej Legii Cudzoziemskiej, amerykańskich oddziałów specjalnych, piechoty morskiej, piechoty rosyjskiej, angielscy komandosi i najróżniejsi najemnicy. W koszarach żartowano, że do zatrudnienia w korporacji wymagane jest co najmniej dyscyplinarne usunięcie z wojska, a robotę zapewnia wyrok i odsiadka. Wprawdzie zabijali na rozkaz, lecz uważali się za

zawodowców wykonujących po prostu to, co do nich należy. Kradzikowie byli inni. Wszyscy znali opowieści o masakrach i mordach, których bracia dopuścili się w Bośni, a ponadto krążyły pogłoski o specjalnych zadaniach, jakie wykonują dla firmy. Najemnicy wiedzieli również o ich bliskich związkach z Brunhildą. Dlatego bez szemrania doprowadzili im uwięzioną.

W pół drogi do statku wikingów Gamay usłyszała charakterystyczny dźwięk uruchamianych silników. Odbite od twardych kamiennych ścian echo wzmocniło ich terkot. Na prawo i na lewo od okrętu rozbłysły pojedyncze reflektory i zaczęły wolno sunąć w jej kierunku.

Motocykle!

Na widok sylwetek motocyklistów Gamay poczuła się jak łania przebiegająca przez autostradę. Nagle silniki ryknęły na najwyższych obrotach i motocykle ruszyły w jej kierunku niczym dwie rakiety.

Dostrzegła ostre piki oparte o kierownice.

Motocykliści nacierali na nią niczym karykaturalni rycerze podczas turnieju. Ale gdy piki już miały przebić jej brzuch, motocykle nagle skrzyły w bok i znalazły się za Gamay. Obróciła się. Prześladowcy stanęli w miejscu oświetlając ją z dwóch stron reflektorami jarzącymi się jak ślepia wielkiego, mrużącego kota.

Siedzieli na dwóch terenowych yamahach 250, na których strażnicy patrolowali ogrodzenie wokół wielkiej posiadłości. Piki wzięli z kolekcji broni zdobiącej ściany Wielkiej Sali. Natura poskąpiła Kradzikom wyobraźni, dlatego niezależnie od tego, czy ich ofiarą była młoda dziewczyna, czy starzec, działali zawsze wedle jednego schematu: zniewolić, przerazić, zadać ból i zabić.

- Jeżeli pobiegiesz szybko... - doszedł ją z ciemności głos z lewej.

- To może cię nie złapiemy - powiedział głos z prawej.

Akurat! Po głosach poznała, że są to ci sami karykaturalni debile, którzy wtargnęli do jej domu. Najwyraźniej pragnęli trochę się z nią pobawić.

- Pokażcie się! - zawołała.

Odpowiedziało jej terkotanie silników pracujących na jałowym biegu. Kradzikowie przywykli, że ich ofiary kulą się ze strachu i błagają o życie. Nie wiedzieli, co począć z takim żądaniem bezbronnej kobiety. Zaciekawieni, podjechali bliżej i zatrzymali kilka metrów od niej.

- Kim jesteście? - spytała.

- Śmiercią - odpowiedzieli jak jeden mąż.

Chwila odroczenia wyroku dobiegła końca. Silniki znów zagrały. Motocykle stanęły na tylnych kołach. A potem ich przednie koła opadły i z piskiem opon maszyny skoczyły przed siebie, przecięły sobie drogę, zaczęły krążyć. Bliźniacy chcieli, by Gamay obracała się w miejscu, aż zakręci się jej w głowie i upadnie bezbronna, dusząc się od płaczu. Lecz ona nie dała się wciągnąć do tej zabawy. Nieustępliwie patrzyła prosto przed siebie, ręce przyciskając do boków. Czuła na twarzy podmuchy duszących spalin. Powstrzymanie się od ucieczki wymagało całej siły woli. Ci dwaj dopadliby ją w jednej sekundzie i podcięli nogi pikami.

Gdy spostrzegli, że nie myśli uciekać, podjechali bliżej. Ostre piki rozdarły jej koszulę. Gamay wciągnęła brzuch i ruszyła naprzód. Szła, wolno odmierzając kroki. Zachwyceni tym nowym wyzwaniem prześladowcy, zaczęli na zmianę przejeżdżać przed nią, w ostatniej chwili cofając piki. Szła dalej, ogłuszona hukami silników. Ani myślała zwalniać kroku. Dobrze wiedziała, że mogą ją zabić, kiedy im się spodoba.

Z prawej usłyszała odgłos nadjeżdżającego motocykla. Bardzo ryzykując, nagle przystanąła. Zaskoczony tym motocyklista z trudem ją ominął. Zatoczył ciasny krąg, ale manewr ten zakłócił widać tajemniczą łączność pomiędzy jeźdźcami, bo zdeorientowani zaczęli jeździć w kółko.

Przebiegła przed zadartym dziobem okrętu, zamierzając wskoczyć na jego pokład, ale natrafiła na przeszkodę z okrągłych tarcz, chroniących burzę ponad otworami na wiosła. Zrozumiała, dlaczego prześladowcy pozwolili jej podejść tak blisko niego. Wiedzieli, że nie będzie łatwo tu się wdrapać.

Na pokład można było wejść tylko po schodni przy rufie. Pewnie liczyli, że pobiegnie do niej. Gdy zrobiła ruch w tamtym kierunku, rzucili się, by odciąć jej drogę. Wtedy pochwyciła tarczę, odwróciła się i osłaniając się nią przywarła plecami do burty okrętu. Motocykliści zawrócili yamahy i natarli na nią z wycelowanymi pikami. Ciężką, wykonaną z grubego, wzmocnionego żelazem drewna tarczę przeznaczono dla krzepkiego wikinga, a nie szczupłej kobiety. Na szczęście Gamay była wysoka i wysportowana. Zawiesiła tarczę na lewej ręce i zasłoniła się nią.

W samą porę.

Bum!

Piki wbiły się w tarczę jednocześnie. Siła uderzenia przygwoździła Gamay do burty i zaparła jej dech w piersiach.

Motocykle odjechały na boki, szybko zawróciły i ponownie ruszyły na nią. Gamay położyła tarczę na ziemi, nadepnęła nogą i wyrwała z niej piki. W przeciwieństwie do tarczy były zaskakująco lekkie - z cienkimi drzewcami i wąskimi grotami z brązu. Widocznie przeznaczono je do rzucania, a nie potyczek turniejowych.

Postawiła je obok i osłoniła się tarczą. Przypuszczała, że po stracie broni bracia zamarkują atak, lecz na tarczę spadła niczym błyskawica kolczasta kula na łańcuchu. Choć mocno stała na nogach, cios odrzucił ją do tyłu i powalił na jedno kolano. Utrzymała jednak tarczę, co ocaliło jej życie. Potężny cios drugiego napastnika odłupał od tarczy zewnętrzną warstwę drewna.

Bracia zamienili piki na "gwiazdy zaranne", broń wymyśloną po to, aby przebijała zbroje. Motory rzuciły się na nią ponownie, nim zdążyła wstać. I znów kolczaste żelazne kule rąbnęły w tarczę. Po drugim uderzeniu chroniące ją drewno rozpadło się w drzazgi i w rękę Gamay zostały już tylko rzemienie i rama tarczy.

Chwyciła pikę i ustawiła pod kątem. Motocykliści powstrzymali atak, jeżdżąc tam i z powrotem. Kiedy jeden z nich ruszył na nią, ostrze piki powędrowało w jego kierunku jak strzałka kompasu. Gamay wstrzymała oddech. Napastnik w ostatniej chwili zawrócił. Drugi nadszedł z lewej. Gdy obracała się w jego stronę, dostrzegła, że szykuje się atak z prawej. Stosowali klasyczną taktykę oskrzydłającą. Nie byli jeszcze gotowi na pełną ofensywę, więc badali jej reakcję.

Jeden z nich przemknął na wprost niej, przekonany, że znajduje się poza zasięgiem piki. Jednak Gamay rzuciła nią jak oszczepem. Pika trafiła w szprychy przedniego koła. Siła jego obrotów wprawdzie strzaskała drzewce, ale jeździec poszybował nad kierownicą, a przewrócony motocykl pojechał po posadzce, ciągnąc za sobą snop iskier. Motocyklista upadł na podłogę i zastygł w bezruchu.

Drugi napastnik przerwał atak i skierował reflektor na leżącego. Zsiadł z motoru. Wiedział, że jego brat zginął. Poczul jego strach i ból w chwili, gdy skręcił on kark. Kiedy jęk, który z siebie wydał, zamienił się w rozdzierający wrzask, a wreszcie w iście wilcze wycie, Gamay przeszły ciarki. Zaczęła się przesuwac w stronę rufy w nadziei, że jeśli dostanie się na pokład, znajdzie inną broń. Ale napastnik dostrzegł jej ruch i w mgnieniu oka dosiadł motocykla. Wysunęła pikę przed siebie. Kiedy nadszedł z boku, poczuła, że broń drgnęła i zabrzączał metal. Napastnik odrąbał grot toporem bojowym z krótkim trzonkiem. Zatrzymał motor, uniósł topór nad głową, a potem ruszył, żeby się z nią rozprawić.

Pobiegła w stronę rufy. Natychmiast ją dogonił i powalił uderzeniem motocykla w nogi. Po upadku na twardą posadzkę poczuła ostry ból w łokciach i kolanach. Najgorsze jednak było to, że

napastnik stał tuż nad nią.

- Mój brat... nie żyje... - powiedział i urwał, jakby oczekiwał, że bliźniak dokończy zdanie. - Zabiłaś... a teraz ja zabiję ciebie. Najpierw... odetnę nogi. Po kolei... Potem ręce.

W czarnych skórzanych spodniach i bezrękawniku wyglądał jak kat. Obnażył w wyczekującym uśmiechu lśniące metalowe zęby. Gamay spróbowała się odsunąć, ale przygwoździł jej nogę butem. Krzyknęła.

Gdy unosił topór w górę, coś zafurkotało. Napastnik zacharczał, wolną ręką chciał sięgnąć do sterczącego mu z boku głowy beltu, ale nie zdążył. Jego zaczerwienione oczy zgasty i zwałił się jak kłoda. Gamay przetoczyła się w bok, unikając spadającego topora, który z brzękiem uderzył o posadzkę. Usłyszała szybkie kroki, czyjeś silne ręce podniosły ją z ziemi i ujrzała uśmiechniętą twarz Zavali. A potem zjawił się Austin. Ze starą kuszą w rękach.

- Nic ci nie jest? - spytał.

- Nic, czego by nie naprawił porządny przeszczep skóry - odparła. Widząc w ręku Joego broń, którą pożyczył od strażnika, dodała: - Po co odgrywać Wilhelma Tella, skoro macie to?

- Bo za szeroko pruje - rzekł Zaval. - Świetnie się nadaje do wykoszenia szarżującego oddziału, ale nie do precyzyjnego snajperskiego strzału. Ukląkł przy zabitym bliźniaku. - Miałeś trafić w jabłko na czubku jego głowy.

- Następnym razem wyceluję wyżej - odparł Austin, odrzucając kuszę.

Gamay cmoknęła obu w policzki.

- Tak się cieszę z waszego widoku, że zniosę nawet najgłupsze żarty - powiedziała.

- Widzę, że nieźle sobie radziłaś - pochwalił ją Austin, przyjrzawszy się zwłokom przy motocyklu.

- Niewiele brakowało, a zostałabym poćwiartowana. Gdzie jesteśmy?

- Nad jeziorem Tahoe.

- Tahoe! Jak mnie znaleźliście?

- Wyjaśnimy ci po zabranii Franceski. Możesz iść?

- Choćby na kolanach, byleby wydostać się z tego lochu. Twarzowe wdżianka - powiedziała, przyglądając się ich białym czapkom i uniformom. - To dzięki nim przepuścili was strażnicy przy drzwiach?

- Nie było żadnych strażników.

- Pewnie nie chcieli brać odpowiedzialności za tę parę klonów.

- Tak naprawdę to zajrzeliśmy tu na chybił trafił. Widząc, że bawisz się w berka ze swoim topornym znajomym, porwałem ze ściany kuszę i czekałem, aż wystawisz mi go na strzał. - Austin wziął pistolet jednego z zabitych. - Osiodłamy konie, zanim nadjedzie pościg?

Gamay skinęła głową i utykając ruszyła do drzwi, w opiekuńczej asyście dwóch mężczyzn po bokach. W tym momencie otworzyły się drzwi i do komnaty wkroczyła Brunhilda. Była sama, lecz jak zawsze imponująca i wyniosła. Podeszła, ledwie spojrzawszy na trupy, stanęła na szeroko rozstawionych muskularnych nogach i odparła się pod boki.

- Jak rozumiem, to wasza robota - przemówiła.

- Przepraszamy za bałagan - odparł Austin, wzruszając ramionami.

- Debile. Gdybyście ich nie zabili, musiałabym to zrobić sama. Złamali moje rozkazy i skalali to święte miejsce.

- Niemniej współczuję, bo wiem, jak trudno dziś o dobrych pachółków.

- Nie tak trudno, jak się wydaje. Chętnych do zabijania nie brakuje. Jak dostaliście się tutaj?

- Frontowymi drzwiami. Co to za miejsce?

- Serce i dusza mojego imperium.

- A więc to pani jest tą nieuchwytną Brunhildą Sigurd - powiedział Austin.

- Tak, ja też wiem, kim jest pan. Obserwowaliśmy was, panie Austin, odkąd odwiedziliście naszą fabrykę w Meksyku. To ładnie z waszej strony, że zaszczyciliście nas wizytą.

- Ależ nie ma o czym mówić. Musi nam pani zdradzić, kto zaprojektował to wnętrze. Jak myślisz, Joe, w jakim jest stylu, wczesnym rodziny Addamsów czy późnym transylwańskim?

- Chyba bardziej w stylu Wagner modern. Stolik do kawy w kształcie okrętu? Cóż za uroczy detal.

- Czas na naukę - oświadczyła Brunhilda. - Ten okręt symbolizuje przeszłość, teraźniejszość i wspaniałą przyszłość!

- Bardzo stosowny symbol - przyznał ze śmiechem Austin. - Ten okręt płynie donikąd, tak jak pani imperium.

- Stajecie się męczący, panowie z NUMA.

- Nie chcemy nadużyć gościnności. Pozwoli pani, że się pożegnamy.

Zavala ruszył pierwszy i, próbując wyminąć Brunhildę z przyzwyczajenia posłał jej swój firmowy uśmiech. Mimo wszystko była kobietą. Ale nieczuła na jego powszechnie znany męski urok olbrzymka chwyciła go za koszulę i, potrząsnąwszy nim jak terier szczurem, z wielką siłą cisnęła na podłogę. Zavala szybko się pozbierał i - jako niepoprawny dżentelmen wobec wszystkich pań każdej postury i w każdym wieku - posłał jej kolejny uśmiech.

- Wiem, jak pani się czuje - powiedział - ale czy musimy rozstawać się w taki sposób?

W odpowiedzi trzasnęła go na odlew w policzek. Joe zatoczył się, cofnął kilka kroków i otarł krew z kącika ust. Kiedy Brunhilda uniosła pięść do zadania następnego ciosu, w obronie przyjaciela stanął Austin. Ponieważ jednak skoncentrował się na jej rękach, zaskoczyła go klasycznym dla kickboxingu zamachowym kopniakiem lewą nogą, wbijając mu but w pierś. Zanim jeszcze zwałił się na posadzkę z takim impetem, że zadzwoniły mu zęby, poczuł, iż od jej straszliwego ciosu pękają mu żebra.

Na widok padającego Kurta Zavala wyzbył się wszelkich oporów przed uderzeniem kobiety.

- To dwa ciosy bez ostrzeżenia - powiedział cicho.

Swoje studia w nowojorskiej wyższej szkole morskiej opłacił z pieniędzy, które zarobił na ringu jako zawodowy bokser wagi średniej. Większość walk wygrał, często przez nokaut. Wprawdzie po zdobyciu dyplomu przybrał na wadze, ale wciąż potrafił ją zbić do wymaganych osiemdziesięciu kilogramów. Miał metr siedemdziesiąt siedem wzrostu, Brunhilda była więc od niego o trzydzieści pięć centymetrów wyższa i o dwadzieścia kilka kilogramów cięższa.

Olbrzymka wymierzyła Zawali cios, którym mogłaby mu strącić głowę z ramion. Ale Zavala natychmiast przypomniał sobie o starych ringowych nawykach. Zrobił unik, a kiedy prawa pięść Brunhildy musnęła szczyt jego głowy, lewą ręką uderzył ją w żołądek. Omal nie złamał sobie nadgarstka, ale wytrącił przeciwniczkę z rytmu i jej lewy prosty przeszył powietrze. Chowając się za gardą, Zavala spróbował kombinacji trzech ciosów, którymi w czasach studenckich niejednego posłał na deski. Wyprowadził szybki lewy prosty, poprawił krótkim prawym sierpowym i zakończył lewym hakiem.

Prawym nie trafił, ale lewy hak wylądował na szczęce Brunhildy. Oczy jej zmętniały, lecz tylko na chwilę. Cofnęła się, gdy nacierał, i cepem z góry tak mocno trafiła go w serce, że stracił dech. Kiedy wciągał powietrze do płuc, przebiła się przez jego gardę i rąbnęła w brzuch. Zavala przyjął uderzenie na twarde napięte mięśnie i strzelił ciosami z obu rąk, mierząc w szczękę. Oba chybiły. Kiedy zaskoczona tak szybką i fachową reakcją Brunhilda zrozumiała, z kim ma do czynienia,

wykorzystując przewagę wzrostu i zasięgu ramion zaczęła bombardować go ciosami z dystansu.

Przejrząwszy jej strategię, Joe próbował trafić w podbródek olbrzymki hakami z dołu, ale trzymała się w bezpiecznej odległości, okładając go cepami. Lewe oko mu spuchło, z nosa ciekła krew. Szerokim sierpowym ponad ręką Brunhildy trafił ją w szyję, ale w zamian otrzymał kolejny bolesny cios w głowę. Pomimo swojej postury przeciwniczka była tak szybka, jak najlepsi znani mu bokserzy wagi średniej. Starzy kibice bokserzy powiadali, że dobry duży bokser zawsze pokona dobrego, lecz małego. Joe miał jednak nadzieję, że ów truizm nie odnosi się do dużej bokserki.

Nacierał wytrwale, zupełnie nie wyczuwając dystansu, a jego mocne ciosy pruły powietrze. Wiedział, że wytrzyma jeszcze najwyżej minutę, a potem olbrzymka dwoma kopniakami złamie mu kark.

Wtem całkiem niespodziewanie przeciwniczka opuściła ręce i osunęła się bezwładnie na posadzkę. Oszołomiony Joe znieruchomiał, otarł pot z oczu i zobaczył wówczas, że nad leżącą Brunhilda stoi Gamay. W rękach trzymała drewnianą tarczę.

- Są inne sposoby na uziemienie tej skandynawskiej jędzy! - oświadczyła z wściekłością w oczach.

Austin podźwignął się z trudem i, trzymając się za pęknięte żebra, przyjrzał się im.

- Mam nadzieję, że czujemy się lepiej niż wyglądamy - powiedział.

- Poczuję się znacznie lepiej, kiedy się stąd wyniesiemy - wymamrotał przez spuchnięte wargi Zavała.

- Chwileczkę. - Austin szybko rozejrzał się po sali. - Musimy odwrócić uwagę.

Bez wahania podszedł do jednego ze stojących przy okręcie żelaznych kociołków i wysypał rozżarzone węgle na pokład. A potem wszedł na okręt i rzucił na nie stos tarcz. Płomienie objęły maszt i, liznąwszy spód kwadratowego skórzanego żagla, po kilku sekundach zmieniły go w płachtę ognia. Czarny, gryzący, skłębiony dym wzbil się pod sufit.

Dokonawszy dzieła, Austin pierwszy ruszył do drzwi. Stanęli obok nich i czekali. Zaczekali przy nich z boku. Komnatę zaczął z wolna wypełniać dym. Po kilku minutach do środka wpadli strażnicy. Nagły dopływ świeżego powietrza podsycił ogień i przez Wielką Salę potoczyły się czarne kłęby dymu. Strażnicy, którzy pobiegli wprost do okrętu, nie zauważyli trzech postaci, wymykających się przez otwarte drzwi.

Pod kopułą podmorskiego laboratorium Francesca uwijała się coraz szybciej. Do sfinalizowania jej planu brakowało już tylko jednego elementu. Ale - zwłaszcza po nagłym wyjściu Brunhildy - nie ośmielała się go dodać, nie mając pewności, że trójce jej przyjaciół nic nie grozi. Rozejrzała się. Technicy nadskakiwali tłumowi dyrektorów, którzy pili słodką wodę, jakby to był szampan. Wkrótce jednak ktoś musiał zauważyć, że doktor Cabral nie odrywa się od pulpitu.

Raptem gwar rozmów ucichł. Francesca odwróciła się i ujrzała, że z windy dla personelu wychodzi troje dziwnych ludzi. Na widok przyjaciół zaparło jej dech. Trudno ich było rozpoznać. Gamay utykała, jej piękne ciemnorude włosy wyglądały jak ubite trzepaczką do piany, a ręce i nogi miała pokryte świeżymi sińcami. Białe uniformy Austina i Zavali były powalane krwią i sadzą. A Joe miał spuchniętą twarz i przyknięte oko niczym marynarz Popeye z komiksu.

Przepchnęli się przez tłum i podeszli do niej.

- Wybacz, że zajęło nam to tyle czasu - powiedział Austin, siląc się na uśmiech. - Ale natrafiłszy na kilka... przeszkód.

- Dobrze, że jesteście.

- Ale nie mamy zamiaru tu zostać - odparł, biorąc ją w ramiona. - Pod tym budynkiem czeka na nas taksówka. Podwieźć cię?

- Przedtem muszę coś zrobić - powiedziała. Podeszła do pulpitu i na klawiaturze komputera wystukała szereg cyfr. Przez chwilę przyglądała się przyrządom, a potem, zadowolona, że wszystko idzie zgodnie z planem, odwróciła się i oznajmiła: - Jestem gotowa.

W tym czasie Zavala - na wypadek, gdyby ktoś z obecnych poczuł nagły przypływ odwagi - stał z bronią gotową do strzału. Austin z zaciekawieniem przyjrzał się dyrektorom Gokstad. Zrewanżowali mu się spojrzeniami, ziejącymi czystą nienawiścią. W pewnej chwili z grupy wystąpił Grimley, zbliżył się do niego i oświadczył:

- Chcemy wiedzieć, kim jesteście i czego tu chcecie!

Austin zaśmiał się nieprzyjemnie i odepchnął Anglika.

- Co to za błazen? - spytał Franceski.

- Wraz ze swymi towarzyszami uosabia całe zło naszego świata - odparła.

Austina, jako filozofa amatora, od dawna interesowały kwestie dobra i zła, ale metafizyczne dyskusje musiały poczekać. Nie zwracając uwagi na Anglika, wziął Franceskę pod rękę i powiodł ją w stronę wyjścia do służby powietrznej, gdzie zostawili swoją łódź. Za nimi ruszyła Gamay, a na końcu ubezpieczający ich Zavala.

Ledwie jednak zrobili kilka kroków, z rozwartych drzwi windy towarowej wypadło ze dwudziestu strażników, którzy błyskawicznie otoczyli zbiegów i odebrali Joemu broń.

Po chwili szybko się rozstąpili, bo z windy wymaszerowała Brunhilda. Po kontakcie z tarczą Gamay jasne włosy miała rozwichrzone, a bladą twarz powalaną sadzą. Jednak bynajmniej nie osłabiało to wrażenia, jakie wywierała jej imponująca postać i pałające nienawiścią bladoniebieskie oczy. Trzęsąc się z wściekłości, wskazała ręką na ekipę NUMA takim gestem, jakby za chwilę chciała strzelić w nich piorunem.

- Zabić ich! - rozkazała.

Dyrektorzy Gokstad przywitani ten obrót wypadków pomrukami zadowolenia, z błyszczącymi oczami oczekując rzezi bezczelnych intruzów. Kiedy jednak strażnicy podnieśli broń, szykując się do oddania śmiertelnej salwy, Francesca wystąpiła naprzód i takim głosem, jakiego używała, gdy była białą boginią, zawołała:

- Stać!

- Zejdź z drogi, bo i ty zginiesz! - rozkazała Brunhilda.

- Naprawdę? - odparła Francesca, zuchwale wysuwając podbródek.

- A kim ty jesteś, żeby mi się sprzeciwiać?! - warknęła Brunhilda.

Wydawało się, że przybyło jej jeszcze ćwierć metra wzrostu.

W odpowiedzi Francesca podeszła do pulpitu sterowniczego, rozświetlonego jak elektryczny bilard. Przez ekran komputera przesuwały się kolumny cyfr. Działo się coś bardzo niedobrego.

- Co zrobiłaś? - spytała Brunhilda, rzucając się na nią jak anioł zemsty.

- Sama zobacz - odparła Francesca, schodząc jej z drogi.

- Co się dzieje?

Brunhilda wpatrzyła się w kolorowy pulpit.

- Przyrządy szaleją, bo próbują poradzić sobie z reakcją łańcuchową.

- Co to znaczy? Mów, bo...

- Bo mnie zabijesz? Proszę. Tylko ja mogę ją zatrzymać. - Francesca uśmiechnęła się. - Jednego nie wiedziałas o anasazium - że pozostawione w spokoju jest niegroźne jak żelazo, ale w określonych warunkach jego atomy stają się bardzo niestabilne.

- W jakich warunkach?!

- Dokładnie w takiej temperaturze i przy takim natężeniu mocy i wibracji dźwiękowych, jakim rdzeń jest poddany w tej chwili. Jeżeli nie zmienię poleceń, wybuchnie.

- Blefujesz!

- Czyżby? Sama sprawdź. Temperatura wykracza poza skalę. Ciągłe nie jesteś przekonana? To pomyśl o tajemniczej eksplozji w twoim meksykańskim laboratorium, o której mi wspomniałaś. Od razu się domyśliłam, co było jej przyczyną. Tamto laboratorium zostało zniszczone przez kilka kilogramów anasazium. Wyobraź sobie, co nastąpi, kiedy masę krytyczną osiągnie kilkaset kilo.

Zwracając się do gromady techników, Brunhilda rozkazała, aby zatrzymali reakcję. Ich szef, wpatrujący się jak zafascynowany w zwariowany wykres na ekranie komputera, wyznał ze skruchą:

- Nie wiemy, jak to zrobić. Możemy tylko pogorszyć sytuację.

Brunhilda wyszarpnęła pistolet maszynowy z rąk najbliższego stojącego strażnika i wycelowała go w Gamay.

- Jeżeli nie zatrzymasz reakcji, zabiję twoich przyjaciół - zagroziła Francesce. - Ją pierwszą.

- I kto tu blefuje? Przecież i tak chciałaś ich zabić - odparła Francesca. - W ten sposób zginieemy razem.

Brunhilda zbladła.

- Czego chcesz? - spytała napiętym z gniewu głosem, opuszczając broń.

- Żeby oni wyszli stąd bezpiecznie.

Studia inżynierskie nauczyły Brunhildę, aby przed podjęciem decyzji rozważyć wszystkie fakty. Było pewne, że jeżeli Francesca nie zatrzyma reakcji, wybuch zniszczy odsalarnię. Tylko ona wiedziała, jak temu zapobiec. Brunhilda postanowiła więc wypuścić intruzów, a po opanowaniu reakcji nakazać ochronie, by ich otoczyła. Potem zając się tą Brazylijką. Pałała żądzą zemsty za zniszczenie okrętu wikingów, lecz na razie musiała uzbroić się w cierpliwość. Przecież na tę chwilę czekała lata.

Oddała pistolet strażnikowi.

- Zgoda - powiedziała. - Ale ty zostaniesz.

Francesca odetchnęła z ulgą.

- Powiedziałeś, że dotarliście tu pod wodą? - spytała Austina.

- Tak. Mamy sprzęt do nurkowania, a pod laboratorium czeka na nas łódź.

- Nie uda wam się odpłynąć - powiedziała. - Temperatura za bardzo wzrosła. Nim dotrzecie do swojej łodzi, ugotujecie się żywcem.

- Wjedziemy windą na molo.

- To najlepsze wyjście.

- Nie zostawimy tu ciebie.

- Nic mi nie będzie. Dopóki mnie potrzebują, nie zrobią mi krzywdy - zapewniła z czarującym uśmiechem. - Cieszę się, że NUMA uratuje mnie jeszcze raz... Odprowadzę ich do windy - oznajmiła Brunhildzie.

- Żadnych sztuczek - ostrzegła groźnie olbrzymka i nakazała strażnikom, żeby im towarzyszyli.

Francesca nacisnęła przycisk otwierający drzwi jajowatej windy.

- Jesteście ranni. Pomogę wam wsiąść - powiedziała, a gdy się usadowili, pochyliła się i spytała szeptem: - Czy ktoś z was ma broń?

Strażnicy, którzy odebrali Zavalii pistolet maszynowy, uznali, że ponieważ Austin ma puste ręce, nie jest uzbrojony. Tymczasem pod koszulą ukrywał on rewolwer, który zabrał jednemu z braci Kradzików.

- Ja - odparł. - Ale próba ucieczki stąd z bronią w ręku byłaby samobójstwem.

- Nie mam takiego zamiaru. Daj mija.

Austin niechętnie oddał Francesce rewolwer. Z kieszeni kitla wyjęła żółtobrązową kopertę.

- Tu jest wszystko, Kurt - powiedziała. - Pilnuj jej jak żrenicy oka.

- Co to?

- Przekonasz się, kiedy przekażesz ją światu - odparła i pocałowała go. - Przykro mi, ale musimy przełożyć randkę. - Uśmiechnęła się i zwróciła do Gamay i Joego. - Żegnajcie, przyjaciele. Dziękuję za wszystko.

Austin nagle zrozumiał, że Francesca żegna się z nimi na zawsze i że wcale nie chce się uratować.

- Wsiadaj! - krzyknął, próbując chwycić ją za rękę.

Jednak Francesca cofnęła się i spojrzała na zegarek.

- Zostało wam pięć minut. Dobrze je wykorzystajcie - powiedziała i wcisnęła przycisk "góra".

Drzwi zasunęły się i winda wkrótce znikła z oczu wpatrzonych w nią strażników. Francesca wydobyła spod kitla rewolwer i jednym strzałem rozwalila jej układ sterowniczy. To samo zrobiła z windą towarową i odrzuciła broń. Chwilę potem nadciągnęła jak burza Brunhilda z resztą strażników, a z głośników wokół kopuły ryknął głośny klakson.

- Coś zrobiła?! - wrzasnęła.

- To pięciominutowy alarm ostrzegawczy! - odkrzyknęła Francesca. - Reakcja przekroczyła punkt krytyczny. Nic już jej nie zatrzyma.

- Powiedziałeś, że zrobisz to, jeśli wypuszczę twoich przyjaciół.

Francesca zaśmiała się.

- Skłamałam. Przecież mnie nauczyłaś, by nigdy nikomu nie ufać.

Technicy, którzy najszybciej zorientowali się w niebezpieczeństwie, wymknęli się z laboratorium i zaczęli wspinać się po wąskich awaryjnych spiralnych schodach do wodoszczelnego szybu, który

wiódł na powierzchnię. Widząc, że uciekają, dyrektorzy ruszyli za nimi. Wówczas również strażnicy wpadli w popłoch. Kolbami zmusili dyrektorów do cofnięcia się, a do opornych otworzyli ogień. U wejścia na awaryjne schody wyrósł stos trupów. Strażnicy, którzy przez niego przeleźli, utknęli w wąskim przejściu. Z tyłu napierali inni. Po kilku sekundach jedyną drogę ucieczki zatarasowały stratowane ciała.

Brunhilda nie mogła uwierzyć w to, jak szybko rozpada się jej świat. Całą złość skupiła na Francesce, która nie zrobiła nic, by uciec.

- Zginiesz za to! - wrzasnęła, mierzając w nią z rewolweru Austina, który podniosła z podłogi.

- Zginęłam dziesięć lat temu, kiedy przez twój obłąkany plan znalazłam się w dżungli - odparła Francesca.

Brunhilda nacisnęła spust. Padły trzy strzały. Pierwsze dwa nie trafiły, trzeci przeszył pierś białej królowej. Kolana ugięły się pod nią, osunęła się na podłogę i usiadła, plecami oparta o ścianę. Kiedy mroczny kir zasnuł jej oczy, uśmiechnęła się uszczęśliwiona i umarła.

Brunhilda cisnęła rewolwer i podeszła do pulpitu sterowniczego. Zatrzymała się przed ekranem komputera z taką miną, jakby chciała siłą woli zatrzymać reakcję. Uniosła wysoko nad głowę zaciśnięte pięści i wrzasnęła, a jej wściekły ryk zmieszał się z chrapliwym bekiem klaksonu.

A potem uwięzione w materiale rozszczepialnym atomy i cząsteczki uwolniły się, wyzwalając ogromny ładunek energii. Rozsadzony przez wewnętrzne ciśnienie reaktor zmienił się w roztopiony metal. W rozżarzonej do białości eksplozji Brunhilda w jednej chwili obróciła się w popiół, a olbrzymia ognista kula przemieniła laboratorium w piekło.

Przegrzany dym wzbil się szybami windowymi, przez tunel wagonika dotarł do głównego kompleksu budynków i, wypełniwszy wszystkie korytarze, wpadł do Wielkiej Sali. Tam buchnął skłębionymi płomieniami, od których zagotowało się powietrze i zajęły się chorągwie na ścianach. A potem tłące się w sercu Walhalii szare popioły po okręcie wikingów z Gokstad pochłonęła na zawsze ognista burza.

41

Motorówka boston whaler pędziła ze wzniesionym dziobem przez jezioro. Austin do maksimum żyłował jej dwa przyczepne silniki evinrude 150. Opalona twarz stężała mu w maskę gniewu i rozgoryczenia. Chciał wrócić do laboratorium, ale kiedy winda dowiozła ich do hangaru dla łodzi, przestała chodzić. Tak samo towarowa. Pobiegł do schodów, ale Gamay go przytrzymała.

- To na nic - powiedziała. - Nie ma czasu.

- Kurt - poparł ją Zavala - zostały niecałe cztery minuty.

Austin wiedział, że mają rację. Zginąłby daremnie, próbując uratować Franceskę, i naraziłby ich życie. Pierwszy wyszedł z hangaru na molo. Siedzący tam strażnik, który przysnął na słońcu, zerwał się na nogi i, wystraszony, próbował zdjąć pistolet z ramienia, ale Austin, nie bawiąc się w konwenanse, dopadł go i strącił do wody.

Wsiedli do motorówki. Kluczyk był w stacyjce, zbiorniki z paliwem pełne. Silniki zapaliły od razu. Rzucili cumy, Austin dał pełny gaz i skierował łódź prosto na brzeg Nevady. Na okrzyk Zavali odwrócił głowę. Joe i Gamay patrzyli w stronę mola, gdzie jezioro burzyło się jak wrząca woda w czajniku.

Zaraz potem usłyszeli stłumiony huk i w powietrze na wysokość kilkudziesięciu metrów wystrzelił gejzer krwistoczerwonej wody. Zakryli dłońmi twarze, chroniąc je przed parzącym deszczem i chmurą pary. Kiedy ośmielili się znowu spojrzeć, zobaczyli, że molo znikło i że pędzi w ich stronę wysoka, co najmniej trzymetrowa fala.

- Te łodzie są podobno niezatapiające - powiedział nerwowo Zawała.

- To samo mówiono o "Titanicu" - przypomniała mu Gamay.

Austin zawrócił motorówkę i ustawił ją dziobem do fali, która tylko uniosła ich wysoko w górę i przetoczyła się pod nimi. Austin przypomniał sobie, że nawet tsunami naprawdę groźna staje się dopiero wówczas, gdy uderza w brzeg. Miał nadzieję, że siła tej fali osłabnie, nim dotrze ona do brzegu Tahoe po nevadzkiej stronie.

Na łodzi też działo się niemało. Nad lasem, gdzie wcześniej oglądał z parolotni wieże Walhali, wyrósł słup dymu, który, zmieniając się na jego oczach, pociemniał i zgęstniał. Austin zmniejszył prędkość i wpatrzył się w wielkie, czarne, przetykane żółtoczerwonymi płomieniami kłęby wzbijające się wysoko ponad drzewa.

- *Gotterdammerung* - mruknął.

- Zmierzch bogów? - spytała Gamay, która to usłyszała.

- Myślałem raczej o bogini - odparł.

Zamilkli. Słyszać było jedynie warkot silników i szum prutej dziobem wody. A potem doszedł ich odgłos przypominający pohukiwanie szalonej sowy i ujrzeli, że nadpływa ku nim czerwono-biało-niebieski tort. "Królowa Tahoe" ponownie włączyła syrenę. Z górnego pokładu machała im raka wysoka postać - Paul. Austin pomachał mu w odpowiedzi, dodał gazu i skierował motorówkę w stronę zbliżającego się statku.

Epilog

Pustynia Libijska, pół roku później

Naczelnik wioski był chudy jak bocian, a dziesiątki lat spędzonych na pustynnym słońcu tak pobruździły jego czerstwą twarz, że nie dałoby się znaleźć na niej miejsca na choćby jedną zmarszczkę więcej. Lata niedożywienia zredukowały jego garnitur zębów do dwóch, po jednym w każdej szczęcie, ale ich brak bynajmniej nie przeszkadzał mu uśmiechać się z dumy. Stojąc pośrodku swojego gniazda - zabłoconej oazy z garstką żółtych glinianych lepierek i kilkoma palmami - zachowywał się niczym wielkomięski burmistrz, szykujący się do przecięcia wstęgi na otwarcie publicznej inwestycji.

Jego wioska leżała daleko na zachód od Wielkich Piramid w Gizie, w jednym z najbardziej niegościnnych zakątków świata. Pomiędzy Egiptem i Libią rozpościerały się tysiące kilometrów kwadratowych gorących, suchych piasków, z których tu i ówdzie sterczą kości żołnierzy niemieckich dywizji pancernych z drugiej wojny światowej. Nieliczne rozrzucone wśród nich osady nieustannie walczyły o przetrwanie, skupiając się wokół oaz, których żywot był niepewny. Czasem bowiem wysychały istniejące tam źródła, a wówczas wioski nawiedzał głód. Jednak ten odwieczny cykl walki o utrzymanie się przy życiu miał się właśnie zmienić.

Na znak nadejścia lepszych czasów wioskę przystrojono kolorowymi chorągiewkami, wielbłodom wpleciono w ogony kawałki materiału, a na wioskowym placu, właściwie klepisku pośrodku oazy, wzniesiono duży pasiasty biało-niebieski namiot w barwach Organizacji Narodów Zjednoczonych. Na skraju wioski stało kilka helikopterów, a w cieniu namiotu czekali dyplomaci reprezentujący ONZ oraz kilka krajów afrykańskich i Bliskiego Wschodu.

Naczelnik wioski zajął miejsce przy obiekcie, którego ze świecą szukać na pustyni. Była to okrągła marmurowa fontanna, składająca się z dużego basenu, otaczającego mniejszy, zwieńczony posągami skrzydlatej kobiety, z której wyciągniętych dłoni tryskała woda.

Gotów do rozpoczęcia uroczystości naczelnik ceremonialnie zdjął z szyi cynowy kubek, nabrał do niego wody i napił się. Jeszcze szerzej rozciągnął w bezzębnym uśmiechu usta i załamującym się, piskliwym głosem zawołał: *“Elhamdelillah lilmajja”*.

Dołączyli do niego inni wieśniacy, po kolei pijąc z kubka, jakby to właśnie on, a nie fontanna, był magicznym źródłem wody. Po nich podeszły napełnić gliniane garnki czekające na swoją kolej kobiety. Kręcące się dotąd wokół fontanny dzieci uznały to za sygnał ze strony matek, że mogą się ochłodzić, i niebawem basen zapełnił się rozchichotanymi, rozchlapującymi wodę nagimi maluchami. Dyplomaci i przedstawiciele rządów wyszli spod osłony namiotu i zbrali się wokół fontanny.

Z cienia palmy przyglądali się temu wszystkiemu z rozbawieniem członkowie ekipy do zadań specjalnych NUMA i kapitan *“Żaboryby”*.

- Ktoś z was wie, co powiedział ten staruszek? - spytał Zavalá.

- Bardzo słabo znam arabski, ale na pewno podziękował Allachowi za wodę, ten cudowny dar życia - odparła Gamay.

Paul otoczył ramiona żony prawą ręką.

- Szkoda, że Francesca nie może zobaczyć siebie wyrzeźbionej w marmurze - powiedział. - Ten posąg przypomina mi, że kiedyś była białą boginią.

Austin skinął głową.

- A mnie się wydaje, że ledwo by na niego spojrzała - rzekł. - Sprawdziłaby wieżę ciśnień i system nawadniający, upewniłaby się, czy rurociąg z odsalarni nie przecieka, i odjechałaby uruchamiać kolejne.

- Masz rację - przyznał Paul. - Kiedy inne kraje zobaczą, jak świetnie sprawdza się metoda doktor Cabral w tej pilotażowej śródziemnomorskiej odsalarni, to wszystkie przylecą z wyciągniętymi cynowymi kubkami. Bahrajn i Saudyjczycy już wyrazili gotowość sfinansowania następnych. Organizacja Narodów Zjednoczonych przyrzekła spełnić prośbę Franceski, którą dołączyła do przekazanych ci planów, i energicznie wesprzeć w tej dziedzinie afrykańskie kraje na południe od Sahary.

- Słyszałem, że w stanach Południowego Zachodu i w Meksyku podjęto inicjatywę wybudowania odsalarni na wybrzeżu Kalifornii - powiedział Austin. - To powinno odciążyć rzekę Kolorado.

- Franceskę na pewno ucieszyłoby, że niektórzy z walczących o wodę zaczęli współdziałać w doprowadzeniu jej tam, gdzie panuje susza - dodała Gamay. - Zapanował duch współpracy. Może jest jeszcze nadzieja dla rasy ludzkiej.

- Jestem dobrej myśli - rzekł Austin. - ONZ obiecała przyspieszyć biurokratyczne procedury. Dobrze się spisała, budując nową rafinerię anasazium w Kanadzie. Plany Franceski są niezwykle proste. A ta rafineria powstała tak szybko i tak niskim kosztem, że każde państwo będzie stać na produkcję taniej słodkiej wody.

- Co za ironia losu - powiedziała Gamay. - Anasazium powstało przecież w Los Alamos w trakcie pracy nad bronią masowej zagłady.

- I omal nie stało się nią w rękach Gokstad - podkreślił Austin.

Mimo że było trzydzieści kilka stopni ciepła, Gamay przeszedł dreszcz.

- Czasem mam wrażenie - powiedziała - że ta olbrzymka, jej dwóch straszliwych pachółków i potworna siedziba tylko mi się przyśniły.

- Niestety, nie był to sen, a my ledwo uszliśmy z życiem.

- Mam tylko nadzieję, że zło nie odrodzi się, jak jakaś komórka nowotworowa.

- To mało prawdopodobne - odparł Austin. - Gokstad straciła przywódczynię, zaplecze naukowe i wpływowych ludzi, którzy stanowili siłę napędową tego potwora. Narody świata zrozumiały, do czego mogło dojść, i upominają się o swoje prawo do wody.

- Dzięki, że mnie zaprosiliście - wtrącił Jim Contos, z uwagą przysłuchujący się ich rozmowie. - Przynajmniej wiem, że moje dwa pojazdy podwodne zniszczono w słusznej sprawie.

- Dobrze, że o tym wspomniałeś. Joe?

Zawała uśmiechnął się, z kieszeni w koszuli wyjął kartkę i rozłożył ją.

- To tylko wstępny szkic - zaznaczył - ale da ci pojęcie, nad czym pracujemy.

Contos ze zdumienia zrobił wielkie oczy.

- Ale piękny - zachwycił się.

- Jest trochę niekształtny, ale będzie lepiej wyposażony i zanurzy się głębiej i szybciej niż jakiegokolwiek inne pojazdy podwodne. Musi przejść bardzo wszechstronne próby.

- Kiedy zaczynamy? - spytał Contos.

- Wstępne prace już się zaczęły. Umówiłem się z ludźmi z Instytutu Smithsoniańskiego. Zamierzają wznieść pomnik ostatnim pilotom tego latającego skrzydła i poprosili mnie, żebym dla spopularyzowania ich kampanii odbył kilka pokazowych lotów. Ale potem będę wolny i pomogę opracować te testy.

- Na co czekamy? - spytała Gamay.

- Dobre pytanie - przyznał Austin. - Metoda Franceski zamieni tę piaszczystą dziurę w ogród, ale to nie miejsce dla paczki oceanologów.

Ruszył ku niebieskiemu helikopterowi z dużym czarnym napisem "NUMA" na burcie.

- Ej, Kurt, a ty dokąd? - zawołał za nim Zavala.

Austin odwrócił się.

- Chodźcie - powiedział z szerokim uśmiechem na opalonej twarzy. - Skoczmy gdzieś, gdzie można zamoczyć nogi.

Podziękowania

Dziękuję pilotom Billowi Alongowi, Carlowi Scrivenerowi i "Bosemu" Dave'owi Millerowi, którzy tak wielkodusznie poświęcili mi czas i podzielili się wiedzą.